

Kathryn Fox

Znowu razem

Prolog

Regina, Saskatchewan
Wiosna, 1894

- Och, papo. - Lauren odgarnęła ojcu z czoła kędzierzawe pasemko brązowych włosów i zapatrzyła się w jego nieruchomą twarz. Inspektor Butler był silnie zbudowany i ogorzały; nie pasowały do niego delikatne wzorki na podciągniętej pod brodę kołdrze. A przecież robił takie wrażenie, jakby z trudem czepiał się życia.

- Bardzo żałuję, że nie możesz być z nami, papo. - Pogładziła go po policzku, wciąż wilgotnym po goleniu, ale ojciec nie drgnął nawet i niczym nie okazał, że świadom jest jej obecności; już od kilku tygodni tak było. Tylko cienkie, pokryte błękitnymi żyłkami powieki zdradzały, jak kruchy stawał się ten niegdyś silny i zdrowy mężczyzna. Lauren poprawiła przykrycia, podwinęła je starannie i wygładziła fałdki. Kiedy się obudzi - jeżeli się kiedyś obudzi - doceni, że w pokoju panuje porządek.

Podniosła wzrok na szkarłatną kurtkę i niebieskie spodnie, wiszące po wewnętrznej stronie drzwi do sypialni, i przypomniała sobie, jak troskliwie przygotowywał ojciec swój paradny mundur na dzień, kiedy będzie wydawał córkę za mąż. Czyszcząc i szczotkując materiał, uśmiechał się, błyskając białymi zębami, oczy miał łagodne i wesołe. Lauren traktował na przemian to jak małą córeczkę, to jak kobietę, na którą wyrosła, i niby snując wspomnienia, udzielał dobrych rad.

Do uszu Lauren doszedł z zewnątrz szum głosów, sygna-

lizujący, że goście weselni zaczęli się schodzić. Wstała i poszła do toaletki. Odchyliła wieczko drewnianej szkatułki i głęboko wciągnęła ulotny cedrowy aromat. Wewnątrz, w gniazdku z niebieskiego aksamitu, leżała matczyzna ślubna obrączka. Lauren podniosła ją i przesunęła palcami po gładkiej powierzchni, wspominając ręce matki, które podnosiły córeczkę do góry, uspokajały ją, kołysły troski, gładziły. Jakże krótki był ten czas.

- Lauren. - Ktoś cicho zapukał do drzwi. - Twoi goście już przyszli - powiedziała łagodnie, niemal przepraszająco, pani Dawson.

- Zejdę na dół za minutkę - zapewniła Lauren i poczuła, że po policzku spływa jej łza. Odłożyła obrączkę i zamknęła szkatułkę. - Czy Adam już jest?

- Tak. Przyjechał kilka minut temu.

Lauren otarła policzek. Adam nie może zobaczyć narzeczonej we łzach. Nie dzisiaj. W ten dzień należy się cieszyć, a nie smucić. Dość będzie czasu na płacz, kiedy ukochany zaraz po ślubie wyjedzie na Północno-Zachodnie Terytoria. Wbrew temu, co sobie postanowiła, następna łza spłynęła jej po policzku.

Po ślubie mieli pojechać razem najpierw do Fortu McLeod. Lauren ze śmiechem mówiła ojcu, że będzie kobietą-pionierem, a on przekomarzał się z nią, że Adam powinien się uzbroić w mnóstwo cierpliwości. A potem inspektora Butlera powalił wylew. Przyszedł lekarz, potrząsnął głową i powiedział, że ojciec już nigdy się nie obudzi.

- Lauren - przynaglał ją głos ciotki - Adam chciałby przed uroczystością porozmawiać z tobą w cztery oczy. - Ciotka Matylda odrobinę uchyliła drzwi. - Ale wiesz, że to przynosi pecha, jeżeli pan młody zobaczy pannę młodą przed ślubem.

- Myślę, że spotkały nas już wszystkie pechowe wydarzenia, które nam przypadały w udziale, ciociu Matyldo - odparła Lauren, zerkając w lustro i ocierając ostatnie ślady łez. Żałowała bardzo, że nie może również usunąć ciemnych kręgów spod oczu.

Odwróciła się raz jeszcze w stronę łóżka.

- Przyjdę znowu niedługo, ojcze. Ciocia Matylda posiedzi z tobą, dopóki nie wrócę.

Zagryzła wargę, żeby powstrzymać łkanie. Potem okręciła się, aż jej spódnica zafurkotała, chwyciła za klamkę i otworzyła drzwi.

- Wyglądasz ślicznie, moja droga - uśmiechnęła się ciotka Matylda; stała przygarbiona i opierała się na laseczce. - Do twarzy ci w niebieskim.

- Ojciec też tak uważał i dlatego zamówił tę suknię.

Spojrzenie ciotki Matyldy przemknęło w stronę stojącego w sąsiednim pokoju łóżka, jej ciemne oczy się zamgliły.

- Żałuję, że nie mogę ci bardziej pomóc. W końcu to mój brat. Masz przed sobą całe życie.

- Wiem, że robi ciocia wszystko, co może. - Lauren położyła dłoń na pochylonym ramieniu ciotki.

- Mogę dać ci kilka chwil z twoim młodym człowiekiem - pomarszczona dłoń chwyciła ją za rękę - chociaż będzie to tylko kilka krótkich chwil.

Lauren znowu zaczęło ścisnąć w gardle. Przełknęła.

- Nie mówmy o tym, co mogłoby być, ciociu. Cieszymy się dzisiejszym dniem.

- Cofnij się i pozwól, żebym ci się przyjrzała. - Lauren zrobiła krok w tył i Matylda się uśmiechnęła. - Wykapana matka. Ona też ubierała się na niebiesko. Wiedziałaś o tym?

- Ojciec mi mówił. Pewnie dlatego podobała mu się ta suknia. - Uniosła lekko spódnicę i rozłożyła ją szerzej.

- Śliczna była jak obrazek, kiedy szła nawą w kościele. - Matylda potrząsnęła głową. - A jemu tak bardzo jej brakowało.

Lauren zaczęło zbierać się na płacz.

- Nie powinno mi to zająć dłużej niż godzinę. Adam musi wyjechać, zanim się ściemni.

Ciotka Matylda utkwiała wzrok w jej twarzy.

- Przeżyłaś wiele ciężkich chwil, dziecko, i wyrosłaś na śliczną kobietę. Ten trudny okres też przetrwasz. Kiedy

dzień się skończy, Adam będzie już stał przy tobie, jeżeli nawet nie ciałem, to duchem na pewno.

Lauren rzuciła przelotne spojrzenie na ojca, który leżał nieruchomy i spokojny, a potem szybko odwróciła się i ruszyła w kierunku schodów.

Adam, w swoim szkarłatnym paradnym mundurze, czekał u stóp schodów. Ramiona skrzyżował na słupku poręczy i przyglądał się narzeczonej z tajonym żarem, od którego krew napływała jej do twarzy. Jasne włosy układały mu się przykładnie w pasma i Lauren aż kusiło, by przesunąć palcami po gładkich falach; to marzenie już wielokrotnie nie dawało jej spokoju. Kapelusz kowbojski, stetson, kołysał się na palcu Adama.

Nie spuszczała oczu z twarzy narzeczonego, dopóki nie znalazła się o jeden stopień nad nim.

- Ciocia mówiła, że chcesz się ze mną zobaczyć.

- Jesteś piękna - powiedział, a oczy złagodniały mu i nieco posmutniały; Lauren serce zaczęło tłuc się w piersi. Adam zerknął na swoje buty, potem podniósł wzrok na twarz narzeczonej. W myślach Lauren zakiełkowało ukradkowe podejrzenie, że może pisany jej pech jeszcze się nie skończył. - Wejdzmy tutaj. - Odstąpił o krok i pchnął drzwi do biblioteki. Lauren weszła za nim do pokoiku, w którym pachniało dymem fajkowym i skórą. Adam zamknął drzwi.

- Stało się coś złego, prawda? - Odwróciła się twarzą do narzeczonego i starała przygotować na przyniesione przez niego, na pewno niedobre, wieści.

- Skierowano mnie w inne miejsce.

- Nie jedziesz do Fortu McLeod?

Adam powoli potrząsnął głową.

- Nie. Wysyłają mnie dalej na północ. Na północ od Edmonton. Do miejsca o nazwie Fort Saskatchewan.

Lauren przełknęła.

- Czy tam jest jakiś fort?

- Tak, ale małe. Spodziewam się jednak, że wyślą mnie jeszcze dalej na północ, na terytorium Jukonu. Będę tam mu-

siał sam sobie wybudować chatę - dodał jeszcze. Nie powiedział: „Będziemy tam musieli sami wybudować sobie chatę”. Złe przeczucia Lauren się pogłębiły. - Sądzę, że powinniśmy odłożyć ślub na później.

Narieczona wpatrywała się w niego osłupiała.

- Ale goście się już zeszli - zaprotestowała, a potem sama zdziwiła się, jak mogła powiedzieć coś tak głupiego. - Dlaczego?

Adam zakręcił kapeluszem, a potem powoli, niespiesznie, jakby z namysłem, odłożył go na biurko jej ojca.

- Tam, gdzie jadę, życie jest ciężkie, Lauren. Trudne. I nie ma żadnych udogodnień.

Lauren postąpiła krok w jego stronę. Czuła się tak, jakby pod jej stopami otwierała się otchłań, jakby cały świat miał rozstać się i ją pochłonać.

- Nie dbam to. Dopóki będę z tobą.

- Ale nie będziesz ze mną, Lauren. A przynajmniej nieprędko. A przez ten czas wiele się może wydarzyć.

Lekarz mówił, że ojciec pożyje tylko kilka dni. Ale żył już kilka tygodni, a jego stan ani się nie poprawiał, ani nie pogarszał. Może będzie miesiącami siedziała u jego boku. A może tylko godzinami. Cała jej przyszłość zależała od tego, jak szybko ojciec umrze. Na samą myśl poczuła taką grozę, że aż ją ścisnęło w żołądku.

- To niezamieszkała, nieustabilizowana kraina, Lauren. Indianie Kri widzieli niewielu białych ludzi, z których większość to handlarze whiskey. Klimat jest tam surowy, a sąsiedzi oddaleni będą o setki mil. Nie takie życie ci obiecywałem, kiedy się oświadczałem o twoją rękę.

- A ja prosiłam cię o jedną tylko obietnicę, Adamie. Ze będziesz mnie kochał.

- Wiesz, że tej obietnicy dotrzymałem - zapewnił ją pośpiesznie. - Ale zasługujesz na więcej. Jeżeli pobierzemy się dzisiaj... możesz zostać wdową, zanim... zanim naprawdę zostaniesz żoną. - Planowali, że Adam wyjedzie natychmiast po ceremonii, nie spędzając z Lauren nocy poślubnej, by nie ryzykować, że spłodzi dziecko.

- To po prostu nerwy tuż przed ceremonią, kochany - powiedziała Lauren i uniosła rękę, by pogładzić Adama po policzku. Miała nadzieję, że rozproszy wątpliwości narzeczonego, chociaż wiedziała, że w jego słowach kryje się surowa prawda. Podeszła bliżej, by go objąć w pasie i przytulić mu policzek do piersi. - Zawsze pragnęłam zostać twoją żoną, Adamie. Wiem, jaki jest los żony policjanta. Wiem, jakiego poświęcenia się od kogoś takiego wymaga. - Uniosła głowę, by zająrzeć w jego brązowe oczy. Ale ciało narzeczonego nie poddawało się pieszczotom. Trzymał się sztywno wyprostowany, jakby stał w szyku w postawie zasadniczej na placu apelowym. - To jeszcze nie wszystko, prawda?

- Nie mam prawa cię ze sobą wiązać. - Spojrzał znowu na swoje lśniące, wypolerowane przed ślubną ceremonią buty. - Może znajdziesz sobie kogoś innego, zanim wrócę. - Podniósł wzrok i popatrzył jej w oczy. - Nie mam prawa oczekiwać, że dotrzymasz przysięgi, złożonej mężowi, oddalonemu o tysiąc mil od ciebie.

- Adam, to śmieszne. Kochałabym cię, nawet gdybyś był o dwa tysiące mil ode mnie. O trzy tysiące. Nie chcę nikogo innego. Nigdy nie będę chciała nikogo innego.

- Nie proszę cię, byś zerwała zaręczyny - przerwał. - Tylko żebyś odłożyła ślub do czasu... dopóki sprawy się bardziej nie ustabilizują.

- Chcesz powiedzieć, dopóki ojciec nie umrze. - Lauren podeszła do okna i wpatrywała się w pusty plac apelowy.

- Wiesz, że nigdy nie pragnąłbym jego śmierci. Ja również kocham twego ojca. - Podeszedł bliżej i stanął za jej plecami. Wyczuwała jego obecność i pragnęła odwrócić się i chwycić go w objęcia. Odsuwał się od niej coraz dalej; jakaś cząstka Lauren zaczęła złorzeczyć okolicznościom, które nie pozwalały im się połączyć.

- Gdybyśmy mieli... począć dziecko. Tam nie będzie żadnych lekarzy. Żadnych akuszerok.

Wtedy Lauren odwróciła się i objęła go, zanim zdążył zaprotestować, zanim zdążył się cofnąć czy odgrodzić znowu

tym murem, który nagle wyrósł między nimi. Miała tylko kilka sekund, żeby go przekonać, tylko kilka chwil, by uratować swoją przyszłość.

- Kobiety przez całe wieki rodziły dzieci bez pomocy lekarzy. Jesteśmy oboje zdrowi. Ja jestem zdrowa. Nie boję się, dlaczego więc ty się boisz? - Podniosła oczy, ale jej słowa w najmniejszym stopniu nie zmieniły zdania narzeczonego.

- Myślę, że lepiej byłoby, gdybyśmy poczekali.

I w tym momencie Lauren zrozumiała, że nie uda jej się Adama przekonać. W życiu nie spotkała bardziej honorowego człowieka niż Adam McPhail, ale teraz przeklinała tę jego szlachetność i żałowała, że nie jest łajdakiem, który w ciepłą wiosenną noc wykorzystałby jej niewinność na przednim siedzeniu powozu. Przynajmniej tę małą cząstkę ukochanego mogłaby na zawsze zachować dla siebie.

- Przepraszę gości w naszym imieniu. - Objął Lauren, a jego dotknięcie paliło jak ogień przez cienki materiał sukni. Ślubnej sukni. - Wyjaśnię, jakie powody każą nam poczekać. Nie będziesz się musiała przed nimi tłumaczyć.

Proponował jej godne tchórza wyjście z sytuacji, a ona z niego skwapliwie skorzystała. Była tak bardzo zmęczona i tak jej było przykro, że nie czuła się na siłach, by dłużej przekonywać narzeczonego czy wyszperać skądś choćby jedną jeszcze uncję odwagi. Pocałował ją jeszcze raz. Lauren zamknęła oczy i skupiła się na tym, jak miękkie Adam ma wargi, jak mocno ją tuli, jak pachnie jego skóra. Wszystkie te wrażenia ukryła głęboko w sercu.

- Będziesz do mnie pisał? - zapytała, kiedy oderwał usta od jej warg.

- Codziennie, a listy przyniosą ci przelatujące chmury.

Lauren uśmiechnęła się, chociaż czuła narastający w piersiach ból.

- Od czasu do czasu zadowolę się zwykłą pocztą.

Adam odsunął loczek z czoła narzeczonej.

- Kocham cię, Lauren. Jesteś jedyną kobietą, jaką kiedykolwiek kochałem czy kiedykolwiek pokocham. Wkrótce bę-

dziemy razem. Przysięgam. Chcę tylko dla ciebie tego, co najlepsze. - Przymknął oczy i musnął jej wargi pocałunkiem.

- Tego, co dla mnie najlepsze. - Łkanie ścisnęło gardło dziewczyny; wydobył się z niego dziwny, zduszony dźwięk. - Kiedy musisz wyjechać?

Adam uśmiechnął się i przesunął w kierunku drzwi.

- Myślę, że najlepiej będzie, jeżeli odejdę od razu.

- Przyślesz po mnie niedługo?

- Tak, niedługo.

I już go nie było. Lauren usiadła na postrzępionym podnóżku, błękitna suknia rozpostarła się wokół niej. Dziewczyna wtuliła w nią twarz i zalała się łzami.

1

Edmonton, Terytoria Północno-Zachodnie
Marzec, 1896

Zimna mgła kłębiła się i wirowała wokół wysokiego mężczyzny, pozbawione twarzy widma krążyły, szydząc i obmacując go wilgotnymi, lodowatymi palcami. Inspektor Adam McPhail poprawił na ramionach płaszcz z bawolej skóry i zacisnął go szczelniej pod szyją. Gruby koc mgły, która napłynęła z nad rzeki Saskatchewan, spowijał i przygaszał dalekie światła Edmonton. Ciemności przeszył przenikliwy gwizd. Przyjechał pociąg... i ona.

Trwoga chwyciła inspektora za gardło, ogarnęło go poczucie niepewności. Ściągnął konia i rozkołysany cwał zmienił się w stępa. Żołądek kurczył się Adamowi od sprzecznych emocji, które przepełniały go od momentu, kiedy otrzymał jej list. Jaka okaże się Lauren po tych dwóch latach? Dwa lata, pomyślał z poczuciem winy, wciskając brodę głębiej w futro. Serce biło mu szybciej, ale nie potrafił powiedzieć, czy z pożądania, czy z gniewu. Napisał jej, że ma nie przyjeżdżać. Właściwie nawet zabronił.

Następny gwizd przeszył wszechobecny mrok i Adam poprawił się w siodle. Zamierzał dotrzymać złożonej Lauren obietnicy, ale wcześniej złożył też inne przyrzeczenie - przyrzekał wiernie i sumiennie służyć w kanadyjskiej Północno-Zachodniej Policji Konnej. I służył, na otwartej prerii i wysokich szczytach Terytoriów. Tam, na odludziu, poznał własną wartość i nauczył się akceptować siebie takim, jakim był. Czy wciąż jest

tym samym mężczyzną, który pokochał Lauren Butler? Czy jest tym samym mężczyzną, który zostawił narzeczoną zapłakaną w ślubnej sukni, wiedząc, że czekają ją ciężkie chwile, a podtrzymywać ją miała tylko złożona przez niego obietnica? Nie, wcale nie był tym samym mężczyzną. A ona prawdopodobnie nie była też tą samą kobietą.

Jake, koń Adama, przystanął i inspektor gwałtownie wrócił do rzeczywistości. Znajdowali się na skraju fortu Edmonton, przed stajniami do wynajęcia. Kiedy jeździec nie zsiadł, Jake się obejrzał na niego.

- Dobrze, już dobrze. Wiem, że jesteś głodny. - Adam skrzywił się, dotknawszy stopami ziemi. O świcie ruszył w pościg za dwoma handlarzami whiskey i jechał za nimi po nierównym terenie przez wiele mil. Siedział w siodle cały dzień, a teraz i jego, i Jake'a bolał grzbiet.

Wprowadził konia do budynku i wciągnął w nozdrza ciepły koński zapach, który pokochał. Stimpy spał skulony na krześle, opartym o słup centralny. Szpary wokół drzwiczek maleńkiego, brzuchatego piecyka jarzyły się pomarańczowo.

- Obudźcie się, Stimpy. - Adam kopnął w nogę krzesła i mały człowieczek się ocknął.

- Inspektor McPhail.

- Zakwaterujcie Jake'a na noc, dobrze? Wytrzyjcie go i nakarmcie. Zabiorę go rano. - Klepnął Jake'a po zwieszonym łbie na pożegnanie i odwrócił się do drzwi. - A, jeszcze jedno. Będzie mi potrzebny gdzieś w godzinę po wschodzie słońca drugi koń, pod siodłem i gotowy do drogi.

Stimpy kiwnął głową i strzyknął strumieniem tytoniowego soku. Chwycił wodze i cmoknął na wałacha wolną stroną ust. Krzywe nogi Stimpy'ego i szeroki zad Jake'a, kołysząc się, zniknęły w głębi ciepłej stajni.

Adam chwycił wiszącą przy drzwiach latarnię i wyszedł na chłód. Idąc po chodniku z desek w stronę przystani promowej, zwolnił kroku. Kilka pierwszych miesięcy bez Lauren nie było łatwe; próbował pisać codziennie, wypełniając listy bieżącymi ciekawostkami. Czas powoli mijał i wkrótce

Adam przystosował się do swojej pracy i zaczął w niej celować. Nabrał pewności siebie i awansował. Z każdą promocją przenosił się na inną placówkę. Mając niekiedy za całe wyposażenie mundur i konia, ścigał nieustępliwie handlarzy whiskey, rozstrzygał spory tubylców, wymierzał przygraniczną sprawiedliwość. Posterunkowy Adam McPhail zmienił się w inspektora McPhail i czasu na pisanie listów zaczęło brakować.

Dotarł do przystani promowej i zatrzymał się. Prom cumował po drugiej stronie rzeki, musi poczekać. Wyszarpnął z bobrowych rękawic ręce, potarł je o szorstkie futro płaszcza i zaczął spacerować tam i z powrotem, snując wspomnienia.

Minęło jeszcze kilka miesięcy i inspektor całą energię poświęcał na to, by się utrzymać przy życiu. Wizerunek Lauren zbłąkał w jego pamięci i zmienił się w serdeczny cień. I tak się sprawy miały, dopóki list narzeczonej nie odnalazł go w Forcie Saskatchewan. Napisała mu, że przyjeżdża - przyjeżdża, by dotrzymał obietnicy, jaką wyjeżdżając złożył. Przyjeżdża, by zostać jego żoną. Nie uciekała się do żadnych wyjaśnień ani błagań. Pisała krótko i zwięźle.

Przywiązane do słupów na brzegu liny promu napięły się i zaskrzypiały. Adamowi serce załomotało w piersiach. Jaka okaże się po tak długim czasie jego narzeczonej? Pot mu wystąpił na górną wargę. Kochał Lauren, nie dało się temu zaprzeczyć. Ale nie było dla niej miejsca tu, gdzie lodowate wiatry w jednej chwili potrafiły człowieka pozbawić tchu i duszy. Gdzie kobiety przedwcześnie się starzały i grzebały swe niemowlęta w zimnej ziemi.

Wpatrywał się w mglisty opar i równocześnie starał się w głębi serca odnaleźć czający się tam gniew. Tylko ten gniew da mu dość siły, by odesłać ją z powrotem do domu, jeżeli uda się go rozdmuchać tak, by buchnął płomieniem. Na początku ich miłość płonęła żywym ogniem - podniecającym, niebezpiecznym, wszechpochłaniającym. Teraz tliła się nieustępliwie na dnie jego serca jak przykryty popiołem żar i rozgrzewała Adama od wewnątrz. Czy uda mu się opa-

nować ten tłący się pożar, czy też zacznie on, hucząc, buzo-
wać i pochłonie ich oboje?

Snująca się tuż nad ziemią gęsta mgła oplatała w kostkach
nogi Lauren, kiedy dziewczyna, ślizgając się, schodziła po
skarpie nad rzekę Saskatchewan. Za jej plecami lokomotywa
po raz ostatni parsknęła parą. Przed sobą Lauren nie widzia-
ła nic oprócz pasem mgły, oświetlonych nikłym gazowym
światłem. *Nie przyjechał*. Nikt nie podszedł do niej we mgle;
nikt nie czekał na peronie z szorstkich desek, kiedy pociąg
wtoczył się na stację. Czy coś go zatrzymało?

Przeklinając własny upór, przycisnęła dłońią główkę ka-
pelusza i łodyga sztucznej róży ukłuła ją w palec. Przystąpi-
ła z nogi na nogę, zacisnęła mocniej dłoń na walizce i zanu-
rzyła się w nieoświetloną, gęstą ciemność przed sobą. Gdzieś
w dole, pod stromą skarpą, czekał prom, który miał zabrać
ją na drugą stronę rzeki, do Edmonton. Wynajmie tam so-
bie pokój na noc, a rano pojedzie do Fortu Saskatchewan.
Potem załatwi sprawy z Adamem - wóz albo przewóz.

Jej wysokie do kostek trzewiki zapadały się w błoto, kie-
dy na oślepie stąpała po stromej ścieżce; potem w ciemnościach
zajaśniały dwa żółte kręgi światła. Lauren wstąpiła na płaski
prom, a przygarbiona, pochylająca się nad poręczą postać wy-
prostowała się. Przewoźnik niemal na nią nie spojrział, tylko
powłócząc nogami przeszedł na drugi koniec promu i zaczął
odwiązywać cumy. Pociągnął za liny i tratwa zakołysała się,
wszedłszy w nurt rzeki.

Lauren chwyciła za poręcz i wystawiła twarz na wilgotny
wiatr, smagający jej policzki pasemkami włosów. Jaki okaże
się Adam po tak długim czasie? Czy się zmienił? Czy wciąż
jeszcze ją kocha? Tysiące pytań kłębiło się w jej głowie. Czy
będzie zły, że przyjechała wbrew jego życzeniom, czy może
ucieszy się, że ją widzi? Drobne punkciki światła przybliżyły
się, aż wreszcie kil zgrzytnął o dno i prom spoczął na brze-
gu. Sięgnęła do torebki po pieniądze, ale stary potrząsnął gło-
wą, splunął w wodę i wziął się za przywiązywanie liny. Lau-

ren uniosła rąbek spódnicy i wyszła na ład. Badawczo zadrżała w ciemność i zauważyła, że zmierza ku niej jakaś niewyraźna postać. Ten ktoś trzymał zapaloną latarnię wysoko nad głową, rozproszone we mgle światło otaczało go aureolą. Jeszcze chwila i z mroku wynurzył się Adam McPhail.

Z jego szerokich ramion zwiślał gruby, futrzany płaszcz; w miejscu, gdzie się rozchyłał, widać było pod spodem kawałeczek szkarłatnej kurtki. Popielatoniebieskie spodnie opinały szczupłe nogi i znikały w zabłoconych, czarnych wysokich butach. Wychudłą twarz ocieniał stetson, na pełne wargi opadały jasne wąsy.

- Adam. - Lauren stanęła jak wryta, serce jej łomotało, w uszach szumiało. Prawie nie przypominał mężczyzny, który tamtego ostatniego dnia uśmiechał się do niej, stojąc u stóp schodów. Jego gładkie niegdyś policzki były teraz zapadnięte, skóra szorstka od niepogody i pokryta niezgolonym zarostem.

- Pisałem ci, żebyś nie przyjeżdżała. - Głos miał ochrypły jak u człowieka, który zbyt długo przebywał na chłodzie. Słowa były chropowate, nie łagodziła ich żadna nutka współczucia, brzmiały jak rozkaz dowódcy przywykłego do wydawania rozkazów. Podszedł jeszcze o krok bliżej i Lauren nagle się rozgniewała. Rozgniewała się na niego. Rozgniewała się na los.

- Jestem twoją narzeczoną. - Odchyliła głowę do tyłu i wpatrzyła mu się twarz.

Przyglądał się jej bacznie, rysy miał twarde, rzeźbione. Lauren zacisnęła razem okryte rękawiczkami dłonie, by powstrzymać się i nie pogłodzić go po policzku.

Adamowi szczęki chodziły pod opaloną skórą. Lauren z zapiętym tchem czekała na jego słowa. Praca w policji jest najważniejsza. Tego nauczyła się jeszcze jako dziecko, będąc córką Konnego.

- Nie ma tu dla ciebie miejsca. - Odepchnął kapelusz na tył głowy i zmierzył ją ciemnymi oczami. Pasemko włosów przylepiło mu się do czoła i Lauren wyobraziła sobie, jak unosi dłoń, by przyglądać jej palcami.

- Moje miejsce było najpierw przy ojcu, a teraz przy tobie.

Wpatrywał się w nią przenikliwie, ale nie potrafiła zgadnąć, co kryje się za tym pełnym rezerwy spojrzeniem. Czy cieszy się, że ją widzi? Czy jest zły? Nie, nie przypominał Adama, którego pamiętała, ale żołądek podszedł jej do gardła, kiedy, nie spuszczać z niej wzroku, zbliżył się o krok. I nagle przyciągnął ją do piersi, a szorstki materiał podrapał jej policzek.

Odetchnęła głęboko mieszaniną zapachów: wilgotnej wełny, dymu z drewna i świeżego powietrza. Zniknął pamiętny aromat wawrzynowej wody kolońskiej i drożdżowa woń świeżo nakrochmalonego prania. Ręce Lauren z własnej woli wsunęły się pod płaszcz i objęły Adama w pasie. Zauważyła nawet przez ubrania, jaki zrobił się twardy i muskularny - i o ile chudszy. Dużo chudszy.

- Odjedziesz jutro pierwszym pociągiem. - Głos mu się załamał. Urwał i odchrząknął.

Słowa były szorstkie, ale ton łagodny, jakby bezbronny. Na tę słabość w głosie narzeczonego serce Lauren zamarło z tęsknoty za mężczyzną, którego pamiętała, a który porwałby ją w ramiona.

- Obiecałeś mi ślub i przyjechałam, by otrzymać to, co mi się należy.

Ręka Adama przesunęła się po plecach Lauren powoli w górę na kark, pod jego dotykiem ciało zaczęło ją palić. Pochylił nieco głowę, tyle tylko by ich policzki lekko się zetknęły.

Lauren przymknęła oczy pod lawiną marzeń, przed którymi tak długo się broniła. Nie będzie sięgała myślami w przyszłość, obiecywała sobie po raz tysięczny. Od chwili, kiedy wyzwoliła ją śmierć ojca, nie przestawała powtarzać, że dopnie swego i że ich małżeństwo będzie udane. Jakoś przekona Adama, że są sobie przeznaczeni, że nie wolno im odrzucać tego, co zadekretował los.

- Brak mi ciebie było - wyszeptał, wtulając usta w jej włosy, które niemal stłumiły te łagodne słowa.

- Mnie też było ciebie brak. - *Jak bardzo było mi ciebie brak, kiedy nawet nie wiedziałam, czy w ogóle jeszcze żyjesz.*

Adam przymknął oczy i oparł się policzkiem o jej głowę. Niczym spływająca spod zimowej zasy wody, tak wyciekał z niego gniew. Walczył o to, by go w sobie zatrzymać, wywołując z pamięci wszystkie okropności, jakie widział. Ale udało mu się przywołać tylko wspomnienie twarzy Lauren, ciała Lauren, zapachu Lauren. Ścisnęło go w gardle. Jak mógł ją z taką łatwością zostawić? Przez grubą wełnę peleryny i kurtki wyczuwał kobiece kształty, pożądanie rozpałiło mu krew. 'Policzek rozgrzał się od ciepła narzeczonej. Nic ich nie powinno było rozdzielić. A jednak coś rozdzieliło. Odpowiedzialność. Jej w stosunku do ojca, jego - do Służby.

Oderwał się od Lauren i popatrzył na nią. Spoglądała mu badawczo w twarz, oczy jej błyszczały nadzieją. Nie był pewien, czy zdoła tej kobiecie dać to, czego chciała. Pragnęła domu, dzieci, bezpieczeństwa - wszystkiego, co z taką niefrasobliwością przyrzekał jej w Reginie, kiedy przyszłość łatwo było planować. Jak może prosić, by zносиła niebezpieczeństwa i trudy, którym musiał stawić czoło, skoro sama już przeszła przez tak wiele? Zwłaszcza teraz, kiedy trafił na listę Czarnego Angusa. Adam nie miał się nawet ochoty przyznawać, ile razy ten handlarz whiskey wymknął mu się przez ostatni miesiąc. Jednak, skoro nie udało się go schwytać, narażony na niebezpieczeństwo był nie tylko inspektor, ale i Lauren, od chwili kiedy tu przyjechała. Angusowi nie zrobi najmniejszej różnicy, czy zabije Konnego, czy też jego żonę.

- Chodź. Porozmawiamy o tym gdzieś, gdzie jest ciepło. - Delikatnie odsunął ją od siebie. - Pójdźmy lepiej do miasta. Zaczyna padać. - Podniósł bagaż narzeczonej, chwycił ją pod łokieć i poprowadził pod górę na główną ulicę Edmontona.

- Adam. Ty kulejesz. - Lauren zwolniła kroku.

McPhail przyglądał się kątem oka profilowi narzeczonej; jej niespodziewane słowa go zaskoczyły. Była równie piękna jak kiedyś, ale w bardziej dojrzały sposób. Kasztanowe włosy, które dawniej swobodnie wirowały wokół ramion, zaczesana teraz schludnie pod kapelusz. Niebieskie oczy spoglądały na niego spokojnie, podczas gdy kiedyś połyskiwały zalotnym śmiechem.

- Zwaliłem się rok temu paskudnie z konia.

Lauren zwolniła jeszcze bardziej i odwróciła się, mierząc go wzrokiem od stóp do głów.

- Byłeś ciężko ranny?

Potrząsnął głową.

- Tylko proste złamanie. Przez kilka miesięcy kuśtykałem. Lauren się zatrzymała.

- Złamałeś nogę i nie przysłałeś mi telegramu?

- Nie chciałem cię martwić. - Adam przystanął obok niej. - Lekarz powiedział, że zrośnie się bez problemów, a ty miałaś dość swoich kłopotów.

- To może i prawda, ale miałam też prawo się dowiedzieć.

Inspektorem targnęło poczucie winy, bo uświadomił sobie, że nawet przez myśl mu nie przeszło, by wysłać jej telegram. Wypadek boleśnie go doświadczył i w tym czasie właściwie wcale o narzeczonej nie pamiętał. Za bardzo cierpiał, by zastanawiać się nad czymkolwiek poza tym, kiedy ból wreszcie ustanie.

- Jak tam sprawy w Reginie? - zmienił temat, kiedy znowu ruszyli.

- Jak zwykle. Po śmierci ojca dużo było roboty.

Adam zwolnił kroku.

- Przykro mi, że umarł. Czy bardzo cierpiał?

Westchnienie Lauren ledwo dało się słyszeć.

- Nie, nie bardzo. Ale agonia była długa. Trudna. Zanim w końcu odszedł, zapadł w śpiączkę.

- Żałuję, że nie mogłem przy nim być.

Szedł dalej z opuszczoną głową, z rękami założonymi na plecy; często go w takiej pozie widywała.

- Ja też żałuję, że nie mogłem przyjechać.

Adam przystanął znowu.

- Lauren...

- Nie, Adamie. - Wyciągnęła rękę i przyłożyła mu dłoń do policzka; wystarczyło, że go dotknęła, a palce zaczęły ją mrowić. - Ja to rozumiem. Naprawdę rozumiem.

Słowa zabrzmiały głucho, jakby dochodziły z daleka, jakby

je wypowiadał ktoś obcy. Czy zdołałaby mu przekazać, jak bardzo pragnęła mieć go w tamtym okresie przy sobie, poczuć, że ją obejmuje ramieniem, kiedy słyszała, jak ziemia głucho stuka o wieko trumny? A przecież przekonanie, że Służba ciągnie mężczyznę z siłą, której nie sposób przewyciężyć, było znowu jednym z pewników w jej życiu, podobnie jak w dzieciństwie, kiedy razem z matką czekała na powroty ojca.

Adam chwycił przytuloną do swego policzka dłoń Lauren. Nawet przez bobrowe rękawice wyczuła bijącą od niego siłę i po kręgosłupie ukradkiem przebiegi jej dreszcz. Pod jarzącymi się, gazowymi latarniami cień od kapelusza zasłaniał mu pół twarzy, ale kiedy spojrzał narzeczonej prosto w oczy, aż dech jej zaparło, z takim natężeniem patrzył.

- McPhail!

Adam gwałtownie odwrócił głowę. Jakiś człowiek wolnym krokiem przechodził przez ulicę na ich stronę.

- Zechce pani wybaczyć. - Wysoki ciemnowłosy mężczyzna przystanął i skinął im głową, w jego słowach pobrzmiewał lekki szkocki akcent.

- Lauren, to jest inspektor Duncan McLeod.

McLeod uśmiechnął się powoli, spod ciemnych wąsów błysnęły białe zęby.

- Dobry wieczór, panno Butler. Mógłbym cię prosić na słówko, Adamie?

- Pozwól, że ulokuję Lauren w hotelu, i zaraz wracam do biura.

Duncan uśmiechnął się i zerknął na jedno, potem na drugie z nich.

- Jutro rano w zupełności wystarczy. Panno Butler - zwrócił się do Lauren - gdybym kiedykolwiek mógł czymś pani służyć, proszę mi powiedzieć. - Ukłonił jej się krótko i powoli odszedł.

- Czy to jeden z twoich ludzi? - zapytała Lauren, kiedy Adam pomagał jej wejść na wysoki chodnik przed hotelem „Edmonton”.

Adam się roześmiał.

- Duncan McLeod nie jest niczyją własnością, ale to prawda, że jeździ ze mną. A lepszego przyjaciela w całej Kanadzie nie znajdziesz. - Pchnął drzwi, zza których dmuchnęło na nich miłym ciepłem.

Hotelowy hol ogrzewał wesolutki, metalowy piec, w środku pachniało drewnem i skórą. Naprzeciw siebie stały dwie obite brokatem kanapki, a między nimi mały stolik. Przejrzyste firanki gęstymi fałdami zasłaniały okno, a pleciony dywan przykrywał drewnianą podłogę.

- Tom - zawołał Adam. Osłaniająca drzwi zasłona poruszyła się i wychynał zza niej jakiś mężczyzna.

- Pewnie chciałby pan swój klucz - skostatował, spoglądając sponad przycupniętych na nosie okularów.

- Tak. Potrzebny mi jest też pokój dla panny Butler.

Rozczarowanie uderzyło Lauren niczym obuchem, na jej policzki wystąpił rumieniec. Co ona sobie właściwie wyobrażała? Ze spędzą tę noc razem? Ze będzie leżała w jego ramionach, jak to sobie wymarzyła w ciągu wielu samotnych, beznadziejnie smutnych nocy?

Tom sięgnął za siebie, zdjął dwa klucze z gwoździa i przesunął je w ich stronę po ladzie, po czym odwrócił się i poczłapał znowu za kwiecistą zasłonę.

Kiedy wchodzili na górę, Lauren nie potrafiła przestać myśleć o dłoni Adama, której dotyk czuła na łokciu, oraz o tym, że schody są tak wąskie, iż oboje ocierają się intymnie o siebie biodrami. Dotarli do drzwi, na których widniała mosiężna tabliczka z wygrawerowaną dwójką. McPhail wsunął klucz w zamek i pchnął. Owionął ich zapach świeżo pranej bielizny. Adam zdjął szkiełko z lampy na małym stoliku przy drzwiach, potarł zapałkę i podpalił knot. Delikatne światło zalało skromny pokój. Jego środek zajmowało przykryte kolorową kapą łóżko z baldachimem na czterech słupkach. Ściany do połowy wysokości wyłożone były boazerią, resztę pokrywały kwieciste tapety. Pod ścianą stała umywalnia z miską i dzbanem, a spod spływającej z łóżka falbanki wyglądał nocnik. Dwa krzesła o prostych oparciach

tkwiły przed kominkiem, a na kamiennym palenisku leżał niewielki stosik drewna.

- Całkiem tu ślicznie - powiedziała Lauren, odwracając się, by zerknąć na Adama. Przyglądał jej się pełnym żaru spojrzeniem, aż zapragnęła wciągnąć go do pokoju i zatrzasnąć za nimi drzwi.

- Mój jest obok - powiedział, pokazując głową. - Pewnie będziesz chciała się od razu położyć.

- Nie. Najpierw chcę z tobą porozmawiać. Zobaczycie cię bez tego kapelusza i płaszcza. - Wzięła narzeczonego za rękę i wciągnęła za próg.

Przez moment obawiała się, że Adam wyrwie się i ucieknie. Jego ręka pod palcami Lauren zeszywniała, zerknął na drzwi, potem na nią.

- Chcę tylko z tobą porozmawiać, Adamie - zapewniła i zdjęła mu stetsona z głowy.

Inspektor przeciągnął ręką po rozwichrzonych, jasnych włosach. Dawny Adam McPhail nie dopuściłby, by włosy mu tak urosły.

- Muszę się ostrzyć.

- Ja cię ostrzyję.

Inspektorowi oczy lekko się rozszerzyły.

- Zawsze strzygłam ojca.

- Każę to zrobić fryzjerowi na posterunku.

Lauren przechyliła głowę na bok.

- W porządku. Jeżeli tak sobie życzysz.

Adam w milczeniu kiwnął głową, a serce Lauren się skurczyło: zaczynało się wkradać do niego poczucie lekkiej beznadziei. Gdzie podział się namiętny mężczyzna, który na kolanach prosił ją o rękę? Mężczyzna, który polerował każdy guzik - i to dwa razy - i do połysku czyścił buty z każdej plamki? Ta dzika kraina otworzyła swoją paszczę i pochłonęła go całego.

McPhail zerknął na swoje buty.

- Wybacz, że jestem taki brudny. Byłem przez kilka dni na patrolu.

- Nic nie szkodzi.

Nie odezwał się już ani słowem. Milczenie zaczęło robić się przykre.

- To łóżko wspaniale wygląda. - Lauren postawiła torbę na kapie, potem nacisnęła na próbę materac. I natychmiast pożałowała swoich słów. Przemogła się i spojrzała znowu narzeczonemu w twarz; przypomniały jej się wilki, które przyglądały się pociągowi ze skraju lasu - ostrożne, niebezpieczne, tajemnicze.

- Przypuszczam, że łóżka w pociągu były twarde i wąskie? - Adam przesuwiał się w stronę drzwi, obracając w dłoniach kapelusz z szerokim rondem.

- Tak, to prawda.

- No to zacznij się rozpakowywać. Ja muszę się przejść do stajni i przynieść swoje rzeczy. - Położył dłoń na klamce. - Zobaczymy się jutro rano przy śniadaniu.

Otworzył drzwi, a kiedy w nich stanął, wypełnił sobą ich światło. Nie przypominała sobie, by był aż tak wysoki.

- Czy nie pocałujesz mnie na dobranoc? - zapytała, kiedy już miał się odwrócić.

Uśmiechnął się żywo, podszedł, pochylił się i pośpiesznie cmoknął ją w policzek. W Lauren krew zakipiała, chociaż wąsy łaskotały.

- Adam - powiedziała, kiedy znowu nerwowo umykał w stronę drzwi. - Ja cię wciąż kocham.

Adam przystanął i skoncentrował wzrok na jej twarzy.

- Ja też cię kocham.

- Dlaczego ty się mnie boisz, Adamie?

McPhail spuścił wzrok na dyndający mu na palcu kapelusz.

- Człowiek ma tu dużo czasu na myślenie. Dużo czasu w samotności. Niekiedy wyprawia to z nim dziwne rzeczy. Zmienia go. - Elokwencja, którą tak u niego podziwiała, zniknęła, zastąpiły ją krótkie, treściwe zdania. Przypuszczała, że tutaj taki sposób mówienia, z użyciem niewielu słów, lepiej działa. - Przyjdę więc po ciebie o siódmej?

Kiwnęła głową i już otwierała usta, by zadać następne py-

tanie, ale nie zdążyła, bo drzwi z cichym trzaskiem zamknęły się za Adamem.

Lauren opadła na łóżko. Nieśmiały? Od kiedy to Adam McPhail jest nieśmiały? Ale chyba takie właśnie robił wrażenie. A może był na nią zły, że postąpiła wbrew jego zaleceniom, że nie zastosowała się do listu, w którym zabraniał jej samej przyjeżdżać? A może chodziło o coś więcej? Może po tak długim czasie przestała mu być już potrzebna? Pozbyła się wątpliwości, potrząsając głową.

Zsunęła się z łóżka, wyciągnęła szpilkę z kapelusza i zdjęła go. Potem zrzuciła z ramion niebieski wełniany płaszcz i kurtkę i jednym szarpnięciem otworzyła walizkę. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyła, była cienka jedwabna koszulka, którą planowała założyć w noc poślubną. Biała, uszyta z delikatnego jak nić pajęczka jedwabiu, przy szyi zebrana w drobniutkie fałdki, opadające kaskadą do podłogi. Ramiona i karczek nakrapiane były różowymi i białymi pączkami różanymi. Lauren zgarnęła ją w dłonie i przytuliła policzek do gładkiego materiału. Przesunęła palcami po haftowanych różyczkach i pomyślała o długich, spędzonych nad tym strojem godzinach, o nocach, jakie minęły jej na szyciu, kiedy siedziała przy łożu ojca. Wyobrażała sobie siebie w tej koszuli, wyobrażała sobie twarz Adama, kiedy ją w niej zobaczy...

- O tym też nie będę myślała. - Wepchnęła strój z powrotem do walizy i zamiast niego wyjęła grubą flanelową koszulę. Od wielu już dni głowę miała nabitą myślami o chwili, kiedy zostaną z Adamem sam na sam, jak mąż z żoną; niepokoiła się tym i denerwowała. Tak trudno było im czekać przed ślubem. Tak trudno przebywać razem, a nie dotykać się, nie próbować. Ale oboje zgodzili się, że zaczekają. *To przecież tylko kilka tygodni.* Teraz słowa te przepełniała gorzka ironia.

Lauren zatarła ręce, bo zrobiło jej się nagle zimno. Ukłękła przy kominku, ułożyła trzaski, potarła zapałkę i przyglądała się, jak płomień pochłaniają najpierw podpałkę, potem polana. Na zewnątrz deszcz zaczął stukać o szyby. Jak jej się ułoży tutaj życie? Przypomniała sobie, co czytała w gazetach

na temat Północno-Zachodnich Terytoriów. Łamiący prawo, awanturniczy handlarze whiskey, których ofiarami padali Indianie; rozległe, dzikie pustkowia, tak gęsto porośnięte, że tylko najodważniejsi z mężczyzn się tam zapuszczali; długie, mroczne zimy, które doprowadzały ludzi do obłądu.

Odłożyła pogrzebacz, wyprostowała się i podeszła do stołu. Lampa pufnęła raz i zgasła, ogień napełniał pokój łagodną poświatą. Lauren wślizgnęła się między gładkie, chłodne prześcieradła, westchnęła i odwróciła się na bok. Strużka deszczu ściekała zygzakiem po szybie, podświetlona odbitym od ognia blaskiem. Lauren nie sądziła, że pierwszą noc spędzi tu na przyglądaniu się ginaącym kroplom deszczu. Prawdę mówiąc, udało jej się po drodze przekonać samą siebie, że Adamowi tak będzie zależało, by się z nią ożenić, iż na stacji pojawi się w towarzystwie pastora. To tyle, jeśli chodzi o marzenia.

Przekręciła się na bok i zapatrzyła w ogień, zafascynowana jego zmysłowym tańcem. No dobrze, Adam bez zapału podchodzi do roli pana młodego. Ale wciąż jest w niej zakochany. Tego była pewna. Ani przez chwilę nie wątpiła, że ją kocha. Musi się tylko przebić przez mur milczenia, który wznosił wokół siebie. Kiedy jej się to uda, odkryje może takiego Adama, jakiego jeszcze nie знаła. Chociaż powieki opadały ociężałe na oczy Lauren, podniecenie brzęczało w jej wnętrzu jak struna. Ponowne ubieganie się o Adama McPhail, z dala od znajomych oczu i na obcym terytorium, może okazać się przyjemnością, jakiej nie oczekiwała.

2

Adam zamknął za sobą drzwi do hotelu i wystawił twarz na zacinający, kłujący deszcz, pragnąc, by chłodne krople spłukały żar, który palił mu policzki. Trudna, wymagająca zdyscyplinowania działalność i stałe zagrożenie pozwoliły spychać myśli o Lauren na samo dno umysłu - dopóki nie dostał jej listu. A wtedy wypuścił te myśli spod klucza i pozwolił sobie na wspomnienia o narzeczonej - jak pachniała, jaką miękką i gładką miała skórę.

Oparł się ramieniem o słup na chodniku i, zmęczony po całym dniu pracy, przygarbił się nieco pod własnym ciężarem. Powinien pójść i dowiedzieć się, czego chce Duncan. Może szybki spacer w zimnym deszczu uśmierzy ból w duszy i lędźwiach. Pozapinał płaszcz, wyszedł na ulewę i, rozpryskując kałuże, skierował się w stronę niskich koszar oddziału edmontońskiego.

Duncan osunął się nisko w fotelu przy biurku, nogi oparł na blacie, głowę odchylił do tyłu i z cicha pochrapywał. Brzuchaty piecyk ogrzewał zbudowane z bali pomieszczenie. Za plecami McLeoda samotny więzień spał na boku w małej zakratowanej celi.

Adam uśmiechnął się i wziął kawałeczek papieru z zagraconego blatu. Cichutko oderwał rożek i przeciągnął nim po języku Duncana. Ten zakrztusił się i rozkaszał.

- McPhail? Próbujesz mnie udusić, czy co? - Nogi fotela stuknęły o podłogę. Duncan wziął kubek z kawą, wetknął do niej palec, by sprawdzić temperaturę, a potem podniósł go i napił się. - I co ty tutaj w ogóle robisz?

Adam przysiadł na rogu biurka.

- Pomyślałem, że dowiem się, czego chciałeś. Pomyślałem, że to może coś ważnego.

Duncan odchylił się na oparcie i splótł palce na brzuchu.

- A więc pomyślałeś, że będzie to ważniejsze niż ta śliczna kobieta, która na ciebie czeka?

Adam poczuł, że rumieniec oblewa mu twarz.

- Pomyślałem tylko, że może trzeba będzie zająć się tym przed świtem.

- Zająć to się trzeba twoim rozumem, chłopcze. - Duncan pochylił się do przodu i postukał Adama po rondzie kapelusza. - Wody są wzburzone?

McPhail westchnął. Nie mógł dłużej ukrywać tego faktu przed człowiekiem, który tak dobrze go znał.

- Długo się nie widzieliśmy. Oboje się zmieniliśmy.

Śmiech Duncana przygasł; starszy mężczyzna potrząsnął ze smutkiem głową.

- Oddalenie nie zawsze wzmacnia uczucie, a życie na pograniczu jest ciężkie dla kobiet.

- Jak się ma żona Pierre'a? Nie widziałem się z nim przed wyjazdem z fonu wczoraj rano.

- Słowem się nie odezwała, od kiedy dziecko umarło. A Pierre, no cóż, on topi swoje smutki w pracy.

Adam przeszedł pod okno i zapatrzył się na błyskawice, które ognistymi łukami przelatywały po niebie.

- Lekarz miał już tylko kilka mil do przejechania.

- Nie możesz za to winić siebie, Adamie. Zrobiłeś, co w twojej mocy.

- Nie, nie winię siebie. Doktor Ferguson powiedział, że dziecko umarło jeszcze przed narodzeniem, ale tym samym uświadomił mi tylko, jakie niebezpieczeństwa wiążą się ze sprowadzeniem tutaj żony, z próbami założenia rodziny na Terytoriach.

- Zawsze ma się coś za coś. Jeżeli decydujesz się, by zostać na terenie pogranicza, to zamieniasz wygodę wschodu na wolność zachodu.

- Lauren nie powinna stawać przed takim wyborem. Zasługuje na coś lepszego.

- Może i zasługuje, ale czy czegoś lepszego chce?

Adam obejrzał się przez ramię.

- Mówi, że chce mnie.

Duncan przewrócił oczami.

- Och, czymże mogłeś zasłużyć sobie, by spadła na ciebie taka klątwa.

Adam się roześmiał.

- Któregoś dnia dopadnie cię jakaś kobieta, Duncanie, żebyś nie wiem jak szybko uciekał.

McLeod uśmiechnął się z ironią.

- Już mnie kiedyś dopadła. Zapomniałeś?

Uśmiech Adama zbladł, ustępując miejsca zażenowaniu.

- Przepraszam cię.

Duncan uniósł dłoń i machnięciem ręki skwitował przeprosiny. Potem przeciągnął się i znowu odchylił do tyłu tak, że fotel stanął na dwóch nogach.

- Nie widziałem Czarnego Angus w więzieniu, zakładam więc, że nie złapałeś łajdaka.

McPhail odwrócił się od okna.

- Nie, ale pięknie się za nim nalatałem. A można by sądzić, że w tak płaskim terenie jak ten trudno będzie ukryć dwóch ludzi i wóz pełen nielegalnej whiskey.

- Dla Czarnego Angus to nic trudnego. Wymykał się już wielu ludziom, niektórym bardziej nawet doświadczonym od ciebie, tak że znalazłeś się w dobrym towarzystwie. Czy zamierzasz powiedzieć jej o zagrożeniach? - Pokazał głową w kierunku hotelu.

Adamowi ze strachu zjeżyły się włoski na karku.

- Nie. Nie ma co martwić jej, dopóki tutaj jest.

- Dopóki tu jest?

- Odeślę ją z powrotem za kilka dni.

Duncan uniósł brew.

- A czy piękna panna o tym wie?

- Tak. Ale trzeba będzie jeszcze trochę perswazji, by zrozumiała, że mam rację.

- Nie znam na razie ślicznej panny Butler, chłopcze - tu

Duncan wyszczerzył zęby - ale rzekłbym, iż kobieta, której starczyło odwagi, by dla ciebie przejechać na drugi koniec Kanady, nie da się wbrew swojej woli wyprawić z powrotem, obojętne, czy będzie miała obrączkę na palcu, czy też nie.

Adam przesunął dłonią po skraju biurka.

- Griesbach powiada, że za kilka miesięcy niektórzy z nas zostaną przeniesieni. Może wylosuję takie miejsce, w które z czystym sumieniem będę ją mógł bezpiecznie zabrać.

Duncan potarł brodę.

- Doszły do mnie słuchy, że niektórych z nas może wysłać na północ na Yukon, żeby tam utrzymywali porządek.

- No to będzie musiała poczekać, aż wrócę.

Jego przyjaciel lekko się uśmiechnął.

- Niewiele wiesz o kobietach, chłopcze, prawda?

- Pewnie dlatego policja niechętnym okiem patrzy na małżeństwo.

- Pewnie tak. A jeżeli Angus postanowi zrealizować swoje groźby, żadne miejsce nie będzie bezpieczne.

Adam pokiwał głową.

- Czego wcześniej ode mnie chciałeś?

- A, tamto. Turner przywiózł wiadomość od patrolu, że na północy, w pobliżu jeziora Onion, zaczyna się następna operacja.

- Angus działa na coraz większą skalę. - Adam zacisnął za plecami pięści i poszedł popatrzeć na więźnia. - Jeszcze trochę i będzie sprowadzał whiskey przez granicę.

- Zdaniem paru traperów, którzy przyjechali z Musselshell, już to robi. A z Indianami Kri źle się przez to dzieje.

McPhail się odwrócił.

- Znalazł już punkt zaczepienia w rezerwacie?

- Z pewnością, a przynajmniej tak mówią - przytaknął Duncan.

- Pamiętasz, jak źle działało się tam w zeszłym roku, kiedy rezerwat zaopatrywali lokalni handlarze whiskey?

- Przykro było na to patrzeć. - Duncan ściągnął kapelusz i podrapał się po głowie. - Małe dzieciaki w łachmanach, mię-

sa w całym obozowisku nie uświadczysz, ojcowie zbyt pijani, by polować. W istocie, bardzo to było smutne.

- Powiniennem wracać. - Adam stanął przed biurkiem. - Zobaczymy się rano. Gdybym był ci potrzebny, to jestem w hotelu.

Duncan wyszczerzył zęby i skrzyżował ręce na piersiach.

- Niełatwe cię czeka zadanie, jeżeli chcesz wysłać córkę inspektora Butlera do Reginy wbrew jej woli. I jeżeli choć trochę ona przypomina ojca.

- To prawda, że inspektor Butler był mocny i uparty. Ale Lauren jest rozsądna. Posłucha mnie.

- Miej w swej opiece, dobry Panie Boże, nieświadome niczego niewiniątka - wymamrotał Duncan do pleców Adama, który już wychodził w burzliwą noc.

Klucz z cichym szcęknięciem przekręcił się w dziurce, drzwi się otworzyły i oczom Adama ukazał się zimny, pusty pokój. Inspektor zignorował stojącą na stole lampę, podszedł prosto do kominka i rozniecił ogień; wystarczyło mu słabe światło, które na pokój rzucały płomienie... oraz trzaskające na zewnątrz błyskawice.

Jego kwatery była taka sama jak pokój Lauren - tyle że Lauren była po drugiej stronie drzwi. Dzieliło go od niej zaledwie cienkie, drewniane przepierzenie. Chyba już zasnęła, dumął, przykucnąwszy przed ogniem. Może leży na boku, z ręką podłożoną pod policzek. Włosy ma pewnie rozpuszczone, rozsypane po poduszce niczym najwspanialsze nici brązowego jedwabiu. We śnie oddycha powoli, przykrycie wznosi się i opada regularnie, tuż nad dekoltem koszuli rysują się miękkie wypukłości piersi.

Wstał, usiłując siłą woli pozbyć się podniecenia, które te rozmyślenia obudziły w jego ciele, podniecenia nagłego i natarczywego. Podszedł do okna w nadziei, że obrazy zostawi za sobą, ale podążyły za nim niczym jego własny cień.

Od dawna już marzył o tym, że położy się obok niej, poczuje przez dzielące ich prześcieradła, jaka jest ciepła. Do-

tknie dłonią łagodnego wygięcia biodra, pod jego palcami bawełniana koszula bez oporów będzie przesuwająca się coraz wyżej, aż obnaży długie nogi Lauren. Kiedy odchyli przykrycie, zimne powietrze opłynie ciało ukochanej. Pojawi się na nim gęsia skórka i będzie sunęła w górę, na piersi, a on odsłoni je, rozpinając guziki. Delikatne wzgórczki wysuną się na zewnątrz, nie mogąc doczekać się jego pieścizot.

Skierował oczy na dzielące ich drzwi, nogi same poniosły go za spojrzeniem. Drzwi otworzyły się gładko i bezszelestnie. Lauren leżała na boku, tak jak ją sobie wyobrażał, dłoń podłożyła pod policzek. Ale przykrycie podciągnęła aż pod brodę. Zasłaniała ją całkowicie przed wzrokiem Adama. Widział tylko włosy. Miękkie niczym przędza o barwie kasztanów, udrapowane na poduszce. Wziął jedno pasemko w rękę, delikatne nitki przesypały mu się między palcami.

Chyba już całe wieki czekał na to, żeby jej dotknąć, popieścić ją. Były takie leniwe, letnie popołudnia, kiedy leżeli obok siebie w odosobnionym miejscu, zostawiwszy piknikowe jedzenie dla mrówek. Ubrani od stóp do głów dotykali się przez bawełnę i serżę i przyrzekali sobie, że na więcej zaczekają do chwili, kiedy będą się mogli połączyć z całym zapamiętaniem i bezgraniczną namiętnością. Szepciem opowiadali sobie o swoich fantazjach, piersi ich unosiły się gwałtownie od tłumionej żądz. Przyjdzie czas na nagrodę, zapewniali się nawzajem.

Adam ukląkł przy łóżku, jego twarz znalazła się na poziomie twarzy Lauren, serce mu się ścisnęło. Miałby jej kazać odjechać? Jak? Gdyby to zrobił, złamałby serce jej - i sobie również. Z drugiej strony, czy wolno mu wciągać ją w nieustanną walkę, jaką tutaj było życie, życie żony Konnego? Jakim prawem miałby wyrwać ją z pełnego spokoju świata, pozbawić ciepłego ognia i delikatnych płócien i rzucić na pastwę przejmująco zimnych dni i szorstkich samodziłów? Czy to, że ją kocha, daje mu prawo, by odebrać jej świat pełen komfortu, bezpieczeństwa? Na pewno pocznie, i to szybko, jeżeli jego kipiąca krew mogła o czymś świadczyć. A wte-

dy, ociążała i nieszczęśliwa, będzie chodziła po ciasnej chacie, pozbawionej miękkich dywanów i wszelkich wygod.

Powieki śpiącej uniosły się, musnęła dłonią jego czoło, odpychając do tyłu kapelusz. Sztywny stetson ze stuknięciem spadł na podłogę. Lauren spojrzała Adamowi prosto w oczy. Nie widać po niej było najmniejszego zdziwienia, prawie jakby czekała na to, by do niej przyszedł.

- Za wiele się martwisz, kochany - powiedziała, przyglądając mu włosy. - Nigdy nie uda mi się ciebie przekonać, jaka jestem mocna.

Jej pełne wyczucia słowa zaskoczyły Adama, ulotniła się obojętność, którą tak długo sobie narzucał i ćwiczył. Po uśmiechu Lauren poznał, że oczy musi mieć pełne miłości.

Smukła dłoń przesunęła się na tył głowy ukochanego; przyciągnęła go bliżej, ich wargi się zetknęły. Adam próbował natychmiast się cofnąć, ale Lauren tylko pogłębiła pocałunek. Wsunął dłonie pod przykrycie, poczuł, jak miękka, ciepła, flanelowa koszula przesuwana się po skórze narzeczonej. Zaprzagnął znaleźć się pod tymi przykryciami i prześcieradłami razem z nią, przytulić ją do siebie. Chciał, by powiedziała mu, by go przekonała, że tylko tego im obojgu trzeba. Na kilka sekund zaprzagnął zrzucić ciężar na nim odpowiedzialność i być dla niej mężem.

Lauren odrzuciła kołdrę, a on zaparł się kolaniem wewnątrz łuku, utworzonego przez jej ciało.

- Poleż ze mną - błagała, słowa były powolne i zmysłowe. - Chociaż przez kilka minut.

Wszelkie szlachetne postanowienia Adama wyparowały. Zrzucił z siebie kurtkę, położył się obok narzeczonej i przyciągnął ją do siebie. Nieskrępowane niczym wzgórki piersi przywarły łagodnie do jego torsu. Lauren uniosła się na łokciu, pochyliła nad nim i znowu przylgnęła wargami do jego ust. Patrząc na nią w górę poprzez zasłonę z brązowych włosów, Adam pomyślał, że go rozerwie, jeżeli nie będzie jej miał. Już, natychmiast. Po przysiędze ślubnej albo i bez.

- Lauren - wyszeptał, obejmując jej piersi dłońmi. Jedna

z rąk ześlizgnęła się niżej, pogładziła narzeczoną po żebrach. Taka była szczupła. Palce opadły w dolinkę talii i znowu się uniosły, przemieściły się po krągłym biodrze w dół i zamarły, bo dalej nie mógł już sięgnąć.

- Pragniesz mnie - powiedziała i przesunęła śmiało dłonią po jego torsie, po pasku i niżej.

Chwycił ją za rękę.

- Nie.

Uśmiechnęła się, jej oczy patrzyły łagodnie, wargi błagały o więcej pocałunków.

- Nie możesz mi w tym skłamać. Przestałam być chowanim pod kloszem niewiniątkiem, które, wyjeżdżając, zostawiłam w Reginie, Adamie. Zetknięcie ze śmiercią daje człowiekowi zupełnie nowy pogład na to, co jest ważne. Wiem, że chcesz się ze mną ożenić, niezależnie od tego, co mówią twoje usta. Kochasz mnie. Nigdy nie uda ci się mnie przekonać, że tak nie jest.

Adam wywinął się z jej objęć i poderwał z łóżka. Odstąpił o krok, ze wszystkich sił próbując się opanować i nie zwracać uwagi na jawne oznaki pożądania. W końcu nie pierwszy raz widziała go tak podnieconego i nie pierwszy raz go w taki sposób dotykała. Ale w tej chwili bliskość narzeczonej podkopywała w nim determinację, by kazać jej odjechać.

- Przecież sam wiesz, że nie odjadę. - Usiadła na rozburzonej pościeli, koszula zsunęła się z jednego ramienia. - Niezależnie od tego, co będziesz mówił. Jestem kobietą, która może decydować o sobie: nie muszę robić niczego, czego robić nie chcę.

Adam odwrócił głowę i przymknął oczy.

- Robię tylko to, co uważam dla ciebie za najlepsze.

- A skądże miałbyś wiedzieć, co jest dla mnie najlepsze?

Pytanie rozległo się tuż przy nim. Lauren wyplątała się z ciepłutkiego gniazdeka i niczym zjawa w bieli stanęła u jego boku. Spojrzenie jej było niepokojącą mieszaniną niewinności i wyrafinowania.

- Nie masz pojęcia, na jaką udrękę ojca musiałam patrzeć

i jak głęboko ból potrafi przeniknąć w głąb serca. Cierpienia już zaznałam, Adamie, teraz chcę szczęścia. Obiecałeś mi je.

- Dźgnęła go palcem w ramię. - Przyjechałam tu po to, co przyrzekł mi mężczyzna, który zawsze dotrzymywał słowa. Czyżbyś nie zamierzał wywiązywać się z przyrzeczeń?

Adam odwrócił się twarzą do niej.

- Nie - powiedział i zaczerpnął powietrza. - Kocham cię, Lauren. Nigdy nie złamałbym ci serca. Czy uda mi się kiedyś doprowadzić do tego, byś zrozumiała, że powinniśmy poczekać, aż się gdzieś osiedlę?

- Nie. - Lauren skrzyżowała ramiona na piersiach.

- W takim razie załatwię z pastorem, by nam pojutrze udzielił ślubu.

Ta nagła kapitulacja zaskoczyła ją i skonsternowała. Ale nie tak bardzo, jak brak wszelkiej emocji w spojrzeniu narzeczonego.

- Załatwisz?

- Czy potrzebujesz więcej czasu?

- Nie. Nie, przywiozłam wszystko ze sobą.

- W takim razie przyjdę po ciebie o siódmej i przy śniadaniu omówimy szczegóły.

Zanim zdążyła jego wypowiedź jakoś skomentować albo narzeczonego zatrzymać, okręcił się na pięcie, wyszedł przez łączące pokoje drzwi i zamknął je stanowczo za sobą. Zimne powietrze zawirowało wokół stóp Lauren. Pośpiesznie wróciła do łóżka i padła na plecy. Na suficie splatały się roztańczone cienie, a ona usiłowała zrozumieć nagłą kapitulację Adama.

Matka często mawiała, że Północno-Zachodnie Terytoria są kochanką ojca. Najpierw wyjechał na ponad rok, potem miesiącami nie było go w domu, a one nie miały żadnych albo prawie żadnych wiadomości. Czy Terytoria ukradły jej Adama? Czy ta rozległa dzika kraina zabrała więcej, niż miał do dania, i tej, która go kochała, zwróciła tylko pustą skorupę?

Błyskawica rozświetliła pokój i Lauren zauważyła swoją stojącą w nogach łóżka torebkę. Podniosła ją, otworzyła i wyciągnęła zwinięty kawałek papieru. Kartkę pokrywała znajo-

ma bazgranina. Edmund. Lekarz ojca. Lojalny przyjaciel przez ostatnie dwa lata. Wcisnął jej ten list w rękę, kiedy wsiadała do pociągu, i przykazał, by nie czytała go, dopóki nie odjedzie. Lauren schowała list do torebki i odkładała zapoznanie się z nim na później, bo wiedziała, co znajdzie w środku.

Najdroższa Lauren - tak zaczynał się napisany w pośpiechu tekst, który z trudem odcyfrowywała w przyćmionym, burzowym świetle.

Proszę, byś raz jeszcze się zastanowiła, zanim zdecydujesz się na to małżeństwo. Zastługujesz na coś lepszego, a ja mógłbym ci zapewnić i to, i jeszcze coś więcej, jeżeli zostałąbys moją żoną. Gdybym Ci kiedyś był potrzebny, wystarczy, że przyslesz telegram, a rozpocznę w Twoim imieniu procedurę rozwodową i bez chwili wahania do Ciebie przyjadę.

Twój

Edmund

Gardło jej się ścisnęło z bólu. Od dawna już wiedziała, że Edmund chce, by zostali czymś więcej niż przyjaciółmi, ale nigdy nie zdradził tego ani słowem, ani niestosownym zachowaniem. Lauren po prostu czuła, że tak jest. A teraz miała to na piśmie. Drogi Edmund. To on po śmierci ojca zajął się całą legalną stroną jego spraw i to on dopilnował, by z zyskiem sprzedali ojcowski interes. Ostrzegał ją również, że podróż może nie skończyć się tak, jak sobie wymarzyła. To on uprzedzał, że Adam może nie być już tym samym mężczyzną, którego znała i kochała. Zwrócił Lauren uwagę, że ci, którzy z narażeniem własnego życia ujarzmiali dzikie Terytoria, wracali odmienieni, i podał jej za przykład ojca.

Dłonie Lauren bezwładnie opadły na podołek. Lepiej niż ktokolwiek inny powinna zdawać sobie sprawę, że taka praca potrafi mężczyznę zmienić, utyskiwał Edmund. Kiedy ojciec zakończył czynną służbę i wrócił do Reginy, do końca życia zajmował się już pracą administracyjną w policji. To tam poznała Adama. Był młodym posterunkowym, podko-

mendnym ojca. Spodobała jej się u niego bystrość i uczciwość, ale ojciec przestrzegał ją, że Adama ciągnie na Zachód. Dla pułkownika Butlera była to poważna wada. Uświadomiła sobie teraz, że miał powody, by tak myśleć. Ojciec nieodwracalnie zmienił się po marszu z 1874 roku, kiedy to i ludzie, i konie wyczerpali swoje siły do cna. Edmund o tym jej również przypomniał.

Podniosła list i przeczytała go powtórnie. Edmund nigdy nie był natarczywy, nigdy nie nalegał, nieodmiennie przedstawiał sobą ideał dżentelmena. Nigdy nie próbował Lauren pocałować. Ale stał przy niej. Na pogrzebie, podczas odczytywania testamentu, na stacji, kiedy wyjeżdżała. Lauren starannie złożyła list i włożyła go znowu do torebki, z poczuciem winy chowając za podszewkę.

Punktualnie o siódmej rozległo się ostre stukanie do drzwi. Adam krótko pozdrowił narzeczoną i właściwie już bez słowa wyprowadził ją z hotelu. Ruszyli ulicą w stronę niewielkiej kawiarni. W jej oszklonych oknach wisiały muslinowe firanki, a spod drzwi dochodziły rozkoszne wonie. Zapachy ciepłego chleba, piekącego się mięsa i pasztecików mieszały się ze sobą tak apetycznie, że ślinka napływała do ust. Lauren poczuła ostry głód; aż osłabła. I dopiero wtedy przypomniała sobie, że nie jadła wczoraj kolacji.

Weszli do środka, kelnerka podeszła niespiesznie do ich stolika.

- Inspektor McPhail! Miło pana znowu widzieć. Co mogę podać? To co zwykle?

Kiedy Adam zdejmował kudłaty płaszcz, Lauren zwróciła uwagę, że goście odwracają się w jego kierunku, pochylają głowy i uśmiechają się na powitanie, i poczuła, że wzbiera w niej duma.

- Wezmę jajka i stek. I jeszcze trochę kartofli - powiedział Adam, obrzucając szybkim spojrzeniem jadłospis. - Sarah, to jest moja narzeczona, panna Lauren Butler.

Brwi kelnerki uniosły się do góry.

- Jest pan zaręczony? A niech mnie... Co pani podać, pan-no Butler?

- To samo. - Lauren oddała kelnerce jadłospis nieco poirytowana faktem, że Adam nie wspomniał o swoich zaręczynach komuś, kogo najwyraźniej często widywał. Poczuła ukłucie zazdrości i dobry humor, który hołubiła w sercu od momentu, kiedy się obudziła, ulotnił się bez reszty.

Kołysząc się w biodrach, kelnerka odeszła. Lauren zauważyła, że spojrzenie Adama biegło za nią przez chwilę, a potem omiotło cały zakład, lokalizując i odnotowując każdego z klientów.

- Czy zawsze jesteś na służbie?

Spojrzał na nią i zmarszczył brwi.

- Co?

- Zapytałam, czy zawsze jesteś na służbie?

- Tutaj opłaca się być uważnym. - Rozejrzał się znowu po sali i wrócił do niej wzrokiem. - Czy miałaś jakieś kłopoty ze sprzedażą interesu po ojcu?

Zmiana tematu była tak raptowna, że przez moment Lauren nie mogła znaleźć słów.

- Nie, sprzedawałam sklep kilka miesięcy temu. To było za duże obciążenie, skoro musiałam spędzać z ojcem każdą chwilę.

Dłoń Adama przesunęła się po stole i objęła palce Lauren, w której, wirując zawrotnie, zaczęła narastać nadzieja.

- Szczerze mi przykro, że nie mogłem przyjechać. Ale twój ojciec tak długo służył w policji, że zrozumiesz, jak trudno jest się wyrwać.

- Rozumiem, naprawdę cię rozumiem. - Serce Lauren załomotało gwałtownie, bo Adam pogładził ją po dłoni, a ich palce się splotyły. - Po prostu za tobą tęskniłam.

- Trwało to niemal miesiąc, zanim dostałem wiadomość. - Adam odchylił się do tyłu, kiedy kelnerka stawiała talerz przed nim, a potem podsuwała jedzenie Lauren.

- Wiem. Naprawdę, nic się nie stało, Adamie. Nie spodziewałam się, żebyś miał przyjechać. - Uniosła pełen jedzenia

widelec i skosztowała prostej potrawy. *Ale żałuję, że nie przyjechałaś.*

Adam z roztargnieniem przesunął przez chwilę kartofel po talerzu, potem przekroił go na pół i szybko zjadł. Lauren zwróciła uwagę, że dokończył posiłek pośpiesznie, nie tracąc czasu na rozmowy. Kim był ten obcy człowiek, który w skórze Adama McPhaila siedział naprzeciw niej?

- Strasznie schudłeś - powiedziała i aż się skurczyła, tak obcesowe wydały jej się te słowa.

Ale na narzeczonym nie zrobiły chyba większego wrażenia, drgnął mu tylko jeden kącik ust.

- Czasami niewiele ma się tam do jedzenia. Dni są długie, a robota ciężka.

- Czy żałujesz, że zostałeś w policji?

Adam uniósł głowę, na jego twarzy malowało się niedowierzanie.

- Nie, oczywiście, że nie. To cudowny kraj, Lauren. Otwarty i dziki. Wolny i nieujarzmiony. Jest tam dość miejsca, by człowiek miał swobodę, by myślał, co chce, i robił, co mu się żywnie podoba. Oczywiście w granicach prawa.

- Sądzisz więc, że zamieszkamy na obszarze Terytoriów?

Adam na moment znieruchomiał z widelcem w pół drogi do ust.

- Tak. Zamierzam tam zostać.

Aż do tej chwili Lauren sama nie zdawała sobie sprawy, że żywi nadzieję, iż Adam pewnego dnia wróci na wschód i znowu podejmie pracę w Reginie. Ze życie będą spędzali w otoczeniu przyjaciół i rodziny, że dzieci będą kształcili na wschodzie.

- Rozmawiałem z kapłanem i zgodził się jutro po południu udzielić nam ślubu w kaplicy na terenie Fortu Saskatchewan. A pojutrze wyjedziemy do rezerwatu Kri nad jeziorem Onion.

Głos Adama wyprany był z podniecenia, nie było w nim śladu radosnego oczekiwania czy żartobliwości. Po prostu beznamytnie poinformował Lauren o faktach, a ona nie odrywała oczu od talerza, żeby nie zobaczyła, jak jest rozczarowana.

- Cieszę się. Gdzie jest jezioro Onion?

- Na północ stąd. Dowództwo ma takie plany, by rozlokować ludzi dalej na północy, przygotowując się do nadzorowania gorączki złota na Yukonie.

- Czy my tam pojedziemy?

Adam potrząsnął głową.

- Nie, będziemy odpowiadali tylko za jeden ze szlaków, prowadzących na Yukon, oraz za terytorium Kri, które ten szlak po drodze przecina.

Odłożył widelec i bez wahania spojrzał Lauren prosto w oczy. Potem wyciągnął szorstką rękę i nakrył jej leżącą po drugiej stronie stołu dłoń.

- Kupiłem od lekarza zapas angielskich kapturków i sugeruję, żebyś ty również nabyła podobne środki, dopóki jesteśmy tu, w Edmonton, gdzie takie rzeczy są osiągalne. - Ucisnął jej palce. - Nie chcę, żebyś zaszła w ciążę w miejscu, gdzie fachowa pomoc lekarska jest niedostępna.

Lauren miała wrażenie, że kęs ziemniaków puchnie jej w gardle. Wysunęła rękę z uścisku Adama i zakryła serwetką usta. W głowie jej się zakręciło. Czy to możliwe, że siedzi w kawiarni i otwarcie omawia środki kontroli urodzin z mężczyzną, którego właściwie już nie zna? Rozejrzała się dookoła. Chyba nikt niczego nie słyszał.

Przełknęła i opuściła serwetkę.

- Adam, to chyba nie jest odpowiednie miejsce na taką rozmowę - wyszeptwała.

Adam zaczerwienił się i zerknął na sąsiadów.

- Przepraszam cię. Nie pomyślałem... Chciałem, żebyś zrozumiała...

Lauren dotknęła jego ręki.

- W porządku. Naprawdę rozumiem i już się na to przygotowałam.

Przyjął jej słowa z taką ulgą, że w piersi Lauren wezbrała absurdalna chęć, by parsknąć śmiechem. To naprawdę nie był ten sam Adam McPhail, którego wcześniej znała. Pozbawiony był chłodnej pewności siebie tamtego oraz pretensjo-

nalnej otoczki dobrych manier, którą narzucało wszystkim życie towarzyskie. Ale za to wydawał się rozkosznie naiwny i żenująco uczciwy.

Opuścił wzrok na talerz, na jego policzkach pozostały wciąż ślady zawstydzenia. Lauren pociągnęła łyczek kawy i uśmiechnęła się łagodnie do ciemnego napoju. Jeżeli nie uda jej się wskrzesić Adama, którego zgodziła się poślubić, to nauczy się kochać mężczyznę, którym się stał.

3

Postukując butami o deski chodnika, Adam szedł w kierunku stajni na drugim końcu miasta. Padający ostatniej nocy deszcz oczyścił powietrze i niebo, którego kolor pogłębił się od błękitu do lazuru. Nad głową inspektora przepływały puchate chmurki. Pogoda będzie dla nich dzisiaj łaskawa podczas podróży do Fortu Saskatchewan, ale w przeciągu kilku godzin niebo może się zaciągnąć, a z północy może napłynąć fala lodowatego powietrza, niosąca ze sobą kłujący lód i śnieg.

Dlaczego myśli o pogodzie, zastanawiał się, przypominając sobie, co chlapnął w kawiarni podczas śniadania. Czy już tak długo przebywa w dziczy, że zupełnie nie potrafi się znaleźć wśród cywilizowanych ludzi? Chodziło mu o to, by Lauren nie miała wątpliwości, że pobiorą się pod tym warunkiem, a przecież nie zdobył się na odwagę, by postawić jej ultimatum, chociaż noc spędził bezsennie, próbując ubrać myśli w takie słowa, by go zrozumiała. Nie było jej przy tym, kiedy żona Pierre'a darła palcami kołdrę i błagała o śmierć, wydając na świat martwe dziecko. Lauren nigdy nie widziała człowieka, któremu los zadał najgłębszą z możliwych ran. No i wyskoczył z tym niemalże zakazanym tematem przy śniadaniu. Dwa lata temu do głowy by mu nie przyszło, by coś takiego zrobić.

Im bardziej oddalał się od hotelu, tym bardziej wracał myślami do Lauren. Dlaczego za każdym razem, kiedy zostawał z nią sam na sam, czuł się jak w pułapce? Czy stał się takim egoistą, że nie chciał wziąć na siebie wiążącej się z małżeństwem odpowiedzialności? Nie, doszedł do wniosku, że nie o to chodzi. Lauren przyjechała z tak daleka, bo go kochała. Pragnęła domu i dzieci, a Adam nie był pewien, czy zdoła jej

jedno i drugie dać. Weszło mu w krew to włóczęgowskie życie - podniecenie związane z nowymi miejscami i widokami, zadowolenie z dobrze wykonanej pracy.

Uniósł głowę w samą porę, by uniknąć zderzenia z pchającą wózek dziecinny kobietą, która wychodziła właśnie ze sklepu.

- Dzień dobry, panie inspektorze - powitała go z uśmiechem.

Adam kiwnął jej głową, wyminął wózek i poszedł dalej. Lauren będzie chciała mieć dzieci, i to szybko, pomyślał. I znowu myśli zmałyły mu się na wspomnienie żony Pierre'a, a po plecach niespodziewanie przebiegł dreszcz.

- Stimpy! - zawołał, wchodząc do mrocznej stajni. - Czy mój koń jest gotów?

- Pewno - dobiegła odpowiedź z głębi stodoły. - Zaczekaj no pan minutkę. Mam dla pana niespodziankę.

Zaszeleściło siano. Potem pojawił się Stimpy, prowadząc czarnego wałacha Adama oraz wytworną srokatą klaczkę.

- Taki jeden przyprowadził ją w zeszłym tygodniu. Ślicznotka z niej, co? - Wyszczrzył się tak, że w szczyrbie między przednimi zębami pokazał się różowy język.

- Dlaczego mi ją pokazujecie, Stimpy? - zapytał inspektor i pogładził klaczkę po karku. Zwrócił uwagę, jaką ma niewielką, kształtną główkę i że przez cały czas, kiedy rozmawiali, strzyże uszami, co było pewnym objawem inteligencji. Czubek cętkowanego pyska pokrywała delikatna, czarna sierść. Adam poskrobał klaczkę po łbie i wokół pyska, żeby sprawdzić, czy nie ugryzie, potem obszedł ją dookoła, podnosząc pięciny i sprawdzając, czy jest kapryśna. Klaczka za każdym razem przenosiła ciężar na pozostałe nogi, chociaż bez entuzjazmu. Kiedy stanął znowu przy łbie, podniosła nos i potarła nim jego ucho.

- Wczoraj wieczorem mówiłeś mi pan, co by załatwić jeszcze jednego konia.

- Czy tak? - Naprawdę coś takiego powiedział? Może, nie wiedzieć skąd, już wczoraj wieczorem zdawał sobie sprawę,

że nie uda mu się przekonać Lauren, by stąd odjechała? A może po prostu Stimpy nastawiał ucha, kiedy ludzie plotkowali?

- No sam pan popatrz. Ona już pana lubi. Pomyślałem, że nada się dla pani.

- Lauren będzie zachwycona. Zawsze chciała mieć konia. Ile? Stimpy przez chwilę pocierał brodę, potem szeroko się uśmiechnął.

- Możesz pan to uznać za prezent ślubny, inspektorze.

Adam spiorunował go wzrokiem.

- O czym to nie powiedzieliście mi, Stimpy?

- Wszystko żem powiedział, przysięgam. - Stimpy podniósł obie ręce w górę. Potem opuścił je i kopnął leżące na podłodze siano. - No, mnie ona nic nie kosztowała. Ten jeden, co to przyjechał aż ze wschodu, przyprowadził ją i powiedział, że dostał ją w Calgary i że mu okulała. A kupił ode mnie taką zatraconą paskudę, com ją tutaj miał. Nikt się na tym zwierzaku nie potrafił utrzymać. Za głupi był, żeby się przyjrzeć. A dziewczynka miała kamień pod podkową. Tak czy owak dał mi ją. Powiedział, że jak jej nie wezmę, to ją zastrzeli. To klaczka dla damy.

Adam się roześmiał.

- Wiedziałem, że kryje się za tym jakaś historia. W porządku, Stimpy. Przyjmuję w imieniu Lauren. Dziękuję wam.

Wyprowadził konie na zewnątrz i dosiadł swojego wałacha.

- Prr, Jake - powiedział, kiedy karosz położył płasko uszy na widok klaczy. - Ona teraz jest z nami. - Wbił pięty w boki konia i roztańczony wałach ruszył; srokata klaczka potulnie poszła za nim.

Lauren uniosła okno i wpuściła do pokoju strumień wilgotnego powietrza. Nozdrza jej wypełnił ziemisty zapach rzecznej wody. Ciszę przerwał ochrypły krzyk sójki. W dole nabrzeże tętniło życiem, a za rzeką płaska kraina zdawała się ciągnąć w nieskończoność.

Oparłszy łokcie na parapecie, wpatrywała się w tę bezkresną równinę. Nic nie przerywało monotonii posępnego

widoku, nie było nawet drzew poza tymi, które posadzono w mieście. Nad samą rzeką, w miejscu gdzie skarpa była mniej stroma i nagromadziły się niewielkie łachy ziemi, przycupnęły kępy wikliny.

- Hej - zawołał ktoś z dołu.

Lauren wytknęła głowę na zewnątrz. Adam siedział na karoszu w swoim nieskazitelnym mundurze, z tyłu uwiązana była srokata klaczka. Na widok narzeczonego Lauren poczuła, jak przepełnia ją duma: uprząż wyczyścił i naoliwił, szkarłatny mundur prezentował się wspaniale na tle burego klepiska ulicy. Podobnie jak jej ojciec należał do tych niewielu, którzy potrafili zawładnąć wyobraźnią całego narodu; był jednym z mężczyzn, którzy jako swoje motto obrali: *Main-tien le Droit* (zachować praworządność). Uśmiechnęła się. Jak dobrze te słowa do niego pasowały. Zawsze stawał po stronie tego co słuszne, niezależnie od konsekwencji. Takie postępowanie stanowiło o jego sile, chociaż sam uważał je za słabość. Stały jej przed oczami wspomnienia z dzieciństwa, kiedy patrzyła, jak ojciec przyjeżdża ze swoim oddziałem, i uprzytomniła sobie, że wtedy również odczuwała dumę tak silną, że w oczach stawały jej łzy.

- Mam dla ciebie niespodziankę - zawołał Adam.

- Czy ona jest moja? - Lauren pokazała na klaczkę.

- Pod warunkiem, że będziesz na niej umiała jeździć.

- Możesz się założyć, że będę umiała. - Cofnęła głowę, zbiegła pędem po schodach i wypadła na zewnątrz.

- Och, Adam. Jest śliczna - zagruchała, kiedy klaczka we-tknęła jej nos w dłoń.

- To prezent ślubny od posterunkowego Stimpy, stajen-nego. - Adam zsiadł z konia i stanął u boku narzeczonej.

Lauren opuściła dłoń, ale klaczka nie przestawała jej trącać. Wyminęła ich jakaś kobieta i zawołała Adama po imieniu.

- Czy wszyscy w tym mieście cię znają?

- Mniej więcej. Masz, ona tego szuka. - Wcisnął jej do ręki kawałek jabłka.

Lauren podała go klaczce, która łakomie chwyciła owoc aksamitnymi wargami.

- Jak ma na imię?

- Nie wiem. Nie mówił.

Panna Butler z namysłem odwróciła głowę.

- No to ja nazwę ją Prissy.

- Prissy? - Adam szarpnął raz jeszcze za popręg i puścił strzemień. - To nie jest imię dla konia.

- A czemu nie? - Lauren wydeła wargi, udając, że się dąsa.

- No, sam nie wiem. Po prostu nigdy bym tak konia nie nazwał. Prissy lepiej pasuje do kota albo do kurczaka.

- Do kurczaka. - Oczy Lauren błysnęły wesoło. - W życiu nie słyszałam o kurczaku imieniem Prissy. Właściwie to nigdy nie słyszałam, żeby ktoś kurczaka wołał po imieniu. W jakim towarzystwie ty się tutaj obracałeś?

Adam prychnął śmiechem, wypełniło go poczucie ulgi. Tyle już czasu minęło, od kiedy śmiał się z Lauren i patrzył, jak jej oczy psotnie błyskają.

- Spójrz tylko na nią, a zrozumiesz, o co mi chodzi. - Lauren pokazała na klacz, która wytwornie uniosła kopyto i grzebała w ziemi.

- Okay. Niech będzie Prissy. Chodźmy po twoje bagaże. - Adam położył jej dłoń na krzyżu.

Spakowali rzeczy i wyszli razem z hotelu na ulicę. Zdażyli akurat na moment, kiedy przejeżdżał oddział konnej policji. Patrol przynaglił konie do cwału i zmienił się w chmurę kurzu na drodze, która prowadziła wzdłuż rzeki.

- Kim oni są? Poza Duncanem? - zapytała, kiedy Adam chwycił ją w pasie i podsadził na siodło.

- Kilku ludzi z fortu. Byli wczoraj razem ze mną.

Lauren wychwyciła wykrętną nutkę w jego głosie. Adam pośpiesznie odwrócił wzrok.

- Co robiłeś wczoraj, że potrzebowałeś aż tylu ludzi?

Czarny wałach stał kompletnie nieruchomo od chwili, kiedy poczuł na karku dłoń Adama. Inspektor dosiadł go

i koń zaczął niespokojnie drobić nogami, nie mogąc się doczekać, kiedy ruszą w drogę.

- Mówiłem ci, że pracowałem.

- Dlaczego nie chcesz, żebym się dowiedziała? - Lauren odwróciła się w siodle tak, by móc widzieć twarz narzeczonego. - Czy sądzisz, że przestraszę się, jeżeli się dowiem, co robisz? Możesz być pewien, że się nie przestraszę.

Adam się uśmiechnął.

- Powiniennem się być domyślić. Nie było to nic, czym powinnaś się martwić. Rutynowe działania. Nie chciałem niepokoić cię szczegółami.

Lauren, nadal niezadowolona, odwróciła głowę klaczki od słupa, do którego była przywiązana, i skierowała się na bitą drogę, mającą wyprowadzić ich z miasta.

- Pamiętam, że kiedyś sprawiało ci to wielką przyjemność - powiedziała cicho, kiedy podjechał do jej boku.

- Co mi sprawiało przyjemność?

- Podsadzanie mnie na siodło. - Spojrzała spod oka w jego kierunku, ale Adam patrzył wprost przed siebie. Minęli ostatnie zabudowania i wyjechali na rozpościerające się przed nimi pustkowia.

- Nadal mi sprawia.

Lauren dała sobie spokój. Po głosie Adama poznała, że nic więcej z niego na ten temat nie wyciągnie. Wydawał się niezwykle czujny, nieustannie obserwował łożysko rzeki, a zwłaszcza miejsca, od których wydeptane ścieżki pięły się w górę po skarpie. Ale mimo tej czujności na jego twarzy malował się wyraz głębokiego zadowolenia. Lubił przebywać w tej krainie, ale czy był szczęśliwy sam?

- Popatrz tu. - McPhail pokazał na prerię, na której pasło się stadko szkockich kuropatw. Na dźwięk jego głosu poderywały się z warkotliwym łopotem skrzydeł, a potem zniknęły za najbliższym pagórkem.

Lauren kręciła głową, aż ją szyja rozboleła, chcąc objąć wzrokiem rozległy widok. W życiu nie widziała tak otwartej przestrzeni. Wszędzie, gdzie padł jej wzrok, rozciągała się

równina lub łagodnie sfalowane pagórki. Czuła się tak, jakby była zaledwie plamką na dekolcie tej kochanki, która uwiodła jej najdroższego.

Co ta kraina ma w sobie takiego, że wabi do siebie ludzi i każe im się tam osiedlać, zastanawiała się, kiedy mijali niewielkie gospodarstwo. Adam dotknął skraju kapelusza na widok kobiety, która wieszła pranie na sznurze na podwórku przed niewielką chatą. Dwoje maleńkich dzieci czepiało się jej spódnicy.

Minęło kilka godzin.

- Czy dobrze się czujesz? - zawołał przez ramię.

- Tak. Doskonale - zapewniła go Lauren. Postanowiła, że za nic się nie przyzna, iż okropnie bołą ją nogi i ma pełny pęcherz. Zaciśnęła zęby i po raz tysięczny przyjrzała się uważnie powoli kołyszącym się przed nią plecami Adama. Jechali niewyraźną ścieżką, trzymającą się blisko brzegu rzeki. Nad ich głowami słońce przedarło się przez cienkie chmury, zalewając wodnistym światłem posępny, wczesnowiosenny krajobraz. Drzewa darły niebo nagimi gałęziami, a trawa wokół nich była brązowa i sucha. Zieleń dopiero zaczynała dochodzić na prerię.

- Czy przejedziemy dzisiaj całą drogę? - zawołała i skrzywiła się, bo klaczka potknęła się i nią potrząsnęła. Jeżeli niedługo się nie zatrzymają, będzie miała poważne kłopoty.

- Tak - odkrzyknął Adam. - Nie da się przewidzieć, kiedy się pogoda załamie, a jest za zimno, żeby spać tej nocy na dworze. Dlaczego pytasz? - Odwrócił się w siodle, by na nią spojrzeć, i na jego twarzy odmalowała się konsternacja. Szarpnął za wodze, by zatrzymać konia. - Niewiele ci dałem dziś rano czasu na odpoczynek, prawda? Przepraszam.

Sprowadził ich z niewyraźnej dróżki. Wjechali w kępę niskiej wikliny, pochylającej się nad rzeką. Lauren ostrożnie zsiadła i rozejrzała się za jakimś ustronnym miejscem.

- Idź tam, za wiklinę. - Pokazał palcem. Rzadkie kępy wiktek niemal niczego nie zasłaniały. - Obiecuję, że nie będę podglądał.

Lauren spojrzała Adamowi w twarz z nadzieją, że dostrzeże chociażby przelotny, psotny błysk w jego oczach, ale nie

było tam niczego takiego. Obolała przeszła na wskazane miejsce, a narzeczony posłusznie odwrócił się do niej plecami, ściągnął rękawice i zaczął się nimi uderzać po ręce.

- Nie próbowałeś nawet podglądać. - Lauren, wyszedłszy z krzaków, dotknęła jego ramienia.

Adam podskoczył, a twarz mu się lekko zarumieniła.

- Nie... jakby to.... nie, nie próbowałem.

- Dwa lata temu bylibyś próbował.

Adam odwrócił wzrok, a Lauren uporczywie walczyła z ogarniającym ją chłodem.

- Jesteśmy o kilka godzin od fortu. Powinniśmy dojechać zaraz po zapadnięciu zmroku. - I już bez słowa odwiązał konie i podał Lauren wodze Prissy.

- Nie przeraża cię ta otwarta przestrzeń? - zapytała, kiedy wjechali z powrotem na ścieżkę. Chłodny wietrzyk popychał ich od tyłu.

- Nie. Można tu zobaczyć wszystko, co się zbliża.

Ścieżka zrobiła się szersza i Lauren podjechała do boku Adama. Kątem oka przypatrywała się, jak ukochany kołysze się w rytm kroków konia. Zawsze był dobrym jeźdźcem, ale teraz chyba równie dobrze czuł się na koniu, jak na własnych nogach. Siedział wyprostowany, ręce lekko opierał o obciste niebieskie spodnie, skórzane wodze przeplecione miał luźno między palcami.

- Jak tam jest? - Nogi Lauren zacisnęły się mocno na siodle, kiedy Prissy się potknęła, potem odzyskała równowagę.

- Jak jest gdzie?

- W Forcie Saskatchewan.

- Bywałem już w gorszych miejscach. Budynki są mocne i ciepłe, ale nieliczne.

- Co to znaczy nieliczne?

- Bardzo nieliczne.

- Och. No cóż. - Lauren poprawiła się w siodle. Robiło się coraz zimniej i chłód przenikał przez jej ubranie. - Tak naprawdę niewiele nam trzeba. Jestem pewna, że wystarczą mi meble, które masz.

- Widzisz, tylko że ja nie mam żadnych mebli; a przynajmniej żadnych, o których warto by wspomnieć. Tak często przenosiłem się z miejsca na miejsce, że albo robię sobie sam to, czego mi trzeba, albo kupuję, a potem zostawiam, kiedy jadę dalej.

- Nie szkodzi, poradzimy sobie wspaniale. - Kątem oka dojrzała, że zerknął na nią, twarz miał poważną.

Jechali dalej, dopóki wczesny zachód słońca nie rozjarzył się chłodno i nie zabarwił wszystkiego na pomarańczowo.

- Popatrz tam. - Lauren pokazała na wóz, który ociężale toczył się tym samym szlakiem. - Czy to zakonnice? - pytała dalej zdumiona tym, co - jak się jej zdawało - widziała przed sobą.

Adam podążył spojrzeniem za jej palcem i zobaczył wóz, którym powoziły dwie osoby; głowy ich okrywały czarne kornety.

- Rzeczywiście na to wygląda.

- Co na tak dalekim pustkowiu mogą robić dwie zakonnice?

- Jeszcze dalej na północ znajduje się misja. Mogłyby jechać tam, tylko że - tu zmarszczył brwi - dwa tygodnie temu przez Fort Saskatchewan przejeżdżały dwie zakonnice. Kierowały się nad Jezioro Niewolnicze. Trudno mi uwierzyć, żeby wysyłano tam aż cztery siostry.

Popędził konia i wkrótce zrównał się z pojazdem.

- Dzień dobry siostram - odezwał się, dotykając skraju kapelusza.

Kobiety, ze wzrokiem wbitym prosto przed siebie, kiwnęły głowami.

- Co siostry tu robią same przy tak nieustabilizowanej pogodzie? - Lauren dogoniła już Adama i jego słowa dochodziły do niej wyraźnie.

Każda z sióstr zawinięta była w wielki płaszcz z bawolej skóry, wysoko na usta podciągnęły dziergane szaliki.

- Jedziemy do misji nad Małym Jeziorem Niewolniczym - udzieliła odpowiedzi większa z nich piskliwym głosem.

- Czy od dawna są siostry w drodze?

- Och, od kilku dni - odezwał się znowu wysoki głos.

- Czy opuściły siostry Edmonton dziś rano?

- Dlaczego zadaje pan tyle pytań, panie inspektorze? - chciał dowiedzieć się sopran.

- Bez powodu, siostry. Nie widziałem, jak siostry wyjeżdżały. A gdyby nie odwiedziły siostry miasta, mogłoby siostronom zabraknąć zapasów, zanim dotrzecie do celu.

- Jesteśmy dobrze zaopatrzone, panie inspektorze - wymamrotała druga zakonnica niskim, ochrypłym głosem.

- Czy pozwolą siostry, że zajrzę pod plandekę, by się o tym przekonać? - zapytał Adam.

Kobiety spojrzały po sobie, kiwnęły głowami i zatrzymały wóz.

Adam przejechał na tyły wozu i uniósł róg płachty. Na podłodze złożono liczne drewniane skrzynki i pudła.

- Co to wszystko jest?

- Zapasy.

- Dla misji?

- Tak.

Adam trącił jedną ze skrzynek; zabręczało szkło.

- Rozumiem. A jakie zapasy?

I znowu kobiety popatrzyły po sobie.

- Lekarstwa.

- Lekarstwa, tak siostry powiadają?

Lauren aż się związała z zażenowania pod gniewnym spojrzeniem, jakim obrzucały ją zakonnice, kiedy Adam z grzbietu konia poszturchiwał skrzynki i grzebał w nich. Jakby nie dość było tego, po chwili zsiadł, wdrapał się na wóz, zaczął podnosić skrzynki i nimi potrząsać.

- Tak. Lekarstwa dla tamtejszych biednych Indian.

- Dużo tych lekarstw dla tak niewielu Indian.

Mniejsza z sióstr zmarszczyła brwi.

- Czy podejrzewa nas pan o coś, panie inspektorze?

- Czy podejrzewam o coś? Nie. Ale czy coś wiem? Tak. - Zeskoczył z wozu, podszedł do koni i chwycił z boku za lejce.

- Adam, naprawdę... - zaczęła Lauren; już czuła, jak zaczynają ją palić ognie wiecznego potępienia.

- Proszę zsiadać. - Inspektor podniósł wzrok na kobiety. Siostrzyczki zerknęły po sobie, odłożyły lejce i zlazły z siedziska na ziemię.

- Spodziewałem się czegoś lepszego po tobie, Whiskey Jack. - Adam wyciągnął rękę i zerwał wyższej z siostr kor-net z głowy.

Lauren aż dech zaparło. Przycisnęła dłoń do ust. Czy on zwariował? Ale kiedy materiał się zsunął, ukazała się spod niego częściowo łysa głowa, obramowana mocno skręconymi, czarnymi włosami. Spod białego barbetu, który Adam zerwał w następnej kolejności, wychynęła gęsta broda. Jej narzeczony zdarł kornet drugiej zakonnicy; wysypały się spod niego długie, tłuste blond włosy.

- Po tobie również, Joe.

- Jak pan poznałeś? - Jack popatrzył na inspektora spodoba, kątem oka zerknąwszy wcześniej na Joego.

- Ślady potne na koniach. Doskonale podbijały im się siodła na grzbietach. Zadałem sobie pytanie: co wspólnego mogą mieć dwie zakonnice z parą spienionych koni, zaprzęzonych do wozu? Gdzie to macie?

Jack wbił oczy w ziemię i noskiem buta kopał w kamień.

- Pod podłogą, pod siedzeniem.

Gwoździe zazgrzytały, kiedy Adam podważył luźną deskę i odchylił ją. Wtulone w gniazdko z waty leżało dwanaście butelek markowej whiskey.

- Coś skąpisz, przyrządzając swoją mieszankę, prawda, Jack? Zdaje mi się, że ostatnim razem do przygotowania dwunastu skrzynek tego zajzajeru, który sprzedajesz Kri, trzeba było co najmniej trzech skrzynek prawdziwej whiskey.

- Czasy są ciężkie - mruknął Jack, wzruszając ramionami.

- Czy stoi za tym Angus?

Oczy Jacka się rozszerzyły.

- Nie, sir. Słuchaj pan, McPhail, dobrze pan wiesz, że nie trzymamy z takimi jak on. Joe i ja nigdy nikomu nie zrobiliśmy nic złego, no, poza Indiańcami, ale to się nie liczy, a przynajmniej nie naprawdę. Oni kupują towar z własnej

nieprzymuszonej woli. Przecie nie zmuszamy ich, żeby to pili.

- Gdybyście wiedzieli, gdzie podziewa się Angus, powiedzielibyście mi, prawda?

- Nie mam nic wspólnego z Angusem, inspektorze, to fakt z życia wzięty. I wcale nie chcę mieć. Z równą ochotą poderżnąłby gardło własnemu bratu co psu. - Jack potrząsnął głową.

- Wsiadajcie na wóz i jedźmy do fortu, zanim spadnie na nas zawierucha. - Adam dosiadł znowu konia.

Lauren podniosła oczy i dopiero teraz zobaczyła, że zanosi się na śnieg.

Mężczyźni posłusznie wsiedli na wóz i wzięli lejce.

- Dlaczego byłeś taki pewny, że to nie są prawdziwe zakonnice? - zapytała Lauren, kiedy wóz szarpnął i ruszył do przodu, a Adam przyłączył się do niej.

- Poznałem Jacka już w pierwszej chwili, kiedy go zobaczyłem. Ale chciałem go trochę przycisnąć.

- On już wcześniej robił coś takiego?

Adam parsknął śmiechem.

- Ostatnim razem dał występ w Forcie McLeod. Wtedy udawali tancerki rewiowe.

- Tancerki? - powtórzyła Lauren z niedowierzaniem.

Adam przytaknął.

- Ogolili sobie nogi, zgolili brody. Brzydszych dziewczyn w życiu nie widziałem, ale słowo daję, że znalazło się tam kilku traperów tak spragnionych towarzystwa, że Jackowi i Joemu udało się sprzedać parę flaszek, zanim ktoś się połapał i zaczął bitkę. Szczerze mówiąc, czuję się rozczarowany, że nie okazali się tym razem bardziej sprytni. - Błysnął zębami w uśmiechu. - Zabawa robi się wtedy bardziej interesująca.

- Czy dla ciebie to jest zabawa? - Lauren uświadomiła sobie, że Adam nawet nie wyciągnął broni, i serce jej zaczęło bić dwa razy szybciej.

- Niekiedy.

- Mogli cię zastrzelić.

- Nie Jack. Jest na to za bardzo honorowy.

- Honorowy? Szmugler whiskey?

- Za kilka tygodni wyjdzie z paki i wróci do szmuglowania whiskey przez granicę. No i będzie oczekiwał, że znowu go przyłapię. Prawda, Jack?

Jack bez słowa pomachał ręką nad głową.

- A dlaczego oni nie uciekają, skoro ty jedziesz tu z tyłu, a oni mają dwa konie i wóz?

- Nadciąga śnieżycy. Nawet cały wóz whiskey nie jest wart tego, żeby dać się złapać zawiei. Nie, spędzą noc w ciepłym więzieniu.

Zwariowany był ten tutejszy wymiar sprawiedliwości. Żeby więźniowie sami odstawiali siebie do więzienia? Żeby bawili się z Północno-Zachodnimi Konnymi w kotka i myszkę? Lauren potrząsnęła głową.

Jeszcze nie zdążyła dokończyć myśli, kiedy nagle otoczyli ich jeźdźcy. Wychynęli bezgłośnie z gęstniejącego mroku. Jeden chwycił za wodze jej konia i siłą zatrzymał spłoszoną, srokatą klaczkę. Pozostałych dwóch galopem podjechało do wozu. Jack i Joe skulili się na siedzeniu, niezdarnie usiłując pozbyć się długich, czarnych sukien. Adam spokojnie i powściągliwie przyglądał się zamieszaniu, a Lauren poczuła, że na ten widok ogarnia ją strach. Nagle jeszcze jeden jeździec wypadł zza nadrzecznej skarpy. Długi czarny płaszcz powiewał mu wokół nóg, ciemny kapelusz osłaniał oczy. Koń dał pod nim szczupaka i rzucił zadem. Mężczyzna kierował wierzchowcem jedną ręką, w drugiej trzymał strzelbę.

- Ach, moja konkurencja ma eskortę. - W jego głosie pobrzmiwał lekki francuski akcent. Lauren wyczuła groźbę raczej w tonie niż słowach.

Miała nadzieję, że Adam się obejrzy i będzie mogła odczytać coś z jego twarzy, ale nawet na nią nie zerknął.

- A kimże może być ta ślicznota? - Poczowała, że mierzy ją mrocznym spojrzeniem.

- To moja żona... od jutra - odezwał się Adam wypranym z emocji głosem.

- Pani Adamowa McPhail? - Mężczyzna uchylił miękkiego kapelusza, odsłaniając rozmierzwną szopę splątanych,

ciemnych włosów. - To dla mnie zaszczyt poznać panią. - Rzucił Adamowi znaczące spojrzenie, ale wyraz twarzy inspektora pozostał beznamiętny.

- Tak delikatnego kwiatuszka nie powinno się przesadzać na prerię, inspektorze. Albo sam zwiędnie i umrze, albo ktoś go zdepcze. - Podjechał bliżej, wyciągnął rękę i ujął w palce pasemko włosów Lauren. Poczowała bijący od jego ciała odór i zaczęła obawiać się, że palcami wciera jej go we włosy. Ale walczyła ze sobą, by opanować strach, by gdzieś go ukryć. Podniosła na męczyznę oczy i wbiła w niego spojrzenie, jakby z wyzwaniem, by pierwszy odwrócił wzrok.

Na brudnej twarzy pojawił się niegodziwy uśmiech. Jeździec powoli opuścił rękę.

- Jak widzę, delikatny kwiatuszek ma głębokie korzenie. - Roześmiał się, nie wesoło, tylko zgrzytliwie. - Może nawet przeżyje. A może i nie.

Zatoczył koniem i podjechał do Adama, który nawet nie starał się wyciągnąć broni. Pochylił się ku niemu.

- Słyszałeś mnie, panie Konny, prawda? Powiedziałem poprzednim razem, że poruszam się na skrzydłach wiatru, a wiatru nie można zobaczyć.

Jego kpiący uśmiech zniknął. Lauren zobaczyła, że ramiona Adama sztywnieją, a jedna z rąk opada z wodzy.

- Potraktuj pan to jako ostrzeżenie, panie Konny. Nie zdołasz powstrzymać Czarnego Angusa. Nikt go nie zdoła powstrzymać. Kiedy ostatni Konny już umrze i pogrzebią go w jego wspaniałym, szkarłatnym mundurze, Angus wciąż tutaj będzie. Jest częścią Terytoriów, częścią tej krainy. Zostaw mnie w spokoju, inspektorze.

Angus popatrzył w stronę Lauren i znowu się uśmiechnął.

- A może twój kwiatuszek pożyje na tyle długo, by rozkwitnąć.

4

Lauren zatkała sobie uszy i przykryła głowę poduszką. Chociaż robiła, co mogła, miarowe *klip-klap* końskich kopyt nadal dochodziło do jej świadomości. Otworzyła oczy i wytknęła głowę na zewnątrz. Maleńki pokój wydał jej się jeszcze mniejszy niż wczoraj wieczorem. I jeszcze bardziej pusty.

Odrzuciła przykrycia i stanęła na nagich deskach. Ogień w piecyku przygasł, został tylko ledwo żarzący się popiół, okna od wewnątrz pokryte były szronem. Przebiegła przez pokój, wzięła kawałek drewna, wrzuciła go do pieca, a potem dmuchała na pomarańczowe węgielki, dopóki maleńkie płomyki nie zaczęły lizać kory. Zatrzasnęła drzwiczki i dała nura do łóżka.

Klip-klap. Ciekawość wzięła górę. Lauren wstała i cichutko podeszła do okna. Przez oszronione szyby zobaczyła szereg ubranych na szkarłatno mężczyzn, którzy w szyku manewrowali swoimi końmi. Ubrała się, chwyciła ze stołu kawałek chleba i pośpiesznie wyszła na ganek.

Orzeźwiający, wilgotny wiatr przylepił jej spódnicę do nóg. Lauren owinęła się szczelniej krótkim płaszczem. Adam i jego czarny koń stanowili punkt centralny szeregu. Inspektor McPhail niespokojnie lustrował wzrokiem formację od końca do końca, karosz zataczał pod nim malutkie kółka, podczas gdy reszta szeregu obracała się wokół nich, ubijając cienką warstewkę śniegu na papkę.

- Wspaniali są, nie? - odezwał się jakiś głos.

Lauren wzdrygnęła się i odwróciła. Tuż przy niej stała niska, szczupła, przypominająca wróbla kobieta. Przyglądała się szeregowi mężczyzn, czubki palców mocno przyciskała do warg, oczy jej błyszczały entuzjazmem.

- Mój Claude tam jest. - Pokazała na niewysokiego mężczyznę z czarnymi, nawoskowanymi wąsami, który jechał na dużym kasztanie po zewnętrznej stronie szeregu. Kiedy znalazł się bliżej kobiet, zerknął na nie i puścił oko. Towarzyszka Lauren roześmiała się i pomachała do niego.

- Czy to pani mąż? - zapytała Lauren.

- *Oui!* Czyż nie jest przystojny? A który jest pani?

Lauren ponownie przeszukała wzrokiem formację.

- Jest tam, na środku. Adam, mój narzeczonny.

- Inspektor McPhail? Ach, *mon Dieu*. Słowa nam nie powiedział, że pani przyjeżdża. - Chwyciła się rękami za głowę. - Przygotowalibyśmy coś na powitanie.

Lauren przyglądała się, jak Adam zamienia się miejscami z sąsiadem. A więc nikomu nie mówił o jej przyjeździe. Formacja rozpadła się, mężczyźni skupili się w grupki, by porozmawiać i pożartować.

- Idzie mój Claude. Claude! *Venez!* To jest madame McPhail.

Drobny mężczyzna ze starannie nawoskowanymi wąsami zatrzymał się przed nimi i zeskoczył z konia. Uśmiechnął się promiennie, pokazując białe zęby.

- Ach, madame McPhail. - Mówił z lekkim francuskim akcentem, mniej wyraźnym niż u żony. - To dla mnie zaszczyt. - Wymownie się przed nią skłonił, ujął jej dłoń i ucałował. - Adamie - zawołał przez ramię. - Nie powiedział pan nam, że wśród nas znajdzie się niedługo taki klejnot.

Adam ruszył w ich stronę. Nawet z daleka Lauren widziała na jego twarzy rumieniec zażenowania. Zeskoczył z konia i, trzymając wodze w ręce, podszedł, by się do nich przyłączyć.

- Dlaczego nas pan nie uprzedził, żebyśmy mogli zaplanować przyjęcie? - zapytał Claude.

- Jeszcze się nie pobraliśmy. Pobierzemy się jutro. Kapełan da nam ślub.

- *Mon Dieu*. Wesele? A my nic nie wiedzieliśmy? Nie możemy stracić okazji do zabawy, *oui?*

- Z tym to nigdy nie ma kłopotów. - Claude pogroził pal-

cem i roześmiał się. - Musimy się zabawić dziś wieczorem. - Klasnął w dłonie, potem dotknął ramienia żony. - Już moja Mignon się tym zajmie.

- *Oui*. Dziś, przy wieczornym posiłku - przytaknęła Mignon.

Adam odchrząknął i dopiero w tej chwili spojrzął na Lauren.

- Zwykle jadamy kolację razem w kantynie - wyjaśnił.

- Rozumiem - powiedziała Lauren, powątpiewająco unosząc brew.

Claude zerknął na jedno, potem na drugie z nich, a następnie spojrzął na Mignon.

- Musimy już iść. - Objął żonę za ramiona. - Mignon trochę chorowała i jeżeli za długo przebywa na wilgotnym chłodzie, obawiam się o jej zdrowie. Do zobaczenia wieczorem.

Mignon zaczęła coś mówić, ale Claude delikatnie odciągnął ją na bok.

- Dlaczego nie powiedziałaś nikomu, że przyjeżdżam? - zagotowała się Lauren, kiedy Claude i Mignon znaleźli się poza zasięgiem słuchu.

Adam spuścił wzrok na wodze, które trzymał w dłoniach.

- Zamierzałem przekonać cię, że nie powinnaś tu zostać.

Zanim zdążył powiedzieć coś więcej, szybkim krokiem podszedł do niego jakiś kapral.

- Komendant chce się z panem natychmiast widzieć - powiedział z naciskiem.

Adam kiwnął głową.

- Proszę mu powiedzieć, że zaraz się stawię.

Kapral pośpiesznie skierował się na ten koniec koszar dla kawalerów, nad którym powiewała w porannym wietrze flaga.

- Muszę iść. - Adam już miał dosiąść konia, ale zatrzymał się z nogą w strzemieniu. - A. Dzień dobry ci.

Lauren przyglądała się, jak wskakuje na siodło. W jego powitaniu coś ją zirytowało. Może to, że było tak zdawkowe? A może zezłościł ją fakt, że nie obudził jej rano, by powiedzieć dzień dobry? Ulokował narzeczoną w kwaterach dla gości w części koszar zarezerwowanych dla żonatych ofice-

rów. I wrócił na swoje miejsce w koszarach dla kawalerów. Ich wieczorne pożegnanie było wyprane z emocji i krótkie, a ją zaczynało już męczyć, że musi się domyślać, co kryje się za każdym słowem narzeczonego.

Owinęła ramiona szczerzej szalem i noga za nogą ruszyła w kierunku użyczonego jej pokoju. Jutro miała wyjść za mąż. Odłożyli ślub o jeszcze jeden dzień, ponieważ kapelana odwołano z fortu do domu jakiegoś osadnika, gdzie miał uświetnić swoją obecnością pogrzeb. Lauren kopnęła grude błota i starała się zrobić coś z podłym nastrojem, od którego dzień gwałtownie się psuł. Czy starczy jej cierpliwości, by przebić się przez opory Adama? Czy przetrzyma go przy tej grze, w której stawką są ich własne serca?

McPhail podjechał do biura komendanta i zeskoczył na ziemię. Owinął lejce wokół jednego z okrągłaków, zawieszonych między słupkami, i podszedł do drzwi. Zastukał krótko i, otrzymawszy zaproszenie, zdjął kapelusz i wszedł do środka.

- Proszę siadać, McPhail. - Komendant Griesbach powiedział to, nie odrywając oczu od leżącego przed nim pliku papierów. Wielkie, drewniane biurko zdominowało cały jego pokój, ściany obwieszane były mapami Terytoriów.

Adam usiadł na krześle z prostym oparciem i powiesił sobie stetsona na kolanie.

- Doszły mnie słuchy, że sprowadził pan z Edmonton narzeczoną. - Griesbach sięgnął po papier, na którym widniał elegancki, pełen zawijasów podpis, posypał atrament piaskiem i ostrożnie odłożył dokument na stos po prawej.

- Tak, sir.

- Nie jest tu szczęśliwa?

Wieści rzeczywiście rozprzestrzeniały się szybko.

- Będzie się musiała dostosować, sir.

Griesbach prychnął śmiechem.

- Przekonałem się, inspektorze, że kobiety z zasady bywają kapryśne. A nasze mają więcej powodów, by kaprysić, niż inne.

- Przyzwyczaj się. Jej ojciec brał udział w marszu w siedemdziesiątym czwartym.

Pióro Griesbacha zawisło nieruchomo nad papierem.

- Jak się nazywał?

- Butler, sir.

Komendant powoli odłożył pióro, wstał i podszedł do okna. Założył ręce na plecy i kiwał się, przenosząc ciężar z palców na pięty i z powrotem.

- To był wspaniały człowiek. Ale zawsze z przykrością opuszczał rodzinę. - Odwrócił się do Adama. - Gdyby został tu na zachodzie, miałyby nieograniczone możliwości.

- Wezwał mnie pan w jakiejś sprawie, sir.

- Chodzi o to, McPhail, że przerzucam pana na inną placówkę. - Griesbach wrócił do biurka i przekładał papiery, dopóki spomiędzy nich nie wyciągnął pomiętego listu i nie podniósł go w górę. - I obawiam się, że czeka pana taki sam wybór, jak wcześniej pańskiego teścia: rodzina albo policja.

Adama ogarnęło przeczucie nieuchronnie zbliżającej się zguby.

- Dokąd mnie pan przerzuca?

Griesbach zajął w trzymany w ręce list.

- Do małego osiedla na północ stąd, gdzie ma swój posterunek Kompania Zatoki Hudsona. - Pchnął w stronę Adama odręcznie narysowaną mapę Północno-Zachodnich Terytoriów i stuknął szorstkim palcem w wijącą się czarną linię. - Otrzymaliśmy informacje, że Czarny Angus zagnieździł się tam na dobre. Sprowadza whiskey w górę rzeki i sprzedaje ją w rezerwacie Indianom Kri. - Griesbach wyprostował się i przecesał palcami gęste, czarne włosy. - Sytuacja Kri robi się krytyczna. Jeżeli nie powstrzymamy tego procesu, całe ich plemię wyginie w ciągu kilku lat.

- Czy to posterunek Erika Ansgara?

- Tak. Zna pan tamte tereny?

- Nie raz je patrolowałem.

- I właśnie dlatego tam pana wysyłam, inspektorze McPhail.

Chcę, by pan w dowolny sposób położył kres działalności Angusa.

Adam zapatrzył się za okno. Spodziewał się przeniesienia, i to szybko, ale nie w tak odległe miejsce. Jak ma o tym powiedzieć Lauren?

Griesbach przysiadł na rogu biurka.

- Jestem świadom, czym panu groził.

- Nie interesują mnie zbyt jego groźby, sir. Angus jest tchórzem, jeżeli nie ma za plecami swoich ludzi. - Adam odwrócił się i spojrzał Griesbachowi prosto w oczy.

- To niełatwy kawałek życia, inspektorze. Nie nadaje się dla rodziny.

Adam bacznie przyglądał się mapie. Leżąca na północy kraina była piękna, dzika i dziewicza, chociaż bardzo odludna. Lauren będzie zostawała sama na całe tygodnie, za towarzystwo mając wyłącznie Ansgarów, szwedzką parę, która kierowała placówką. Nie znajdzie się tam żadnych powiązań ze światem zewnętrznym i żadnych lekarzy.

- Nalegam, by raz jeszcze przemyślał pan decyzję o zabraniu żony w takie środowisko. - Griesbach odchylił się do tyłu na krześle. - Ale nie powiem, że nie wolno jej panu zabierać.

- Kiedy mam wyjechać?

- Jak najszybciej, żeby zdążył się pan zagospodarować, zanim na dobre zapanuje zima. Najdalej za tydzień.

- Dopilnuję spraw związanych z zaopatrzeniem. - Adam już się podnosił, ale Griesbach machnięciem ręki kazał mu siadać.

- Zająłem się już tym. Kiedy zamierza pan poślubić pannę Butler?

-Jutro po południu, sir.

-Jesteście z panną Butler zaręczeni od jakiegoś czasu, prawda?

- Od dwóch lat, sir. Kiedy mnie tutaj oddelegowano, została w Reginie, żeby zajmować się ojcem.

Griesbach zsunał się z blatu i stanął przed Adamem.

- Chciałbym otwarcie panu poradzić, by wykorzystał pan

do maksimum najbliższe kilka dni. Niemniej jednak musimy wykonać to, co do nas należy. A na pana spada dziś obowiązek pojechania do wioski Kri. Ma pan przywieźć więźnia, którego tam trzymają. Powinien pan wrócić na kolację. Może pan odejść.

Adam zdjął kapelusz z kolana, wcisnął go sobie na głowę i wyszedł z biura.

Griesbach poszedł za nim do drzwi, stanął na ganku i przyglądał się, jak inspektor dosiada konia i oddala się cwałem.

- Co pan wie o panie Butler? - zapytał Duncana, kiedy ten do niego podszedł. Machnął przy tym głową w kierunku Adama, który zsiadał właśnie z konia przed kwaterami żonatyh oficerów.

- To dzielna dziewczyna, bez dwóch zdań, panie komendancie. Ojciec mógłby z niej być dumny.

Griesbach wyciągnął cygaro spod pasa i odgryzł koniuszek.

- Myśli pan, że wytrzyma życie na posterunku Ansgarów?

Oczy Duncana się rozszerzyły.

- Czy to tam ma stacjonować McPhail?

- Nie sam. Pana też tam wysyłam. Angusa trzeba koniecznie powstrzymać. Jeżeli będzie miał szansę, to stać go na to, by zorganizować handel whiskey na taką skalę, że przy nim Fort Whoop-Up to pestka.

- A pan wysyła nas dwóch, żebyśmy odwalili całą robotę? - Duncan uniósł brew.

- Przez ten brak szacunku wpakuje się pan kiedyś w tarapaty, Duncanie - zareagował Griesbach z lekkim uśmiechem.

- Mimo to nie odprawiłby mnie pan, panie komendancie. Bo kogo by pan wysyłał do Edmonton po cygara?

- A gdybym pana odprawił, kiedy trafiłaby się panu następna okazja, by kupić ten fajkowy tytoń, za którym pan przepada?

- *Touche.*

- Ale wracając do tematu, nie wysyłam tylko was dwóch. Wysyłam też Mike'a Finnegana.

Duncan się uśmiechnął.

- Miło będzie służyć razem z tym hardym Irlandczykiem. Griesbach rzucił mu spod oka mroczne spojrzenie.

- McPhail wyjeżdża gdzieś za tydzień. Chcę, byście razem z Finneganem ruszyli za nim w dwa tygodnie później, z większością zapasów.

- Sadzi pan, że ona nie wytrzyma? - Duncan pokazał głowę na Lauren, która wchodziła właśnie za Adamem na ganek. Griesbach potarł zapałkę i zapalił cygaro.

- Północno-Zachodnia Policja Konna zostawiła już za sobą na szlaku cały szereg rozczarowanych kobiet.

Podzwaniając zębami, Adam szarpnął za wodze uwiązanego z tyłu konia i odwrócił się, by spojrzeć przez ramię. Pokryty śniegiem osobnik siedział stoicko wyprostowany, ręce miał związane za plecami. W najmniejszym stopniu nie pomagał kierować upartą bestią, na której jechał.

- To omen. - Więzień mówił z mocnym francuskim akcentem. - Bóg nie chce, żebyście mnie zamknęli. - Śnieg pokrywał skorupą jego wąsy.

Adam zgarnął łód z twarzy. Wiedział, że obydwaj przypominają bardziej bałwany śniegowe niż ludzi.

- Ja ci pokażę omen. Jak mi nie pomożesz kierować tym koniem, to zrzucę cię z siodła i zmuszę, byś przez resztę drogi szedł na piechotę.

- Nie da się. Przymarłem do siodła - odpowiedział spokojnie więzień.

McPhail ściągnął wodze i, zatrzymawszy się, pomasował ramię. Rozbolało go, bo przez całą drogę ciągnął za linkę luzaka. Jeszcze kilka mil i będą w domu. Przymknął na moment oczy, kryjąc je przed kłującym śniegiem. Okrytą rękawicą dłonią otrzepał wąsy. Na kolana pospadały mu drobne sople lodu. Lekki śnieg zmienił się w śnieżycę, jeszcze zanim Adam dotarł do wioski. Mógłby tam zatrzymać się na noc, ale Lauren została w Forcie Saskatchewan sama. A tego jakoś nie mógł znieść.

- Dlaczegoś mnie pan wywiozł na taką pogodę - zapytał mężczyzna - kiedy mogliśmy się przespać w cieplej chacie?

Adam zignorował jego pytanie. Zapadał zmierzch, a z nadejściem nocy temperatura się obniżała.

- W drogę. Jedziemy. - Szarpnął znowu za wodze i popędził konia. Wokół nich wirowała biel, ścieżki, którą jechali, prawie nie było widać. I nagle, kiedy w powietrzu najgęściej było od śniegu, zobaczyli przed sobą światło.

Z zawieruchy wychynęła główna brama, której strzegła jakaś postać w bawolim płaszczu, z głową i uszami okutany mi szalem. Postać uczepliła się płonącej latarni.

- Niemalże już machnęliśmy na pana ręką, inspektorze - zawołał młody kapral, kiedy go mijali.

Adam skierował się na zachód, w stronę piętrowych stajni. Wjechali bezpośrednio do środka przez szerokie wrota, owiało ich wilgotne ciepło oraz zapach końskiego nawozu. Mike Finnegan zatrzasnął im wrota za plecami.

- Święci pańscy, McPhail. Wspaniałą noc sobie wybrałeś na przejażdżkę. Czemu nie zostałeś w wiosce Indian, żeby przeczekać zamieć? - Finnegan szedł ku nim spokojnym krokiem, dmuchając w złożone dłonie ciepłym powietrzem.

- O to samo go pytałem - wtrącił więzień. Próbował unieść nogę; jego spodnie z chrzęstem oderwały się od siodła.

Adam uwolnił nogę ze strzemienia i usiłował przerzucić ją nad końskim grzbietem, ale jemu również spodnie przymarzły do siodła. Oderwał niebieski materiał od skóry i zsiadł, ale kiedy dotknął stopami zasypanej słomą podłogi, nogi się pod nim ugięły i opadł na kolana. Finnegan skoczył w jego kierunku.

- Nic mi nie jest. - Adam chwycił Mike'a za ramię i podciągnął się do pozycji stojącej. - Tylko mi stawy zmarzły. - Pokuśtykał do pieca. - Jego też tu doprowadź. - Pokazał głową na więźnia.

- Chodź, człowieku. - Finnegan ściągnął więźnia z końskiego grzbietu i pchnął go w kierunku pieca.

Adam pochylił się i roztarł kolana. Zwariował chyba, że w taką pogodę próbował dojechać do domu. Mądrzej i bezpieczniej byłoby aż do jutra zatrzymać się w wiosce Kri i podjąć próbę

dotarcia do fortu, kiedy burza śnieżna minie. Postąpił tak przez narzeczoną: to ona nie schodziła mu z myśli. Przez nią zmienił decyzję. Może któregoś dnia przez nią zapłaci życiem. Zadygotał, bo nagle zrobiło mu się jeszcze bardziej zimno.

- Zaprowadź go do więzienia, dobra? Idę do domu. - Kulejąc, wyszedł ze stajni na dwór, a tam wichura przewiała go na wylot, chociaż miał na sobie gruby, kudłaty płaszcz. Mieciony wiatrem śnieg kłuł w oczy i odsłoniętą skórę, kiedy inspektor torował sobie drogę przez otwartą przestrzeń.

Dotarłszy do długiego ganku, który ocieniał koszary od frontu, Adam zobaczył, że w pokoju Lauren płonie żółte światło, rzucając wzór z kwadratów na śnieg przed kwaterą. W oknie wisały koronkowe firanki. Ze sterczącej na dachu kominowej rury wyfruwały kłęбки dymu. Dom. To słowo uderzyło go z taką siłą, że zachwiał się na nogach. Wkrótce jego samotna kwatera, obojętne gdzie była, stanie się domem. A wszystko przez to, że ona tu przyjechała. Poczul, że budzą się w nim konsternacja i zakłopotanie i maćmu myśli. Będzie jej musiał powiedzieć, że niedługo wyjeżdżają, że musi zostawić za sobą wszystko, co znała, i wszystko, co było dla niej bliskie, jeżeli chce podążyć za nim w nieznanne. Czy wystarczająco go kocha? A co ważniejsze, czy on wart jest takiego poświęcenia?

Drzwi otworzyły się w chwili, kiedy Lauren sięgała do klamki.

- Och, Adam. Wystraszyłeś mnie. Jesteś przemoknięty. Chodź tu i zdejmij z siebie te rzeczy.

Podmuch wiatru wniósł do środka płatki śniegu, które zostawiły mokre ślady na świeżo wyszorowanej podłodze. Adam zatrzasnął za sobą drzwi, zdjął płaszcz i strząsnął na podłogę następne zamrożone drobiny.

- Wygląda na to, że będzie sypało przez całą noc.

- Siadaj tam, przy ogniu, a ja pójdę na twoją kwaterę i przyniosę ci coś suchego.

- Nie, nic mi nie trzeba - zaprotestował pośpiesznie. - Pójdę się przebrać do siebie.

Lauren zapatrzyła się na niego i parsknęła śmiechem.

- O co chodzi? - zapytał.

Uśmiechnęła się, potem znowu zachichotała.

- Wyglądasz jak potwór śnieżny. Cały, poza śladem po kapeluszu.

Adam wyciągnął rękę i pomacał włosy, suche w miejscu, gdzie stetson przykrywał mu głowę. Po brzegach i na uszach zaskorupiały śnieg topił się gwałtownie. Potrząsnął głową i sopełki w jego włosach cichutko zadzwoniły.

Lauren ze śmiechem podbiegła i objęła go ramionami. Wsunęła język i szybkim ruchem zlizwała mu sopełek z brody. To nagłe zbliżenie wstrząsnęło Adamem; cofnął się o krok.

Lauren schrupała sopełek, pozornie nieświadoma tego, że ją odtrącił.

- Inspektorze McPhail - zawołał jakiś głos z ganku. - Czy wybiera się pan na kolację?

Adam puścił narzeczoną i podszedł do drzwi. Na zewnątrz stał młody Konny z płaszczem szczelnie zaciśniętym na piersiach. Policzki i nos świeciły mu jaskrawą czerwonią.

- Przepraszam pana, sir, ale komendant Griesbach przysłał mnie po pana. Chce ogłosić...

Adam zamknął chłopakowi usta dłonią. Zerknąwszy za siebie, upewnił się, że Lauren zajęta jest przy piecu. Wyszedł na zewnątrz, wypychając młodzika przed sobą.

- Ani słowa.

Chłopak kiwnął głową i Adam odsunął dłoń.

- Panna Butler nie wie jeszcze, że zostałem przeniesiony. Chcę sam jej o tym powiedzieć. Przekaż komendantowi, że zaraz tam przyjdziemy, że późno przyjechałem.

Chłopak przytaknął, zawrócił i ruszył wzdłuż długiego ganku. Adam otworzył drzwi i wszedł do środka.

- Napracowałeś się - powiedział, podchodząc do pieca i siadając przed nim na krześle.

Lauren zerknęła w stronę okna, na którym wisiała teraz zazdrostka, zrobiona z dolnej falbany jej najlepszej halki.

- Trochę tu trzeba było ogarnąć.

- Pewnie raczej solidnie posprzątać.

Zatarł ręce nad piecem. Osadzony na wąsach śnieg wytapiał się i z ostrym posykiwaniem skapywał na gorący metal. Adam zaryzykował i kątem oka zerknął na narzeczoną. Starannie związała sobie włosy w kok na czubku głowy. Przymknął oczy, walcząc ze wspomnieniem, jak te jedwabiste włosy muskały jego twarz, kiedy Lauren leżała na nim i go kusiła.

Gdyby trzymał się wiernie swego planu, zostawiłaby go. Ale nie potrafił iść dalej przez życie ze świadomością, że porzucił Lauren przed ołtarzem. Rozwiązać tę sytuację pozwoli mu tylko jedno: Lauren musi sama dojść do wniosku, że życie żony Konnego jest zbyt ciężkie, zbyt wymagające. Wtedy będzie mogła wrócić do Reginy. Przyjaciele i rodzina zrozumieją ją i przyjmą z otwartymi ramionami. To jego nazwą kanałią i łajdakiem, który złamał serce narzeczonej. Zresztą to bez znaczenia. Związał się już na zawsze z Terytoriami. I nie sądził, by jego noga powstała jeszcze kiedyś w Reginie.

Kiedy otworzyli drzwi do oficerskiej kantyny, w nozdrza ich uderzyły rozkoszne zapachy. Pachniało pieczonym mięsem, gotowanymi jarzynami, pasztecikami i ciastem, a wszystkie te aromaty wydawały się ze sobą mieszać i wirować w powietrzu. Lauren zaburczało w brzuchu i uświadomiła sobie, jaka jest głodna. Ręcznie ociosane stoły stały w prostych szeregach, a przysunięte do nich krzesła wypełniali ubrani na czerwono mężczyźni. Tylko dwie jeszcze kobiety siedziały przy stołach.

- Do naszego oddziału w Forcie Saskatchewan przybyła nowa osoba - oznajmił Griesbach, który wstał, kiedy Lauren i Adam weszli na salę. - Panna Lauren Butler, wkrótce pani Adamowa McPhail. Witamy, panno Butler.

Adam splótł palce z palcami Lauren, ukrytymi w fałdach spódnicy, w milczeniu dodając narzeczonej odwagi. Czułość tego ujmującego gestu ze strony mężczyzny, który wydawał się dokładać wszelkich starań, żeby ją wypędzić, wystarczyła, by do oczu Lauren napłynęły łzy. Mignon i Claude zapra-

szali ich gestami do siebie, do ostatniego stolika. Adam położył Lauren dłoń na plecach i pokierował nią w ich stronę.

- Nie wiedziałam, że jestem aż taka głodna. - Lauren usiadła, a Adam wziął od niej pelerynę.

- Jedzenie jest tutaj *tres bien* - zapewnił Claude, a potem puścił oko do żony. - Ale nie takie dobre, jak u Mignon.

- Nie tykajcie jeżynowego placka - szepnęła Mignon. - Pani Lamoureux używa za dużo cukru.

Lauren kiwnęła głową i odwróciła się, by zerknąć przez ramię. Siedzących obsługiwali obwiązani w pasie fartuchami Konni.

- Jak słyszę, niedługo masz nas opuścić - zagaił Claude, kiedy obsługujący nakładał mu obfitą porcję gulaszu na talerz.

- A... tak. Spodziewam się, że niedługo mnie gdzieś przeczują - Adam wetknął sobie serwetkę w wycięcie kurtki pod szyją. Zamierzał poinformować Lauren o przeniesieniu, zanim wyszli z jej kwatery, zanim świadkami rozczarowania narzeczonej stanie się trzydzieści par oczu. Ale jakoś nie starczyło mu odwagi, by wypowiedzieć słowa, które każą jej od niego odejść. A zaraz potem uświadomił sobie, że jeżeli zaczeka, by usłyszała tę wieść przy kolacji, będzie miała następny powód, by się na niego wściec.

Claude miał przez moment skonsternowaną minę. Rzucił szybkie spojrzenie na żonę, następnie wziął widelec i elegancko skosztował gulaszu. Lauren zmarszczyła brwi i popatrzyła najpierw na Claude'a, potem na Mignon.

- Jak rozumiem, przywiozłeś tego człowieka z wioski Kri. - Claude zdążył odsunąć rękaw w samą porę, by nie wylądowała na nim pełna chochla fasoli, którą właśnie nakładał mu na talerz obsługujący.

- Tak. Bez większych trudności. Dokuczyła mi tylko pogoda i jego upór. - Adam skosztował fasoli, uważając, by przypadkiem nie podnieść oczu znad talerza.

Lauren uśmiechnęła się do obsługującego ich żołnierza, chociaż zaczynały ogarniać ją złe przeczucia.

- Ryzykowałeś życie, przywożąc go w taką śnieżycę. Z ja-

kiegóż to powodu doświadczony policjant miałby ryzykować życie, kiedy równie dobrze mógł spędzić noc w wiosce? Hm?

Czarne oczy Claude'a psotnie błyszcząły, kiedy spoglądał na Adama znad łyżki pełnej gęstej zupy na wołowinie.

Policzki Adama poczerwieniały.

- Co za sens tracić czas na nocleg. Nie byliśmy przecież daleko. - Przeżuwał kawałek wołowiny przez dłuższą chwilę, zanim go przełknął.

- Czy mogę prosić o uwagę, panowie? - Komendant Griesbach wstał, zgrzytnąwszy przy tym krzesłem po nagiej podłodze. - Opuści nas wkrótce kilku członków naszego oddziału. Chciałbym skorzystać z tego, że pogoda nas tu wszystkich razem zgromadziła, i wyrazić im uznanie oraz życzyć wszystkiego co najlepsze. - Tu uniósł szklanę. - Zdrowie inspektorów McPhaila i McLeoda oraz posterunkowych Finnegana i McDougalla, którzy wyjeżdżają na Terytoria. Życzymy panom szczęścia. A zwłaszcza inspektorowi McPhailowi, który jutro o tej porze będzie już żonaty.

Na sali podniosły się oklaski, ale Lauren, wpatrując się w Adama, niemal nie zwróciła na hałas uwagi. Ledwo się uśmiechnął, oczy miał zimne, a uśmiech wręcz lodowaty.

Otarł usta serwetką, odepchnął krzesło i wstał. Podniósł szklanę z wodą i odpowiedział na toast.

- Zdrowie ludzi, których tu zostawiam. Wam też życzę szczęścia pod oboma względami.

Na sali podniósł się śmiech, ale Adam ani razu nie spojrział na Lauren. Spodziewała się przynajmniej ukradkowego uśmiechu, lekkiego dotknięcia. Jakiegoś drobnego, intymnego gestu, który by ich połączył. Siadając, otarł się po drodze o jej ramię. Lauren przesunęła się w stronę Mignon, tylko cal czy dwa, ale wystarczyło to, by zwrócić uwagę Adama i przyciągnąć jego spojrzenie. Nie odpędzi jej od siebie, postanowiła, wgrzyzając się w jabłko. I do cholery z takim człowiekiem, co to raz jest gorący, a raz zimny.

5

- Adamie, czy bierzesz tę oto Lauren za żonę, na dobre i na złe, i ślubujesz, że jej nie opuścisz w szczęściu ani w biedzie, w chorobie ani w zdrowiu, dopóki śmierć was nie rozłączy?

Adam spojrział na Lauren z wysoka, a w niej na sekundę serce zamarło.

- Tak - powiedział cicho.

- A czy ty, Lauren, bierzesz Adama za męża, na dobre i na złe, i ślubujesz, że go nie opuścisz w szczęściu ani w biedzie, w chorobie ani w zdrowiu, dopóki śmierć was nie rozłączy?

- Tak - wyszeptała, spoglądając w łagodne, brązowe oczy narzeczonego. Ale nie znalazła w nich emocji, które się spodziewała zobaczyć. Nie pokazał się ten Adam, na którego powrót czekała. Uśmiechał się życzliwie, ale mur stał wciąż między nimi, bariera tak realna, jakby wykonano ją z najtwardszej stali.

- Adamie, czy masz dla Lauren obrączkę, symbol wieczystej natury twojej miłości?

Duncan puścił do Adama oko i podał mu wąskie kółeczko ze złota, a Adam wsunął je na palec Lauren. Powtarzał poddawane mu przez kapelana słowa, a potem ucałował czubki palców panny młodej i stulił je w swojej dłoni.

- Jesteście mężem i żoną - oznajmił kapelan, a za plecami nowożeńców podniosły się oklaski i radosne okrzyki. Odwrócili się i pozdrowili stłoczony w malej kaplicy tłum. Ludzie poklepywali Adama po plecach i wyciągali ręce, by dotknąć Lauren, kiedy nowożeńcy szli przejściem w stronę drzwi.

Lauren miała na sobie tę samą niebieską suknię, w której już kiedyś miała brać ślub. Było przedwiośnie, więc nie kwi-

tły jeszcze żadne kwiaty, i Mignon uszyła dla niej śliczny bukiet z koronkowych chusteczek do nosa, ofiarowanych przez kobiety z fortu. Przed kaplicą rzuciła bukiet grupce nowych przyjaciółek. Złapała go zręcznie świeżo poślubiona pani Whitman i, nie ociągając się, oddała Lauren, by ta miała pamiątkę z zaślubin.

W południe przed uroczystością bawili się podczas przyjęcia w oficerskiej kantynie. Ale Lauren zdawała sobie sprawę, że teraz, kiedy tłumek się rozproszył, a słońce opadło za horyzont, wystawiony zostanie na próbę prawdziwy charakter jej miłości do Adama.

Poszli odśnieżoną ścieżką do koszar oficerskich, z powrotem do pokoju, który już zajmowała Lauren. Jak tylko drzwi zamknęły się za ich plecami, napięcie wzrosło. Adam ukląkł przed kominkiem i bez słowa rozdmuchiwał ogień, dopóki z żaru nie buchnęły płomienie. Lauren stała w swojej ślubnej sukni i przyglądała mu się, niepewna, co teraz powinna zrobić. To była jej noc poślubna, a ona czuła pustkę w sercu. Gorzko zatęskniła za wspólnotą myśli i serc, która kiedyś łączyła ją i Adama. Był czas, że ukradkowe spojrzenia i potajemne dotknięcia wystarczały, by przepełnić ich błagalną aż namiętnością. A teraz nie wiedziała, co począć.

Adam wyprostował się i odwrócił do niej. Stał przez chwilę bez ruchu, obserwując ją z odległości, jakby zmagał się z jakimś problemem.

- Wiem, że nie tego chciałeś - zaczęła Lauren, pełna rozterki, jak zachować się wobec małżonka, który wzniósł niewidzialną barierę między nimi.

On tymczasem spuścił wzrok na podłogę, na swoje nieskazitelnie wyczyszczone buty.

- Zawsze ciebie chciałem, Lauren. - Podniósł głowę i spojrzał żonie w oczy. - Nie zdarzyło się, żebym cię nie chciał. Tylko że uważałem i nadal uważam, że byłabyś bezpieczniejsza w domu, w Reginie.

Lauren podeszła na wyciągnięcie ręki.

- Nie pragnę bezpieczeństwa, Adamie. Chcę być z tobą.

Chcę żyć z tobą jako twoja żona. Na dobre i na złe. - Uśmiechnęła się. - Na lepsze czy gorsze.

Spodziewała się, że mąż chwyci ją w objęcia, ale kiedy tego nie zrobił, podeszła jeszcze bliżej.

- Zmieniłeś się.

Twarz Adama przelotnie się zachmurzyła, jakby czegoś takiego nigdy nie brał pod uwagę.

- Ty też.

- Na lepsze?

- Jesteś inna.

- Ty również.

- Tutejsze życie zmienia mężczyzn. I kobiety też. Niekiedy odnajdują w sobie coś, czego istnienia nawet nie podejrzewali. Niekiedy tracą coś, co jest dla nich cenne. Ale sprawa jest warta ryzyka, Lauren. Warta ryzyka. - Miała nadzieję, że wyczyta w jego oczach miłość do siebie, i wyczytała miłość, ale do tej rozległej, dzięki krainy. I przez jedną obłądną chwilę miała wrażenie, że oddzielają ich od siebie całe Północno-Zachodnie Terytoria. Że stoją między nimi jak kochanka. Albo ukochana.

Oczy jej wezbrały Izami, twarz Adama zamazała się. Nie znała słów, które pozwoliłyby jej przyciągnąć go do siebie. Tęskniła za Adamem, którego kiedyś kochała, za mężczyzną, który z entuzjazmem, ze śmiechem opowiadał bez chwili przerwy o wszystkim, o czym myśli. Ale przed nią stał teraz ktoś inny, nie ten, którego znała. Poczuła się całkiem tak, jakby pochowała dwóch bliskich sobie mężczyzn, a nie jednego.

Adam słowem się już nie odezwał i Lauren postanowiła działać, a nie mówić. Uniosła dłonie do jego mosiężnych guzików.

- Zawsze chciałam to zrobić - szepnęła, odpinając pierwszy z nich. - Adam przyglądał jej się bez słowa. Kiedy z przodu kurtka się rozchyliła, odpięła pas i upuściła go na podłogę. Potem wsunęła dłonie pod kurtkę i pogładziła miękką bawełnianą koszulę, którą nosił pod spodem.

Palce Adama zacisnęły się spazmatycznie, zamarły, a potem przesunęły się na karczek sukni. Niezdarnie manipulo-

wały przy najwyższym guziku, aż się rozpiął. Potem puścił następny guzik, i jeszcze jeden. Lauren się cofnęła. Suknia zwisała luźno na ramionach. Wpatrując się w jej oczy, Adam zsunął powoli materiał aż do pasa. Bez wahania czy wstydu błędził spojrzeniem po piersiach żony, ledwo osłoniętych cienkim materiałem koszulki.

- Jesteś piękna - powiedział, oddychając z trudem. - Tak piękna.

Rozpostarł palce na jej biodrach i suknia opadła na podłogę. Materiał ześlizgnął się gładko, a Lauren wyszła z kałuży błękitu, podniosła suknię i odłożyła na krzesło. Kiedy się ponownie odwróciła, Adam nie miał już na sobie kurtki, wyszarpnął poły koszuli ze spodni i usiadł na drugim krześle.

- Chodź tu - poprosił szeptem, a ona podeszła do niego.

Objął ją ramionami i posadził sobie na kolanach. Wyciągnął spinki z koki i ukrył twarz we włosach, które zasypały ich oboje. Trzymał tak Lauren przez długi czas i tylko trzask ognia towarzyszył jego walce wewnętrznej. Potem pochylił głowę i chwycił w usta czubek piersi, ssąc ją przez cienki bastyk koszulki. Po ciele Lauren rozeszło się radosne mrowienie, doszło do podbrzusza i tam zapłonęło żywym, natarczywym ogniem. Dech jej zapało i odchyliła w zapamiętaniu głowę.

- Zawsze się zastanawiałem, jak będziesz smakowała - mruczał z twarzą wtuloną w jej szyję. - Jaka będziesz miękka. - Rozwiązał kokardkę, na którą zawiązana była ciasno koszula, i obnażył piersi żony. Ważąc jedną z nich w dłoni, zamknął usta wokół sutka i przeciągnął językiem po wrażliwej skórze. Palce dłoni wplątał we włosy Lauren, a drugą wsunął między jej uda.

- Przynależałem sobie, że nie będę się z tobą tej nocy kochał. Myślałem, że zdołam przyjść tutaj, położyć się spać przy kominku i ignorować twoją obecność w łóżku. Ze zczekam do dnia, kiedy się gdzieś osiedlimy i będę cię mógł kochać tak, jak sobie wymarzyłem, jak pragnąłem. Ale nie mogę już czekać, Lauren. I tak czekałem za długo.

Jego szorstkie słowa przepojone były taką uczciwością, że

Lauren mała serce nie pękło. Adam postawił ją na nogi, odwrócił od siebie i rozwiązał tasiemki gorsetu. Kiedy ciasny strój opadł na podłogę, pieścił jej boki, biodra, nogi. Jakby pragnął dotykać jej całej równocześnie.

Lauren odwróciła się w jego uścisku i zaczęła rozpinąć mu guziki przy koszuli. Kiedy miał już na sobie tylko mundurowe spodnie i zimowe jegiery, wsunęła czubki palców pod pasek i popatrzyła mu w twarz.

- Nie będę udawała nieśmiałej, Adamie. Nie jestem tym niewiniątkiem, które zostawiłeś w Reginie. Chcę ciebie tak, jak żona chce męża... w łóżku.

Adam ściągnął jej cieniutką koszulkę przez głowę i zsunął batystowe pantalony na podłogę, muskając przy tym dłońmi kontury ciała. Potem wyprostował się i zuchwale, zaborczo zmierzył ją od stóp do głów palącym spojrzeniem. Następnie delikatnie chwycił za ramiona i posadził na łóżku. Zrzucił z siebie ostatnie fragmenty ubrania i stanął przed nią nagi i wspaniały. Żebra było mu wyraźnie widać pod skórą, ale mięśnie na torsie zafalowały, kiedy kopniakiem odrzucał spodnie z drogi.

Ukląkł między nogami żony, objął i położył jej głowę na ramieniu. Lauren gładziła go po włosach. Były już teraz krótsze i układały się w idealne fale, tak jak pamiętała. Po wewnętrznej, wrażliwej stronie ud czuła jego ciepło.

Poruszyła się i posunęła dalej na łóżku, pociągając ze sobą przykrycie. Od tak dawna marzyła o chwili, kiedy położy się razem z nim, kiedy będzie czekała, aż ukochany przyłączy się do niej na łóżku. Adam wstał i podszedł do juków, które zwiisały z oparcia krzesła. Zaskrzyphiała skóra, Lauren usłyszała szelest tektury i papieru.

Kiedy podchodził do łóżka, zobaczyła skrawek ukrytej w jego dłoni niebiesko-czerwonej paczuszki. Mąż usiadł na skraju łóżka, plecami do niej i zapatrzył się na trzymany w rękę przedmiot. Angielski kapturek. Lauren zorientowała się, co to jest, bo przed wyjazdem z Reginy zasięgała języka na temat kondomów w apteczkę McLeana.

- Jakoś mi się to nie wydaje w porządku - wymamrotał tak cicho, że nie była pewna, czy miała jego słowa usłyszeć.

Przemknęła po łóżku, uklękła za mężem i położyła mu dłoń na ramieniu.

- To nie będzie miało znaczenia, Kochany.

Obejrzał się na nią przez ramię.

- Dla mnie będzie miało. Jakoś mi się to wydaje niewłaściwe, żeby zmieniać naturalny bieg rzeczy. Gdyby miejsce i okoliczności były inne, nie musielibyśmy tego robić.

Lauren objęła go od tyłu za szyję i przesunęła czubkami palców po jasnym, porastającym tors puchu. Przytuliła policzek do skroni Adama i popatrzyła na małą paczuszkę, którą trzymał w ręku.

- Nie ma nic złego w tym, że wybiera się moment na porządki dziecka. Teraz już wiele par zachowuje ostrożność, od kiedy te angielskie kapturki są dostępne.

Adam pochylił głowę i zerknął na nią spod oka.

- Czy chciałbym wiedzieć, dlaczego tak dobrze orientujesz się w tych sprawach?

Lauren wzruszyła ramionami i ugryzła go leciutko w ucho.

- Czy myślisz, że przy zespołowym szyciu rozmawia się tylko o ściegach? - Pochyliła się i szybkim muśnięciem języka sprawdziła, jak będzie smakowało zakłębienie na jego ramieniu.

Adam odwrócił się, objął dłonią jej głowę od tyłu i przywarł do ust w namiętym pocałunku. Lauren cofała się, ciągnąc go ze sobą na łóżko, aż leżeli tuż obok siebie. Wróciła myślą do sobotnich popołudni, kiedy ciocia siedziała przy ojcu, a ona szyła z innymi paniami, i przypomniała sobie szeptane wyznania młodych żon i doświadczonych matron. Były opowieści o młodzieńczych i nielegalnych podbojach i od dawna uprawianej miłości. Przez całe miesiące, od wtedy do teraz, starannie planowała, jak będzie uwodzić Adama.

Wzięła go w ramiona, szepcząc obietnice i obsypując słodkimi pieszczotami, a jego dłoń zapuszczała się w te rejony jej ciała, o których nikt nie ośmielał się wspominać. Pozwolił, by założyła mu kapturek, a potem przyjęła go w siebie

z pełnym rozkoszy cichym krzykiem i niezaznanym wcześniej uczuciem spełnienia.

Poruszali się razem w gnieździe z okryć i prześcieradeł. Adam kochał ją z taką słodyczą i namiętnością, że nie zwróciła uwagi na ból utraconej niewinności. I nagle przestał.

- Adam, co się stało? - zapytała Lauren, której aż dech zaparło z rozczarowania.

Wysunął się z niej, przeturlał na bok i usiadł na skraju łóżka.

- Nie mogę - powiedział, potrząsając głową.

- Wszystko będzie w porządku - zapewniła, przesuwając się, by oprzeć się o jego plecy. - Ten kapturek jest bezpieczny. Nawet pani McDonald mówiła, że jej córka...

Adam gwałtownie podniósł się i Lauren musiała ucześcić się materaca, by nie spaść na podłogę.

- Nie o to chodzi, że tak postanowiłem, Lauren. Chodzi mi o to, że... nie mogę. - Nadal odwrócony plecami do niej, odsunął się w ciemniejszy kąt. - Chcę powiedzieć, że to jest niewłaściwe. Nasze małżeństwo. Ty w moim łóżku. - Odwrócił się i potrząsnął głową. - To wszystko jest nie tak.

Lauren przytupywała i zabijała ręce. U jej stóp wierciły się i kręciły w uprzęży szare i białe wilczury. Wpatrywała się w ich chude, wygłodniałe pyski i przypomniała sobie ostrzeżenie Adama, że to są zwierzęta pociągowe, a nie pieszczołki. Były niewiele bardziej oswojone niż ich dzicy kuzyni i bez żadnego powodu mogły jej odgryźć palce.

Uniosła wzrok i zapatrzyła się na rozległą, białą równinę, która rozciągała się za główną bramą. Niemal równie pustą jak serce Lauren.

Przenikliwie zimny wiatr pluł drobinami lodu w jej twarz. Lauren owinęła szczelniej usta szalem. Zza sań wyszedł nachmurzony Adam i szarpnął za długi rzemień, którym przy mocowana była jej torba.

- Mógłbyś powiedzieć dzień dobry - odezwała się, zauważając, że teraz, kiedy się przebrał w spodnie z jeleniej skóry

i wełnianą kurtkę, nie bardzo przypomina Konnego. Z munduru został mu tylko stetson i wysokie buty.

Adam rzucił jej przelotne spojrzenie, a potem ze złością zaczął tarmosić pasy. Psy poruszyły się i niespokojnie na niego spojrzały. Nie miała pojęcia, gdzie jej mąż spędził noc. Najprawdopodobniej w swoim miejscu pracy albo w stodole. Niewiele brakowało, by Lauren pochłonęło poczucie rozpaczliwego osamotnienia. Walcząc z nim, skuliła się w kłębuszek i wreszcie ukołysała się płaczem do snu.

Słowa nie powiedział na temat ostatniej nocy. Próbowwała kilkakrotnie do tego nawiązać, ale on tylko patrzył spode łba tak jak teraz i milczał z wargami zaciśniętymi w wąską kresekę. Prawdą jest, że kiedy stała na środku jego pokoju wśród spakowanych rzeczy, po raz pierwszy zastanowiła się, czy by nie odjechać pierwszym pociągiem na Wschód. Ale potem przypomniała sobie pieszczoty Adama i bezbronność w jego spojrzeniu. Nawet jeżeli bezbronność ta pojawia się w nich tylko na kilka sekund. I optymizm oraz miłość wzięły górę nad wątpliwościami.

- Czy będziesz taki przez całą drogę? - Przystąpiła z nogi na nogę, bo z zimna zaczynały jej drętwieć palce.

Adam przeszedł na drugą stronę.

- To błąd, że cię tam zabieram, Lauren, i obawiam się, że tego błędu oboje pożałujemy.

Słowa brzmiały szorstko od targających nim złych przeczuć. Wiatr świsnął wokół Lauren, przeszedł ją dreszcz.

- Będzie to błąd tylko wtedy, jeżeli do tego dopuścimy - powiedziała cicho.

Ich oczy na moment się spotkały, potem Adam odwrócił wzrok. Lauren poprawiła na sobie męskie spodnie; było jej niewygodnie, uciskały ją w kroku. Ale Adam nalegał, by je założyła, twierdząc, że w sukience zamarznie.

- Reszta pana zapasów zostanie dostarczona, kiedy pogoda się przełamie. - Inspektor Griesbach wyszedł z grupki, która się przy nich zebrała, i podszedł do Adama. Popatrzył nad jego głową na dzikie pustkowia, na które się mieli za-

puścić. - Myśli pan, że uda się wam tak długo przetrzymać?

- Jestem pewien, że tak, sir.

Griesbach wbił spojrzenie w Lauren, a ona poczuła, że policzki czerwienią jej się pod szalem, którym owinęła sobie twarz i usta. Nie pochwalał tego, że jedzie. Bardzo uczciwie i ze swadą przedstawiał swoje zastrzeżenia, ale Adam niezachwianie stał po stronie żony. Mógł osobiście się z nią nie zgadzać, ale publicznie ze spokojem i stanowczo popierał jej decyzję, a ona jeszcze bardziej go za to kochała.

- Erik Ansgar i jego żona będą na was czekać. Powinniście dojechać za mniej więcej trzy tygodnie - oznajmił komendant, kołyszając się na stopach. Ręce założył na plecy.

- Tak szacowałem. - Adam szarpnął za jeszcze jeden pas, potem cofnął się, by zlustrować swoje dzieło. Oprócz Lauren nic już więcej się na sanki nie zmieści.

- Wszystkiego najlepszego, inspektorze. - Mężczyźni podali sobie ręce.

Mignon podeszła do boku Lauren.

- Niebo wygląda coraz groźniej.

- Tak. - Lauren podniosła wzrok i spojrzała na ciemne, pędzące po firmamencie chmury. - Adam mówił, że zanoszą się znowu na śnieg.

- Będę za panią tęsknić.

- I ja za panią. - Lauren przykryła dłoń Mignon własną, okrytą rękawicą ręką.

- Inspektor McPhail to dobry człowiek. Uratował mi raz życie. - Mignon pokiwała energicznie głową.

- Musimy jechać, żeby zdążyć przed śnieżycą. - Adam chwycił Lauren za łokieć i delikatnie pociągnął w stronę sań, każąc jej zastanawiać się nad okazywanym ostatnio przez męża męstwem.

Obejrzała się przez ramię na budynek, który był ich pierwszym domem, chociaż tylko przez kilka dni. Najlepsza halka nadal wisiała w oknie. Może to, że ją zostawiła, opromieni dzień jakiejś innej młodej żonie. Łzy pociekły jej po twarzy, kiedy wsiadała do sań.

- Wszystko w porządku? - Adam pochylił się nad nią, zadając to pytanie.

- Nie. - Otarła łzy grzbietem dłoni.

- Ha! - krzyknął Adam na zaprzęg i psy skoczyły do przodu.

- Do zobaczenia za miesiąc - wołał Duncan, kiedy pędem mijali bramę.

Adam uniósł dłoń i zostawili fort za sobą.

- Czy jesteś pewien, że on przyprowdzi Prissy? - zawołała Lauren, starając się przekrzyknąć wiatr, który porywał słowa z jej ust.

- Przyprowdzi obydwu konia, kiedy przyjedzie. W międzyczasie śnieg powinien już stopnieć.

Lauren dosłyszała tylko urywki słów męża, ale to wystarczyło, by podnieść ją na duchu. Wtuliła się w futra, które przyniósł Adam, i przyglądała się, jak z boku przelatują nie mające końca białe równiny, nakrapiane tu i tam brązowymi drzewami. Nieustanny świst płóz i monotony widok płaskiej, zaśnieżonej prerii usypiały ją powoli; wreszcie powieki Lauren opadły.

Znalazła się w pokoju oświetlonym samymi żółtymi płomykami świec. Nad jej głową koronkowy baldachim poruszała się lekko w delikatnym przewiewie. Co ja robię na łóżku? zastanawiała się, unosząc się na łokciach. O kilka stóp dalej płonął na kominku ogień, wesoły i trzaskający. Jakiś mężczyzna opierał się o gzyms, łagodne światło zabarwiało opalenizną jego twarz i, pieszczotliwie muskając nierówności na nagiej skórze, ślizgało się po pasie, biodrach, plecach. W Lauren obudziło się pożądanie. Wstała z łóżka, coś ją do niego ciągnęło. Skórę miał ciepłą i miękką. Uniosła dłoń do jego ramienia. Mężczyzna powoli się odwrócił. Brązowe oczy Adama płonęły, objął ją ramionami. Ustami odnalazł miękkie zagłębienie na szyi. Lauren odchyliła do tyłu głowę i przymknęła oczy, z radością godząc się na tę słodką mękę. Mężczyzna odsunął się, a ona uniosła powieki i nad sobą ujrziała... nie brązowe oczy Adama, tylko niebieskie Edmunda!

- Co się stało? - Adam potrząsał ją za ramię, przechylając się przez oparcie rozpedzonych sań.

- Co? - Lauren otworzyła oczy.

- Coś ci się śniło i krzyknęłaś. - Jej mąż podniósł głos.

- Co mówiłam? - zapytała Lauren; sen stał jej w pamięci jak żywy.

- Nie wiem. - Adam potrząsnął głową. - Nie udało mi się zrozumieć.

Wiatr porywał jego słowa i unosił je w dal. Wdzięczna była, że nic nie słyszał. Ale ta ostatnia wizja nią wstrząsnęła. Wtuliła się głębiej w kudłate futro płaszcza. Dlaczego wizerunki Edmunda i Adama się splątały? Co to mogło oznaczać? Z poczuciem winy pomyślała o swojej torebce, którą spakowała do walizki. Dlaczego nie wyrzuciła listu od Edmunda? Nie potrafiła wymyślić żadnej odpowiedzi, nie potrafiła też rozstać się z tym listem. Czy jego słowa stanowiły dla niej ostatnie ogniwo, łączące ją z dawnym życiem? Czy to dlatego zachowała list? Zajrzała wnikliwie w głąb własnego serca i nie znalazła tam miłości do Edmunda, a tylko głęboką wdzięczność i serdeczną przyjaźń. To dlatego zachowała ten list, powiedziała sobie. Z przyjaźni.

Zamieć uderzyła o zmierzchu, a zaczęła się od miękkich, puchatych płatków, które sypały się z góry niczym piórka. Adam skręcił saniami na ledwie widoczną pod śniegiem ścieżynę. Wjechali na jakieś wzgórze i tam wysunął nogę, żeby zatrzymać sanie, tworząc obok płóz ślad na kształt rozpostartego koguciego ogona. Psy się natychmiast pokładły, a Adam, burcząc pod nosem, zaczął gmerać w jednej z toreb, o które opierała się Lauren.

- Czego szukasz? - zapytała, ale on już wygrzebał swą szkarłatną kurtkę, pośpiesznie przebrał się i zarzucił bawoli płaszcz na ramiona. - Co robisz?

- Chcę nam zapewnić jakieś zabezpieczenie. Jak się zatrzymamy, masz się trzymać za moimi plecami. Zrozumiałaś?

Uniósł wysoko brwi, a Lauren kiwnęła głową. Adam wsiadł

z powrotem na sanie i ruszyli. Zjechali w zagłębienie, biegnące równoległe do strumienia. Nagie wierzby pochylały się nad zamarznąłą wodą. Z wirującej mgły wychynęło jakieś światło, potem drugie. Pojawiła się cała chata, śnieg grubą warstwą pokrywał jęczący pod jego ciężarem dach. Ucieszyła się na widok tego domu, tak nowego, że końce bali jeszcze nie poczerniały. Sanie zatrzymały się, psy natychmiast się położyły i wetknęły sobie nosy pod ogony. Adam pomógł Lauren wysiąść, ale nogi miała tak zeszywniałe, że trzymała się na nich niepewnie.

McPhail szarpnięciem otworzył drzwi. Z wnętrza dobiegły grzmiące, ochryple głosy i brzęk rozbijanego szkła. Wszedł do środka, mając Lauren tuż za plecami. Dużą salę z krótkim barem w kącie wypełniały z gruba ciosane stoły. Na wyciętych z beczek krzesłach rozsiedli się trzej mężczyźni, rzucając na stos pogięte i podarte karty. Oczy wszystkich podniosły się, kiedy Adam ściągnął kapelusz i otrzepał sobie włosy ze śniegu.

- Inspektor McPhail. Witamy. - Z ciemności wychynął jakiś człowiek, owinięty w brudny fartuch i wycierający ręce w równie brudny ręcznik. - Witamy w Przystanku u Bena. - Wyciągnął wielką łapę, a Adam ją uściśnął.

- Dziękuję. Czy może nas pan przenocować?

Chociaż Lauren była tak grubo ubrana, poczuła, że mężczyzna obmacuje ją wzrokiem. Jego uśmiech sugerował, że wyobraża sobie, co jest pod spodem.

- Pełno mam, ale na tyłach stoi wygodna, ciepła stodoła. Jest w niej nawet piec. Wyjątkowo szczelnie żem ją zbudował, żeby bydełku było ciepło. Pan i wasza pani będziecie pierwszymi, co w niej przenocują. - Uśmiech miał szeroki i bezzębny. - Ochrzciecie ją, że się tak wyrażę. - Zachichotał bezgłośnie, a brzuszysko podskakiwało mu przy tym w górę i w dół.

Wyraz twarzy Adama nie zmienił się ani na jotę, ale Lauren zauważyła, że jego uszy odrobinę poczerwieniały na bezceremonialną sugestię gospodarza.

- Bardzo nam to odpowiada.

- A nie chcecie, ludzie, czegoś zjeść? Proste potrawy, ale gorące i dużo.

Adam powiódł wzrokiem po sali; najpierw ogarnął nim przyglądających się im mężczyzn, potem bar.

- Jesteś głodna? - zapytał, nie patrząc na żonę.

Powietrze wypełniał ciepły zapach wołowego rosołu. Kiedy Lauren go poczuła, aż ją zaczęło ssać w żołądku.

- Tak, okropnie.

Adam odsunął krzesło i zaczekał, aż żona usiądzie, nie przestając obserwować mrocznych kątów sali. Lauren to jego roztargnienie zaczynało niepokoić. Zerknęła na mężczyzn, siedzących o kilka stóp od nich, a oni popatrzyli po sobie. Ciarki jej przeszły po karku.

- Może nie jestem aż taka głodna - wyszeptała, pochylivszy się nad stołem.

Adam się uśmiechnął.

- Nonsens. Oboje umieramy z głodu. - Odchylił się do tyłu na krześle i zrzucił płaszcz. I znowu mężczyźni popatrzyli po sobie i wymienili półgłosem jakieś uwagi.

- Tak już jest, przy szkarłacie inaczej ludzie gadają - powiedział Ben, stawiając przed nimi dwie parujące miski, a zaraz potem talerz z podsmażonym chlebem.

- Tak już jest, prawda. - Adam wybrał kromkę i odgryzł kawałek. - Bardzo dobre. - Pokiwał głową, a Ben szeroko się uśmiechnął.

- Zawsze chętnie służę jednemu z wybrańców Jej Królewskiej Mości. - Odwrócił się i począpał do baru.

- Jak może nie mieć miejsca, jeżeli poza tymi ludźmi nikogo tu nie ma? - zapytała Lauren z pełnymi ustami.

- Ma tylko stryżek z paroma pryczami. Lepiej na tym wyjdziemy, jak przenocujemy w stodole. - Adam skosztował potrawki. - Smaczna. Spróbuj.

Lauren podniosła widelec i oczyściła go z przyschniętych drobin jedzenia, walcząc ze zbuntowanym nagle żołądkiem.

- Kawy, inspektorze? - Ben znowu pojawił się przy ich stole; trzymał metalowy dzbanek do kawy z rączką owiniętą ścierką w czerwoną kratkę.

Adam kiwnął głową i posunął do przodu spękany, kamionkowy kubek.

Siedzący przy sąsiednim stoliku potężnie zbudowany mężczyzna w kraciatej niebieskiej koszuli odepchnął nagle krzesło, wstał i jedną muskularną ręką zmiotł karty ze stołu.

- Łżesz! - wybełkotał i poderwał sąsiada na nogi, chwytając go za koszulę pod szyją.

- Przysięgam, że nie. Miałem szczęście, jak dokupywałem, i tyle. - Ten drugi wisiał kilka cali nad podłogą, materiał jego koszuli się napiął.

Adam otarł usta chusteczką, podniósł się i stanowczym krokiem podszedł do graczy. Człowiek w kraciatej koszuli był wysoki i tęgi, na twarz spadała mu rozmierzwiona grzywa długich, czarnych włosów.

- Macie jakiś problem, chłopcy? - Adam zatrzymał się u ich boku z rękami założonymi na plecy.

- Oszukiwał - zagrzmiał wielki i pokazał palcem wolnej ręki na zwisającego mu z garści mężczyznę.

- Przysięgam, że nie, inspektorze. Tom się po prostu urżnął, a karty tak się ułożyły. Uczciwie - kwiknął tamten.

- No cóż, Tom. Może jakbyś go postawił, moglibyśmy wyjaśnić to po dżentelmeńsku.

Tom wbił w Adama mordercze spojrzenie, a Lauren poczuła, że ją w gardle ściska.

- Nie postawię go. Oszukał mnie i chcę dostać, co mi się należy, a pan się lepiej nie wtrącaj.

- Nie mogę tego zrobić. - Adam spuścił wzrok i potrząsnął głową. - Taką mam robotę. Nie chciałybyś, żebym się miął od obowiązków, prawda?

Tom uśmiechnął się szeroko.

- Taką masz pan robotę? Słuchaj no, panie Konny, czy to twój obowiązek, prześladować Czarnego Angusa?

Twarz Adama ani drgnęła.

- A. Powinienem się być zorientować. Jesteś Tom Czarnego Angusa.

Tom zmarszczył brwi.

- Nie jestem niczym Tomem, panie Konny.

- Tylko swoim własnym panem, co? - Adam pochylił się do przodu. - Czy dlatego odwalasz brudną robotę za Angusa?

Tom puścił trzymanego mężczyznę i zaatakował Adama. Rycząc ze złości, uniósł w górę ciężką pięść. Lauren zerwała się, z przerażenia mało się nie udusiła. Ale zanim zdążyła mrugnąć, dłonie Adama wystrzeliły do przodu i wykręciły Tomowi rękę na plecy.

- Auu. Puść mnie pan, do cholery!

- Dopiero jak to odeśpisz. Rano będziesz mógł przeprosić.

Tom wygiął się do tyłu. Kiedy Adam prowadził go w kierunku schodów, olbrzym stopami ledwo dotykał podłogi. Razem wdrapali się po rozklekotanych stopniach i zniknęli na górze.

Lauren opadła z powrotem na krzesło, zapomniała o jeździe. Po kilku minutach Adam wrócił na dół, poprawiając na sobie kurtkę i otrzepując spodnie z pajęczyn.

- Miałem rację - powiedział, siadając znowu przy stole. - Tam na górze jest tylko stryżek i kilka starych, zakurzonych pryczy. - Podniósł widelec i nabił kawałek wołowiny.

- Czy tylko tyle masz do powiedzenia na temat tego, co się właśnie stało?

Widelec zawisł w pół drogi do ust. Adam patrzył na nią bez zrozumienia.

- A co byś chciała, żebym jeszcze powiedział?

- On mógł cię zabić - wyszeptała Lauren.

- Nie groziło mi żadne niebezpieczeństwo.

Miejsce przerażenia zajął gniew.

- Okropnie nonszalancko do tego podchodzisz.

Adam się uśmiechnął.

- Wiedziałem dokładnie, co robię i jakie mam szanse. Nigdy bym tak nie postąpił, gdybym nie był pewien.

Serce Lauren powoli się uspokajało i przestawało łomotać, zaczęło natomiast drżeć. Z brzękiem upuściła widelec.

- A gdyby on miał broń?

- Nie miał. - Adam dokończył z apetytem następny kawałek chleba i odchylił się do tyłu z kubkiem w dłoni.

- Skąd wiedziałeś? - Lauren usłyszała, że głos jej się załamuje; oczy zapiekły ją od łez. Czy zawsze już tak będzie? Czy wszędzie, gdzie Adam się znajdzie, będzie wystawiał własną odwagę na próbę?

Adam pochylił się do przodu, odstawił kubek z kawą i chwycił jej dłonie.

- Jest ci zimno.

- Wcale nie. - Usiłowała mu wyrwać dłonie, ale mocno je trzymał. - Czy ten człowiek zna Czarnego Angusa?

- Tak.

Łzy przysłoniły jej oczy.

- A więc wiedział, kim jesteś. Mógł cię zastrzelić od razu, jak tu weszliśmy.

Adam pogłaskał jej palce i łagodnie się uśmiechnął.

- Jak tylko weszliśmy, wiedziałem, że będą kłopoty. Już wtedy był trochę wstawiony, pewnie jakimś samogonem. Przysłuchiwałem się ich rozmowie i doszedłem do wniosku, że nie jest bardzo bystry i ani bardzo niebezpieczny, chociaż tak się przechwala. Kiedy zdjął kurtkę, zobaczyłem, że spodnie ma zbyt obcisłe, by ukryć w nich broń, nie zatknął jej też sobie za pas. Mógł ją schować wyłącznie w wysokim bucie. Ten drugi był nieszkodliwy, a żaden z pozostałych nie zamierzał narażać się konnemu policjantowi. Zadowolona?

Lauren podniosła oczy na jego twarz. Z miny Adama nic się nie dało wyczytać. Nie potrafiła ocenić, czy właśnie wykazał się brawurą, czy prawdziwą odwagą.

- Nie. A gdyby miał broń w bucie?

Adam wzruszył ramionami.

- Nie zdołałby się ruszyć na tyle szybko, by ją wyciągnąć.

- Czy nie obawiasz się, że ta twoja arogancja może kiedyś doprowadzić do tego, że cię zabiją? - Lauren wyrwała mu swoje dłonie i wepchnęła je głęboko do kieszeni. - Dlaczego nie użyłeś broni?

- Broń wyciągam wyłącznie wtedy, kiedy nie mam innego wyjścia. - Słowa Adama były suche i twarde. - Nie jestem arogancki, Lauren. Jestem ostrożny i metodyczny. Tylko głu-

piec wdaje się lekkomyślnie w taką sytuację. Ja ją po prostu przewidziałem.

- Przewidziałeś? - Lauren porytowana była własnym strachem i jego obojętnością na ten strach. - Jak to?

Adam wstał i narzucił płaszcz. Przeszedł na drugą stronę stołu i odsunął jej krzesło.

- Jego sąsiad wyciągnął sobie asa z samego spodu talii.

Lauren się podniosła.

- I ty to wszystko stąd widziałeś?

Adam objął ją za ramiona i pociągnął za ucho.

- Roztropność i logika, moja droga. Roztropność i logika.

6

Kiedy otwierali wrota stodoły, wyorując przy tym szeroką ścieżkę w szybko gromadzącym się śniegu, owionęły ich ciepłe zapachy zwierząt. Lauren przypominały się bożonarodzeniowe opowieści; rozejrzała się po starannie zbudowanych sąsiadkach, wypełnionych świeżym sianem, które pachniało latem i słońcem. Na stropie stodoły krzyżowały się świeże sosnowe belki, podłoga była niedawno ubita. Po bokach leżały stopy siana luzem i czekały, aż ktoś przerzuci je do sąsieków. Zamknęli za sobą drzwi i zostali w środku razem z żywym inwentarzem.

- Rozłóż nasze koce o tam. - Adam pokazał na stos siana. - Ja sprawdzę psy. - Otworzył drzwi, przez które wiatr natychmiast dmuchnął śniegiem, i już go nie było.

Stojące wewnątrz dwa konie spokojnie żuły siano i przyglądały się Lauren dużymi, brązowymi oczami. Lauren podeszła i podrapała jednego z nich po czole. W odpowiedzi koń cichutko zarżał. Na środku stodoły stał beczułkowaty piecyk, otoczony kręgiem ubitej ziemi. Węgla w palenisku ledwo się żarzyły. Drzwiczki zapiszczały, kiedy Lauren je otworzyła, by dorzucić polano. Potem objęła się ramionami. Takie teraz będzie jej życie, powiedziała sobie. Powinna była o tym wiedzieć i pamiętać. Niebezpieczeństwa, strach i niepewność będą jej towarzyszyły na każdym kroku, o każdej porze. Ale tak samo będzie jej towarzyszyła miłość. Przymknęła oczy, przypominając sobie, jak Adam dotykał jej warg ustami, jak ją obejmował.

Musisz, córko, dokonać wyboru Słowa ojca przypomniały jej się z nową jasnością, słowa wyszeptane przez mgiełkę bólu.

Zdawała sobie teraz sprawę, że było to ostrzeżenie... i naleganie. *On da ci miłość i siebie. Nic więcej nie ma do zaoferowania. Musisz się tym zadowolić. A cała reszta to już tylko śmietanka.*

- Pensa za twoje myśli. - Lauren aż podskoczyła, poczuwszy na karku oddech Adama.

- Wystraszyłeś mnie. - Przyłożyła dłoń do piersi. Serce jej waliło.

- Gdzie byłaś? - Położył dłonie na ramionach żony i okręcił ją twarzą do siebie. - Wystarczająco dużo hałasu narobiłem, wchodząc. - Przymrużył oczy, zatroskany, jego twarz ocieniał szerokoskrzydły kapelusz. I nagle Lauren zapragnęła znaleźć się w jego objęciach, poczuć, jak ją bezpiecznie zamyka w ramionach, położyć mu policzek na piersi i wiedzieć, że tuż pod materiałem bije jego serce.

- Myślałam o ojcu - powiedziała cicho.

Adam przyciągnął Lauren bliżej do siebie, spadające ze stetsona drobinki śniegu połaskotały ją w nos.

- Musi ci go brakować.

- Brakuje. Był bardzo mądry. - Wtuliła się w męża i ucieszyła, kiedy pogładził ją po plecach. - Udzielił mi kilku dobrych rad, dotyczących małżeństwa z policjantem konnym.

- O. - Ręka Adama znieruchomiała. - A co mówił?

Lauren podniosła oczy. Stała z twarzą o kilka cali od twarzy Adama. Wystarczyłoby, żeby ją pocałował, a lęk i niepewność stopniałyby jak śnieg. - Powiedział, że dopóki mamy miłość, cała reszta ułoży się sama.

- Naprawdę był mądry. - Adam lekko musnął pocałunkiem usta Lauren, potem puścił ją, zdjął kapelusz i strzepnął z niego kropelki wody. - Zawieja robi się coraz gorsza. - Wziął dwa koce i rozłożył je na sianie, starannie wygładzając rogi. - Założyłbym się, że niejedną noc podczas zawiei spędził w taki właśnie sposób. - Dorzucił jeszcze jedno polano do piecyka i Lauren zauważyła, że przyniósł więcej drewna.

- Nigdy nie opowiadał dużo o Wielkim Marszu. Mówił tylko, że był długi i trudny, i że jest dumny, że brał w nim udział. - Lauren potarła przedramiona.

Adam przykucnął i wyskrobał popiół z otworów wentylacyjnych u dołu pieca. Drewno buchnęło wiśniowym płomieniem.

- Żałuję, że go lepiej nie znałem.

- Ja też tego żałuję. - Lauren zdjęła z siebie zbyt obszerną męską kurtkę; w samej koszuli i spodniach czuła się nieprzyzwoicie lekko. - Adamie - poprosiła, podchodząc do piecyka - opowiedz mi o swoim ojcu.

Mąż rzucił jej krótkie, chmurne spojrzenie.

- A dlaczego chcesz coś o nim wiedzieć?

Lauren wzruszyła ramionami.

- Sama nie wiem. Nigdy wiele nie opowiadałeś ani o nim, ani o swojej rodzinie.

Adam nie odrywał wzroku od piecyka; bolesne wspomnienia zalewały go z dręczącą intensywnością.

- Adam?

- Niewiele mam do opowiadania. Znasz tę historię. - Rzucił kapelusz w nogi posłania z koców i wstał.

- Wiem, że opuściłeś Anglię, żeby przyjechać tutaj, a potem wstąpiłeś do Północno-Zachodniej Konnej Policji. Nic więcej mi nie powiedziałeś.

Adam patrzył, jak Lauren podchodzi do jednego z boksów i gładzi tarantowatego konia, który wytknął nos nad przegrodę. Pod szeroką, płócienną koszulą z trudem można było dopatrzeć się jej kształtów, ale opinające biodra spodnie niewiele zostawiały pola do domysłów. Przyglądał się jej ruchom i czuł, jak narasta w nim pożądanie. Jak długo wytrzyma? zastanawiał się. Jak długo zdoła się powstrzymać i nie kochać się z nią? Jak długo zdierzy, zanim jego żona zajdzie w ciążę?

- Kiedy dojedziemy do naszego domu? - zapytała Lauren przez ramię.

- Gdzieś za trzy tygodnie. - Adam owinał się ciaśniej płaszczem i przeciągnął się. - Będziemy musieli ruszyć wcześniej rano.

Lauren odwróciła się i wrzuciła do boksu ostatnią garść siana.

- Nadal chciałabym dowiedzieć się, dlaczego wstąpiłeś do policji.

- Wiesz, dlaczego. Rozmawialiśmy o tym wcześniej.

Powoli ruszyła ku niemu.

- Mówiłeś, że musimy poznać się lepiej, poudajmy więc, że się dopiero spotkaliśmy.

- Lauren, to niemądre. - Cofnął się o krok, kiedy się zbliżyła.

- Dawniej nie uważałeś mnie za niemądrą. - Opasała jego kark ramionami i zadrżała mu w oczy. - Mało tego, uważałeś, że jestem śliczna. - Roześmiała się, oczy zabłyśły jej psotnie.

- A ty skąd o tym możesz wiedzieć? - Adam objął żonę w pasie, a potem przyciągnął blisko do siebie i wdychał jej zapach.

- Ojciec mi powiedział.

- No cóż, przy was dwojgu czułem się niezbyt pewnie. Bo pomyśl tylko: taki zielony rekrut, jakim byłem, wykonuje skomplikowane manewry, dosiadając na wpół ujeżdżonego konia, a wszystko to na oczach dowódcy i jego ślicznej córki. - Wtulił nos w szyję Lauren, a ona odchyliła głowę, by miał łatwiejszy dostęp.

- No więc dlaczego wstąpiłeś?

Ręce Adama opadły. Podeszedł do okienka, które niemal całkowicie zabite było śniegiem.

- Uczepisz się czegoś i już nie popuścisz, prawda?

- Jak mogę poznać cię lepiej, jeżeli nie chcesz się ze mną niczym podzielić? - Lauren dotknęła jego ramienia i Adam mocniej chwycił za parapet.

- Wiesz, jak było - powiedział ostro. - Dlaczego chcesz mnie zmusić, żebym na nowo przeżywał ten ból? - Pożałował swoich słów, jak tylko wyszły z ust.

Pełne zaskoczenia oczy Lauren wypełniły się łzami.

- Przepraszam cię... przykro mi. Chciałam tylko, żebyś ze mną porozmawiał.

Gwałtownie się od niego odwróciła, podeszła do posłania i się położyła. Naciągnęła koc na siebie i leżała na boku, plecami do męża.

Milczała. Adam słyszał tylko sporadyczne, stłumione przez

koc pociąganie nosem. Przysiadł na stosie drewna, nie zważając na to, że od śniegu przemakają mu spodnie. Wbił wzrok w płomienie, mrugające przez szpary w ściankach pieca, i przeklinał się od ostatnich. Dlaczego tak trudno mówić mu o swoim ojcu? Ujawnić, o czym myśli? Zwłaszcza przed żoną. Ich zaloty wymagały niewielu słów; najczęściej były nimi komplementy i wesołe przekomarzanie się, mające raczej wprowadzić miły, podniecający nastrój niż o czymkolwiek informować.

Zerknął na plecy milczącej Lauren. Dlaczego nie potrafi porozmawiać z kobietą, którą kocha, powiedzieć jej, jak bardzo się boi, jak bezradny się przy niej czuje, jak głęboka jest jego miłość? Zwiesił głowę i, zacisnąwszy pięści, przycisnął je do skroni. Nie zdoła od niej odejść, nawet gdyby tego chciał, ale równocześnie nie może być dla niej mężem. Jeszcze nie. Z przerażenia zrobiło mu się chłodno, jakby zanurzył się w lodowatej rzece. Z ciemności wypłynęła twarz kobiety... biała, przerażona, z oczami rozszerzonymi ze zgrozy. Trzymał nieżywego noworodka. Zimnego. Sinego. Bez życia.

- Nie - wymamrotał przez zaciśnięte zęby. - Nie, nie pozwolę, by coś takiego spotkało Lauren.

- Co mówiłeś? - Lauren się odwróciła. Chociaż światło od ognia było przyćmione, widział, że twarz ma zalaną łzami.

- Nic. Idź z powrotem spać.

Lauren przewróciła się na drugi bok i wbiła wzrok w drewniany słup, który miała tuż przed twarzą. Dlaczego Adam wzbrania się przed wszelką bliskością, nie tylko cielesną, ale i duchową, i umysłową? Zacisnęła mocno powieki, starając się powstrzymać narastającą w sercu frustrację. Przyjdzie czas, że przełamie jego opór. Przyjdzie czas, że jej mąż odpręży się i otworzy się przed nią. Przyjdzie taki czas.

Przez trzy tygodnie podróżowali przez dziki kraj, na którym zacisnęły się lodowate szpony zimy. Nocami, kiedy temperatura spadała, a wiatr wył na otwartych przestrzeniach, ich domem stawały się chaty traperów, poutykane w zakolach rzeki i ukryte w wiklinowych zaroślach. Każdy z nocu-

jących tam wcześniej podróżników sumiennie uzupełniał zapasy drewna i na widok chaty mogli się spodziewać, że nie szukając po ciemku opału, ogrzeją się przy ogniu. Adam błędnie orientował się, gdzie szukać tych domeczków, pochylonych niekiedy pod brzemieniem lat i słoty, a zanim następnego ranka odjechali, uzupełniał znowu zapasy drewna i wody i starannie zamykał drzwi.

- Niedługo będzie odwilż - oznajmił, kiedy zatrzymali się w południe, żeby coś zjeść. - Trzeba od teraz uważać, przejeżdżając po lodzie. - Pogrzebał w saniach i wyciągnął poplamioną olejem, płócienną torbę.

- Czy daleko mamy jeszcze, jak myślisz? - Lauren ugryzła kawałek suchara. Wcześniej tego ranka przejeżdżali obok gospodarstwa jakiegoś osadnika i jego żony. Kobieta wcisnęła Lauren do rąk tuzin takich sucharów. Lodowaty wiatr oblepiał jej spódnicę wokół nóg, kiedy machała do nich wesoło na pożegnanie, stojąc przy sznurach, na których wisały zamrożone na kość ubrania. A wcześniej nakarmiła gości z wielkiego, pyrkającego nad ogniem kotła, nie wdając się w wyjaśnienia, czym ich częstuje.

Adam, jako dżentelmen, wzięwszy podany talerz, pomodlił się za wszystkich przy stole, a potem jadł z apetytem, chwając za każdym kęsem kucharkę. Lauren usiłowała się uśmiechać i docenić gulasz, ale smakował oleście i jakoś niesamowicie. Później Adam tylko uśmiechnął się, kiedy zapytała, co jedli, a następnie, niczego konkretnie nie wyjaśniając, powiedział, że zimą osadnicy muszą czasami jeść to, co im się trafi.

- Nie może być już dalej niż dzień drogi albo najwyżej dwa. - Zostawiwszy Lauren, poszedł do psów i rzucił każdemu po rybie. Zapasy jedzenia dla psów kurczyły się. Jeżeli nie dojadą wkrótce nad jezioro Onion, będą musieli polować, żeby wyżywić zaprzęg.

Lauren, pogryzając suchar, spacerowała tam i z powrotem, wdzięczna, że ma szansę wyprostować skurczone nogi.

- Jak myślisz, jaki będzie nasz dom?

- Nie wiem. - Adam rzucił psom ostatni kawałek ryby i umył

ręce śniegiem. - Jestem pewien, że coś na nas czeka. Chata albo przynajmniej jakieś pomieszczenie, które będziemy mogli nazwać domem.

Dom. Lauren smakowała to słowo w myślach, ciesząc się ciepłym uczuciem, które w niej budziło. Nie przywiązywała wagi do faktu, że może czekać na nich tylko jeden pokój. Znajdą się we własnym domu.

- Czy będą tam jacyś Indianie? - Odepchnęła do tyłu futrzany kaptur, uświadamiając sobie, że jest cieplej niż poprzedniego dnia. Adam martwił się, że może powiać z południowego zachodu chinook, ciepły wiatr, który stopi śnieg, zanim dojadą na miejsce. Musieliby wtedy iść na piechotę.

Teraz prychnął śmiechem.

- W okolicach jeziora Onion nie ma praktycznie niczego poza rezerwatem Kri.

- Widzisz? Więc będą tam jakieś kobiety.

Nie odpowiedział, tylko zerknął na nią spod oka. Rozmowa się urwała. Lauren nie kwapiła się, by ponownie poruszyć drażliwy temat. Adam nigdy słowem nie nawiązał do tego, co wydarzyło się w ich poślubną noc. Nie próbował też zbliżyć się do niej nawet wtedy, kiedy kusiła go i bezlitośnie droczyła się z nim w jakiejś niezbyt ciepłej chacie.

Teraz popatrzył przelotnie na chmurki, szybko mknące po lazurowym niebie.

- Powinniśmy dziś wcześniej rozbić obóz. Spróbuję znaleźć jakiegoś królika albo coś. Mam już dość pemikanu - powiedział, sprawdzając uprząż psów.

- Ja też.

- Lepiej wsiądź już. - Pokazał głową na sanie i nałożył znowu bobrowe rękawice.

Lauren stanęła w sankach i skuliła się, by wpasować się w niewielką przestrzeń między torbami i futrami. Adam stanął na płozach.

- Ha - krzyknął, a psy pozbierały się na łapy i rzuciły do przodu.

Po południu zaczął wiać nietypowy dla tej pory roku, ciepły wiatr. Lauren odrzuciła okrywające kolana futra i ściągnęła kaptur. Śnieg zrobił się miękki i mokry, a kiedy mknęli przed siebie, spod płóz rozpryskiwała się delikatna, wodnista mgiełka. Przystanęli przy jakimś strumieniu, bo Adam chciał sprawdzić, czy psom między palce u łap nie powbijał się lód. Przykucnął w wilgotnym śniegu i, przemawiając łagodnie, oglądał kolejno każdą ich kończynę, a potem nakładał na nią coś w rodzaju skórzanej torebki i mocno zaciągał ją rzemieniem z niewyprawionej skóry.

Wiatr, który wiał Lauren w twarz, przestał przenikać chłodem. Raz, kiedy przejeżdżali przez strumień, lód zatrzeszczał pod płozami. Sanie przechyliły się na moment, ale na ostry rozkaz psy pośpiesznie wdrapały się na niewielką pochyłość i wyszarpnęły przy tym sanie z wody na bezpieczne miejsce.

- Zatrzymamy się tutaj - oznajmił Adam, kiedy słońce zaczęło zniżać się nad horyzontem. Lauren powiodła wzrokiem w kierunku, który wskazywał palcem, i zobaczyła krzywą chatę, niebezpiecznie przechyloną na jedną stronę. Chata niemal całkowicie ukryta była w splątanym poszyciu.

- Czy to nie cudowne? - wykrzyknęła, wysiadając z sań. Pierwszy raz od wielu dni uwolniła się od płaszcza z bawolej skóry. Wyprostowała ręce nad głową, było jej lekko na sercu.

- Nie cieszyłabyś się tak, gdybyś wiedziała, co nas czeka - burczał Adam, wyprzęgając psy.

- Dlaczego? Co nas czeka? - Lauren dźwignęła jedną z pak i postawiła ją na ganku przed chatą.

- Chinook. Tak się właśnie na ogół ciszkiem zakrada, ale kłopoty zaczynają się, kiedy znowu robi się zimno.

- A może to już odwilż?

Adam stęknął i podciągnął sanie bliżej do ganku, potykając się o leżącą luzem deskę.

- Wątpię.

Ignorując jego zrzęczenie, Lauren uchyliła drzwi do chaty i wetknęła głowę do środka. Izba obwieszona była pajęczynami, które rozciągały się od jednego rogu do drugiego.

Kurz pokrywał miękką puszystą szarością rozchwieutany stół i jedno jedyne krzesło. Po podłodze czmychnęły jakieś stworzonka. Ich ogonki, zanim zniknęły, ujawniły, kto obecnie zamieszkuje chatę.

- Czy myślisz, że to palenisko będzie działać? - zawołała Lauren, pochylając się, by zajrzeć do komina. Zdarzyło im się na początku podróży, że komin okazał się tak zapchany, iż gęsty i czarny dym wykopiał na izbę. Tamtej nocy musieli spać przy wszystkich oknach otwartych.

- Pewnie tak, chyba że komin jest znowu zapchany - dobiegł z zewnątrz głos Adama. Lauren zachichotała, że tak odczytał jej myśli. I zaraz posmutniała. Spędzili razem na szlaku trzy tygodnie, sam na sam, a wciąż Adam nawet jej nie dotknął. Był życzliwy, troskliwy, łagodny, ale nie namiętny. Rozmowy z nim niewiele pomagały. Przetarła pokryte sadzą okienko i przyglądała się, jak jej mąż wyprzega psy i pieczołowicie zdejmuje im buty. Psy zaraz czmychnęły pod ganek.

- Pójdę upolować coś na kolację. - Tupiąc głośno, Adam wszedł do środka, ściągnął bobrowe rękawice i rzucił je na stół, z którego podniósł się tuman kurzu.

- Czy mogę pójść z tobą? - zapytała Lauren.

Adam, przymrużywszy oczy, przyjrzał się żonie. Twarz pobruździło mu zmęczenie. Lauren odgarnęła pasemko włosów, żałując swoich słów. Wiedziała, że Adam bardziej się martwi o nią niż o siebie.

- Pewnie tak, ale będziesz musiała zachowywać się cicho albo znowu czeka nas pemikan - powiedział przesadnie karzącym głosem.

- Obiecuję. - Lauren położyła sobie dłoń na sercu, udając wielką powagę.

Mąż uśmiechnął się do niej szeroko, potem wyciągnął rewolwer Enfield z futerału i zakręcił magazynkiem, by sprawdzić, czy są w nim naboje.

Wyszli z chaty i ruszyli przez las. Czarne cienie drzew rysowały się wyraziście na płótnie śniegu. Drobnutkie ślady biegły pojedynczym sznurem, chociaż częściej podwójnym,

przemykając pomiędzy drzewami i pod nisko zwisającymi gałęziami.

- Popatrz - powiedział Adam i przykucnął w miejscu, gdzie leżała złamana gałąź, na której od jesieni zachowały się martwe, brązowe liście. - Tu się żywiły ptaki. - Pokazał na setki pajęczych śladów wokół kręgu gołej ziemi, wydeptanego w śniegu przez małe nóżki.

Lauren zajrzała pod gałąź i się uśmiechnęła. Wkrótce nadejdzie wiosna i wszystkie małe śmieciojady polecą w korony drzew, napełniając niebo piosenkami.

- Wiosna jest już w drodze. Czuję to. - Wstała, rozpostarła szeroko ramiona i zawirowała jak w tańcu. Nogi miała obolałe i poodcierane, ale głęboki błękit nieba podnosił ją na duchu. Nad ich głowami chmurki sunęły leniwie, przypominając Lauren lato na wschodzie.

Adam parsknął głębokim, gardłowym śmiechem i odepchnął kapelusz na tył głowy. Grube, bawole futro zrzucił już kilka dni wcześniej i teraz miał na sobie tylko szkarłatną kurtkę. Kiedy zapytała, dlaczego nie przebierze się w bardziej nieformalny strój, który wiozł ze sobą, odpowiedział, że nawet tutaj szkarłat budzi szacunek.

- Nie licz na to, że zima tak szybko się skończy. Wciąż jeszcze jest wcześniej - powiedział i, kiedy okręciła się po raz drugi, zerknął na nią z ukosa spod kapelusza. - Tracisz ceną energię.

- No i co z tego. Dzień jest tak śliczny, że zima nie ośmieliłaby się mu narzucać. - Lauren uniosła twarz ku słońcu, wdzięczna za ciepło, które czuła na skórze.

- Sprawy tutaj nie zawsze mają się tak, jak z pozoru wyglądają. Spodziewaj się tego, co niespodziewane, i oczekuj najgorszego. Wtedy nic cię nie zaskoczy. - Wepchnął lewą dłoń głęboko do kieszeni i znowu zaczął przyglądać się cieniu, otaczającym kępę drzew.

- Co za pesymista. Widzę, że będę musiała spróbować cię zmienić.

Adam się uśmiechnął.

- A więc myślisz, że uda ci się mnie zmienić?

- Myślę, że mogę spróbować.

- A co chciałaby pani zmienić, pani McPhail?

Serce Lauren rozśpiewało się radośnie na żartobliwy ton w głosie męża.

- Pomyślmy... Najpierw zrobiłabym coś, żeby z twojej twarzy zniknęło to nieustanne zachmurzenie. A potem postarałabym się, żebyś był mniej poważny.

- Mniej poważny? Chodzi ci o to, żebym śmiał się i żartował przez cały czas?

Lauren wyczuła w jego głosie pewną ostrość i pośpiesznie zaczęła wyjaśniać.

- Nie, nie przez cały czas. Chodzi mi tylko o to, że wolałabym, byś mniej myślał, a więcej cieszył się życiem.

- Och, więc kazałabyś mi nosić koronkowe mankiety i mówić coś w rodzaju: „Jaką piękną masz suknię, moja droga. Gdzie udało ci się coś takiego zdobyć?” - I, udając dandysa, pomachał lekko luźno zwieszoną dłońią.

- Widzisz? - Lauren pogroziła mu palcem. - Potrafisz się śmiać. Pamiętam czasy, kiedy dużo się śmiałeś.

Twarz Adama szybko spoważniała.

- To było w innym życiu.

Lauren zrobiło się chłodno; wiedziała, że beztroska chwila minęła. A gdy spojrzenie męża skierowało się znowu na cienie, przeklęła cichutko tę krainę, która zabrała jej dawnego Adama.

- Popatrz tam. - Pokazała na zakole strumienia, wzdłuż którego szli. Lód stopił się, woda płynęła wartko, rozlewając się szeroko za koryto, zablokowane olbrzymim stosem konarów i gałęzi.

- Nie podchodź zbyt blisko - ostrzegł ją Adam, kiedy ruszyła w stronę stosu.

- Jakim cudem one się wszystkie tak splątały? - Lauren postąpiła parę kroków do przodu i pochyliła się nad kłębowiskiem.

- Lau...

Nagle w stosie coś drgnęło. Lauren miała wrażenie, że wyskakują w jej kierunku żółte oczy i zęby. Adam chwycił ją w talii i szarpnął do tyłu tak mocno, że zamachała nogami

w powietrzu. Równocześnie powietrze rozdarł huk. Spowiła ich chmura gryzącego, białego dymu.

McPhail postawił żonę na ziemi, odwrócił się i wypalił znowu. W miejscu gdzie przed chwilą stała, leżał martwy wielki rosomak. Serce Lauren łomotało, w nagłym ataku paniki krew uderzyła jej do twarzy.

- Mówiłem ci, żebyś nie podchodziła blisko. - Pierś Adama unosiła się w ciężkim oddechu, ręce mu się trzęsły, kiedy chował rewolwer do futerału.

- Ale jak...

- Znalazł tu sobie dobre miejsce na kryjówkę. Zbudowała ją natura, a on skorzystał. Podobne stopy chrustu często bywają zamieszkałe.

Wpatrywał się przez chwilę w żonę, potem szorstko ją do siebie przyciągnął.

- Gdyby cię ugryzł... - I z zapamiętaniem ją pocałował, tłumiąc własne słowa.

Skonsternowana intensywnością emocji męża Lauren otoczyła go ramionami i splótła palce. Kiedy w końcu ją puścił, cofnęła się chwiejnie.

- Czemu...?

- Żeby ci uświadomić, że tutaj nie chichy-śmichy czynią człowieka mężczyzną. - I już bez słowa okręcił się na pięcie i ruszył z powrotem w stronę chaty, zostawiając żonę, która musiała biec, by go doścignąć.

Szedł przed nią wielkimi krokami, tak rozgniewany, że cały się trząsał. Czoło okrył mu kroplisty pot. Gdyby to zwierzę jej dosięgło, poszarpałoby ją i pogryzło, i pewnie umarłaby, zanim zdołałby jej pomóc. Potrząsnął głową, by pozbyć się tej myśli. Na zawsze w jego pamięci wypalił się obraz skaczącego rosomaka, z wyciągniętymi pazurami, odsłoniętymi kłami, o kilka cali od twarzy żony. Łaska boska, że udało mu się szarpnąć ją do tyłu, a strzał był celny. Dreszcz nim wstrząsnął. Miał nadzieję, że Lauren jest na tyle daleko, że tego nie zobaczy. Nie był na to przygotowany, na aż taką odpowiedzialność. Dlaczego nie obstawał, żeby wróciła do Reginy, dla-

czego - jeżeli trzeba było - nie wsadził jej siłą do pociągu? Odpowiedzi udzieliły mu palące wargi, wciąż jeszcze odrętwiałe od pocałunku. Był beznadziejnie, bezradnie w Lauren zakochany. Stała się jego częścią, tak samo jak ręce czy nogi, i tak samo jak bez nich, nie potrafił się bez niej obejść.

Lauren przyglądała się z ganku, jak Adam znika w gęstym skupisku nagich drzew. Kiedy wrócili do chaty, oznajmił, że idzie na polowanie; ona ma zostać w środku i na tym koniec. Zerknęła na przywódcę psiego zaprzęgu, który oparł łeb na łapach i obserwował ją.

- Zdrajca - mruknęła, przypominając sobie słowa Adama: „Pilnuj jej”, które skierował do psa.

Znalazła miejsce, gdzie gasnące słońce rzucało plamę światła, odchyliła krzesło do tyłu, aż oparło się o ścianę, i wkrótce przysnęła. Przecknęła się, wyczuwszy, że ktoś stoi w pobliżu. Otworzyła spłoszona oczy. Przed nią stał Adam i przypatrywał jej się, z jego rąk zwisały dwa martwe króliki.

- Nie słyszałam żadnych strzałów - powiedziała.

Uniósł brew, nie udzielając odpowiedzi.

- Duszone czy pieczone? - zapytała, kiedy rzucił króliki na stopnie.

- Pieczone. Oczyszczę ci je. - Pochylił się, by króliki podnieść, ale Lauren chwyciła go za rękę.

- Przepraszam cię, że nie byłam dziś ostrożniejsza. Powinam bardziej uważać. Nawet ja mogłam podejrzewać, że nakniemy się na jakieś kłopoty.

Uśmiechnął się do niej i ruszył na tyły chaty.

- Dlaczego mnie tak pocałowałeś?

Adam zatrzymał się, odwrócony plecami do niej.

- Uświadomiłem sobie, jak łatwo mogę ciebie stracić.

Lauren z duszy serca pragnęła podbiec do męża, objąć go ramionami, zapewnić, że nigdzie nie odejdzie, ale głos wewnętrzny przestrzegał ją, by trzymała się z daleka, podpowiedział, że Adam musi się sam z tym uporać.

- Chyba pójdę się umyć w tym małym strumyczku, o tam. -

Pokazała w przeciwną stronę. - Obiecuję, że będę ostrożna.

Adam odwrócił się, by zobaczyć, co żona pokazuje. Wąziutki strumyk wody sączył się po lesie przez liście i skały, i łąchy lodowe.

Rozejrzał się pośpiesznie wokoło, by mieć pewność, że w potrzebie będzie mógł w kilka sekund znaleźć się przy niej. Niewiele miała ostatnio prywatności.

- Dobrze.

Lauren pogrzebała w swoim bagażu, wetknęła sobie ubrania pod pachę i ruszyła nad wodę. Adam miał ją przez cały czas na oku, chociaż dojrzeć mógł tylko głowę i ramiona żony; obdarł króliki ze skóry i nabił na patyki, żeby upiec je w palenisku. Marszcząc brwi, spoglądał na dym, który najpierw unosił się z komina, a potem pokładał na ziemi. Zerknął do góry i zauważył, że chmury zgęstniały, zasłaniając pierwsze widoczne o zmierzchu gwiazdy. Tak jak podejrzewał, zima postanowiła jeszcze raz stawić opór.

- Czuję się dużo lepiej. - Lauren przeszła obok męża, by utknąć ubrania w bagażu. Otaczała ją chmura bzowego zapachu. - Woda była lodowata. Chyba tu trochę posprzątam. - Wzięła wiadro, stojące przy drzwiach, i ruszyła znowu do strumienia. Adam przyknął oczy, czując, jak woń bzu atakuje go ze wszystkich stron. Żadnego zapachu nie lubił tak bardzo jak tego, a kojarzył mu się on wyłącznie z Lauren.

Kiedy znowu otworzył oczy, Lauren już wracała, woda chlustała z niesionego przez nią wiadra. Przepychając się obok męża przez drzwi, rzuciła mu uśmiech. Postawiła wiadro na stole, wyjęła z bagażu jakąś szmatę, zanurzyła ją w wiadrze i zaczęła szorować blat.

Adam przykucnął przy palenisku i umieścił króliki nad ogniem. Kołyszając się na piętach, wpatrywał się w płomień i przyglądał, jak tłuszcz kapie na drewno i syczy. Słyszał, jak Lauren nuci pod nosem w rytm szurania ścierki po słojach drewna. Zapłonęło w nim nagłe, intensywne pożądanie. Zerknął w okno i zobaczył, że pierwsze krople deszczu rozpryskują się na szybie i spływają w dół. Jeszcze trochę i de-

likatny stukot deszczu po krytym gontem dachu zagłuszył trzaskanie ognia.

- No. Tak jest lepiej. - Lauren cofnęła się od stołu i wzięła się pod boki. Błat był czysty, zaczynał już wysychać. Ustawiła talerze razem z widelcami i blaszanymi kubkami naprzeciw siebie, po dwóch stronach stołu. Dała krok w tył, przechyliła głowę na bok i bacznie przyjrzała się swemu dziełu, jakby właśnie nakryła do przyjęcia.

- Króliki są gotowe. - Adam zdjął złotobrazowe mięso znad płomieni i zsunął po króliku na każdy talerz, a potem wrzucił rożen w ogień.

- Świetny z ciebie kucharz - pochwaliła Lauren i, siadając, oblizała palce z tłuszczu.

Adam jadł na stojąco i próbował nie myśleć o nadchodzącej nocy. Ale chociaż bardzo się starał, wciąż czuł natarczywe pożądanie i przerażeniem napawała go myśl, że będzie leżał tak blisko żony.

Kiedy zjedli, dołożył dREW do ognia, a potem usiadł na podłodze przy palenisku, opierając się o ścianę. Lauren wtuliła mu się pod ramię i położyła głowę na ramieniu. Oddech Adama stał się miarowy, zorientowała się, że zasnął. Mając za jedyne go towarzysza żarzący się ogień, zaczęła rozmyślać o swoim małżeństwie. Nie wystarczało jej to, że mąż obejmował ją ramieniem, że mogła wtulać się policzkiem w jego pierś. Chciała dużo więcej od tego mężczyzny, którego kochała. Nie, to jej nie wystarczało. Ale chwilowo wystarczyć musiało.

7

- Widzisz coś? - Lauren objęła się ramionami i pofolgowała dreszczom, od których rozdygotało się całe jej ciało, a zęby zaczęły dzwonić. Kiedy się trzęsła, robiło jej się jednak troszkę cieplej.

Adam pokręcił głową, a przy tym ruchu z ronda kapelusza zsunął mu się śnieg. Szedł przed zaprzęgiem, który torował sobie drogę przez głębokie, papkowate zasy. Zlodowaciały deszcz szybko zmienił się w gęsty śnieg, który padał wielkimi płatkami i przylepiał się do wszystkiego. Młode drzewka pochylały się pod jego ciężarem, gałęzie łamały się i spadały na ziemię w chmurze białego pyłu. Powierzchnia śniegu była nienaturalnie różowa, barwiło ją zachodzące słońce. Do następnej chaty powinni byli dojechać przed godziną.

- Przecież wiem, że stoi w tym zakolu rzeki - mruczał Adam. Jego dotychczas lekko zatroskana twarz poważnie się zachmurzyła. - Zostań tu pilnować sań, a ja się trochę rozejrzę.

I, wysoko podnosząc nogi, zaczął mozolnie przedzierać się przez coraz głębsze zasy. Z północy nadleciał przenikliwie zimny wiatr, kształtując śnieg w niesamowite bryły i stromizny.

Psy posłusznie położyły się i okręciły sobie nosy ogonami, Lauren wzięła z nich przykład i wtuliła się głębiej w poślanie z futer, mokre i zimne od śniegu, który nieustępliwie padał przez cały ranek. Zastanawiała się, jak zdołają wysuszyć ubrania, jeżeli wkrótce nie znajdą schronienia? Zerknęła na ślady Adama, na te długie, posuwiste, wyorane w śniegu bruzdy, które skręcały za kępę nagich wierzb. Z zamyślenia wyrwał

ją chrzęst kroków. To wracał jej mąż, pochylając głowę przed wiejącym mu w twarz, porywistym wichrem.

- Czy znalazłeś chatę? - zapytała Lauren, kiedy bez słowa stanął na płozach sań.

- Znalazłem.

- To dobrze. Jak daleko? - Spojrzała mu w twarz i wystraszyła się na widok jego miny. Wargi miał ściągnięte i blade, spojrzenie twarde.

- Chaty już nie ma, Lauren. Spaliła się do cna. Pewnie przez jakiegoś nieostrożnego trapera.

- Jak możesz być taki pewien?

Adam powiedział coś do psów, które wstały i wpatrzyły się w niego.

- Bo znalazłem jego ciało, a raczej to, co zostało z niego. Lauren przeszedł dreszcz.

- Co teraz źrebimy?

- Znajdziemy sobie jakieś inne miejsce do spania. Dom osadnika albo coś. Ha! - Zaprzęg szarpnął sanie do przodu.

Zmierzch przeszedł w wieczór, a wieczór w bezgwiazdną noc. W ślad za ciemnością pojawił się chłód, przenikliwy i czepliwy. Lauren zadygotała i przymknęła oczy, kiedy Adam skręcił, by ominąć skałę, która nagle wyrosła na ich szlaku.

- Prrr! - Zaprzęg raptownie się zatrzymał. - Nie możemy dłużej jechać po ciemku. - McPhail zszedł z płóz i stanął przed żoną. Ściągnawszy rękawicę, dotknął jej policzka. - Niemal zamarzałaś.

- Nic mi nie będzie. Możemy jechać dalej.

Adam potrząsnął głową.

- Nie. Będzie nam ciepłej, jeżeli się gdzieś zaszyjemy. Może po zawietrznej jakiejs skały.

- A może w jakiejś jaskini? - zapytała Lauren i z konsternacją usłyszała, że Adam się śmieje. - O co chodzi?

- Tu w okolicy nie ma żadnych jaskiń i nawet skał jest bardzo niewiele. - Założył znowu rękawicę i rozejrzał się dookoła.

- Jak myślisz, ile nam jeszcze zostało do Ansgarów? - za-

pytała Lauren, wysiadając z sań i tupiąc w głębokim śniegu, żeby miała gdzie stanąć.

- Niecały dzień. Zwykle zatrzymywałem się w tej właśnie chacie, zanim dojechałem do Erika, ale przy takim kopnym śniegu... sam nie wiem. Wszystko jest zasypane. Mógłbym nie zauważyć jakiegoś punktu orientacyjnego. Jeżeli śnieg jeszcze zgęstnieje, nic nie zobaczymy. Lepiej zatrzymajmy się i przeczekajmy najgorsze.

- Gdzie będziemy spali? - Mokre ubrania wydawały się Lauren coraz cięższe, ręce i nogi odmawiały posłuszeństwa. Potknęła się, wysiadając z sań, a Adam chwycił ją, zanim upadła twarzą prosto w śnieg.

- Pójdziemy tam. - Pokazał na czarny świerk, karłowaty i sękaty, który przygiętymi pod śniegiem gałęziami zamiatał ziemię.

- A jeżeli nas zasypie? - zapytała. Adam porwał z sań naręczce futer i ciągnął żonę w kierunku drzewa, zmuszając ją do przebierania nogami. Kiedy podeszli do świerka, chwycił za najwyższe z gałęzi, których mógł dosięgnąć, i potrząsnął nimi. Na ziemię z głuchym odgłosem posypały się pecyny śniegu. Potem dał nura pod spód, pociągając za sobą Lauren. Cichy szelest pozwolił im się zorientować, że przed nimi szukało tu już schronienia jakieś inne stworzenie. W ciemnościach Lauren widziała tylko brązową plamę pod samym pniem w miejscu, gdzie prawie nie dochodził wiatr.

- Gałęzie są tak gęste, że nawiało tu tylko odrobinę śniegu. - Kopniakami odrzucił jego cieniutką warstwę i rozłożył bawołą skórę na ziemi. Potem na niej ułożył futra, jedno na drugim. - Wczołgaj się teraz do środka, a ja zajmę się psami.

Lauren dzwoniła zębami, wstrząsały nią dreszcze, których nie potrafiła opanować. Słyszała, jak Adam rozkazuje psom leżeć, a potem jak brnie przez śnieg z powrotem do niej.

- Zdejmij z siebie ubrania - polecił, rzucając coś w nogi posłania. Lauren było tak zimno i taka była śpiąca, że nie mogła się przemóc, by choćby ruszyć ręką, nie starczało jej sił, by rozpinąć guziki przy płaszczu i pozostałych ubraniach. Mąż popatrzył na nią, marszcząc brwi. - Lauren. Czy mnie słyszysz?

Jego głos dochodził z wielkiej odległości, jakby zagłuszany miecionym przez wiatr śniegiem.

- Lauren! - Adam złapał żonę za ramiona i potrząsnął nią. Lauren kiwała się bezwładnie w przód i w tył, nie potrafiła utrzymać głowy w pionie, nie mogła też chwycić tchu, by powiedzieć mu, żeby przestał. Chciała tylko położyć się i spać.

Splątane myśli przeszły uczucie dojmującego chłodu: uświadomiła sobie, że mąż ściąga z niej ubrania.

- Przestań, Adam. - Mówiła bełkotliwie, sama miała trudności z rozróżnieniem własnych słów. Gdyby tylko mogła się położyć...

Czuła na całym ciele dłonie męża, ściągnął z niej wierzchnie warstwy ubrania, potem koszulę i spodnie, rozebrał do bielizny. Lauren aż dech zaparło i niemal się ocknęła, kiedy bieliznę też z niej zdarł. Jego dotyk był mocny i kojący, chwycił ją na ręce i wepchnął pod futra. Z wielkim wysiłkiem rozchyliła powieki i zobaczyła, że sam też się pośpiesznie rozbiera, zwija ubrania w kłęb i wpycha w nogi przytulnego pośłania. Wślizgnął się pod przykrycia do żony i naciągnął na oboje ciężkie futra, a wtedy poczuła, że skórę ma zimną i wilgotną.

- Ja już chcę tylko spać, Adamie - wyszeptała, kiedy przysunął ją do siebie.

- Nie możesz jeszcze spać, Lauren. Jeszcze nie. - Pocałował żonę w czubek głowy i pogładził dłonią po piersiach.

- Przestań. Jestem taka śpiąca.

- A ja nie pozwolę ci spać. Jeszcze nie. Jeżeli nie przełamię tej senności, to zamarzniesz.

Lauren przypomniała sobie, że czytała gdzieś, iż śmierć przez zamarznienie wcale nie jest okropna. Człowiek zasypia, tak pisano w tym artykule, i po prostu się więcej nie budzi. Próbowwała się ocknąć, skupić uwagę na dłoni Adama, która wędrowała po jej ciele, mając równocześnie świadomość, że mąż próbuje rozbudzić ją, a nie uwieść. Jakież to był straszny wysiłek, nie zamknąć oczu i nie poddać się ogarniającemu cały organizm bezwładowi.

- Powinnaś coś zjeść - szepnął żonie do ucha Adam. - Do-

da ci to sił. - Pieścił oddechem skórę Lauren, a ona uczepiła się tej odrobiny ciepła, przemogła się i zdołała poczuć, że Adam przyłgnał nogami do jej nóg, a owłosionym torsem do pleców; na karku i we włosach czuła szczerbinę zarostu męża.

- A... co.... mamy? - zapytała z trudem.

- Pemikan.

Lauren potrząsnęła głową. Żołądek jej się skręcał na samą myśl, że mogłaby choć raz jeszcze wziąć do ust to twarde, włókniste mięso.

Mąż tulił ją do siebie, ogrzewając własnym ciepłem; napływało po kropelce, wracając jej życie.

- Taka jestem zmęczona - wyszeptała, niejasno uświadamiając sobie, że Adam przesuwając jej dłonią po czole. Nasycona ciepłem męża zwinęła się w kłębuszek tuż przy nim, a on dopiero wtedy przytulił ją i pozwolił zasnąć.

McPhaila wyrwał ze snu ostry trzask i osypujący się śnieżny pył. Przez chwilę leżał bez ruchu, sen umykał, jego miejsce zajmowała jawa. Lauren była rozpalona. Położył dłoń na jej policzku, potem na czole. Miała wysoką gorączkę. Adam walczył z budzącym się lękiem. Przytulony do żony przesunął się i wyjrzał spod futer. W ciemnościach, które rozjaśniały tylko gwiazdy, śnieg padał nadal, nie miękkimi płatkami, ale całymi płachtami, miecionymi północnym wiatrem. Zaczepnął powietrza. Taka śnieżycy mogła potrwać przez kilka dni albo skończyć się za godzinę. Nie da się tego przewidzieć.

- Taka zmęczona - wyszeptała znowu Lauren i wtuliła się w niego.

Powiał silniejszy wiatr i ze świerku posypały się maleńkie odłamki **lodu**, odskakując od futer. Adam objął żonę mocniej, w myślach dokonując przeglądu lekarstw, które zabrał ze sobą. Miał troszkę chininy, odrobinę siarki. To było wszystko poza niewielką ilością starannie wysuszone; i zmielonej kory wierzbowej, na gorączkę. Nic z tego Lauren nie pomoże. Musi ją dowieźć do Erika i Gretchen, i to szybko.

Obudził się z niespokojnego snu, kiedy świt rozjaśniał oło-

wiane niebo. Zesztywniały poruszył się i przesunął śpiącą Lauren. Ręka zaczęła go mrowić, kiedy wracało w niej czucie. Położył żonie dłoń na głowie. Chyba była troszkę chłodniejsza niż wcześniej? Zaczęła się w nim budzić nadzieja. Może dzięki korze wierzbowej i kompresom ze śniegu uda się opanować gorączkę na czas podróży.

- Lauren. - Potrząsnął nią delikatnie.

- H m m - wymamrotała i poprawiła się na pościeli. Potem zamrużyła oczami, otworzyła je i utkwiała wzrok w Adamie.

- Tatuś?

- Nie, Lauren. To ja. Adam.

- Och. - W oczach Lauren pojawiło się zrozumienie. Przechyliła głowę na bok, zmierzyła spojrzeniem ich nagie ciała i z zakłopotaniem ściągnęła brwi. - Czy myśmy się kochali?

Adam uśmiechnął się z ulgą, kiedy zobaczył, że żona czy ma przytomne i czyste.

- Chcesz powiedzieć, że nie pamiętasz? Ranisz mnie, Lauren.

Lauren przyglądała się przez moment jego twarzy, a potem też się uśmiechnęła.

- Już pamiętam. Było mi tak zimno. Czy przestało sypać?

- Wciąż pada, ale śnieg nie jest taki gęsty. Nie podnoś się, pomogę ci się ubrać. - Odturlał się na bok, wychynął na chłód i pośpiesznie się odział. Lauren, kuląc się pod wciąż jeszcze ciepłymi futrami, zastanawiała się, jak wytrzyma przejmujący wiatr. Usiadła i zakreśliło jej się w głowie.

- Czemu jestem taka oszołomiona? - zapytała. - Czy tak powinno być?

Adam przykucnął obok niej, zapinając ostatnie guziki.

- Miałaś gorączkę.

Żona badawczo zajrzała mu w oczy, szukając w nich lęku. Wiedziała, że Adam musi go odczuwać, i znalazła ten lęk wraz z poczuciem winy. Pogładziła męża po policzku i uśmiechnęła się, chociaż każdy gest sprawiał jej ból.

- Nic mi nie będzie. Sam powiedziałeś, że gdzieś za dzień dojedziemy na posterunek.

- Jak się czujesz?

Lauren przeciągnęła się i wyjęła spod futer ubrania, które przez noc wyschły w ciepłe ich ciał.

- Lepiej niż kilka minut temu. - Podniosła ponownie oczy na Adama, który przypatrywał jej się czujnie. - Proszę, nie martw się. Powiem ci, gdybym się poczuła gorzej. Obiecuję.

- Czy utrzymasz się na nogach? - Adam delikatnie odsunął dłoń żony i zapiął koszulę do końca. Następnie wstał, pociągając za sobą Lauren.

- Oczywiście, że się utrzymam. - Zachwiała się. - O Boże. Moja głowa.

Chwyciła się za skronie i opadła na kolana. Adam porwał ją w ramiona.

- Mam straszne zawroty. - Przymknęła oczy, jej głowa bezwładnie kołysała się na boki. - Co się ze mną dzieje?

Adam przełknął.

- Nie wiem.

- Postaw mnie.

- Lauren...

- Powiedziałaś mi, żebyś mnie postawił na ziemi. - Zrobiła by wszystko, byle z jego oczu zniknął ten wyraz bezradności.

Mąż postawił ją. Lauren chwiała się przez chwilę, potem dała krok naprzód.

- Nic mi nie będzie. Gdybym tylko mogła się napić wody. - Adam popatrzył na manierkę, która leżała pod drzewem, odrobinę dalej niż mógł sięgnąć. Woda będzie pewnie zamrznięta.

- Idź. Postoję spokojnie.

Zerknął przez ramię, podniósł pojemnik i szybko wrócił do Lauren, która przechyliła manierkę. Nie wyciekła z niej ani kropla. Wyciągnęła więc rękę, zgarnęła z niskiej gałęzi nieco śniegu i wsunęła go sobie do ust.

- Tak jest dużo lepiej. - Uśmiechnęła się, starając się nie zwracać uwagi, jak od każdego ruchu boli ją twarz. Postąpiła krok i poczuła, że całe jej ciało płonie. Świadoma, że Adam na nią patrzy, zrobiła jeszcze jeden krok, zacinając zęby. Co się mogło stać?

- Może już lepiej ruszajmy w drogę? - Podeszła do pnia drzewa, wzięła jedną z bawolich skór i owinęła się nią, starając się, by nie zauważył, z jaką ulgą okryła rozpaloną skórę.

- Czy jesteś pewna, że wystarczająco dobrze się czujesz?

- Jak będziemy tu stali, drogi nam od tego nie ubędzie - odpowiedziała, zastanawiając się, skąd weźmie siły, by ponieść swój tobołek. Na szczęście Adam wziął obydwie, a ona tego nie skomentowała.

Lodowaty wiatr wiał im przez cały dzień w plecy. Lauren, zakutana po uszy, przyglądała się podskakującym ogonom psów, które sadziły susami po gładkim terenie. Zasypany śniegiem krajobraz rozmazywał się jej w oczach. Zdrzemnęła się, wdzięczna, że może przymknąć powieki i spać.

Ocknęła się, czując, że Adam na nią patrzy. Wiedziała, że się martwi i winę za jej chorobę przypisuje sobie. W miarę upływu dnia gorączka narastała. Kiedy przystanęli w południe, Lauren nie chciała jeść pemikanu; na samą myśl żołądek jej się skręcał. Napiła się tylko wody, a kiedy Adam się odwrócił, ochlapała sobie jej odrobiną twarz.

Zapadła noc, a posterunku nadal ani widu, ani słychu; nie było też żadnego domu ani chaty, ani żywej duszy poza nimi i psami. Gorączka wysysała siły z Lauren, podobnie jak mrok wysysał światło z dnia, a Adam wciąż nie chciał się zatrzymać w nadziei, że jednak dotrą nad jezioro Onion. Lauren przysypiała, zastanawiając się, jakim cudem mąż kieruje zaprzęgiem, skoro wszystko pokryte jest warstwą śniegu. Robiło jej się coraz bardziej niedobrze.

W końcu, kiedy mrok ogarnął ostatni skrawek wieczornego nieba, zatrzymali się. Lauren wysiadła chwiejnie i natarła sobie twarz śniegiem, chcąc przynieść ulgę rozpalonej skórze. Włożyła garść śniegu do ust i przełknęła w nadziei, że chłód pomoże jej pozbyć się kwaśnego posmaku żółci. Potem przymknęła oczy, by nie patrzeć na świat, który nagle się przed nią roztańczył. Poczowała wokół siebie ramiona Adama. Podtrzymywał ją, dopóki nie oparła mu się policzkiem o pierś. Wciągnęła w nozdrza jego zapach, ciesząc się, że je-

zeli już musi umrzeć, to przynajmniej umrze w ramionach ukochanego. A potem z ulgą pozwoliła, by ogarnął ją mrok.

- Lauren? Lauren. - Adam potrząsał trzymaną w ramionach szmacianą lalką, ale ona nie reagowała. Rozejrzał się dookoła, lecz poza śniegiem niczego nie zobaczył. Panika chwyciła go za gardło. Słyszał w myślach drwiące głosy, które szydziły z jego głupoty, z jego pożądaniami. Dlaczego nie kazał jej odjechać? zapytywał sam siebie po raz tysięczny.

- Adam?

Pochylił niżej głowę.

- Wszystko w porządku, kochana. Jestem tutaj.

Lauren zamrugała i lekko zmarszczyła czoło.

- Nie martw się o mnie. Ty się o nas zatroszczysz. Wiem, że tak zrobisz. - I straciła przytomność.

Szuu, szuu. Płozy sań cięży śnieg z sykiem, któremu towarzyszył tupot psich łap, wyrzucających w powietrze zlodowaciałe grudy.

- Prrr! - krzyknął Adam na zaprzęg. Psy zatrzymały się i natichmiasz położyły. Inspektor zszedł z płóz, dłubiąc przy pęcherzu, który zrobił mu się na dłoni pomimo grubych rękawic. Sięgnął ręką do kieszeni, wyjął kompas i otworzył go. Igła przez moment kołysała się szaleńczo, potem pokazała północ. Rozejrzał się po spowitej w biel okolicy. Jeżeli wierzyć kompasowi, utrzyma! się dokładnie na kursie, ale gdzie jest następna chata? Jechali już tak długo, że powinni byli do niej dotrzeć. Musi stać tu, w pobliżu zamarzniętej rzeki, wzdłuż której się posuwali. Czyżby przegapi! w zawiei śnieżnej jakiś punkt orientacyjny? Chyba się nie zgubili kompletnie?

Zatrzasnął przyrząd i wepchnął go z powrotem do kieszeni. Nie, nie zgubili się. Miał - nie wiedzieć skąd - przeczuć, że się nie myli.

- Gotuj się. - Psy wstały i spojrzały na niego wyczekująco. - Ha! - i znowu ruszyli. Głowa Lauren podskakiwała bezwładnie. Adam pochylił się, by zajrzeć żonie w twarz. Jakiś czas temu straciła przytomność, potem chwilami odzyskiwa-

ła ją i pytała o ojca albo o Adama. Za każdym razem brał ją za rękę, pocieszał i zapewniał, że wszystko będzie dobrze.

Zaczął znowu prosić drobny śnieg i kłuł go w twarz, kiedy mknęli przed siebie. Adam popatrzył na księżyc. Jego tarcza jeszcze przed kilkoma minutami była jasna i lśniąca. Obecnie spowijały ją przejrzyste, szybko gęstniejące chmury.

- Och, nie - jęknął półgłosem. - Nie teraz.

Jakby kpiąc sobie z niego, śnieżycy szybko się nasiliła i zapadł mrok. Nagle przed saniami pojawiła się grupa znajomych skał. Adam odetchnął z ulgą, objechał zakole rzeki i zobaczył przed sobą... następne pogorzelisko.

- Jezu - szepnął do milczącego lasu. Zaczęło ogarniać go straszliwe podejrzenie. Śnieg czepiał się nagich resztek chaty jak ciało szkieletu. Dachy nie było, podobnie jak dwóch ścian, pozostałe dwie czekały tylko, aż je powali natura. Tu się nie znajdzie schronienia. Ktoś tego dopilnował.

Adam zerwał z rąk rękawice i zaczął spacerować tam i z powrotem po śniegu; myśli kłębiły mu się w głowie. Zerknął na Lauren, która albo spała, albo była nieprzytomna, nie potrafił powiedzieć. Musi znaleźć dla niej schronienie albo żona umrze z zimna, jeżeli wcześniej nie dobieje jej gorączka. Potem przypomniały mu się skały.

Szybko podszedł do sań, zawrócił zaprzęg. Okrążył skupisko szarych głazów i trafił na spłacheć nagiej ziemi, na którym można było ukryć się przed wirującym śniegiem. Rozłożył na ziemi bawołą skórę, wcisnął od zawietrznej zniszczone futro pod kamienie, potem zaniósł Lauren pod ich osłonę. Głowa żony kołysała się z boku na bok, Lauren coś bełkotała. Adam popękkanymi od wiatru rękami oczyścił kawałek ziemi, ukląkł na śniegu, ostrożnie wziął w palce kępkę suchego mchu, która tkwiła głęboko w szczelinie. Płomienie polizały łapczywie podpałkę, potem już z mniejszym zapałem zaczęły pochłaniać dokładane kawałki drewna. Z pewnym jakby wahaniem polana zajęły się leniwie i wreszcie zapłonęło niewielkie ognisko, promieniując wytęsknionym ciepłem.

Adam ukląkł i rozcierał ręce i palce Lauren, dopóki nie

uchyliła powiek i nie zamrużyła. Nie była pewna, co przed sobą widzi. Mąż dodawał jej otuchy słowami. Kiedy rozchyliła wargi, by zawołać go po imieniu, wcisnął jej do ust chininę. Stał nad Lauren i wpatrywał się w nią, bezradny i bezsilny, nie wiedząc, jak walczyć z tym, co opanowało jej ciało i umysł. Z zaciśniętymi pięściami przepowiadał sobie wszystkie znane mu dolegliwości, te które sam przeżył i od których cierpieli inni. Żadna nie pasowała do choroby, na którą zapadła Lauren. Gdyby tylko udało mu się dowieźć ją na posterunek Kompanii Zatoki Hudsona; może Erik będzie wiedział, co zrobić. Może spotkał się już wcześniej z taką gorączką.

Niosący gęstą zamieć wiatr nasilił się i zmienił w huragan, porywając śnieg i skręcając go w oślepiające wiry. Skulony przy osłoniętym ognisku Adam przyglądał się, jak stan Lauren się pogarsza, jak jej gorączka rośnie aż do delirium, przy którym zaczęła majaczyć i bełkotać. Podniósł wzrok na ciemne niebo, posępne od groźnych chmur. Raz jeszcze wyjął z kieszeni kompas i sprawdził kierunek. Strzałka pokazywała północ. Dźwignął się na nogi, przykrył Lauren ostatnimi trzema futrami, nie zostawiając sobie niczego poza szkarłatną kurtką i najstarszą z opończy.

Ruszył na północ z nisko pochyloną głową, brnąc przez głębokie miejscami po kolana śnieg. Byli już blisko. Czuł to. Może śnieżycy nieco zepchnęła ich z kursu, ale byli już blisko celu. W takiej zawiei mogli minąć posterunek w odległości kilku jardów i nie zobaczyć go. Przejdzie tylko kawałek. Pochylił się i podrapał psa przywódcę za uchem; zwierzęta podniosły się, machając ogonami, a on kazał im leżeć.

Nie wiedział, jak długo idzie. Całą uwagę skupił na tym, by poruszać się po prostej i uważać, by nie zepchnęły go z kursu powalone drzewa ani skały. Nagle coś się o niego otarło. Ciemności przeszył dziki skowyt. Adam instynktownie odwrócił się i poczuł, jak coś wbija mu się w opończę i plecy. Zakrył głowę ramieniem, wyrzął spod niego i bijące w powietrzu kopyta mignęły mu o kilka cali od twarzy.

8

- Dobry Boże! Inspektor! - zagrzemiał z mokrych, wirujących ciemności jakiś głos z silnym szwedzkim akcentem.

Wielkie perszerony poruszyły się niespokojnie, parsknęły nerwowo, chrapy rozszerzyły im się ze strachu. Okryta futrami postać okręciła lejcami hamulec wozu i zeskoczyła na ziemię.

- Czy nic panu nie jest?

Olbrzym w rysiuwym futrze chwycił dzwoniącego zębami inspektora za ręce i zaczął nim potrząsać.

- Erik. - Pod McPhailem nogi ugięły się z ulgi; opadł na kolana w śnieg.

Olbrzym chwycił go za ramię i pomógł się podnieść.

- Lauren - udało się wykrztusić Adamowi, chociaż miał takie zawroty głowy, że myśli mu się mieszały.

- Kto? - Erik przyciągnął Adama do potężnej piersi, jakby ten był małym chłopcem.

- Lauren. Moja żona. Została tam, przy skupisku skał.

Olbrzym wskoczył na wóz, wciągając inspektora za sobą.

- Musimy się pośpieszyć.

Konie przy dyszlu natężyły mięśnie i mimo zasp pociągnęły wóz do przodu.

- Tu. - Adam zeskoczył z wozu, zanim ten się zatrzymał, i pośpiesznie obszedł głąz. Skąpy ogienek wciąż jeszcze się palił, Lauren leżała nieruchomo, policzki jej płonęły od gorączki.

Erik ukląkł.

- Delikatna jest jak aniołek. - Położył nieprzytomnej dłoń na czole. - Jak bardzo chory aniołek. - Spojrzał spod oka na Adama.

Inspektorowi kręciło się w głowie; przymknął oczy w nadziei, że zawroty ustana.

- Nigdy pan nie wspominał, że jest pan żonaty. - Ansgar przymrużył oczy. - Od kiedy choruje?

- Od około czterech dni. - Adam podniósł oczy. - Dałem jej całą chininę, jaką miałem, ale nic to nie pomogło.

- Nic dziwnego. - Erik potrząsnął głową. - Na tę gorączkę chinina nie poradzi. - Bez wysiłku podniósł Lauren i przytulił do piersi.

- Spotkał się pan już kiedyś z czymś takim? - Adam musiał się bardzo starać, by nie zostać w tyle za sadzącym wielkimi krokami Erikiem.

- Taa. Taką gorączkę przynosi chinook. - Erik położył Lauren na tyle wozu. - Wielu chorowało. Wielu poumierało.

Adam poczuł się tak, jakby ziemia rozstępowała mu się pod nogami.

- Jakich medykamentów używał pan przy leczeniu? - Ansgar był uzdrowicielem i rozprawdzał lekarstwa tak wśród traperów, jak i Kri.

Olbrzym sposepniał i przystanął.

- Tego niczym nie można uleczyć, McPhail. Chory sam musi zwalczyć chorobę. - I zaraz uśmiechnął się i położył Adamowi dłoń na ramieniu. - Chodźmy, już niedaleko do domu.

- Jak nas pan znalazł? - Adam przekrzykiwał turkot zawracającego wozu. Siedział za Erikiem, z głową Lauren na kolanach, chroniąc ją przed kołysaniem i wstrząsami podczas jazdy.

- Jak przyszedł chinook, wiedziałem, że będzie pan szedł na piechotę, no to was szukałem. - Erik wzruszył ramionami, jakby jego odpowiedź była absolutnie logiczna.

- Ale skąd pan wiedział, gdzie szukać?

Olbrzym wyszczerzył zęby i trzepnął lejcami, by skłonić konie do szybszego ruchu.

- McPhail zawsze przychodzi drogą prostą jak lot strzały Kri. Szuu przez prerię, nie zbaczając. - Rozciął powietrze przed sobą bokiem dłoni. - Nigdy nie objeżdżam naokoło trudnego terenu. Też zawsze jadę prosto.

Adam zerknął w dół, na głowę Lauren, która kolebała się na boki, kiedy wóz szarpał i podskakiwał. Nie jechali żadnym wyznaczonym szlakiem, noc była ciemna, bezgwiezdna. Widać było tylko ścianę śniegu, miecionego przeraźliwie ostrym wiatrem. Chociaż Lauren owinięta była bawolą skórą, którą przywiózł Erik, mąż pochylił się nad nią, by chronić ją przed wiatrem.

- Widzi pan. Tam jest dom. - Erik pokazał palcem. W mroku poprzez ścianę śniegu przeświecało słabe światło.

Po chwili pojawiły się niewyraźne zarysy dachu. Nie wyglądał już na stromy. Gruba na stopę warstwa śniegu wyokrągliła jego kształt do obłego garbu. Po jednej stronie ściany były proste, po drugiej spływały w dół bezkształtnymi, nierównymi falami, które wtapiały się w zasy. Chociaż podjeżdżali coraz bliżej, obraz wcale się nie wyostrzył, i dopiero kiedy znaleźli się pod samym gankiem, Adam uświadomił sobie, że widzi przed sobą bydło, które kuli się po południowej stronie domu i szuka tam ochrony przed wiatrem i śniegiem. Wielkie, niezdarne zwierzęta o długich, ostrych rogach wpatrywały się w niego spod pokrytych skorupą śniegu rzęs. Zamarzająca wilgoć obdarzyła je białymi wąsami, które drżały i wydłużały się z każdym mglistym oddechem.

- Prr! - krzyknął Erik. Zaprzęg zatrzymał się i powożący zeskoczył na ziemię.

- Lauren. Dojechaliśmy. - Adam dotknął ramienia żony, ale ona w odpowiedzi tylko cicho zajęczała.

- Niech pan czeka, pomogę - zaproponował Erik, kiedy Adam ogarnął ją ramionami i zachwiał się na nogach.

- Nie, poradzę sobie. - Inspektor zsiadł na ziemię i pośpieszył na ganek, tuląc Lauren do siebie.

- Otwórz drzwi, Gretchen - zawołał Erik, tłukąc dłonią w zagradzające im drogę mocne drewniane skrzydło.

Drzwi uchyliły się, wyjrzała zza nich czyjaś twarz; potem otworzyły się na oścież.

- Niech ją pan położy tam. - Erik pokazał na pokój na prawo.

Wchodząc pośpiesznie do wnętrza i mijając kobietę, która im otworzyła, inspektor zauważył właściwie tylko to, że owiewa go wytęsknione ciepłe powietrze. Na środku sąsiedniego pokoju zobaczył niewyraźny zarys czegoś podobnego do łóżka. Delikatnie położył Lauren, która z westchnieniem opadła na puchowy piernat. Zdjął kapelusz i rzucił w nogi łóżka, potem przysiadł na jego skraju. Ktoś zapalił lampę i pokój zalało światło. Adam uniósł futro, przykrywające twarz Lauren; na bladej skórze płonęły jaskrawą czerwienią wypieki.

- Słuchaj pan, inspektorze, Gretchen się nią zaopiekuje. - Erik postawił lampę na stoliku przy łóżku i pociągnął McPhaila za rękę.

- Nie. Sam się nią zaopiekuję. - Kąpiąca z włosów zimna woda spływała Adamowi po karku. Przeszedł go nagle dreszcz, następne kropelki opadły na kolorowe przykrycie. Wstał, chcąc zdjąć z siebie przemokniętą bawołą skórę, ale rozdygotał się tak, że mało kolana się pod nim nie ugięły.

Ktoś stanowczo chwycił go za ramię i posadził z powrotem na łóżku.

- McPhail - szepnął mu karcąco prosto w ucho jakiś głos. - Nic jej pan nie pomożesz, jeżeli sam zachorujesz. Idziemy. Pana żoną zajmie się Gretchen. A panem zajmę się ja.

Gotując się z wściekłości na własną bezradność, Adam wstał i pozwolił, by olbrzym rozebrał go z przemokniętych futer. I zaraz pojawiła się Gretchen Ansgar.

Stanęła twarzą do inspektora między nim a Lauren.

- Pan idzie - powiedziała, kładąc mu rękę na piersi. - Ja zajmę się. - Mówiła z tak mocnym szwedzkim akcentem, że z trudem rozumiał jej słowa, chociaż co do intencji nie miał wątpliwości.

Odwrócił się z trudem i poszedł za Erikiem do głównej izby. Trzymał się już na nogach nieco lepiej. Jego umysł niemal podświadomie zarejestrował ostry zapach cynamonu i świeżego chleba.

- Zima jeszcze z nami nie skończyła. - Gospodarz ściągnął płaszcz ze wspaniałego, jasnobrązowego rysiowego futra

i rzucił go na ręcznie ociosane krzesło. Stał przed ogniem i z energią zaczął rozcierać dłonie.

Adam podszedł bliżej, starając się opanować chwytające go znowu dreszcze.

- Nie, na pewno nie.

Erik strzelił jaskrawo czerwonymi szelkami o kraciastą koszulę, odwrócił się i ze ściągniętymi brwiami bacznie się przez chwilę swemu gościowi przyglądał. McPhail usiadł na krześle, bo bał się, że nogi się pod nim załamają. Z jego rozmarzających wąsów kapała woda i małymi kółeczkami plamiła szkarłatną kurtkę. Czuł na sobie spojrzenie Erika, wiedział, że ten ma tysiące pytań o jego żonę. Ansgarowie zawsze gościnnie przyjmowali inspektora, kiedy podczas patrolu zapędzał się na aż tak daleką północ, ale on nigdy słowem nie wspominał im o Lauren.

- Mielicie ciężką podróż? - zapytał Erik w końcu.

Adam przytaknął.

- Pogoda się zepsuła zaraz potem, jak wyruszyliśmy. - Przeciągnął dłonią po czole i strzepnął zebraną na niej wilgoć w stronę ognia.

- Niech mi pan wybaczy - zagrzmiał Erik. - Ja gadam, a pan potrzebuje się ogrzać. - Wielkimi krokami podszedł do kredensu, otworzył obite listewkami drzwiczki, wyjął butelkę i chlupnął z niej nieco do kubka. Potem podsunął naczynie Adamowi pod nos.

Samogon. Inspektor podniósł wzrok, a jego gospodarz wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Jak to wy mawiacie? Darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby?

Adam wziął kubek, puścił do Erika oko i wychylił zawartość do dna. Po całym jego ciele powoli rozpływało się uczucie zadowolenia i po raz pierwszy od wielu dni zrobiło mu się ciepło. Gospodarz, odstawiając swój blaszany kubek, stuknął nim o blat, potem dźwignął Adama na nogi i zaczął mu zdejmować kurtkę tak, jakby miał do czynienia z małym chłopcem.

- No. Będzie panu dużo ciepłej. - Pogładził dłonią szkar-

łatny materiał i starannie rozwiesił okrycie na oparciu krzesła.

McPhail podszedł bliżej do ognia, czuł teraz, jak ciepło dociera aż do skóry. Gretchen wyszła z drugiego pokoju, przyciskając do piersi ubrania Lauren, i cicho zamknęła za sobą drzwi. Podeszła bliżej z opuszczoną głową, potem zatrzymała się i podniosła na nich smutne oczy. Adamowi serce zamarło. Co się stało?

- Ona śpi - powiedziała. - Ja daję pana żonie herbatę z krwawnika. Ona się poci; potem jej lepiej.

Odwróciła się i, powłócząc nogami, odeszła.

Inspektor wpatrywał się w rośliny we wszystkich odcieniach szarości i zieleni, które do góry łodygami suszyły się pod sufitem.

- Żałuję, że nie mam do nich takiego zaufania jak pan.

- Bóg dba o swoje dzieci.

Adam zerknął na gospodynię, która grzechotała garnkami i rondlami na kuchni.

- Jak tam z Gretchen? Lepiej?

Erik potrząsnął głową.

- Kiedy maluszki poumierały, ona się skuliła w środku. Miałem nadzieję, że jej dusza się zagoi, ale... - Znowu wzruszył ramionami.

Strach zakradł się ponownie do serca Adama i obudził demony, których wcześniej udało mu się stamtąd pozbyć. Ansgarowie stracili troje dzieci. Jedno przy porodzie, a dwoje przez gorączkę. Przyglądał się stojącej przy kuchni Gretchen, która mieszała coś i wachała, zagubiona w swym samotnym, smutnym świecie. Erik spoglądał na żonę z twarzą pełną bólu. Adam zadał sobie pytanie, czy taki sam los czeka jego i Lauren.

- Chyba sprawdzę, co z moją żoną. - Adam odstawił kubek i pomaszerował do drzwi. Kiedy je uchylił, ciepłe światło od ognia rozlało się klinem po wypolerowanej podłodze. Wtulona pod kilka warstw przykryć Lauren spała, jej brązowe włosy rozsypały się po poduszce, ozdobionej jaskraworóżowym haftem.

Rama łóżka z plecionymi linami zaskrzypiała, kiedy

Adam przysiadł na skraju materaca. Pojedyncze pasemko włosów Lauren trzepotało przy każdym jej oddechu. Pochylił się, przygłodził kasztanowe pukle i dotknął wargami policzka żony. Tak wysokiej gorączki wcześniej nie miała.

- O Boże - szepnął. Ze znużeniem zsunął szelki z ramion i przeczesał palcami czuprynę. Oparł głowę na rękach i zagapił się na podłogę, nagle bardzo zmęczony.

- Z pewnością Bóg nie zechce zabrać tak kochanej kobiety.

Na głos Erika Adam podniósł wzrok i w drzwiach zobaczył zarys sylwetki gospodarza, który skrzyżował ramiona na swej masywnej piersi.

- Chodź pan. - Ansgar pokazał głową na zewnętrzną izbę. - Gretchen ma kawę i chleb. Jest pan głodny?

Inspektor potrząsnął głową. Gospodarz znalazł się nagle tuż obok niego i położył mu rękę na ramieniu.

- Nie ma pan tu nic do roboty. Ona potrzebuje snu.

Adam rzucił okiem na żonę i zrozumiał, że Erik ma rację.

- Może troszkę. Całkiem mam już dość pemikanu - mruknął, podciągając przykrycie wyżej pod brodę Lauren.

- Gretchen będzie jej pilnowała przez noc - powiedział Erik, kiedy ruszyli do drzwi.

- Nie. - Adam przystanął na środku pomieszczenia. - Ja z nią zostanę.

Ansgar już otwierał usta, by zaprotestować, ale zamknął je i kiwnął głową.

- Dobrze.

Smukłe palce świtu prześlizgnęły się przez oszklone okno i ukłuły Adama w powieki. Pojękując, ustawił nogi krzesła znowu na podłodze i przeciągnął się, by rozprostować przykurczone mięśnie. Sen umykał, jawa narzucała się inspektorowi z całą swoją mocą. Wstał, podszedł na bosaka do łóżka. Wiszące po bokach szelki kołysały się przy każdym jego kroku. Lauren leżała na plecach, jej pierś unosiła się i opadała w płytkim oddechu; była to jedyna oznaka, że chora żyje. Skórę miała błądą, niemal przejrzystą. Adam przesunął dło-

nią po trzydniowym zaroście i ze znużeniem wygiął się w tył, by przynieść ulgę obolałym plecocom. Dotknął grzbietem dłoni policzka żony i zauważył, że chociaż przez całą noc obmywał ją chłodną wodą, gorączka raczej nie opadła. Lauren tak się spociła po herbacie z krwawnika, że dwa razy musiał zmieniać pościel.

Rozległo się stukanie do drzwi. Adam otworzył i wpuścił Gretchen z naręczem ręczników, prześcieradeł oraz tacą, na której stała miska.

- Jej jest lepiej - oznajmiła lakonicznie, upuszczając naręcze bielizny na łóżko i stawiając tacę na małym stoliku, okrytym koronkowym obrusem. - Pan idzie - zażądała i machnęła fartuchem, wyganiając go z pokoju.

- Och, nie. Ja mogę...

- Idziesz! - Gretchen położyła mu dłoń na krzyżu i pchnęła w kierunku drzwi, a potem, jak tylko znalazł się za progiem, stanowczo je za nim zamknęła.

Adam chwycił z krzesła koszulę i założył ją.

- Trzeba zostawić gorączkę jej własnemu biegowi. - To odezwał się Erik. Siedział przygarbiony przed ogniem w głębokim, zrobionym z beczki fotelu i wpatrywał się w płomień, rozcierając dłonie.

- Jak to długo na ogół trwa, zanim się gorączka przełamie? - Inspektor opadł na sąsiedni fotel i wdychał zapach smażącej się, solonej wieprzowiny i piekącego się chleba; splatała się z nimi woń cynamonu i miodu.

- Nie wiem. - Erik rozłożył ręce. - U niektórych kilka dni, u innych kilka godzin.

- Dużo pan tego widział?

Gospodarz odwrócił się twarzą do niego.

- Dużo, od odwilży. W rezerwacie wielu poumierło.

McPhail podszedł do frontowego okna. Na zewnątrz niczym morze z kryształu rozciągało się aż po horyzont jezioro Onion.

- Nie uda mi się sprowadzić lekarza, zanim śnieg nie stopnieje.

- Lekarz nic tu nie pomoże. - Erik potrząsnął głową. - Zanim dojedzie, gorączka albo się skończy, albo...

Adam zacisnął pięści, nienawidząc własnej bezradności.

- Nigdy nie mówił pan, że masz żonę - odezwał się Erik lżejszym tonem, raptownie zmieniając temat.

Inspektor przestał wyglądać przez okno. Wbił wzrok w spodnie i zauważył, że całe są poplamione błotem, a na każdym kolanie jest dziura.

- Nie. Czekąca na mnie przez ostatnie dwa lata w Reginie.

- Jak dawno się pobraliście?

Adam spojrział przelotnie na Ansgara.

- Trzy tygodnie temu.

Erik zacisnął wargi.

- A. Długie czekanie na pana. Nie byliście razem przez te dwa lata?

- Została, żeby opiekować się chorym ojcem.

- Nie za słodki miesiąc miodowy. - Erik zatarł ręce i zajrzał w płomień.

Myśli ich przerwało stuknięcie zamykanych drzwi. Gretchen przeszła obok z wielkim naręczem pościeli.

- Jest czas jeść - powiedziała. Rzuciła stos pościeli na podłogę i już bez słowa szybko zastawiła stół potrawami, które tymczasem same chyba musiały się ugotować. Podczas posiłku milczenie wisiało w powietrzu ołowianym brzemieniem.

- Dziękuję pani, pani Ansgar - powiedział Adam, odsuwając krzesło od stołu. - Chyba pójdę zobaczyć, co z moją żoną.

Uchylił drzwi i zajrzał do sąsiedniej izby. Lauren spała na boku, z twarzą odwróconą od niego. Adam uznał, że nie powinien jej przeszkadzać, i już miał się cofnąć, kiedy śpiąca odwróciła się i potoczyła głową na poduszce.

- Tatuś?

- Nie, kochanie. To ja. Adam.

Lauren zmarszczyła brwi i rozchyliła lekko powieki.

- Co ty robisz w mojej sypialni?

Adam przekroczył próg i zamknął drzwi.

- Chciałem zobaczyć, jak się czujesz.

Lauren zesnurowała wargi, nachmurzyła się, a potem podciągnęła przykrycia aż pod brodę.

- Nie powinno cię tu być. Powinieneś być na Terytoriach. Inspektor przysiadł na skraju łóżka i nakrył ręką dłoń żony.

- Właśnie tam jestem. A ty wiesz, gdzie jesteś?

Jego żona nachmurzyła się jeszcze bardziej.

- Oczywiście, że wiem. Leżę w domu, w łóżku.

Patrząc w jej przekrwione oczy, Adam poczuł, że zaczyna go ścisnąć w gardle.

- Lauren, jesteś tutaj ze mną. Na obszarze Terytoriów.

- Nie - obstawała przy swoim, potrząsając głową. - To nie może być prawda. Edmund zabiera mnie dzisiaj do teatru.

- Edmund?

Lauren osunęła się niżej na poduszce.

- Taka jestem zmęczona, tatusiu. Pozwól mi jeszcze troszkę pospać. Edmund zaczeka. On zawsze czeka.

- Spij - zgodził się Adam, przyglądając niesforne pasemko włosów. Oczy Lauren zamknęły się, głowa wtuliła się w poduszkę. Jej mąż z głębokim westchnieniem przeniósł się na krzesło, padł na nie i rozpiął kurtkę. Wbrew temu, co wmawiał Lauren, podróż na nim również bardzo niekorzystnie się odbiła. Przymknął oczy i osunął się niżej. Kiedy prostował nogi, otarł się o coś stopą. Pochylił się i zobaczył na podłodze torebkę Lauren. Podniósł ją za obszyte falbanką dno i cała zawartość rozsypała się po podłodze.

- Cholera. - Pozbierał to, co wypadło, i powkładał z powrotem do torebki. Wreszcie został tylko jeden wytarty, złożony kawałek papieru. Adama ogarnęło jakieś dziwne uczucie i zawahał się, trzymając luźno list w palcach. Czy wolno mu go otworzyć? Nie, szeptał jakiś głos, ale inny nalegał, podsuwając, czym da się taki postępek usprawiedliwić. Papier był cały w plamach, prześwitywało przez niego pełne zawijasów, ozdobne pismo. Rozwijając powoli list, Adam cały dygotał. Szybko przebiegł oczami pismo, każde kolejne słowo głębiej wbijało się w jego serce. Skończył, ręce opadły mu na kolana i zapatrzył się na pogrążoną w głębokim śnie Lauren. Myśli

same natychmiast przeskoczyły w przeszłość, do ich nocy poślubnej. Przymknął powieki i zobaczył twarz żony i jej odrzucone w tył, rozwiane włosy. Czy tamtej nocy myślała tylko o nim? A może ten Edmund zajmował jakiś niewielki skrawek jej umysłu? Serce mu się ścisnęło w piersiach i szybko przejrzał list po raz wtóry, szukając czegoś, czegokolwiek, co zdołałoby przynieść mu ulgę, ale treści nie dało się zrozumieć inaczej. Przyjazd Lauren, jej rzekome zaangażowanie w sprawę małżeństwa, jej determinacja, by odnieść sukces, wszystko to było na próbę. Starannie złożył znowu list i wsunął go do torebki żony. Popatrzył na nią, taką spokojną, taką piękną. Jak długo to potrwa, zanim z niego zrezygnuje?

Adam gwałtownie się zatrzymał. Lodowe kulki, pobrzękując irytująco, odskakiwały od ronda jego stetsona.

- Czy to jest to?

- Taa. - Erik skrzyżował ręce na piersiach. - To jest to.

Przed nimi, w kępie niskich, czarnych świerczków, przycupnęła niewielka drewniana chałupka. Odwracała się frontem do zamrożonego jeziora i niebezpiecznie pochylała na jedną stronę. Drzwi zwiisały na skórzanych zawiasach i przykro poskrzypywały na wietrze. Połowy dachu nie było, a drugą połowę porastały martwe teraz pnącza.

- Trochę by ją trzeba połątać - podsunął Ansgar, spojrzawszy.

Adam prychnął.

- To łagodnie powiedziane. Na nic lepszego Kompanii nie było stać?

Erik wzruszył ramionami.

- Powiedzieli, że nie.

- A chcieliby, żeby tu stacjonował oddział. Moim zdaniem, to żałosna oferta. - Adam pomaszerował przez polankę w stronę domku. Z bliska wyglądał on jeszcze gorzej. We wnętrzu leżały po kątach całe sterty śniegu, a na środku - głęboka zaspą utworzona ze śniegu, który wpadł przez wielką dziurę w dachu. Na podłodze krzyżowały się mysie ślady. Pod dwoma z czte-

rech ścian stały dawniej łóżka. Teraz zostały po nich jedynie pokręcone gwoździe, które kiedyś podtrzymywały posłania.

Z przedniej połowy dachu ostały się same krokwie. Po drugiej stronie śnieg przesiewał się przez dziury między gontami trzymającego się jeszcze poszycia.

- Równie dobrze możemy to zburzyć i zacząć od zera.

- Tam na tyłach jest tarcica.

McPhail wyszedł przez drzwi i poszedł ją obejrzeć. Las odbijał echem skrzywienie butów na śniegu. Za domem opierały się o ścianę sterty obrobionych desek.

- Skąd one się tu wzięły?

- Jakichś dwóch przywiozło je dwa lata temu. Gadali, że będą sobie budowali... - Erik gładził się przez chwilę po brodzie. - Domek myśliwski. Tak to nazwali.

- Dokończyli go?

- Nigdy nie wrócili.

Zewnętrzne ściany robiły wrażenie solidnych, dwa oszkłone okienka były nienaruszone. Z podwórka można było po łagodnym zboczu zejść bezpośrednio nad jezioro. Idealne miejsce na ogród, pomyślał Adam. Jakieś dwadzieścia jardów za domem zaczynał się las.

- Moglibyśmy tu chować kilka kurczaków. - Pokazał na oczyszczony kawałek terenu na lewo od zarośniętej pnączami, tylnej ściany. - A zagrodę dla koni, korral, można by zrobić tam. Duncan pojawi się z końmi za kilka tygodni, jak tylko wszystko rozmarznie. - Obejrzał się znowu na budowlę. Jak może prosić Lauren, by w czymś takim zamieszkała?

Przeglądali się jeszcze przez kilka minut, potem ruszyli z powrotem naokoło jeziora. Przez jakiś czas szli w milczeniu; a kiedy zbliżyli się do factorii, Erik położył Adamowi rękę na ramieniu.

- Angus już tu jest.

Inspektor stanął na te proste słowa jak wryty.

- Co? Już, tak daleko na północy?

- Pomyślałem, że powinien pan wiedzieć. - Erik pokiwał głową, z jego brody posypały się drobinki lodu.

- Z kim handluje?

Ansgar gwałtownym ruchem głowy pokazał na zachód.

- Przeważnie z Kri.

McPhail poczuł przygnębienie.

- Już się zahaczył w rezerwacie?

Erik przytaknął.

Ruszyli na zachód, Adamowi serce łomotało od wzbierającego w nim gniewu. Jeżeli tylko Czarny Angus pojawił się gdzieś ze swoją zajzajerowatą whiskey, nie trzeba było długo czekać na ból i cierpienie. Paskudna mikstura, którą rozprowadzał, pozbawiała ludzi cech ludzkich, rozumu i chęci do życia. Uzależniali się od niewielkich, brązowych butelek i potrafili ostatni w rodzinie kęs pożywienia przehandlować za następną porcję trunku.

- Miałem nadzieję, że go wyprzedzę. - Inspektor wpatrywał się we własne buty. - Nie sądziłem, że czeka mnie tu aż tak ciężka robota.

Erik ściągnął brwi.

- Na tym terenie Angus jest groźny. Ma przyjaciół, więcej niż kiedyś w Edmonton. Ludzie z rezerwatu będą go osłaniać.

Adam pomyślał o Lauren i zachmurzył się na moment w poczuciu winy.

- Nie uda im się osłaniać go przede mną.

Lauren otworzyła oczy i ujrzała widok jak z bajki. Leżała w pokoju zalanym żółtym światłem. Okrywały ją miękkie, ciepłe przykrycia, naokoło unosiły się rozkoszne domowe wonie. Czy to wszystko jej się śni? Czy wciąż jeszcze jest w Reginie? Próbowała unieść głowę, ale coś ją boleśnie zakłuło między oczami.

- Leż spokojnie - polecił głos Adama, potem palce męża delikatnie dotknęły jej twarzy.

Odwróciła z trudem głowę. Adam siedział przy niej na krześle z prostym oparciem, nie miał na sobie kurtki, koszulę wyrzucił na spodnie. Kilkundniowy zarost ocieniał wy-

ostrzone rysy jego twarzy. Pochylił się i na oczy opadło mu niesforne pasemko włosów.

- Byłaś chora - powiedział z uśmiechem.

- Jak to? - Lauren próbowała sobie coś przypomnieć, ale aż powieki przymrużyła, bo głowa natychmiast zaczęła jej pękać z bólu.

Adam przykrył dłonią czoło i niemal całe oczy żony.

- Już nie masz gorączki.

Kiedy chciał cofnąć rękę, chwyciła go za przegub.

- Jak długo... Och. - Próbowała podeprzeć się i usiąść, ale jak tylko uniosła głowę z poduszki, pokój zawirował wokół niej. - Od jak dawna tu jestem?

- Dziś wieczorem miną trzy dni. - Wstał sztywno, a ona zauważyła, jakie wytarte ma ubranie i z jakim znużeniem się porusza. Napłynęły fragmenty wspomnień. Chłód. Wiatr. Ciemność. Adam przysiadł na skraju łóżka i oparł się rękami po obu stronach Lauren, od jego uśmiechu w pokoju zrobiło się cieplej.

- Nieźle mnie przestraszyłaś - zamruczał, pieszcząc oddechem jej twarz.

- Ostatnia rzecz, jaką pamiętam, to jazda saniami. Jak się tu dostaliśmy? - Rozjaśniło jej się odrobinę w zmaconych myślach, pamięć po trochu wracała.

- Erik nas przywiózł swoim wozem.

- Znalazł nas? Tam na zewnątrz? Musieliśmy być bliżej, niż sądziłeś.

- Byliśmy.

Pochylił się i złożył na czole żony pocałunek.

- Wystraszyłaś mnie, wiesz - szepnął, dotykając wargami jej skóry. Potem odchylił się do tyłu, a ona natychmiast zapragnęła, by się nie oddalał. Najlepiej byłoby, gdyby wślizgnął się do niej pod przykrycia i objął ją ramionami, gdyby czuła, że ma go blisko.

- Czy to jest nasz dom? - Rozejrzała się po gładkich ścianach z drewnianych bali, oświetlonych łagodnym światłem lampy.

Adam prychnął śmiechem.

- Nie, obawiam się, że nie.

- To gdzie jesteśmy?

Uśmiechnął się tak serdecznie, że pogłębiły się drobniutkie zmarszczki w kącikach jego oczu.

- Jesteśmy nad jeziorem Onion, w domu Erika Ansgara. Razem z żoną prowadzi tu faktorię.

- A co z naszym domem? Gdzie on jest? Jak wygląda?

Adam potrząsnął głową.

- Pewnie w życiu czegoś takiego nie widziałaś.

Lauren ściągnęła brwi, chociaż nawet od tak lekkiego ruchu głowa ją zabolęła.

- Czy nic ci nie jest? Taki wyglądasz zmęczony.

Uniosła rękę i odgarnęła mu włosy, jej palce zatrzymały się przez chwilę na wrażliwej części mężowskiego ucha.

- Czuję się świetnie. - Adam raptownie podniósł się i sięgnął po kapelusz. - Za kilka tygodni przyjedzie tu Duncan z końmi. - Stał nad nią, skubiąc palcami skraj runda. - Gretchen powiada, że możesz jutro wstać, jeżeli gorączka nie wróci. Potem, za kilka dni, zaprowadzę cię do naszego domu.

Mówiąc to, przesunął się w stronę drzwi. Lauren poczuła, że mur na powrót wyrasta między nimi. Co się mogło wydarzyć, że Adam znowu tak się od niej dystansuje?

- Kim jest Gretchen?

- To żona Erika. Polubisz ją - wyjaśnił. - Wrócę koło południa. - Wsadził sobie stetsona na głowę i naciągnął go tak, że twarz ukryła się w cieniu. Drzwi się otworzyły i już go nie było.

9

Lauren obudziła się na odgłos otwieranych drzwi i uświadomiła sobie, że musiała zasnąć.

- Przepraszam, że panią obudziłem, pani McPhail - powiedział jakiś wielki mężczyzna z ręką na klamce. - Obawiałem się, że przy zamkniętych drzwiach mogło się w pokoju za bardzo wychłodzić.

- Nie, jest mi ciepło. - Oparła się na łokciach i tym razem świat nie zawirował wokół niej. - Czy pan jest Erikiem?

- Tak.

- Mieliśmy szczęście z Adamem, że pan nas na czas znalazł.

- Prawda. Zamieć robiła się coraz gorsza. - Głos mężczyzny wznosił się śpiewnie i opadał zgodnie ze szwedzką intonacją.

- Jestem zdumiona, że w ogóle nas pan znalazł, skoro trzeba było zapuścić się aż tak daleko.

Erik roześmiał się, a Lauren ściągnęła na to brwi.

- Co pana rozśmieszyło?

- Wcale państwa nie znalazłem. To Adam znalazł mnie. Wychynął z zawiei śnieżnej jak wielki niedźwiedź.

- Szedł pieszo? - Przycisnęła palce do skroni, starając się sobie coś przypomnieć.

- Tak. Zostawił panią w ciepłym gniazdku i poszedł mnie szukać.

Lauren zerknęła za okno i zobaczyła Adama, który brnął przez mokry śnieg. Wiedziała, o czym myśli, chociaż był tak daleko. Zmusiła się, by odwrócić wzrok.

- Czy naprawdę nic mu nie jest, tak jak mówi?

Erik przytaknął.

- Nic. Przemarzał i był zmęczony, ale już mu się zrobiło lepiej. Wszystkie noce spędził tutaj. - Pokazał na twarde krzesło, przystawione do łóżka. - Pani mąż to dobry człowiek.

Lauren zapiekły nagle w oczach gorące łzy. Sylwetka Erika się rozmazała.

- Idź teraz sobie - rozkazał jakiś obcy głos i w nogach łóżka pojawiła się następna niewyraźna postać.

Chora zamrugała powiekami i, przymrużywszy oczy, spojrzała w kierunku głosu. U boku Erika stała jakaś kobieta z rękami skrzyżowanymi na obfitym biuście. Miała na sobie skromną, domową sukienkę, okrytą muślinowym fartuchem. Włosy upięła w jasną koronę z zawile splecionych warkoczy.

- Pani McPhail, to moja żona, Gretchen. - Erik położył nowo przybyłej ręce na ramionach.

Gretchen kiwnęła głową, a Lauren zaczęła zastanawiać się, co powinna teraz powiedzieć.

- Ona nie tak całkiem dobrze mówi po angielsku - podsunął gospodarz, przenosząc wzrok z jednej kobiety na drugą.

- Idź sobie teraz - powtórzyła rozkazująco Gretchen i pchnęła Erika. Ten posłusznie wycofał się i starannie zamknął za sobą drzwi.

Gretchen bez słowa pochyliła się nad Lauren, uniosła ją i popchnęła do przodu, a następnie wyciągnęła spod niej poduszkę i zdecydowanym ruchem podparła ramiona dziewczyny. Nie tylko była wysoka i okazała, ale również mocna, zauważyła Lauren, kiedy Gretchen tak bez wysiłku usadzała ją na łóżku. Powietrze wypełnił smakowity aromat rosółu z kury. Gretchen rozłożyła na piersi Lauren ściereczkę.

- Ty jesz — oznajmiła, siadając, i wetknęła chorej do ust łyżkę pełną parującej zupy. Gładki, ciepły rosół ześlizgnął się przez gardło Lauren do żołądka. Gretchen podsunęła jej następną łyżkę. Lauren posłusznie jadła, przyglądając się bacznie gospodyni. Nie była ona ładna. Miała szeroką twarz i spierzchniętą, poczerwieniałą cerę. Ze stanowczo zaciśniętymi zębami i ściągniętymi, szerokimi brwiami koncentro-

wała się na kolejnych łyżkach rosołu. W końcu odstawiła miskę i otarła usta chorej skrajem rozłożonej ściereczki.

- A teraz śpisz. - Wstała z łóżka, pozbierała swoje rzeczy i wyszła.

Zupa była gorąca. Ciepło rozpływało się teraz po ciele Lauren, rozgrzewając i usypiając, ale dziewczyna wciąż czuła się zaintrygowana kobietą, która ją nakarmiła. Wtuliła się pod ciepłe przykrycia i odwróciła na bok. Co za dziwny pokój, myślała, wpatrując się w cieniutkie jak pajęczyna żółte firanki, delikatnie zmarszczone i podwiązane białymi, małeńkimi kokardkami. Pod ścianą stał na podłodze duży kosz, z jego skraju spływała kapka od kompletu.

Lauren usiadła, przez moment dochodziła do równowagi, potem opuściła nogi z łóżka. Chłód od ziemi przesączał się przez podłogowe deski, więc kiedy wstała i podreptała na bosaka do koszyka, marzły jej od spodu stopy. W koszyku leżała na jednym końcu mała poduszeczka, a na niej zrobiony na drutach sweterek dla niemowlęcia.

- To pokój dziecienny - powiedziała Lauren i okręciła się, by rzucić okiem na grube poduszki na bujanym, stojącym przy łóżku fotelu.

Podniosła delikatne, niewiele większe od dłoni ubranko, zrobione z miękkiej wełenki. Przytuliła je do policzka.

Szurnęły otwierane drzwi i nagle stanęła nad nią Gretchen.

- Ja tylko... - Lauren urwała, skonsternowana wyrazem twarzy gospodyni. - Przepraszam. Nie chciałam być wścibska. - Czy Gretchen była zła? A może smutna? Nie potrafiła tego powiedzieć, ale wyraz oczu Szwedki uderzył ją w samo serce.

- Pani McPhail była tylko ciekawa, Gretchen. - Głos Erika, który wyszedł zza pleców żony i położył jej dłoń na ramieniu, brzmiał kojąco.

Lauren wyprostowała się, zachwiała, a potem podreptała znowu do łóżka. Dlaczego nagle poczuła się jak zbesztane dziecko? Owładnęły ją jakieś dziwne doznania... zamroczenie... senność... wrażenie, że gdzie odpływa. A przez cały ten czas Gretchen nie przestawała się w nią wpatrywać.

- Przykro mi - wymamrotała, z wdzięcznością opuszczając głowę na poduszkę.

- Lauren? - z zamroczenia wyrwał ją głos Adama i wszystko znowu się wyostrzyło. Jej mąż stał za plecami Erika i Gretchen i popatrywał to na jedno, to na drugie z nich. - Czy coś się stało?

Palce Ansgara zacisnęły się mocniej na ramieniu Gretchen, marszcząc niebieski materiał sukienki. Nikt się nie odzywał. Ktoś powinien wyjaśnić sytuację.

- Zauważyłam te dziecinne rzeczy i właśnie je podziwiałam... - zaczęła Lauren.

Zobaczyła, że Adam rzuca Erikowi krótkie, ostre spojrzenie, i urwała w pół słowa. Czegoś tu nie rozumiała.

- Gretchen, powinniśmy zostawić ich samych. - Erik stanowczo pociągnął żonę za rękę. Gretchen wyszła. Adam przekroczył próg i zamknął drzwi.

- Co ja takiego robiłam? - zapytała Lauren i z zażenowaniem poczuła, że jest bliska płaczu.

Jej mąż uśmiechnął się, a od tego uśmiechu soplelki na jego wąsach popękały i posypały się na podłogę. Odłożył kapelusz, usiadł na łóżku i rozluźnił kurtkę.

- Nie mogłaś o tym wiedzieć, ale Gretchen straciła troje dzieci, ostatnie w niemowlęctwie. - Głos miał łagodny, pieszczotliwy, ale nie mógł złagodzić miazdzącego poczucia winy, pod którym ugięła się Lauren. - Po śmierci ostatniego niczego w tym pokoju nie zmieniała.

- O Boże. - Lauren żałowała, że nie może zapaść się pod kołdry.

- Ciężko to przeżyła i już nie doszła do siebie. - Adam oderwał żonie palce od twarzy. - To nie twoja wina, Lauren. Nie wiedziałaś.

- Jakie to dla niej okropne. - Lauren zerknęła na stojący pod ścianą koszyk, czekający na dziecko, które nigdy nie miało w nim spać.

- Jak się czujesz? - Adam uśmiechnął się i musnął lodowatymi wąsami jej wargi.

- Lepiej. Chcę już wstać. Chcę zobaczyć nasz dom.

Jej mąż zmarszczył brwi, odchylił się do tyłu i ściągnął kurtkę.

- No, to może trochę potrwać.

- Co się stało?

- Nie można powiedzieć, żeby to był dom, a przynajmniej nie cały dom.

- Jak to? Adam, o czym ty mówisz?

McPhail podszedł do okna, ręce założył na plecy. Policzek mu drgnął, kiedy z namysłem wydymał wargi.

- Właściwie to tylko pół domu; jeżeli nie brać pod uwagę braku dachu.

- Adam!

Odwrócił się, na jego twarzy malowało się chłopiące rozczarowanie.

- To chałupa, na w pół rozwalona chałupa, bez dachu, bez nawet czterech całych ścian. Będziemy musieli zbudować sobie dom.

Przyglądał się żonie z wyczekującym wyrazem twarzy, oceniając, jak zareaguje na złe wiadomości.

- Więc chyba powinnam jak najszybciej podnieść się z tego łóżka, prawda? - odpowiedziała Lauren najspokojniejszym głosem, na jaki mogła się zdobyć. Nie uda mu się doprowadzić do tego, by pokazała po sobie rozczarowanie i zniechęcenie. Dowiedzie swego mężowi, że to nie on ma rację, dowiedzie mu, że sobie poradzi.

Lauren pociągnęła nosem i zmarszczyła brwi. Co tak okropnie śmierdzi? Potarła nosem o gładką poszewkę poduszki, szamocząc się między jawą a snem. Znowu poczuła tę woń. Przesunęła dłonią po twarzy, ale uporczywy zapach nie zniknął. Otworzyła jedno oko, cichutko krzyknęła i szarpnęła się w tył. Wpatrywało się w nią dwóch obdartych, brudnych mężczyzn, z twarzami o kilka cali od jej twarzy.

- Kim jesteście? - zapytała ostro, przyciskając kołdrę do piersi.

Jeden z mężczyzn miał włosy długie i rozpuszczone, czarne jak obsydian, jego twarz pokrywały blizny i dzioby - domyśliła się, że to po ospie. Głowę tuż nad brwiami owinał sobie brudnym paskiem jakiegoś materiału.

- Ty żona Konnego? - Głos miał nieoczekiwanie aksamitny i głęboki.

- Jestem pani Adamowa McPhail. - Lauren przeniosła spojrzenie na drugiego mężczyznę, będącego młodszą kopią pierwszego. On również miał obdarte ubrania i długie, rozpuszczone włosy, przewiązane brudnym kawałkiem materiału.

- Humf - skomentował pierwszy, przymrużając ze skupieniem oczy. Zanim zdążyła zaprotestować, szarpnęła kołdrę w bok i oto Lauren leżała przed nimi odkryta, w samej koszuli nocnej.

- Przepraszam pana - powiedziała i nakryła się znowu. - Czego panowie chcą? - Gdzie podzieli się Erik i Gretchen? Gdzie był Adam? Lauren spojrzała z nadzieją na drzwi, ale nikt jej nie przyszedł z pomocą.

Starszy mężczyzna uśmiechnął się powoli, błyskając żółtymi zębami, ale wyraz jego oczu się przy tym właściwie nie zmienił.

- Inspektor, on jedzie do moich ludzi, on daje jedzenie, koce, więc ja przychodzę przynieść ci to. - Gwałtownym ruchem wyciągnął zza pleców rękę. Zwisiała z niej martwa gęś, krew kapała na kołdrę.

W gardle Lauren zaczął wzbierać krzyk, ale stłumiła go i podsunęła się wyżej na łożku, starając się wykorzystać tę chwilę i opanować skłębione myśli.

- Dziękuję panom bardzo - udało jej się wykrztusić, potem wyciągnęła rękę i zacisnęła palce na szyi gęsi. Mężczyzna, który przed chwilą uśmiechał się jakby na próbę, teraz rozpromienił się i kiwnął głową swemu towarzyszowi. Lauren położyła gęś w nogach łożka, mając nadzieję, że Gretchen nie pogniewa się za plamy. Przypomniała sobie, że reprezentuje Adama. Czyż nie powtarzał jej tego wielokrotnie, od kiedy wyjechali z Saskatchewan?

- Może panowie usiądą? - zaproponowała, pokazując na drugi koniec łóżka. Mężczyźni pokiwali głowami i usiedli. A co teraz?, zastanawiała się Lauren. Wpadł jej w oko dzbanek z wodą i kubek, które Gretchen musiała przynieść podczas snu swojej podopiecznej. Pomyślała, że okazałyby uprzejmość, gdyby czymś poczęstowała niespodziewanych gości. Ale czy nie złamie przy tym jakiegoś zwyczaju? - Może chcieliby panowie napić się trochę wody? - zapytała, podejmując decyzję. - Przykro mi, że mam tylko jeden kubek. Będą się panowie musieli napić kolejno.

- Tak - odpowiedzieli obydwaj mężczyźni, wymieniając znowu spojrzenia. Lauren pochyliła się, wzięła czysty kubek i nalała do niego wody. Podała go pierwszemu z mężczyzn, który wziął naczynie, wypił niewielki łyeczek i przekazał je swemu towarzyszowi. Ten postąpił tak samo.

Napiwszy się, młodszy z nich podał kubek Lauren. W jego oczach malowało się oczekiwanie. Czyżby to miało być coś takiego, jak przekazywanie fajki pokoju z rąk do rąk? Czytała niewiarygodne opowieści o amerykańskim Dzikim Zachodzie, o tym, jak oferowano fajkę białym ludziom; jeżeli któryś odmówił, naruszał w straszliwy sposób tradycję. Młodszy z mężczyzn mruknął coś i znowu wyciągnął ku niej kubek.

Lauren objęła chłodne, blaszane naczynie. Przymknęła powieki i pociągnęła łyeczek, modląc się, by woda utrzymała się w jej żołądku. Przełknęła i otworzyła oczy. Obydwaj mężczyźni ceremonialnie pokiwali głowami; potem ich twarze rozpromieniły się w szerokich uśmiechach.

- Dobra żona dla McPhaila - oznajmił starszy, wstając z łóżka. Sięgnął do wytartego, skózanego mieszka przy pasie i wyciągnął z niego małą paczuszkę jakiegoś proszku. - Ty bierzesz. Ochroni od gorączki. Ty już nie chorujesz. - Wcisnął jej paczuszkę do ręki, uśmiechnął się serdecznie, przy czym jego brązowe oczy złagodniały. Wyszli z domu równie cicho, jak się pojawili. Lauren opadła na poduszki i przymknęła oczy.

Ze snu wyrwał ją głośny okrzyk.

- Co u diabła...!

Adam stał w nogach łóżka, kapelusz zsunął na tył głowy.

- Co to ma znaczyć, do cholery? - zapytał, pokazując na gęś. Kołdra przesiąkła krwią.

- Och, nie! Zapomniałam. - Lauren podniosła ptaka i położyła go na podłodze.

- Skąd ona się tu wzięła?

Lauren w odpowiedzi się uśmiechnęła.

- Miałam gości.

Adam i Erik wymienili spojrzenia.

- Kiedy? - zapytali równocześnie.

- Niedawno. Ale nie wiem, jak długo spałam.

Adam przysiadł na łóżku, z zatroskania w kącikach oczu pojawiły mu się zmarszczki.

- Czy nic ci nie jest?

- Nic. Mam tylko nadzieję, że nie zachowałam się jakoś niestosownie.

Jej mąż zdjął kapelusz i podrapał się po głowie.

- A może zechciałabyś zacząć od początku?

Lauren opowiedziała o wizycie dwóch mężczyzn; Adam przysłuchiwał się z nieco zachmurzoną twarzą. Raz czy dwa zerknął na Erika; a kiedy skończyła, odchylił się do tyłu i roześmiał.

- Wydra - powiedział.

- Kto?

- Wydra. Właśnie zyskałaś cennego i potężnego przyjaciela. Jest jednym z wodzów Kri.

- Tak. Musiał być bardzo ciekawy, skoro wszedł do wnętrza domu - mruknął Erik.

- Przyszedł, żeby sobie ciebie obejrzeć - dodał Adam. - Żeby cię ocenić.

- Och, dał mi jeszcze to. - Lauren pokazała im mały pakiecik. - Powiedział, że ten proszek będzie mnie chronić od gorączki.

Ansgar wziął od niej paczuszkę, otworzył ją i powąchał, potem podał Adamowi.

- Dobrze pani zrobiła wrażenie, pani McPhail. Ja nie umiem znaleźć tej rośliny. To sekret szamanów. Będzie panią chroniła od choroby w lecie, kiedy bardzo gryzą moskity.

Serce Lauren rozśpiewało się na podziw w oczach Adama.

- Dobrze sobie poradziłaś - pochwalił ją cicho mąż i uśmiechnął się do niej. - Dokładnie tak jak trzeba.

- Myślisz, że Gretchen będzie na mnie zła o swoją kołdrę? - Lauren pokazała na czerwoną plamę.

- Nie będzie, jeżeli się o plamie nie dowie - wykrzyknął Erik i zerwał przykrycie z łóżka.

- Adam! Zaczekaj! - Lauren podskakiwała, wsuwając nogi do nogawek spodni i podciągając je do góry, by zapiąć pasek. Chwyciła leżący na łóżku płaszcz i wybiegła, by nadażyć za mężem, który szedł przed siebie wielkimi krokami, wetknąwszy ręce głęboko w kieszenie.

- Wydawało mi się, że omówiliśmy tę sprawę wczoraj wieczorem - powiedział, kiedy go dogoniła.

- To jest również mój dom.

- No dobrze, ale czy chcesz znowu zachorować? - Przystanął, zapadając się po kostki w grzaskie błoto.

- Nie zachoruję. Jestem chroniona. Zapomniałeś?

Adam odwrócił się i, zwiesiwszy głowę, ruszył znowu przed siebie.

- To ciężka praca, Lauren.

- Odrobina ciężkiej pracy nigdy mnie nie przerażała. - Lauren potknęła się na kępce trawy, złapała równowagę i znowu pośpiesznie ruszyła, dostosowując krok do tempa Adama. - Poza tym, jeżeli pozwolisz mi pomagać, będą pracowały cztery ręce zamiast dwóch i skończymy szybciej.

McPhail westchnął ze wzrokiem wbitym w ziemię, a Lauren zrozumiała, że wygrała tę rundę.

Podeszli bliżej i skorupa domu rozdziawiła się przed nimi; przynajmniej tak to w myślach określiła Lauren. Drzwi frontowe nie istniały, a połowy dachu nadal brakowało, chociaż mężczyźni wymienili już sporo krokwi. W pobliżu do-

mu ziemia usiana była dziurami w miejscu, gdzie Adam zakładał korral. Zamknięte za domem psy jej męża zaczęły skomleć i szczekać, kiedy się zbliżyła.

Weszli po schodkach na ganek; deski zaskrzypiały pod ich ciężarem.

- Kuchnię zamierzam zrobić tam. - Adam pokazał na nagą ścianę, noszącą wciąż ślady po krzywych gwoździach, które już powyrywał. - Zamówię w Edmonton zmywalnię, pojedziemy ją przywieźć wczesnym latem, razem z resztą potrzebnego zaopatrzenia. Piec będzie tam, a nasza sypialnia tutaj.

Policzki Lauren okrył rumieniec. Od kiedy dotarli do domu Erika, nie mieli chwili dla siebie. Adam pracował długo, a kiedy wracał do domu, padał na łóżko.

Jego łóżko.

Nie jej.

Tłumacząc się chorobą żony, zainstalował się w drugiej z gościnnych sypialni Ansgarów. A teraz, kiedy Lauren poczuła się lepiej, nie ruszył się stamtąd, usprawiedliwiając to swymi późnymi powrotami. Może Erik i Gretchen uważali taki układ za dziwaczny, ale go nie komentowali.

Stał się na nowo nieprzystępny, wyrosła między nimi jakaś następna bariera, którą Lauren musi zburzyć i pokonać. Był troskliwy i słodki, całował ją w czubek głowy. Ale coś się zmieniło. Coś było inaczej. Może aż tak wystraszył się jej choroby. Może przez te kilka dni patrzył, jak ziszczają się jego najgorsze obawy. Może uważał, że żona z krwi i kości to zbyt wielka odpowiedzialność dla człowieka, który już poślubił swoją pracę. Dotknęła wąskiego złotego kółka na palcu i pomyślała o Eriku i Gretchen i o tym, jak Ansgar patrzył na żonę, kiedy o tym nie wiedziała.

- Lauren.

Lauren uświadomiła sobie, że Adam coś powiedział, i gwałtownie wróciła do rzeczywistości.

- Gdzie byłaś?

- Myślałam o Gretchen.

Chwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie.

- Ja planuję nasz dom, a tobie w głowie tylko Gretchen?

Lauren przywarła do męża policzkiem i wciągnęła jego zapach, teraz już taki swojski. Może niepotrzebnie się martwi.

- Przepraszam cię. Opowiedz mi więcej o swoich planach.

- Właśnie skończyłem. Wolałbym dowiedzieć się, o czym myślałaś.

Młoda kobieta uniosła głowę i wysunęła się z jego objęć. Podeszła do okna, potarła płamę z sadzy na szybie i wyjrzała na zamrznięte jezioro.

- Jest w Gretchen coś, co mi nie daje spokoju. Nie znam jej wcale dobrze, chociaż byliśmy razem przez ponad tydzień.

Adam przyłączył się do żony.

- Zawsze była taka, od kiedy ją poznałem, ale nie znajdziesz nikogo lepszego i bardziej życzliwego. Pewnie cierpi w milczeniu.

- Kiedy jesteśmy razem z nią i Erikiem, to się boisz, prawda? - Lauren odwróciła się i zajrzała mężowi w oczy. Błysnęło w nich zaskoczenie.

- Nie powiedziałbym, że się boję. Jest bardziej tak, jakbym musiał codziennie spoglądać rzeczywistości prosto w twarz.

Lauren wzięła go za ręce i odwróciła przodem do siebie.

- Lubię spoglądać rzeczywistości prosto w twarz. Przynajmniej wiemy wtedy, na czym stoimy.

Na twarzy Adama pojawił się cień uśmiechu. Pochylił się, by żonę pocałować.

- Nic z tych rzeczy, dopóki nie skończycie domu - oznajmił Erik, zasłaniając światło, napływające przez pustą futrynę.

Lauren roześmiała się i uchyliła, bo Adam chciał ją znów pocałować.

- Masz zupełnie potworne wyczucie czasu - zaprotestował McPhail z udawaną szorstkością.

- A ja uważam, że jest dokładnie takie jak trzeba. Jeszcze kilka minut i nic byście już dziś więcej nie zrobili, a przynajmniej tak mi się wydaje.

- Jak mogę pracować, kiedy coś tak ślicznego zakłóca mi

spokój? - zapytał Adam, przyciągając znowu żonę do siebie.

- Niech pani już idzie, pani McPhail, inaczej nie wycisnę dziś z niego ani odrobiny uczciwej roboty.

Lauren cmoknęła po raz ostatni męża w policzek i zostawiła ich. Mieli zakładać podtrzymujące dach krokwie, a przy tym zajęciu nie mogła im pomóc. Poza tym doszła do wniosku, że może przyszedł czas, by lepiej poznać Gretchen.

Lauren owinęła się szczelniej płaszczem i przekroczyła niski, biały płotek. Wewnątrz, równiutko, jeden za drugim, leżały trzy małe groby, każdy ozdobiony rzeźbionym, drewnianym krzyżem. Zatrzymała się i zapatrzyła na szerokie plecy Gretchen, która zmiotła z grobów utrzymujące się jeszcze płaty mokrego śniegu, a potem poprawiła jeden z krzyży i musnęła ręką powierzchnię od dawna niewidzianej ziemi. Lauren skrzyżowała ręce na piersiach, bo chłód szybko przenikał pod jej ubrania, i zastanawiała się, czy powinna do Gretchen podejść, czy też zostanie uznana za intruza. Tak długo już unikała uprzejmej szorstkości swojej gospodyni. A przecież coś ją w tej milczącej, troskliwej kobiecie pociągało, coś, czego nie potrafiła jeszcze nazwać, co je łączyło.

- Przepraszam. Ja... zobaczyłam tu panią...

Dłonie Gretchen zamarły. Odwróciła lekko głowę i popatrzyła znacząco na Lauren.

- Przepraszam. Przeszkadzam pani. Powinam odejść. - Lauren odwróciła się, policzki jej płonęły. Trzeba było posłuchać cichutkiego głosu, który przestrzegał ją, że należy zostawić Ansgarową w spokoju.

- Nie. Czekaj - rozkazała jej Gretchen w swojej łamanej angielszczyźnie.

Lauren zatrzymała się z dłonią na obwisłej furtce. Usłyszała za plecami skrzywienie śniegu; potem kroki się zatrzymały.

- Przepraszam - powiedziała Gretchen, głos miała cichy i smutny. - Jak tu chodzę, robię się zła.

Lauren odwróciła się, żeby spojrzeć w jej zaczerwienioną, spierzchniętą od wiatru twarz.

- Nie powinnam się była zatrzymywać. Najwyraźniej chciała być pani sama.

- Nikt nie chce być sam. - Gretchen obejrzała się przez ramię na groby. - Ja przychodzę pamiętać. - Potrząsnęła głową. - Ona była jak laleczka. Małeńkie rączki, jak moje, tylko mniejsze. - Podniosła szorstką dłoń i zapatrzyła się na nią, potem szybko zamknęła ją i się uśmiechnęła. - Czasami za dużo gadam.

Lauren przełknęła, w gardle ją ścisnęło. Ta tragedia stała się nagle dla niej bardzo realna, bardzo żywa, a emocje, które musiała odczuwać Gretchen, udzieliły się również jej gościowi.

- To musi być straszne, stracić dziecko.

- Niekiedy ja myślę, już wariuję. - Gretchen obejrzała się na grób, potem ujęła Lauren pod rękę. - Ty chodź. - Pociągnęła ją za furtkę. - Ja ci pokażę, jak zrobić deser.

Gretchen sunęła przez śnieg z powrotem do domu, a Lauren, potykając się, szła za nią i zastanawiała się, skąd taka nagła zmiana u kobiety, która była milcząca i ponura od chwili, kiedy się poznały.

Drzwi się otworzyły i wypłynął zza nich zapach cynamonu. Gretchen zdjęła płaszcz i powiesiła go na gwoździu, potem ściągnęła płaszcz z Lauren i zrobiła z nim to samo.

- Tajemnica jest drożdże - oznajmiła, obwiązując się fartuchem. - Od nich chleb robi się słodki, dobry. - Zacisnęła wargi i przymknęła oczy.

Zanim Lauren zdołała zdobyć się na jakiś komentarz, gospodyni już oddaliła się do spiżarni; wróciła, wlokąc za sobą duży worek mąki. Starannie odmierzyła kilka kubków na leżącą na blacie stolnicę. Potem w sam środek mącznej górki wlała wymieszane z czymś mleko.

- Drożdże - wyjaśniła i tak energicznie zanurzyła ręce w mąkę, aż podniósł się biały kurz.

- Odwracasz chleb, o tak. - Dźwignęła ciasto i przewróciła je. Lauren przyglądała się, pełna podziwu dla tej odmiany. Przez cały czas, od kiedy przyjechali, ich gospodyni wydawała się taka zimna, tak pełna rezerwy, a teraz paplała bez przerwy, nadając ciężkiemu ciastu kształt bochenka.

- Ty myślisz, czemu ta kobieta tyle gada? - zapytała Gretchen, nie podnosząc oczu znad chleba.

- Nie... właściwie zresztą tak, chyba tak.

- Nie byłam dobrą pani domu i czuję wstyd.

- Nic nie szkodzi. Pewnie mnie też by się nie bardzo podobało, gdyby wprowadzili mi się nagle do domu jacyś obcy.

Gretchen z przerażoną miną podniosła wzrok.

- Nie. - Potrząsnęła energicznie głową. - Nie. Każdy zawsze mile widziany. Tu na północy musi tak być. Jestem zazdrosna o młodą żonę.

- Zazdrosna? O mnie? Na miłość boską, dlaczego? - Lauren cofnęła się o krok, zaszokowana jej słowami.

Pani Ansgar odwróciła się znowu do chleba i zaczęła go wyrabiać.

- Ty jesteś, jak ja byłam wiele lat temu, cieszysz się na to, co będzie.

- Nie jest pani szczęśliwa?

Ruchy Gretchen stały się wolniejsze, ale nie podniosła oczu.

- Życie jest tu ciężkie. Ludzie muszą zrobić sobie szczęście, nie czekać, aż przyjdzie samo. - Uniosła oczy. - Ty pamiętaj.

Lauren ogarnęło nagle złe przeczucie. Przełknęła, by je odpędzić od siebie.

- Nigdy nie myślałam o robieniu szczęścia.

- Ja robię swój własny smutek. Ja nie mogę przebaczyć temu północnemu miejscu, że mi zabrało dzieci, i wszystkiego w nim nienawidzę. Niekiedy nawet Erika, bo on je tak kocha.

- Adam też je kocha - wymamrotała Lauren, podnosząc z podłogi kawałek ciasta i rzucając je na stolnicę.

- Mężczyźni lubią podniecenie, niebezpieczeństwo. - Gretchen machnęła oblepioną ciastem dłonią w kierunku jej ziora. - A kobiety kochają swoich mężczyzn.

Lauren już miała chwycić ją za ramię, ale gwałtownie cofnęła rękę.

Gretchen zauważyła ten gest, przestała zagniatać ciasto

i podniosła wzrok. Kąciki oczu zmarszczyły jej się w niespiesznym uśmiechu.

- Miło będzie mieć blisko drugą kobietę - powiedziała miękko. Potem zaczęła czyścić ręce. - Chodź ze mną. - Przypudrowała sobie dłonie mąką, zatarła je i ciasto osypało się drobnymi kuleczkami na stolnicę.

Gretchen wytarła ręce w ręcznik i zaprowadziła Lauren do swojego pokoju; tam otworzyła drzwi szafy, która tkwiła w kącie. Wewnątrz jedna nad drugą piętrzyły się wążiutkie szuflady. Z drewnianych kołków na drzwiach zwisały niemowlęce ubranka, zrobione na drutach z puszystej wełny.

- Nikt tego nie widział wcześniej, tylko ja - szepnęła, a do oczu napłynęły jej łzy, kiedy dotykała ubranek. - Moje ukochane maleństwa.

Lauren zbierało się na płacz. Gretchen tak wiele czasu poświęciła, by zrobić te maciupeńkie ubranka, tak wiele miłości. A teraz wisały w szafie i czekały. Czekały w nieskończoność na dzieci, które nigdy nie miały ich założyć.

- Nie będę miała więcej dzieci - dodała Gretchen, nie podnosząc wzroku. - Powiedziałam Erikowi, że nie wytrzymam bólu, jak stracę jeszcze jedno. - Uniosła oczy i smutno spojrzała Lauren w twarz. - A teraz brak mi mojego męża.

10

- Och. - Grząskie błoto wessało buty Lauren. Poleciała do przodu, a obie jej dłonie zapadły się aż po nadgarstki w maź, przez którą brnęła.

- Trzymam cię. - Adam chwycił żonę pod pachy i pomógł jej się wyprostować, przygarniając do siebie.

Lauren prychnęła śmiechem w wełniany materiał jego szkarłatnej kurtki i poczuła, że maź też chichocze.

- Nie przypuszczałam, że będzie aż tak grząsko.

McPhail pochylił się, uwolnił trzewiki żony z błota, a następnie ustawił ją na solidnej kępcie trawy. Zadyszana Lauren osłoniła oczy przed ostrym światłem słońca i spojrzała przed siebie na zamarznąłą powierzchnię jeziora Onion. Wiosna jeszcze nie nadeszła. Nabrzmiąte pąki nadal pokrywał śnieg, milczące jezioro czekało na odwilż, która je uwolni.

- Och, Adamie. Jest tak pięknie.

Adam objął żonę w talii i przyciągnął do biodra.

- Tak, jest pięknie, nieprawdaż? Popatrz tam. - Pokazał na jastrzębia, który swobodnie płynął po niebie.

Lauren odwróciła oczy od ptaka i przeniosła spojrzenie na twarz męża. Na dworze robił się z niego inny człowiek, stawał się częścią tej dzikiej krainy, która ich otaczała. Zwracał uwagę na każdy powiew wiatru, na każde stworzenie.

- Chodźmy dalej. Stąpaj po moich śladach. - Chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą. Mimo całej ostrożności Lauren chwiała się, stawiając stopy na rzadkich spłachetkach twardej ziemi; stary, obdarty płaszcz z bawolej skóry ciągnął się za nią po błocie. Dom był już na ukończeniu, ale przez ostatni tydzień Adam nie pozwalał go oglądać, mówiąc, że szy-

kuje dla niej niespodziankę. Pograżona w myślach wpadła mu na plecy.

- Nie patrz. - Zakrył jej dłonią twarz.

- Dobrze. Co ty robisz?

- Zawiązuję ci oczy.

Opasał jej głowę kawałkiem materiału i zawiązał go z tyłu. Potem porwał żonę na ręce i ruszył, ślizgając się po głębokim błocie.

- Wywrócisz nas oboje! - krzyknęła Lauren, kiedy zachwiał się i potknął. Zanim usłyszała stukot butów na drewnianych deskach, obojgu im już brakowało tchu ze śmiechu. Adam puścił ją i stanął za jej plecami.

- Nie otwieraj oczu, dopóki ci nie powiem, że możesz patrzeć. - Zasłona spadła. - A teraz patrz.

Tuż przed nosem miała szorstkie deski. Stała na niewielkim ganku i wpatrywała się w drzwi. Zewnętrzna ściana wyglądała jak pstrokata mozaika ze starego i świeżego drewna. Domek był niewiarygodnie mały.

- Zajrzyj do środka.

Drzwi otworzyły się i Lauren weszła do wnętrza. W kącie stał stary piec, drzwiczki miał obłuzowane, rura wychodziła górą i wyprowadzona została na zewnątrz przez niewielki otwór w ścianie.

- Och, Adam, jak tu ślicznie. - Starła się, by jej głos dźwięczał jak największym podnieceniem.

- Nasz pokój jest tutaj. - Odsunął kolorowy koc, wiszący w drugim rogu izby, i pokazała się przesnurowana linkami rama łóżka. - Chwilowo będziesz musiała gotować na piecu. Może w to lato uda nam się dobudować kuchnię.

- A co to jest? - W trzecim rogu stało coś w rodzaju klatki z metalowych prętów. Od strony pieca widać było zamknięte na klucz drzwiczki.

- To areszt.

- Tu? W naszym domu? - Lauren dała sobie spokój z udawaniem zachwyty i zdumiona odwróciła do Adama.

I poczuła wyrzuty sumienia, kiedy jego twarz się zachmurzyła

- To jest nie tylko nasz dom, ale również moje miejsce pracy, Lauren. Muszę mieć więźniów pod ręką, żebym mógł ich pilnować i żywić.

- Ale nie sądziłam, że będą w domu razem z nami. - Jej konsternacja pogłębiła się, a wszelkie myśli o słodkim sam na sam i wygodach domowych stopniały jak śnieg w zeszłym tygodniu.

- Nie mam wyboru. To moja służba.

Lauren ogarnęło współczucie, gdy patrzyła na zawiedzioną i przybitą minę Adama. Zdobyła się na uśmiech. Poświęcił na pracę nad domkiem wiele czasu i najwyraźniej był dumny z rezultatów.

- Wiem; trochę mnie tylko zaskoczyłeś, to wszystko. Ława mogłaby stanąć tutaj, a na łóżko mogę zrobić kapę.

Policzki jej zapłonęły rumieńcem od trzepoczącego się w sercu pożądanía. Jeszcze trochę i zostaną sami, we dwójkę, w swoim nowym domu. A wtedy, jak będzie już miała męża dla siebie, zacznie po kawałeczku odłupywać dzielący ich mur. Zerknęła na pustą ramę łóżka. I jeżeli będzie musiała, to go uwiedzie. Tak czy inaczej, na pewno skonsumują swoje małżeństwo.

- Kiedy się możemy wprowadzić? - zapytała.

- Co byś powiedziała na dziś? - uśmiechnął się szeroko Adam.

- A co z meblami? - Lauren rozejrzała się po pokoju tak pustym, że głos dudnił w nim echem. Nie mieli żadnego dobytku, niczego oprócz ubrań na grzbiecie.

- Erik przechowuje dla nas parę sztuk mebli z posterunku. A ja potrafię większość z tego, co potrzeba, zrobić sam. - Podszedł do żony i przytulił ją, opierając brodę na czubku jej głowy. - Będziemy tu szczęśliwi, Lauren. Obiecuję - wyszeptał, a ona zastanawiała się, czy to jest pytanie, czy zapewnienie.

- Stworzymy sobie swoje własne szczęście - wyszeptała.

Trach! Bum! Brzuchaty potwór w kącie zajęczał głucho. Lauren zerknęła nerwowo z drewnianego stołka, na którym siedziała. Pomarańczowe płomienie lizały ścianki piecyka

wokół drzwiczek. Przyszło jej na myśl, że chyba obdarzyła to urządzenie osobowością.

- Adam, czy jesteś pewien, że on nie jest groźny?

- Pewien - odpowiedział jej mąż z ganku. Coś zastukało, zaszurało, drzwi otworzyły się z łoskotem i McPhail wszedł do środka z naręczem koców i garnków. - Przyszyła ci je Gretchen. - Ładunek, grzechocząc, upadł na podłogę. Adamowi na czoło wystąpił pot. Rozpiął guziki przy kurtce. - Nie władowałaś tam za dużo drewna?

Lauren obejrzała się na piec, który robił do niej wiśniowoczerwone miny.

- Sama nie wiem. Nigdy wcześniej w takim nie paliłam.

Jej mąż stanął o krok od pieca, ale musiał się cofnąć, taki uderzył w niego żar.

- Chyba jest zbyt rozgrzany. - Wziął pogrzebacz i szarpnął drzwiczki. Z otworu buchnęły płomienie i Adam odskoczył w tył w chmurze dymu.

- Ostrożnie. - Lauren osłoniła twarz: razem z dymem buchnęło na izbę gorąco. - Może ujęlibyśmy drewna?

- Nie, trochę je tylko poruszę. - Podzwaniając pogrzebaczem o ścianki, przesuwając polana, aż wreszcie piecyk się uspokoił, a ogień zaczął płonąć równomiernie.

- Tylko nie wkładaj już tam więcej niż dwa polana na raz. - Odwrócił się, by odstawić pogrzebacz. Twarz miał czerwoną jak burak. - Jak sądzisz, czy uda ci się z nim - tu pokazał głowę na piecyk - dojść do jakiegoś porozumienia?

Lauren wyrzała mężowi zza pleców; przysięgłaby, że piecyk uśmiecha się do niej triumfalnie swoimi wykrzywionymi drzwiczkami.

- Pewnie tak, jak tylko go przestanę przekarmiać.

Adam roześmiał się, całując ją w policzek.

- Na ganku jest jeszcze więcej rzeczy, które trzeba wnieść do środka.

- Nie tak szybko. - Chwyciła go za rękę. - Jeżeli cały spocny wyjdiesz na zewnątrz, to się przeziębisz na śmierć. Zaczekaj chwilę, dam ci się napić.

Oczy ich się spotkały. Twarz Adama spoważniała, pochylił się powoli i dotknął ustami jej warg. Pocałunek był łagodny, nie natarczywy. Objął od tyłu głowę Lauren i przyciągnął bliżej, by ich usta mocniej do siebie przywarły.

- Wolę to niż wodę z całej Kanady - wyszeptał, potem wyprostował się i wygiął do tyłu. - Na myśl by mi nie przyszło, że u ludzi, którzy nic nie mają, znajdzie się tyle rzeczy do przenoszenia.

Erik i Gretchen hojnie ich obdarowali, a Adam w kilka dni własnoręcznie zrobił meble. Lauren uznała, że piękniejszych w życiu nie widziała, chociaż były szorstkie i miejscami nierówne.

- Przyniosę resztę rzeczy i pójdę zapolować. Co powiesz na królika na kolację? - Postawił sosnową skrzynię w ich sypialni.

Odwrócona do niego plecami Lauren uśmiechnęła się. Króliki na kolację stały się stałym tematem do żartów, bo już od kilku tygodni jadali je w jakiejś postaci dwa razy dziennie.

- Królik mi bardzo odpowiada. - Tak brzmiała obowiązująca odpowiedź.

Drzwi zamknęły się z trzaskiem. Lauren, z narzutą przetrzuconą przez rękę, podeszła do okna. Na zewnątrz coraz wyraźniej widać było wiosnę. Wczoraj na skraju lasu trafiła na rozkwitające przyłaszczki, płatki liliowych kwiatów właśnie się rozchylały.

Adam kopniakiem otworzył sobie drzwi i postawił następną drewnianą skrzynkę na podłodze.

- Chwilowo to już ostatnia. Reszta jest u Erika. Idę na polowanie - oznajmił. Spojrzał z powątpiewaniem na piecyk, zdjął strzelbę z haka nad drzwiami i znowu wyszedł. Lauren przyglądała się, jak jej mąż sprężystym krokiem skręca w stronę lasu. Nauczyła się już nasłuchiwać jego charakterystycznych kroków i pokochała je.

Przetrzepała trzymaną w rękach pikowaną narzutę, przycisnęła materiał do nosa i pociągnęła nim, rozkoszując się zapachem nowości. Następnie rozłożyła narzutę, która spłyne-

la w dół i spoczęła na materacu, wypchanym suchym sianem i trawą. Sprawdziła dłonią łóżko. Pod jej dotykiem kusząco zaszeleściło i Lauren się uśmiechnęła: już się cieszyła na noc.

Zabrała się do pozostałych skrzynek, ale po drodze przystanąła jeszcze przy stojącym otworem w ich salonie areście. Wewnątrz Adam zbudował drewnianą pryczę. Choć protestował, przygotowała materac również i na tę pryczę. Obojętne, kto znajdzie się pod jej dachem, argumentowała, czy to więzień, czy ktoś inny, będzie tutaj gościem, a to daje mu prawo do przynajmniej jednego wygodnego noclegu.

Zanim zmierzch pomalował niebo na kolorowo, Lauren poukładała wszystkie rzeczy i znowu wzięła się za piec. Grzał albo za mocno, albo za słabo i za nic nie chciał z nią współpracować. Dołożyła jeszcze trzy kawałki drewna i roznieciła ogień, kładąc suchą trawę na pomarańczowy żar. Drobnutkie płomyki wahały się przez moment, potem zaczęły buzować. Przez chwilę miała nadzieję, że w rurze jest dobry ciąg, ale zaraz potem piecyk czknął jej prosto w twarz wielką chmurą dymu. Lauren pośpiesznie zamknęła drzwiczki i czekała, aż złośliwiec zacznie trzaskać i pojękiwać, co zawsze robił, zanim się przegrzał.

Kiedy usłyszała słabe stukanie do drzwi, wydało jej się w pierwszej chwili, że to tylko piecyk skomli i burczy. Ale stukanie się powtórzyło. Wyrzała przez okno. Ostatnie barwy zachodu znikają już z nieba, szybko zapadał mrok. Stukanie rozległo się ponownie, tym razem było bardziej natarczywe. A może stał tam Erik? Nie, on z pewnością coś by zawołał. Lauren przygryzła palec i wahała się, co robić. I znowu ktoś zastukał. Kiedy Adama nie ma, ja tu rządzę, powiedziała sobie, przemogła się i podeszła do drzwi.

Uchyliła je.

- Kto tam?

- To tylko ja, psze pani - wybełkotał z ciemności jakiś głos.

- Kim pan jest?

- Szalony Wilk.

Lauren zatrzasnęła drzwi i oparła się o nie. Czy powinna

wpuścić do środka mężczyznę o imieniu Szalony Wilk? Może potrzebował pomocy? U Erika już pojawiło się kilkoro ludzi. Wieść, że prawa stanowi teraz inspektor, szybko się rozeszła.

- Czego pan chce? - zawołała przez grube drzwi.

- Chcę wejść.

- Nie może pan tak po prostu wejść. Musi pan czegoś chcieć. - Mówiąc to, wyciągnęła rękę i chwyciła grube polano.

- Nie, paniusiu. Ja tylko chcę wejść i się położyć. Proszę, paniusiu. - Jego głos brzmiał tak, jakby Szalony Wilk wcisnął wargi w szparę w drzwiach. Lauren przysłuchiwała się przez chwilę: słyszać było tylko jego posapywanie.

- Może się pan położyć na ganku.

- Ale więzienie jest w środku.

- Chce się pan położyć w więzieniu?

- Proszę. Taki jestem zmęczony.

No i co miała z nim zrobić? Wpuścić go? Już słyszała, jak Adam pomstuje na jej głupotę. Ale może ten człowiek ma coś wspólnego z handlarzami whiskey? A jeżeli ucieknie?

- W porządku. Może pan wejść, ale będzie pan musiał iść prosto do więzienia.

- Niech byńdzie, w porządku. - Mówił coraz wolniej, coraz bardziej bełkotliwie.

- Obiecuje pan?

- Szysięgam.

Lauren ostrożnie uchyliła drzwi, wysoko unosząc polano.

- Jestem uzbrojona - ostrzegła, kiedy do środka wtoczył się jakiś obdartus.

Nie spojrzął na nią ani na pomieszczenie, tylko chwiejnie, acz z wielką determinacją, ruszył w kierunku aresztu, wszedł do środka, zatrzasnął za sobą drzwi i padł na materac. I niemal natychmiast zaczął chrapać. Lauren podeszła bliżej i potrząsnęła klatką. Areszt okazał się zamknięty.

Drzwi wejściowe otworzyły się gwałtownie i do wnętrza wpadł podmuch lodowatego powietrza. Razem z nim pojawił się Adam w kurtce poplamionej błotem, z parą królików zwisających z ręki.

- Przyniosłem kolację - oznajmił i upuścił króliki na podłogę. A zauważywszy śpiącą w areszcie postać, zmarszczył brwi i szybko przeniósł wzrok na Lauren. - Kim jest nasz gość?

- Powiedział, że ma na imię Szalony Wilk. - Dłoń Lauren ześlizgnęła się po chłodnym pręcie aresztu.

- I ty go wpuściłaś do środka? - Adam podniósł głos.

- Powiedział, że chce iść do więzienia.

Adam otworzył usta, gniew podsuwał mu słowa, których rozsądek nie pozwalał wypowiedzieć. Zaciął zęby.

- Pamiętaj nigdy nikomu nie otwierać, jeżeli mnie tutaj nie ma.

- Wiedziałam, że będziesz wściekły. - Lauren rzędła mi-na, odłożyła polano. - Ale nie miałam pojęcia, co zrobić. Pomyślałam, że jeżeli pozwolę mu odejść, możesz stracić jakieś informacje, za którymi tak gonisz.

- Miałas szczęście, że to był Szalony Wilk. Tydzień w tydzień tak pije. Przez wiele miesięcy, jak się ululał, przychodził do Erika, żeby go zamknął w piwniczce na jarzyny, Jest nieszkodliwy.

Lauren przez chwilę rozważała słowa męża, a on czekał na jej reakcję. Potem uśmiechnęła się blado i pochyliła, by podnieść króliki.

- Może się umyjesz, a ja je tymczasem oczyszczę. - I, mówiąc to, wyszła na ganek.

Adam przyglądał się, jak żona schodzi ze schodków i skręca za dom. Wypuścił oddech, który dotychczas wstrzymywał, i rzucił z siebie ciężki, mokry wełniany płaszcz. Dzisiaj Lauren miała szczęście, ale co się stanie następnym razem, kiedy z wizytą wpadnie ktoś obcy? Na przykład Czarny Angus?

Wyszedł na dwór. Powietrze było spokojne i zimne. Rozwiesił mokry płaszcz na ganku na poręczy, żeby nie zabrudzić czystej podłogi Lauren. Wieczorny chłód przesączał się przez materiał koszuli. Inspektor wciągał głębokie, odświeżające hausty powietrza i rozglądał się za żoną, ale nigdzie nie było jej widać. Na niebo wzeszedł księżyc, oblewając srebrzystą poświatą spokojne jezioro i podwórko. Adam stał przez

chwilę bez ruchu, nasłuchując, a potem ruszył, kierując się jakimś stłumionym odgłosem, dobiegającym z za domu.

Lauren stała przy stosie drewna, oparta plecami o ścianę z szorstkich desek. Ciałem jej wstrząsało łkanie, pierś unosiła się gwałtownie. Dwa pozbawione głów króliki leżały u jej stóp. Instykt przynaglał Adama, by podszedł do niej, chwycił ją w ramiona i pocieszył. Opanował się jednak i nie ujawnił swojej obecności. W domu, na pokaz, jego żona starała się być dzielna, a teraz ukryła się przed nim, żeby wypłakać strach. Oparł się łokciami o poręcz na ganku i przyglądał się srebrzystej, mokrej ziemi w dole. Lauren musi się nauczyć sama stawiać czoło rzeczywistości. Jeżeli zacznie pocieszać żonę, opóźni tylko lekcję, którą powinna sobie przyswoić, jeżeli ma tutaj z nim żyć. Ze ściśniętym sercem powiesił za błocony płaszcz na gwoździu i wszedł znowu do środka.

Właśnie kończył dokładać do ognia, kiedy drzwi otworzyły się i pojawiła się Lauren. Starła się nie wchodzić mu w oczy, ale widział, że płakała. Obydwa króliki były porządnie obdarte ze skóry i wypatroszone.

- Wiedziałam, że jesteś zmęczony - odezwała się, kładąc je na stole pod oknem. - Może tym razem je upieczemy?

Adama aż dreszcz przeszedł, tak intensywne było uczucie miłości, które go ogarnęło, kiedy przyglądał się, jak Lauren płucze króliki w wiadrze z wodą i układa je w rondlu. Posypała mięso cenną solą i ziołami. Następnie dołożyła suszone jabłka i fasolę i przykryła wszystko pokrywką.

- Czy sądzisz, że wystarczy tego również dla naszego gościa? - zapytała, przechodząc obok męża i stawiając ciężki, żeliwny rondel na piecu.

- Nie sądzę, by interesowało go jedzenie. - Adam pokazał głową na areszt, w którym chrapał na pryczy Szalony Wilk z rękami i nogami rozrzuconymi na wszystkie strony.

- No to będzie więcej dla nas. - Klapnęła mu na kolana i objęła ramionami za szyję.

- Jak długo to potrwa, zanim będą gotowe? - zapytał, odsuwając pasemko włosów z policzka żony. Była taka śliczna

i tak bardzo jej pragnął. Podniosła oczy, w jej twarzy dojrzał jedynie szczerłość. Na jedną chwilę uwierzył, że kocha jego i tylko jego.

- Gdzieś z godzinkę.

- Akurat dość czasu, żebym wyczyścił broń. - Postawił żonę na podłogę i wstał. Zerknęła na niego przez ramię, a potem, kołyszając biodrami, podeszła do pieca. Czuła się dobrze; byli sami we własnym domu. No, prawie sami, poprawił się, zerkając na Szalonego Wilka. Dziś wieczorem po raz pierwszy położyli się razem do łóżka. Nie miał już żadnego usprawiedliwienia, by z nią nie spać. Czy uda mu się jej oprzeć? I czy powinien?

Położył strzelbę na stole i zaczął skrupulatnie rozbierać ją na części. Przez cały ten czas Lauren krążyła w pobliżu, wykańczając kolację. Od czasu do czasu Adam musiał przemagać się, by skupić uwagę na broni i odwrócić ją od rozkołysanych bioder żony i muskającego pieszczotliwie jej policzek pasemka włosów. Kiedy Lauren podniosła pokrywę z rondla i oznajmiła, że kolacja gotowa, pokój wypełnił aromat duszonego królika.

Adam szybko skończył czyścić strzelbę i umieścił ją znowu na hakach nad drzwiami. Lauren nałożyła jedzenie na trzy talerze. Postawiła dwa na stole i zanosła trzeci do aresztu.

- Szalony Wilku. Kolacja gotowa. - Zdumiewające, ale Wilk usiadł i zagapił się na nią przekrwionymi, zapuchniętymi oczami.

Lauren przekręciła klucz w drzwiach i podała mu talerz, a potem wróciła na swoje miejsce przy stole. Adam wpatrywał się w nią poprzez unoszącą się z jedzenia parę, czując, jak niebezpiecznie rośnie jego apetyt na żonę.

Kiedy skończyli posiłek, Lauren zanosła talerze do wiadra i zalała je gorącą wodą. Potem podeszła do aresztu i znowu otworzyła drzwi.

- Może pan odejść, Szalony Wilku. - Wyciągnęła rękę po jego talerz.

Mężczyzna otarł usta obrzydliwie brudnym rękawem i podniósł na nią wzrok.

- He?

- Powiedziałam, że może pan odejść. - Wyjęła mu pusty talerz z rąk.

Szalony Wilk zerknął na Adama, który wzruszył ramionami i przyglądał się im rozbawiony.

- Ale jeszcze nie jest rano. A pani nie jest posterunkowym.

- Ale to ja pana tu wpuściłam, pamięta pan?

Szalony Wilk znowu popatrzył z konsternacją na Adama.

- No tak jakby, ale...

- A więc to ja pana wypuszczam. - Wetknęła mu w ręce torbę z sucharami. - Nie będzie pan już więcej odsypiał pijaństwa w piwnicy na jarzyny u Erika Ansgara. Prawa stanowi tu teraz mój mąż, a to jest areszt. Ponieważ stoi w moim salonie, to powinnam mieć chyba coś do powiedzenia, na jakich zasadach wolno w nim nocować.

Szalony Wilk zmarszczył brwi, ale nic nie powiedział.

- Nie znajdzie pan u mnie ciepłego, wygodnego kąta, w którym mógłby pan przespać noc, kiedy upije się pan nielegalną whiskey. Jeśli chodzi o mnie, może pan nocować na chłodzie. Może to da panu nauczkę.

Szalony Wilk poczuł się najwyraźniej tak oszołomiony, że mowę mu odebrało. Podniósł się chwiejnie na nogi, przyciskając do siebie torbę z sucharami. Zataczając się, podszedł do drzwi, które Lauren przed nim otworzyła, przystanął w nich, żeby rzucić za siebie jeszcze jedno skonsternowane spojrzenie. Potem zniknął w ciemnościach. Lauren zamknęła za nim drzwi i wciągnęła do środka służącą za kłamkę pętlę.

- A co do ciebie - tu odwróciła się od drzwi i, rozpinając bluzkę, ruszyła przez pokój - chcę mieć dziecko. - Stojąc przy Adamie, upuściła bluzkę i zaczęła rozpinąć spodnie. - Jesteśmy miesiąc po ślubie i miałeś już dość czasu na wątpliwości. - Spodnie ześlizgnęły się na podłogę, a ona zręcznie odrzuciła je na bok nogą. - Zaniebuje pan swoje małżeńskie obowiązki, inspektorze McPhail.

Adama tak zaskoczyła nagła zmiana w osobowości Lau-

ren, że tylko wpatrywał się w nią, kiedy mu usiadła na kolanach i splotła ręce na karku.

- Kochaj się ze mną, Adamie.

Jej cudownie delikatną nagą skórę oddzielała od jego dłoni tylko cienka bawełna koszuli. Dotknął boku żony, musnął kciukiem miękką krągłość piersi.

- Chcę tego.

Lauren wstała, zsunęła ramiączka koszuli, która ześlizgnęła się z niej na podłogę. Światło ognia namaszczało jej skórę połyskliwą złocistością.

- Więc chodź do łóżka. - Wyciągnęła rękę; przypominała jakąś starożytną, potężną boginię.

Chociaż Adamowi kłębiło się kiedyś po głowie takie mnóstwo wątpliwości, w tej akurat chwili nie potrafił przytoczyć ani jednego powodu, dla którego nie powinien dać Lauren tego, czego chciała. Czego sam chciał. Wstał, zdjął pasy, a zaraz potem kurtkę i spodnie. Ręce mu się trzęsły, kiedy rozpinął maleńkie białe guziczki przy jegierach. Lauren już wsunęła się do łóżka, materac cicho, uwodzicielsko jęknął pod jej ciężarem. Adam zrzucił z siebie resztę ubrań i stanął przed nią nagi i aż boleśnie spragniony, a następnie chciał sięgnąć po angielskie kapturki. Dłoń Lauren zacisnęła się na jego nadgarstku. Odwrócił się twarzą do żony.

- Nie - powiedziała. - Nie tej nocy. - Uniosła się na kolana i objęła dłońmi jego twarz. - Chcę mieć dziecko, Adamie, twoje dziecko. Kogoś, kto dotrzyma mi towarzystwa, kiedy ty pojedziesz na patrol. Nie jestem ani nierozsądna, ani głupia. Zdaję sobie sprawę z ryzyka i niebezpieczeństwa. Czekałam dwa lata na twoją miłość, dwa lata, żeby założyć rodzinę. Nie chcę już dłużej czekać.

Adam gwałtownie chwycił oddech, kiedy go dotknęła.

Zuchwale. I bezlitośnie.

Opuścił ją znowu na łóżko, a ona uśmiechnęła się do niego jak rozleniwiona kotka; włosy jej rozsypały się po poduszce niczym delikatna aureola. Był pewien, że tej nocy nie zdoła dać Lauren tego, na co zasługiwała: by kochał się z nią po-

woli i aż do nasycenia mężczyzna doświadczony w sprawach miłości. A on taki nie był.

Nie zdarzyło im się rozmawiać o sprawach doświadczenia czy jego braku. Lauren była dziewicą aż do ich niefortunnej nocy poślubnej. Nigdy o to nie zapytała, a on sam nie wyjawiał, że jest równie niewinny jak ona. Posiadał pewną niewielką wiedzę, która pochodziła z rozmów z innymi mężczyznami. Z podsłuchanych komentarzy. I z własnych marzeń. A teraz stał, spoglądając na obiekt tych marzeń, na jedyną kobietę, którą kiedykolwiek kochał. A ona czekała na niego, błagała, żeby się z nią kochał, żeby złożył swoje nasienie głęboko w niej i zapewnił sobie w ten sposób nieśmiertelność. Czy to możliwe, by śmiertelnikowi pisane było takie szczęście?

Oparł się kolanem o łóżko, a Lauren ściągnęła go w dół i objęła. Otoczyła go swoją miękkością i teraz, kiedy nic ich już nie dzieliło, doznanie to okazało się wstrząsająco intymne i osobiste. Adama ogarnęło uczucie, że znalazł się na swoim miejscu, i aż łzy napłynęły mu do oczu, ale równocześnie zdradzieckie ciało przestało słuchać umysłu i zaczęło szukać rozkoszy w ciele żony. Błogość wznosiła się aż do szczytu. Osiągnął ten szczyt, a po cichych jękach Lauren zorientował się, że podąża ona tuż za nim.

Przewrócił się na bok, trzymając ją w objęciach, ich ciała wciąż były intymnie ze sobą złączone. Upajając się wspomnieniem rozkoszy, zastanawiał się, jak udało mu się przeżyć tamte dwa lata, nie mając Lauren u boku i w swoim łóżku.

11

Lauren obudziło szurgotanie szczotki. Odwróciła się na bok i okryła swą nagość kołdrą. Po drugiej stronie zasłony z koca Adam, szczotkując kurtkę z serży, pogwizdywał cicho pod nosem. Lauren uśmiechnęła się i wtuliła w pośłanie. Te same dłonie, które teraz usuwały błoto i brud z materiału, zaledwie kilka godzin temu oczarowały jej ciało. Przeciągnęła się, czuła się grzeszna i zmysłowa. Spali, objawszy się ramionami, potem się znowu kochali.

Szelest szczotki stanowił rytmiczny akompaniament dla cichej melodii. Napłynęły miłe wspomnienia z dzieciństwa, Lauren przypomniało się, jak się przysłuchiwała, kiedy ojciec co niedziela wieczorem szczotkował swój mundur. Ale nie może tu leżeć przez cały dzień, powiedziała sobie. Ma męża, którego trzeba nakarmić. Niechętnie przerzuciła nogi przez skraj łóżka i pośpiesznie zaczęła nakładać ubrania, które leżały rozrzucone po podłodze.

- Dzień dobry. - Adam wyszedł zza zasłony, kurtka dynała mu na palcu. - Czy dobrze spałaś?

Zmierzył otwarcie spojrzeniem jej na wpół ubrane ciało i Lauren poczuła, że policzki zaczynają ją palić.

- Tak, tylko miałam trochę kłopotów z zaśnięciem.

Adam podszedł bliżej i objął się w pasie jej ramionami.

- Podobnie jak ja. - Uśmiechnął się szeroko, a potem się odsunął. Lauren obserwowała, jak pochyla się i podnosi pasek naramienny; nadziwić się nie mogła, że potrafi tak cudownie wyglądać w ubraniach, które były połatane, pocerowane i brudne.

- Zrobiłem z tym, co się dało. - Zarzucił sobie pochlapa-

ną kurtkę na ramiona. - Będzie musiała mi służyć, dopóki nie przyjedzie Duncan.

- A kiedy się go spodziewasz? - Chociaż z radością przyjmie przywiezione przez Duncana rzeczy, chciała jeszcze troszkę dłużej rozkoszować się samotnością we dwoje z Adamem.

- Powinien pojawić się lada dzień. Wyjechał z Fortu Saskatchewan wkrótce po nas. - Adam pozapinał guziki i wygładził kurtkę, potem wziął rewolwer i założył pas z futerałem na biodra. Oczy Lauren podążyły za jego smukłymi dłońmi. Przewiesił sobie pasek przez ramię i zapiął ciasno sprzączkę. - Chodź tu i pomóż mi to przymocować, dobrze? - Zaciągnął węzeł sznura na ramieniu i borykał się z guzikami, którymi przypięte były epolety.

- Będziesz dziś ostrożny, prawda? - zapytała, przesuwając mu palcami po karku.

Chwycił jej palce i ucałował je.

- Chciałabyś iść ze mną?

- A dokąd się wybierasz?

- Do rezerwatu Kri. Whiskey płynie tam jak woda, muszę ją skądś brać. - Puścił dłoń żony i wziął kapelusz. - Powinienem zadać im kilka pytań.

- Jak się tam dostaniesz? - Mówiąc to, grzebała w skrzyni ze swoimi rzeczami, szukając czegoś ciepłego.

- Pójdziemy na piechotę. To niedaleko.

Lauren zarzuciła na ramiona krótką, wełnianą kurtkę i chwyciła opończę ze skóry bawołu, leżącą w nogach łóżka.

- Jestem gotowa.

Adam poprowadził ją w stronę lasu za chatą. Powietrze było rześkie i zimne. Odchylał gałęzie, żeby mogła przejść, a ona dawała nura pod ciemne świerki i z rzadka rosnące buki i dęby. Im bardziej zagłębiali się w las, tym więcej krzyżowało się na ziemi wydeptanych ścieżek. I nagle wychynęli na polanę, upstrzoną wałącymi się chałupami, na wpół podartymi namiotami i najróżniejszymi zabudowaniami.

Okrągłookie dzieci gapiły się na nich z szeroko pootwieranych drzwi. Wychudłe psy wałęsały się między chałupami

i namiotami. Lauren nasunęło się słowo „desperacja”, kiedy patrzyła na to wszystko. Chmurki dymu z palącego się drewna unosiły się z ognisk przed drewnianymi domkami; były to zresztą raczej stopy poopieranych o siebie desek, w które nie wbito ani jednego gwoźdźca, żeby się lepiej trzymały. Ziemia była naga, pokryta kurzem i zaśmiecona zwierzęcymi odchodami.

Adam zatrzymał się przed domem zdumiewająco starannie w porównaniu z sąsiednimi zbudowanym i zastukał do drzwi.

Przez kilka chwil nikt nie odpowiadał; potem drzwi powoli się uchyliły. Stała w nich ciemna, dorodna kobieta i ponurym wzrokiem zmierzyła Adama.

- Czy jest George? - zapytał inspektor, zdejmując stetsona.

- Nie - odpowiedziała, odgarniając pasmo czarnych włosów, które wymknęło się spod rzemyka na karku.

- A czy wie pani, gdzie może być?

- Nie. - Wpatrywała się w niego jeszcze przez chwilę, potem zaczęła zamykać drzwi.

- Gdyby była pani tak uprzejma. - Adam zablokował drzwi stopą. - Proszę przekazać mu, że chce się z nim widzieć inspektor McPhail. To ważne.

- Powiem mu.

Adam cofnął stopę i drzwi się zatrzasnęły. Inspektor wpatrywał się jeszcze przez chwilę z osobliwym wyrazem twarzy w szorstkie deski. Potem odwrócił się, spuścił wzrok i naciągnął rękawice.

- Co za cholerny wstyd - wymamrotał przez zaciśnięte zęby.

- Ten dom? - zapytała Lauren.

- I on, i te warunki. - Pokazał głową na resztę żałosnego obozowiska. - Nikt nie powinien tak żyć.

- Dlaczego oni stąd nie odejdą?

Adam obszedł budynek, wpatrując się pod nogi.

- Bo to jest ich dom. Już od lat. - Zatrzymał się, bacznie przyglądając się ziemi pod zasłoniętymi skórą otworami, gdzie powinny znajdować się okna.

- Czego szukasz? - Lauren przykucnęła obok niego, czując, że ktoś jej się z tyłu przygląda.

Adam przyłożył palec do warg. Obrysował słaby ślad czegoś na ziemi u swoich stóp, potem podniósł się i otrzepał ciemnoniebieskie spodnie.

- Co zobaczyłeś? - zapytała Lauren, kiedy chwycił ją za łokieć i znowu ruszył.

- George był tutaj, i to niedawno - odpowiedział szeptem, prowadząc żonę w głąb wioski.

- Kim on jest?

- To traper. Obraca się często wśród ludzi poza rezerwatem, utrzymuje kontakty z handlarzami whiskey i temu podobnymi. Erik sądzi, że jeżeli ktoś może wiedzieć, skąd napływa ta whiskey, to tylko George. Pod warunkiem, że zechce coś powiedzieć.

Lauren trafiła stopą w jakąś butelkę i się potknęła. Porozbijane i poszczerbione butelki leżały całymi stosami na ziemi wokół domów. I nagle uwagę jej przykuł stojący na samym skraju wioski budynek. Otaczały go zardzewiałe puszki i porozbijane flaszki, a w każdej tkwiła jakaś zwiędła roślina, zupełnie jakby je ktoś tam hodował. Kiedy podeszli bliżej, zobaczyła w oknach pęki wysuszonych, zwisających do góry łodygami ziół.

Dom zbudowano z takich samych podniszczonych desek, jak resztę wioski, ale każda z nich została starannie dopasowana i przybita. Byli już niedaleko, kiedy w drzwiach stanęła jakaś młoda kobieta. A przynajmniej wydawała się młoda - dopóki Lauren nie podeszła jeszcze bliżej. Twarz miała szczupłą i opaloną, chociaż pobrużdżoną zmarszczkami na czole i na policzkach. Wokół głowy owinęła sobie pasek materiału i zawiązała go z tyłu na supeł. Kolorowy pasiasty koc okrywał jej ramiona i zwiślał aż do stóp. Patrzyła na nich z powagą jasnymi oczami, kiedy ją mijali, równie milcząca jak gęsty las, który tulił się od tyłu do jej chaty.

Lauren dreszcz przeszedł po grzbiecie, kiedy Adam dotknął róna kapelusza, a Indianka zareagowała powolnym pochyleniem głowy. Lauren obejrzała się jeszcze przez ra-

mię, ale kobiety już nie było i drzwi zostały zamknięte.

- Kto to? - zapytała, kierując spojrzenie znowu na ścieżkę, którą wychodzili z wioski.

- Lisica. To uzdrowicielka. - Prychnął śmiechem i objął żonę za ramiona. - Nazywa siebie szamanką. Nie bardzo się to podoba Kri. I dlatego mieszka tutaj, z dala od reszty wioski.

Lauren obejrzała się na milczący dom, niknący pod gałęziami drzew; instynkt podpowiadał jej, że kiedyś coś powiąże ze sobą ją i Lisicę.

Adam prowadził ich do domu inną drogą niż ta, którą przyszli. Pogoda była przyjemna, słońce ogrzało chłodne, poranne powietrze. Wędrowali przez jakiś czas wzdłuż północnego skraju jeziora, a woda i las milczały, tak pełne wyczekiwania, jakby wypatrywały powrotu wiosny i nasłuchiwały, kiedy wśród nagich gałęzi zabrzmiał piosenka.

Dotarli do chaty. Na ganku czekał na nich Szalony Wilk. Siedział okrakiem na drewnianej skrzynce, obcasy oparł o poręcz.

- Szalony Wilku - odezwał się Adam, skinąwszy mu głową. - Czy mogę w czymś pomóc?

Szalony Wilk w sekundę oszacował wyraz twarzy Adama, potem przeniósł spojrzenie na Lauren.

- Ty dobra kucharka?

Zaskoczona jego pytaniem Lauren zerknęła na męża; poczuła się skonsternowana uśmiechem, który igrał na jego wargach.

- Tak. Chyba tak.

Szalony Wilk przyglądał jej się z powagą jeszcze przez chwilę, potem, powłóczęc nogami, wyminął McPhailów i poczłapał nad jezioro.

- No cóż, często go będziemy widywali. - Adam otworzył drzwi.

- Dlaczego? Bo często pije?

- Nie. - Klucze głośno zabrzączały, kiedy je odwieszał. - Bo wie, że umiesz gotować.

Chłód sącył się do środka przez szpaty wokół okien i drzwi. Wiatr przybrał na sile i czochrał się o naroża domu. Lauren otuliła się kocem i przesunęła fotel na biegunach nieco bliżej pieca. Ciemność zapadła już przed kilkoma godzinami.

Na płycie pieca grzała się kolacja, ale Adama wciąż nie było w domu. Około południa posłaniec wezwał go z powrotem do rezerwatu. Lauren żałowała, że nie ma zegarka i nie może sprawdzić, która godzina, ale zegar wewnętrzny podpowiadał jej, że jest późno. Wyszorowała podłogę i meble aż do ostatniego, potem wywietrzyła całą pościel. Ile razy zaczynała podrzemywać, wracały myśli o spotkaniu z tamtą kobietą i nie dawały jej spokoju.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem, dmuchnęło chłodem. Lauren ocknęła się gwałtownie.

- Wystraszyłem cię? - Adam zamknął drzwi. Kapelusz i opończę z bawolej skóry upstrzyły mu płatki śniegu.

Lauren głęboko zaczerpnęła powietrza, serce jej łomotało.

- Nie. Czekałam na ciebie.

- Znowu się zanosi na śnieżycę. - Otrzeptał kapelusz o nogę i powiesił go przy drzwiach. - Gdzie mamy kolację?

- Stoi na piecu. - Ściągnęła mu opończę z ramion i zarzuciła ją na krzesło, by wyschła.

Jej mąż podniósł pokrywkę z garnka i pociągnął nosem.

- Ładnie pachnie. Przez cały dzień nic nie jadłem.

Lauren napełniła mu talerz, potem skuliła się przy piecu i przyglądała się, jak pochłania jedzenie. Jadł tak, jakby prawie umierał z głodu. Pożałowała, że nie dała mu nic na drogę, kiedy wychodził.

- O co tam chodziło w rezerwacie?

Adam przeżuwał powoli, spoglądając z roztargnieniem na trzymany w ręku talerz.

- Morderstwo.

Lauren dech zapało i mocniej otuliła się kocem.

- Och, nie. Kto? Dlaczego?

Adam przełknął, potem napił się z kubka.

- Indianin Kri imieniem Asini. Pił z jakimiś ludźmi, któ-

rzy przyszli do wioski. Pokłócili się. Od słowa do słowa i Asiniego zadźgali nożem.

Podniosła wzrok i Lauren zobaczyła troskę i znużenie w jego oczach. Wstała z krzesła i uklękła przed mężem, opierając mu łokcie na kolanach.

- To morderstwo jest jakieś inne, prawda?

Kąciki oczy Adama zmarszczyły się w uśmiechu; pogładził ją po włosach.

- Dobrze mnie rozumiesz, kobieto. - Odchylił się do tyłu na krzesło i westchnął. - Nie spodziewałem się, że problem whiskey stanie się z miejsca tak poważny. Nie było mnie tu od ponad roku, a z raportów, które dostawałem od patroli, wynikało, że handel whiskey dopiero się na te tereny rozszerza. To nie jest prawda. Zagnieżdził się tu już jakiś czas temu, wystarczająco dawno, by zrujnować ludziom życie.

W padającym od ognia blasku jego twarz poszarzała, zrobiła się stara. Lauren zamrugła, starając się siłą woli obrócić wniwecz tę grę świateł. Adam przegarnął czuprynę palcami, a ona po raz pierwszy uświadomiła sobie, jak bardzo jej mąż troszczy się o powierzonych swojej opiece ludzi. Wróciła myślą do nędznej wioski i zastanowiła się, jak ci Indianie żyli dawniej. Słyszała kiedyś opowieści o wspaniałych szczepach, które prowadziły koczownicze życie, wędrując, gdzie im się żywnie podobało, i nie pozwalając sobie niczego narzucić. Adam pochylił się do przodu i oparł głowę na jej głowie. Westchnął, jego ramiona uniosły się, potem opadły. Na rękawie kurtki wąska smużka krwi gryzła się kolorem ze szkarłatem materiału.

- Zdejmij kurtkę, to ci ją wyczyszczę. - Ściągnęła z niego kurtkę i wstała, ale mąż chwycił ją za rękę.

- Dobrze się mną opiekujesz, wiesz.

Lauren dotknęła jego policzka.

- Cieszę się, że mogę się tobą opiekować.

- Ale czy potrafisz również zadbać o siebie?

Żona popatrzyła na niego, marszcząc brwi.

- Strasznie to dziwnie zabrzmiało. O co ci może chodzić?

Adam przesunął dłonią po oczach i wstał.

- Sam nie wiem; jestem po prostu zmęczony. Idę do łóżka.

- Dołączę do ciebie niedługo - odpowiedziała, spryskując wodą z wiadra rękaw i pocierając go.

Skończyła, powiesiła kurtkę starannie do suszenia na krześle i zgasiła lampę. Pokój oświetlało tylko padające z pieca światło. Kiedy znalazła się w sypialni, z trudem udawało jej się odróżnić zarysy sylwetki Adama. Wsunęła się cichutko pod przykrycie obok niego. Odwrócił się i przez sen objął ją ramionami.

Poderwała się ze snu w środku nocy. Coś uderzyło w ścianę i zaraz z łoskotem runęło na podłogę. Oszołomiona snem Lauren po omacku wyszła z łóżka, tuląc koc do piersi. Odchyliła zasłonę i wyjrzała do pogrążonego w mroku zewnętrznego pokoju. Słyszała w pobliżu drzwi jakieś stęknienia i łomoty, ale nie potrafiła rozeznaczyć, co się dzieje.

- Adam?

Oczy jej się trochę przystosowały i zobaczyła dwie niewyraźne postacie. W pokoju mocno pachniało sadzą i osmalonym drewnem.

- Adam.

- Trzymaj się z daleka - rozkazał, ostatnie słowo urwało się w stęknieniu.

Lauren podkradła się trochę bliżej. Adam i jakiś drugi mężczyzna walczyli ze sobą na podłodze, na której leżały powywracane krzesła i stół oraz rozsypane, rozżarzone węgielki z pieca. Jej mąż był w samej bieliźnie, ale ten drugi był grubo ubrany i posturę miał dużo potężniejszą. Para kajdanków szczekała i brzęczała, kiedy Adam próbował zatrzaskać je mężczyźnie na przegubach, co mu się najwyraźniej nie udawało.

Lauren przygryzła palce, usiłując coś wymyślić.

- Wracaj tam - warknął na nią Adam. Potężny mężczyzna opasał go ramionami i przeturlał na grzbiet.

Musi coś zrobić. Rzuciła koc, okrążyła bijących się i przemknęła pod ścianę domu. Podniosła łopatkę do węgła i sta-

nęła nad mężczyznami, usiłując wycelować w przyćmionym świetle we wroga. Mężczyźni zmagali się i przetaczali to w jedną, to w drugą stronę. Lauren obserwowała ich bacznie; nagle trafiła jej się okazja. Zamierzyła się na głowę obcego, ale ten odturlał się na bok.

-Au!

Poczuła, że trafiła, i zaraz zorientowała się, że - niestety - w Adama. W oszołomieniu dopuścił do tego, by mężczyzna przetoczył się znowu na niego.

- Jeżeli chcesz pomóc, załóż mu bransoletki. - Mąż pchnął w jej stronę po podłodze podzwaniające kajdanki.

Lauren przyglądała się młóącym powietrze rękoma, starając się odróżnić, która do kogo należy. W pewnej chwili obcy skoczył na inspektora od góry. Ten przyjął atak na nogi i przerzucił sobie napastnika za głowę. Mężczyzna wyładował z głośnym stęknieniem na podłodze i Lauren skorzystała z okazji. Kajdanki zatrasnęły się na jednym z jego przegubów. McPhail przekoziołkował, szybko przyszpilił drugą rękę wroga kolanami i zatrasnął kajdanki. W obcym najwyraźniej duch bojowy osłabł; leżał na podłodze, ciężko dysząc.

Adam chwiejnie podniósł się na nogi, usmarowana sadzami bielizna wisiała na nim w strzępach. Oddychał ciężko i trzymał się za czubek głowy.

- Czy nic ci nie jest? - zapytała.

- Nic. A tobie?

- Nawet mnie nie dotknął. - Zapaliła pośpiesznie przyniesioną z sypialni lampę. Ich dom zmienił się w istne pobojowisko. Wszędzie leżały kawałki połamanych mebli. Żar z pieca wypalał dziury w podłodze. Naczynia, których i tak miała nie za wiele, rozleciały się na wszystkie strony i porozbijały.

Adam chwycił mężczyznę za kajdanki i dźwignął go na nogi.

- Do aresztu z tobą, Roget. - Pchnął obcego, który poleciał chwiejnie do przodu; zaszczekały zamykane, zakratowane drzwi. Roget rzucił się na pręty z taką siłą, że cała klatka zadygotała.

Fala przerażenia zaczęła opadać, na jej miejsce napłynęły łzy. Lauren dotknęła guza na głowie Adama, a on skrzywił się i wzdrygnął.

- Och, Adamie, tak mi przykro. Było za ciemno.

Mąż przyciągnął ją do siebie.

- Nic się nie stało - powiedział zasapany. - Pewnie przegrałbym, gdyby nie twoja pomoc.

- Popatrz tylko na ten bałagan. - Podniosła lampę, przy świetle szkody wydawały się jeszcze większe.

- Musimy pozbierać węgielki. - Adam chwycił metalową łopatkę i zabrał się za zbieranie żaru, który już zdążył powypalać niewielkie, czarne zagłębienia w ich nowej podłodze. Ustawił prosto piec, przyczepił znowu do niego rurę, a potem wrzucił żar do środka, dokładając przy tym trochę drewna.

- Wracajmy co łóżka. Posprzątam rano. - Rzucił łopatkę przy piecu i wziął ze zmywalni ścierkę. - Wyjdę po śnieg, to go sobie przyłożę na ten guz.

Lauren skierowała spojrzenie na więźnia, który zza krat łypał na nią pożądliwym okiem. Uświadomiła sobie nagle, że nie ma na sobie nic oprócz nocnej koszuli. Obcy tak był zakutany w futra i skóry, że niemal nie przypominał człowieka. Długa, ciemna broda spływała mu na pierś, jej końce skrócone były w groteskowe anglezy.

- Od miesięcy nie miałem już kobiety - wycedził z silnym francuskim akcentem, a potem się uśmiechnął.

Lauren pośpiesznie przeszła do sypialni i usiadła na łóżku. Ukryła twarz w dłoniach i usiłowała nie płakać przy Adamie. Trzasnęły drzwi.

- Zachowuj się grzecznie, Roget - usłyszała głos męża.

Czekała, aż wreszcie wszedł za zasłonę i usiadł obok niej, przyciskając pełną śniegu szmatkę do głowy.

- Skąd on się wziął? - wyszeptła Lauren, odbierając od Adama okład i przykładając go do guza.

- Nie wiem. Obudziłem się i usłyszałem, że coś się rusza w pokoju obok. Kiedy tam wszedłem, stał w kuchni i wyjadał resztki naszej kolacji.

- Myślisz, że był aż taki głodny?

- Nie.

Lauren poczuła się zaskoczona lapidarnością Adama.

- Znasz go?

Adam milczał przez chwilę.

- Nie.

Lauren nie zadawała więcej pytań, ale w odpowiedzi Adama coś jej zadźwięczało fałszywie.

- Czy myślisz, że uda ci się to połatać? - Jej mąż wstał i zdejmował właśnie podarte jegiery. Całe ciało miał potłuczone i podrapane.

- Wątpię, ale spróbuję.

Położył się, nie próbując szukać drugiego kompletu bielizny. Lauren wtuliła się w jego ciepłe ciało, ale oboje za bardzo byli zmęczeni, by się kochać. Objął ją tylko mocniej ramieniem i natychmiast zapadł w sen.

- Myślę o tobie - dobiegł cichy głos zza zasłony, kiedy oddech Adama się wyrównał. - O tobie, żoneczko Konnego. Twój mężczyzna śpi, ale ty nie. Chodź tu, a Roget da ci coś, czego on dać ci nie zdoła.

Słowa te zgrzytały w uszach Lauren, jakby ktoś drapał pazurami po tablicy. Może powinna obudzić Adama? Czuła, jak dotykająca jej pleców pierś męża unosi się i opada; postanowiła go nie budzić. Ale nie mogła zasnąć, tylko leżała, nakrywszy głowę kołdrą, by zagłuszyć obsceniczne słowa, jakie szeptał Roget.

- Jakim cudem on uciekł? - Lauren przyglądała się stalowym kratom; od zimnej podłogi marzły jej stopy.

- Nie wiem. - Adam przeciągnął ręką po włosach i przysiadł na kawałku połamanego krzesła.

Lauren zadygotała, dreszcz przeszedł jej po plecach. Nie wiedzieć jakim sposobem Roget wydostał się z celi i uciekł. Kiedy? Przypomniała sobie potok szeptanych przez niego w mroku sprośności. Jak długo wałęsał się po ich chacie, zanim sobie poszedł?

- Drzwi do klatki są nadal zamknięte na klucz. - Adam zerwał się i potrząsnął nimi. - Nie brakuje żadnych prętów. Nie rozumiem tego. - Pomaszerował do sypialni, a Lauren podreptała za nim.

- Będę się musiał rozejrzeć po okolicy. - Pośpiesznymi ruchami nakładał na siebie zapasowy komplet bielizny, spodnie i kurtkę. Kapelusz wziął po drodze do drzwi. - Zostań w domu, a ja pomogę ci posprzątać, jak wrócę. - Wyszedł na ganek. Zanim zdążył zamknąć drzwi, kilka płatków śniegu śmignęło po podłodze.

Lauren pośpiesznie ubrała się i zaczęła zbierać połamane meble i porozbijane naczynia. Podskoczyła, kiedy drzwi się otworzyły i do środka wkroczyła Lisica.

- Nie dbasz o dom, żono Konnego. - Indianka obrzuciła pokój szybkim spojrzeniem.

Lauren poczuła się tak, jakby stopy przymarzły jej do podłogi. Lisica robiła wrażenie odprężonej, czuła się najwyraźniej swobodnie, niepomna, że właśnie wtargnęła bezceremonialnie i bez zapowiedzi do czyjegoś domu. Ale może Kri nie stosują tych samych zasad zachowania, co wszyscy inni, pomyślała.

- Pani jest Lisicą, prawda?

Kobieta skierowała na nią spojrzenie prawie żółtych oczu i Lauren znowu zrobiło się zimno. Skórę Lisica miała brązową, ale niezbyt ciemną, włosy w tym samym odcieniu. Te oczy. Lauren nie mogła oderwać od nich wzroku. Przyszło jej na myśl określenie „egzotyczna”.

- Jestem Lisica.

- Czy mogę pani zaproponować jakieś jedzenie albo picie? Lisica znowu rozejrzała się po pokoju.

- Nie. Ja nie przychodzę po jedzenie.

- Ależ... ja chciałam tylko... Proponujemy jedzenie i picie z uprzejmości. - Czy obraziła tę kobietę?

Lisica znowu na nią spojrzała.

- Co to jest ta „uprzejmość”?

Lauren usiłowała opanować drżenie rąk i zmusić umysł do pracy. Wcale nie zamierzała wdawać się z Lisicą w dys-

kusję. Chciała tylko spełniać wobec niej obowiązki gospodyni, dopóki Adam nie wróci.

- To znaczy, że zachowujemy się tak z grzeczności.

- Och. - Lisica kiwnęła głową. - Nie przychodzę też przez uprzejmość. - I znowu rzuciła okiem na połamane krzesła.

- Mieliśmy ostatniej nocy gościa - odezwała się Lauren.

- Wiem. - Lisica podeszła bliżej i usiadła na jedynym krześle, które pozostało całe.

- Wie pani?

- Potężny mężczyzna. Przychodzi do mnie, prosi o eliksir.

- Co za eliksir?

- Taki, żebyś go zaczęła chcieć.

Garść rozbitych skorup zaklekotała o podłogę.

-Ja?

- Myślę, przyjdę i ostrzeżę; potem mówię, to nie sprawa Lisicy.

- Żałuję, że nie przysłaś. Mogłaś nas uchronić przed tymi kłopotami. - Lauren objęła spojrzeniem zaśmiecony pokój.

- On mówi więcej. - Lisica uniosła twarz i Lauren zamrugała powiekami.

Czy źrenice tej kobiety nie przypominają oczu węża?

- On mówi, zabije twojego mężczyznę i weźmie ciebie; potem on bogaty człowiek od whiskey.

- Angus. - wyszeptała Lauren i przeszedł ją dreszcz.

- Znasz tego mężczyznę? - Lisica spojrzała na nią spod oka.

Lauren przysiadła na rozchwierutonym krześle, bo nogi się nagle pod nią ugięły. Adam skłamał. Wiedział przez cały czas, że to Angus, a nie mężczyzna imieniem Roget. Ale dlaczego Angus przystał na to oszustwo? Dlaczego nie zabił ich obojga, kiedy miał po temu okazję?

- Wiem, że to człowiek, którego Adam ściga od wielu miesięcy. Nie mogę uwierzyć, że mieliśmy go w areszcie.

Lisica zerknęła na klatkę.

- Gdzie on jest teraz?

- Uciekł.

Indianka przebiegle się uśmiechnęła.

- On czarodziej, ten człowiek.

- Nieprawda, wcale nie potrafi czarować; tylko jest bardzo sprytny.

Lisica pochyliła się ku niej.

- Są tacy, co mówią, że on wcale nie człowiek, tylko duch. On rusza się szybko, prędko. - Smukła dłoń przecięła powietrze.

- Możesz sobie myśleć, co chcesz, ale to nie żaden czarownik; gdyby nim był, nie pozwoliłby się Adamowi schwytać.

- Może on chce twój jego schwytać, przynajmniej na zeszłą noc. Jedyne droga dostać się bliżej ciebie.

Słowa te zimną strużką spłynęły Lauren po plecach, zostawiając za sobą gęsią skórkę. Lisica powiedziała, że Angus dostał od niej eliksir. Młoda kobieta podeszła do wiadra na wodę, zajrzała do środka, a potem przeciągnęła po mokrym dnie dłonią.

- On nie traci eliksir na możliwe ty wypijesz. Zrobiłby pewny.

- Myślę, że powinnaś już iść. Mam dużo pracy. - Lauren nie odwróciła się, nie chciała już oglądać na twarzy Lisicy tego znaczącego uśmiešku. Co Indianka ma z tym wspólnego? Czy jest kobietą Angusa?

Lisica już słowem się nie odezwała; Lauren zorientowała się, że gość wyszedł, kiedy drzwi otworzyły się i zamknęły, a zimne powietrze owiało jej kostki u nóg.

12

- Muszę pojechać, Lauren. - Adam wepchnął koszulę do śpiwora i szarpnął za rzemień. - Rozumiesz chyba.

- Rozumiem. Tylko po prostu mi się to nie podoba. - Podała mu parę onuc, które wziął, pośpiesznie ją przy tym poklepawszy po ręce. - Jak długo cię nie będzie?

- Tydzień, a może dwa.

Trwoga chwyciła Lauren za gardło. Przełknęła, by powstrzymać napływające łzy.

- Chcę, żebyś przeniosła się do Erika i Gretchen i zatrzymała się u nich. - Rzucił śpiwór na podłogę i odwrócił się do żony. - Zostań tam, dopóki nie wrócę.

- Adam, nie mogę uciekać do nich i chować się za każdym razem, kiedy wyjedziesz na patrol. Jestem żoną Konnego i ludzie mnie również muszą szanować. Sam mi to mówiłeś, prawda?

Adam roześmiał się i przyciągnął ją do siebie.

- Znieść tego nie mogę, kiedy obracasz przeciw mnie moje własne słowa.

Lauren wtuliła policzek w jego kurtkę. Niespodziewana wizyta Angusa wstrząsnęła Adamem. Bał się nie o siebie, tylko o nią.

- Masz tam trochę suszonego pemikanu, a na zewnątrz wiszą jeszcze dwa króliki. Ktoś z rezerwatu przyniesie ci za kilka dni trochę mięsa.

- Uważaj na siebie. - Chwyciła go za rękę, kiedy pochylał się po śpiwór.

- Tego możesz być pewna. - Pocałował ją w policzek. - Ale ty też na siebie uważaj, słyszysz?

Lauren kiwnęła głową, walcząc z chęcią do płaczu.

- Gdybyś się bała albo poczuła się samotna, przenieś się do Gretchen i Erika. Pod moją nieobecność zawsze możesz u nich pomieszkać. Masz stałe zaproszenie.

- To jest nasz dom. Będzie mi tu dobrze. - Zadarła brodę do góry z nadzieją, że mąż nie zauważy łez w jej oczach.

Adam ruszył do drzwi, ale zawrócił gwałtownie i chwycił żonę w ramiona. Przywarł do jej ust w miążdżąco silnym, przeciągłym pocałunku, jakby odciskał na nich swój znak własności.

- Mam nadzieję, że ostatniej nocy poczęliśmy dziecko - wyszeptał, niemal nie odrywając warg.

I zanim Lauren zdobyła się na komentarz, już go nie było. Łzy strumieniem spływały jej po twarzy, kiedy stała w drzwiach i patrzyła, jak Adam odchodzi, a poły kurtki uderzają go łagodnie po szczupłych biodrach. Jakiś spowity w pasiasty koc mężczyzna czekał na niego na skraju drzew.

Musiał się przemóc, by wypowiedzieć te ostatnie słowa, ale jak doniosłym były one wyznaniem! Tej nocy kochał się z nią pożądliwie, namiętnie. Może w końcu pozbył się swoich lęków. Lauren przycisnęła palce do warg i pomachała, kiedy Adam zatoczył koniem i ruszył kłusem w kierunku lasu.

- Od jak dawna oni tu są? - spytał szeptem McPhail towarzyszącego mu mężczyznę.

- Wiele dni. Robią whiskey długi czas. - George wyjrzał zza skarłowaciałych krzaków, które oddzielały ich od ukrytej w zaroślach gorzelni.

- Kto tym kieruje? - Adam zdjął stetsona i przyjrzał się dokładniej temu, co miał przed sobą. Na polance, na której poszycie deptano i rąbano tak długo, aż się poddało, pięciu czy sześciu mężczyzn zajmowało się destylatorem, który czkał dymem i oszałamiającym odorem fermentującego zacieru. Obwód polanki pocętkowany był namiotami, między żerdziami rozciągały się ciężkie od ubrań sznury.

George wzruszył ramionami.

- Wielki mężczyzna z czarną brodą. Podle oczy. - To mówiąc, otulił szczerzej pasiastym, kolorowym kocem ramiona. - Pan Konny jemu nie zimno?

Adam odwrócił się twarzą do człowieka, który go tu przyprowadził. Traper kulił się pod dwoma kocami, futrzany szal podciągnął sobie pod samą brodę. Chociaż dzień był ciepły jak na maj, zaraz po wschodzie słońca podniósł się chłodny wiatr.

- Jeszcze trochę, a stopy mi zamarzną.

- Ty zastrzelasz dziś ludzi? - zapytał George, pokazując głową na obozowisko.

- Nie, nikogo nie zamierzam zastrzelić, a przynajmniej mam taką nadzieję. Chcę dopaść Czarnego Angusa. To ten mężczyzna, którego opisałeś. Od jak dawna tu jest?

George wzruszył ramionami.

- Tydzień albo dwa. On wyjeżdża wozem załadowanym w drewniane skrzynki. W stronę południa.

- Prawdopodobnie do granicy. - Adam zmienił pozycję. Spodnie na kolanach przesiąkły mu zimnym błotem. Bolały go stawy. - Zaczekamy, aż się pokaże. To operacja na spora skalę. Czy ktoś jeszcze przyjeżdża tu po alkohol?

George nie odpowiedział ani nie odwrócił głowy.

- George?

- Paru ludzi z rezerwatu - mruknął w końcu traper. Adam przysiadł na piętach.

- A mnie się wydawało, że jesteś na to za mądry.

- Nie mówię, że ja przyjeżdżam.

- A przyjeżdżasz?

George znowu zamilkł.

- Niekiedy, jak zimą robi się mróz.

- Skąd masz pieniądze?

- Czasami żona, ona ma.

Adam potrząsnął głową. Zdawał sobie sprawę, że nie ma co dalej rozmawiać na ten temat. Nielegalna whiskey już wyrządziła Kri nieodwracalną krzywdę, stając się złudną pociechą dla nieszczęsnych Indian, zamkniętych w rezerwacie o wiele dla nich za małym i o wiele za biednym.

- Chodźmy. - Adam wstał i zamarł, bo tuż nad uchem szcęknął mu kurek rewolweru.

- A kogóż my tu mamy? Jednego z tych, co to chodzą w szkarłacie - odezwał się szyderczo jakiś głos. - Ręce do góry, panie Konny.

Adam powoli podniósł ręce nad głowę.

- Poprosiłbym cię, żebyś rzucił broń, ale wiem, że masz ją przywiązaną do tego głupiego karku, więc zrobię to za ciebie.

Ktoś go brutalnie obrócił i inspektor stanął twarzą w twarz z wyższym o głowę, bardzo zarośniętym brodaczem. Jego ubranie przesiąknięte było kwaśnym odorem alkoholu. Szczyrzył zepsute zęby przez wargi poplamione tytoniowym sokiem.

- Śliczny malutki pan Konny. Strasznie coś sobie pan portagałeś ten mundur, co nie? - Szarpnął za sznur, obrywając guziki przy epoletach. - Chyba sobie zostawię ten drobiazg na pamiątkę. Powinienem dostać za niego ładnych parę groszy na południe od granicy. - Machnął wiszącym na białym sznurze rewolwerem. - Szpiegujesz nas pan, co?

Adam zachował milczenie, oceniając stojącego przed nim człowieka. Zerknął na George'a, który stał obok z twarzą bez wyrazu. Z tej strony nie ma co spodziewać się pomocy.

- Szpieguję? Nie. Przyszedłem się zobaczyć z waszym szefem.

Olbrzym szeroko się uśmiechnął.

- A skąd to pan wiesz, że nie ja jestem szefem?

- Lepiej, żeby się Angus nie dowiedział, że coś takiego mówisz.

Na samą wzmiankę o Angusie w oczach mężczyzny zamigotał lęk, przelotny, ale intensywny. Adamowi nie trzeba było niczego więcej.

- Pomyślałem, że może wrócił już znad granicy, i przyniosłem dla niego wiadomość.

- Co za wiadomość?

- Wolałbym przekazać mu ją osobiście, jeśli ci to nie przeszkadza.

- A właśnie, że mi przeszkadza. Nie możesz tak sobie

przychodzić jakby nigdy nic i spodziewać się, że Whoop Up Jack pozwoli ci się zobaczyć z Angusem.

- A tym Whoop Up Jackiem jesteś ty?

Mężczyzna zmarszczył brwi.

- No. Od kiedy to Konni wożą wiadomości dla Angusa, co? Adam odczekał chwilę, zanim udzielił odpowiedzi, wiedząc, że im dłużej będzie milczał, tym mocniej zapanuje nad sytuacją.

- A jak sądzisz, w jaki to sposób Angus przewozi alkohol przez Saskatchewan, mijając po drodze fort?

Jack znowu się zmarszczył.

- Coś nie za bardzo ci ufam, panie Konny. Idziesz ze mną.

Wyciągnął rękę, by chwycić inspektora za ramię. Adam wbił mu kolano w brzuch, a kiedy Jacka zgięło w pół, wykręcił olbrzymowi ręce na plecy.

- Przekaż Angusowi, że szuka go inspektor McPhail. Zostawimy cię tu, zapakowanego tak ślicznie jak świąteczny prezent. Jestem pewien, że przyjaciele cię później odnajdą. - Adam wyszarpnął krótki kawałek skórzanego postronka z kieszeni i okręcił nim szerokie nadgarstki Jacka. Wykorzystując ból jak dźwignię, szarpnął go i postawił na nogi. - Będziesz sobie stał o tam...

Coś uderzyło w niego z takim impetem, że aż się okręcił. Walnęło go w ramię, świat się przechylił. Miękka, bagnista ziemia popędziła Adamowi na spotkanie. Pochłonęła go ciemność, a w ustach poczuł drobinki piachu.

Kitu-ciach, kitu-ciach, kitu-ciach! Natarczywe wołanie jakiegoś ptaka odwróciło uwagę Lauren od zabłoconych desek ganku. Wyprostowała się, oparła na miotle i powędrowała wzrokiem do góry ku melodyjnym nutkom, dobiegającym z korony nagiego drzewa na skraju jeziora. Mała lasówka przeskakiwała nerwowo z gałęzi na gałąź, potem odfrunęła w stronę lasu. Lauren patrzyła za nią, dopóki ptaszek nie zniknął; potem ociągała się jeszcze przez chwilę z brodą opartą na rączce miotły.

Minęły już dwa tygodnie, a od Adama nie było żadnych wieści. Słońce wyszło ponad korony drzew i Lauren spociała się pod bawełnianą sukienką. Przełknęła, broniąc się przed kolejną falą mdłości, odepchnęła się od słupka na ganku i zmiotła do końca resztki błota. Kiedy kładła dłoń na klamce, popatrzyła raz jeszcze w kierunku, w którym odjechał jej mąż, po raz tysięczny mając nadzieję, że go zobaczy. Ale zobaczyła tylko falujące trawy, które właśnie zieleniały z wiosną.

W chłodnym wnętrzu domu przeszedł ją dreszcz. Zamknęła drzwi i podeszła do pękniętego lustra na ścianie. Luźne pasemka włosów spadały jej na oczy. Odepchnęła je do tyłu, zła, że pozwoliła sobie na takie zaniedbanie własnego wyglądu. Potem uśmiechnęła się do mizernej twarzy, która na nią spoglądała z lustra. Była w ciąży.

Z zadowoleniem pomyślała, że musiała począć za pierwszym razem, kiedy się kochali. Mdłości zaczęły się przedwczoraj. Najpierw sądziła, że pewnie zjadła coś niedobrego. Ale poranne mdłości w czasie dnia ustały.

- Muszę się z kimś zobaczyć - wymamrotała pod nosem, odwiązując fartuch i wieszając go na gwoździu. - Muszę o tym komuś powiedzieć.

W kilka minut później brnęła ścieżką wokół jeziora w stronę polanki, na której samotnie stała faktoria i dom Erika. W łagodnym słońcu poranka zrobiło jej się ciepło i poczuła, że żołądek znowu się buntuje.

Tuż przy ścieżce leciutko chlupotało jezioro. Małeńkie strzyżyki skakały po trawie, zbierając świeżo wyklute owady. Przez jedną noc zrobiła się wiosna. Lauren utkwiała wzrok w widocznym już domu Ansgarów i usiłowała zignorować swój żołądek, a skupić myśli na kobiecie, którą miała odwiedzić.

Na ganku rozpięta była szeroka skóra rosomaka, metalowe potraski podzwaniały na lekkim wietrze. Przez ganek wchodziło się i do faktorii, i do domu Erika. Lauren dała nura pod wiszące pod daszkiem towary. Na jej pukanie odpowiedziała Gretchen.

- Hej - powitała ją promiennie Lauren.

- Hej - odpowiedziała Gretchen, a potem odstąpiła w bok, by gościa wpuścić.

- Zateśniłam za ludźmi i przyniosłam pani trochę ciasta. - Podała Ansgarowej nakryty ściereczką koszyk, który niosła na rękę. - Z podziękowaniem, że mnie tak pani pielęgnowała.

- Taa. Erik chętnie spróbuje na zmianę od kogoś innego. - Gretchen zaczęła krzątać się przy kuchni.

- Widzę, że pani piecze - powiedziała Lauren, wciągając pachnące drożdżami i cynamonem powietrze. - Wiem, że pani ciasto będzie dużo lepsze niż moje, ale tak czy owak dziękuję.

Gretchen prychnęła śmiechem i wtedy twarz Lauren pojaśniała. Trwało to tygodniami, zanim udało jej się skłonić Ansgarową do rozmowy, a potem mówiły tylko o sprawach ogólnych, nie poruszając żadnych osobistych tematów. A Lauren bardzo chciała dowiedzieć się czegoś więcej o dzieciach, które Gretchen straciła.

- Gdzie inspektor? - zapytała gospodyni, chodząc po kuchni, wyjmując kubki i talerzyki, talerze i łyżki i ustawiając to wszystko na stole. Lauren przyglądała się, jak bierze kociołek z gorącą wodą z pieca, nalewa wrzątku do kubków, a potem do każdego wrzuca szczyptę herbaty.

- Wciąż jeszcze na patrolu. Nie ma go już od ponad dwóch tygodni. - Żołądek znowu podszedł Lauren do gardła, a na górną wargę wystąpił kroplisty, zimny pot. *Dobry Boże*, pomyślała, przełykając, *zaraz wymiotuję*. Szarpnęła drzwi i ledwo zdążyła przechylić się przez poręcz, zanim rzuciła śniadanie. Kiedy uniosła głowę, spojrzała prosto w spłoszone twarze dwóch Kri, okrytych futrami od stóp do głów, którzy właśnie wybierali się do faktorii.

- Przepraszam - jęknęła i chwyciła za słupek, żeby się podtrzymać.

Przyglądając jej się z niepokojem, Indianie ominęli ją wielkim łukiem i pośpiesznie weszli do faktorii. Chłodne ręce dotknęły czoła Lauren, ktoś przyłożył jej wilgotną ściereczkę do twarzy.

- Chodź do środka - powiedziała Gretchen, podtrzymując młodą kobietę mocną ręką za ramiona i prowadząc ją.

Lauren z wdzięcznością opadła na kanapę. Gretchen ułożyła jej nogi na poręczu.

- Kiedy przychodzi dziecko? - zapytała z bladym uśmiechem.

Lauren bacznie przyjrzała się jej twarzy i dojrzała w niebieskich oczach błysk zazdrości.

- Zimą.

Gretchen się uśmiechnęła.

- A, dziecko pod choinkę?

Uśmiech był zaraźliwy.

- Tak mi się zdaje.

- Czy inspektor McPhail już wie?

Lauren spuściła wzrok na dłonie.

- Nie, jeszcze nie.

Gretchen nie skomentowała. Lauren uniosła wzrok i spojrzała w smutne oczy gospodyni.

- On chce dziecka?

- Tak mi się zdaje.

- Chce. - Gretchen wstała z miejsca u boku Lauren. - Wiele razy tak mówi. - Przeszła do kuchni i podała gościowi kubek herbaty. - Ty pij, a ja przyniosę lekarstwo.

Lauren uniosła się do pozycji siedzącej i małymi łyżkami popijała mocną herbatę. Spodziewała się, że pogorszy to tylko stan żołądka, ale stwierdziła z zaskoczeniem, że herbata uśmierzyła mdłości.

- Masz. - Gretchen wcisnęła jej w dłoń jakiś papierowy pakiecik. - Wrzuca pani po troszkę do porannej herbaty, a żołądek będzie grzeczny.

- Dziękuję - powiedziała zaskoczona Lauren.

Gretchen usiadła znowu i wzięła ją za rękę.

- Uważaj na dziecko. Żadnej ciężkiej pracy. Nie podnoś.

- Nie będę.

- A kiedy dziecko przychodzi, pošlij po mnie.

Lauren wbiła wzrok w szeroką twarz Ansgarowej, która złagodniała teraz z z troskaniem. Co właściwie wie o tej kobiecie? Czy naprawdę może ona być szalona? Czy powinna powierzyć jej dziecko?

- Ci lepiej?

Lauren wypła jeszcze łyczek.

- Ależ tak. Co to jest?

- Zioła - odpowiedziała krótko Gretchen i podniosła się. - Poleż chwilę. - Poczłapała do kuchni, zostawiając Lauren samą na kanapie.

Lauren nigdy wcześniej nie zwróciła uwagi na to, jak przytulna i śliczna może stać się taka prosta chata z bali dzięki serdecznej dbałości i pieczy. Na każdym krześle leżały zawięte hafty. Szorstką podłogę pokrywały plecione i szydełkowe chodniki.

- Posprzątała pani w domu? - Głos Gretchen odbijał się echem od sufitu.

- Da się w nim żyć, ale nie jest taki ładny jak ten.

- Dziękuję. - Gretchen przysiadła znowu w nogach kanapy, fartuch miała z przodu oproszony mąką. - Pokażę pani jak. Od ładnych rzeczy chata robi się domem.

- Nigdy mi robótki nie wychodziły za dobrze. - Lauren podniosła z poręczy kanapy serwetkę i przesunęła palcem po delikatnym splocie nici.

- Każdy potrafi. - Gretchen machnęła ręką. - Tylko trzeba cierpliwości. Jak w małżeństwie.

Lauren zerknęła na nią z ukosa.

- Ty lubisz być żoną inspektora?

- Tak. - Lauren zachichotała. - Lubię być żoną Adama, bardzo. Czy on kiedykolwiek wspominał o mnie, Gretchen?

Gretchen odwróciła wzrok.

- Raz powiedział, że ma kobietę w Reginie.

- Ale nigdy nie mówił, że ma się ożenić? - Lauren rozłożyła znowu serwetkę na poręczy kanapy.

- Nie. Inspektor McPhail on nigdy dużo nie mówi o sobie.

- Ale mówiła pani, że powiedział, że chce mieć dzieci.

- Powiedział, że chce kiedyś mieć dzieci, ale to nie jest właściwe miejsce, żeby sprowadzać kobietę.

Lauren wyrzała za okno. Obłoczki sunęły sennie po błękitnym niebie. Wspomnienie mozolnej, wyczerpującej wę-

drówki przez śniegi blakło już w jej pamięci. Adam długo jeszcze był obolały i posiniaczony, ale słowem nie wspomniał o swoich dolegliwościach. Tylko niepewny krok i ciche pojękiwanie zdradzały, jak cierpi. Całymi dniami pracował nad chatą, czasami do późnej nocy, żeby jego żonie było tam wygodnie. Jak działała na Adama jej obecność? Czy naraziłby się dla niej na niepotrzebne ryzyko?

- Mylił się. - Podniosła kubek i talerzyk i - obracając kubek - przysłuchiwała się, jak porcelana cicho trze o porcelanę. - Rozumiem teraz, dlaczego tej kraj go tak pociąga. Jest świeży i nowy, a nie cały zdeptany i zużyty, jak wschodnie wybrzeże. To cudowne miejsce dla kobiet i dzieci.

Gretchen powoli potrząsała głową.

- Mam nadzieję, że po zimie będzie pani tak dalej myślała, pani McPhail.

- Proszę. - Lauren pochyliła się i chwyciła Gretchen za rękę. - Proszę mówić do mnie Lauren.

- Niech cię nie oszuka wszystko, co tu widzisz. Wiele smutku zbudowało ten dom.

Lauren znowu rozejrzała się dookoła.

- Czy zrobiła pani te wszystkie rzeczy już po śmierci dzieci? *Dobry Boże, co ją skłoniło, by coś takiego powiedzieć?* Poczowała zażenowanie. Dlaczego o to zapytała?

Gretchen nie odpowiedziała. Milczenie trwało tak długo, że Lauren straciła nadzieję, że Ansgarowa kiedyś się do niej jeszcze odezwie.

- Gretchen... - zaczęła się podnosić.

- Tak - przerwała jej Gretchen. - Praca pomaga wypełnić pustkę. - Przygarbiła się, podeszła do okna i zapatrzyła się na jezioro.

- Czy opowie mi pani o nich? - Lauren odstawiła kubek na podłogę i usiadła, spuszczając nogi z kanapy.

- Nigdy nikomu nie opowiadam, ale tobie opowiem. - Odwróciła się od okna, przeszła przez pokój i usiadła na drugim końcu kanapy. Palcami najpierw skubała koronkowy skraj fartucha, potem zaczęła go miąć. - Mój malutki Erik.

Był dobrym chłopcem. - Uśmiechnęła się, a w jej oczach zabłyśły łzy. - Tylko dwa latka. - Podniosła dwa palce w górę.

- Co mu się stało?

Gretchen westchnęła.

- Umarł na gorączkę letnią. Byliśmy młodzi. Dopiero co się tu sprowadziliśmy. Erik lubił się bawić w kałużach. Niedobrze. - Odwróciła się do Lauren, ściągnęła brwi i potrząsnęła głową. - Nigdy nie pozwalaj swojemu dziecku bawić się w kałużach.

- Nie pozwolę. - Lauren poczuła ukłucie lęku. Może poruszyła coś, co lepiej było zostawić w spokoju.

- On zachorował. Żadne leki moje i Erika nie pomogły. - Potrząsnęła głową. - Tuliłam go, jak umarł, wyciągał rączki, żeby go tulić.

W gardle Lauren wezbrało łkanie i wielką falą napłynęła miłość do własnego, nienarodzonego dziecka. Jakaż samotna musiała być wtedy Gretchen.

- Mój drugi synek umierał zimą...

- Nie musisz tłumaczyć - wtrąciła szybko Lauren.

- Dobrze. Nie szkodzi. Moja córeczka umarła przy urodzeniu. Ja widzę ją. - Pokiwała głową, wpatrując się w coś, czego Lauren nie mogła zobaczyć. - Malutka dziewczynka z rudymi włoskami, jak u Erika. - Uśmiechnęła się przez łzy, które spływały jej po policzkach. - Ona umiera, zanim oddycha. Ale ja jej daję imię - dodała. - Ty myślisz, że dziecko powinno umrzeć bez imienia?

- Nie, ja również tak nie uważam. - W Lauren ukradkiem zaczęły budzić się złe przeczucia, rzucające cię na promienną pogodę.

- Jeżeli nie mają imienia, jak Bóg wie, kto są?

- Nie wiem. - Lauren otarła łzy z własnych policzków, nie mogła się już doczekać, kiedy stąd wyjdzie.

- Anselma, takie imię mojej dziewczynce dałam. To znaczy chroniona przez Boga. - Gretchen pokiwała znowu głową. - Teraz jest. Mojego malutkiego chłopczyka nazywam Aesir. Z bogami, tak to znaczy. Pochowałam ich wszystkich

tam, gdzie mnie wtedy widziałaś. - Lauren wstała i podeszła do okna, które wskazywała palcem Gretchen. Niziutki biały płótek ze sztachet, teraz pochylonych i pokręconych przez zimę, zataczał krąg na podwórku. W środku znajdowały się trzy maleńkie groby. Trwoga Lauren nasiliła się. Położyła sobie dłoń na brzuchu. *Tobie się to nie przydarzy, ma-
leństwo. Na pewno.*

Jej uwagę przyciągnęło coś na skraju lasów. Spomiędzy drzew z turkotem wytoczył się wóz, a za nim pokazali się trzej mężczyźni w szkarłatnych kurtkach.

- Adam - szepnęła Lauren i rzuciła się do drzwi. Szarpnęła je gwałtownie, a potem uświadomiła sobie, że grupa nadjeżdża z niewłaściwej strony. Kiedy się zbliżyli, rozpoznała Mike'a Finnegan po nawoskowanych wąsach.

- Muszę iść. Przyjechał oddział mojego męża z Fortu Saskatchewan. - Chwyciła za koszyk i skierowała do drzwi, ale zawróciła i przytuliła zaskoczoną Gretchen. - Dziękuję za herbatkę i lekarstwa.

Gretchen uśmiechnęła się i kiwnęła głową.

- Przykro mi, jeżeli cię wystraszyłam.

- Och, nie. - Lauren wycofywała się w stronę drzwi. - Wróć tu. - Potem zamknęła za sobą drzwi i dosłownie sfrunęła ze schodów.

- Mike! - wołała, biegnąc i machając ręką.

Siedzący na wozie Finnegan wstał z lejcami w rękach i zamasyście uchylił kapelusza. Lauren biegła do chaty, starając się otrząsnąć z czepiającego jej się wciąż przeczucia zagrażającego nieszczęścia. Kiedy podjechali pod dom, podeszła do nich.

- A gdzie to się podziewa nasz zacny inspektor? - zapytał Finnegan, uśmiechając się półgębkiem.

- Nie ma go. Ale spodziewam się go lada chwila.

Mike zeskoczył na ziemię, chwycił Lauren za ręce i uśmiechał się tak szeroko, że jego lazurowe jak niebo oczy zniknęły w zmarszczkach. Miękkie, rudawe, wijące się nad uszami przybysza włosy aż prosiły się, żeby je przyciąć. A zmarszczki w kącikach oczu porobiły mu się na pewno od częstego śmiechu.

- Małżeństwo służy pani, dziewczyno.

Lauren roześmiała się w głos.

- Dziękuję. Tak się cieszę, widząc znajomą twarz.

- Już panią zmęczył widok męża-brzydala?

Lauren zaczerwieniła się, a w oczach Mike'a pojawił się psotny błysk.

- Nie, po prostu cieszę się, widząc kogoś jeszcze,

- No to ma pani na głowie trzech kawalerów, a mogę dodać, że każdy z nich przymiera głodem w oczekiwaniu na domowy posiłek.

Oddziałek Adama składał się z trzech mężczyzn. Lauren zagapiła się na pozostałych dwóch. Posterunkowy McDougall był jasnowłosy i niski. Posterunkowy McLeod był wysoki, ciemny i niemłody, poruszał się z pełną elegancji gracją, świadczącą, że w przeszłości zajmował się czymś bardziej dżentelmeńskim niż poskramianie zachodnich prowincji.

- Dzień dobry pani - powiedział McDougall, krótko skinąwszy jej głową.

- Pani McPhail - powitał ją Duncan, pochylił głowę i miękko się uśmiechnął.

- Czy McPhail dobrze panią traktuje? Jak nie, to Mike Finnegan, skoro już tu jest, zaraz z tym zrobi porządek. - Mike wykrzywił się przeraźliwie, a Duncan zachichotał.

Młody William z entuzjazmem pokiwał głową.

- Z rozkoszą zjadłbym gorący posiłek, pani McPhail.

- Proszę, żebyście panowie mówili do mnie: Lauren. Wszyscy. A teraz zsiadajcie i chodźcie do środka. Zostało mi chyba trochę królika i...

- Oszczędzę pani kłopotów. - Finnegan przeszedł na tyły wozu. - Przywiozłem zaopatrzenie. - Odrzucił płócienną płachtę. Pod spodem leżały skrzynki z konserwami, beczułki z suszonym i solonym mięsem, konserwy owocowe i warzywne i inne potrzebne na posterunku rzeczy.

- Powiedziałbym, że z tego, co tu mamy, uda się nam przygotować wspaniałą kolację - oznajmił z szerokim uśmiechem.

- Och, wszystko wygląda cudownie. - Lauren podniosła

oczy na Finnegana. - Nie ma pan pojęcia, jak nam się już znudziły króliki.

- Finnegan - powiedział cicho Duncan.

Mikę odwrócił się, a Duncan pokazał palcem na północ, gdzie brzeg jeziora stykał się z gęstym lasem. Finnegan postąpił krok do przodu i przymrużył oczy.

- Matko Święta - szepnął. - Zsiadaj, McDougall, i daj mi swojego konia.

Posterunkowy McDougall zeskoczył na ziemię. Finnegan jednym susem znalazł się w siodle i smagnął konia, który ruszył galopem. Duncan podążył tuż za nim. Lauren stanęła na palcach, osłaniając oczy, żeby coś zobaczyć. Z lasu wychyłał jakiś koń, przystanął na moment na otwartej przestrzeni, potem powoli zszedł nad wodę i opuścił głowę, żeby się napić. Lauren zabrakło tchu w piersiach. Końskiego karku czepiało się coś szkarłatnego.

- O dobry Boże. Adam.

13

Lauren słyszała wychodzące z własnych ust, pełne udręki słowa, ale jej pole widzenia ograniczyło się do szkarłatnej plamki, która opadła na kark Jake'a. Finnegan ściągnął rozpędzonego konia, kiedy karosz Adama nerwowo podniósł głowę. Powoli, stępa, jakby od niechcenia, dwaj mężczyźni zbliżali się do McPhaila. Czas włókł się niemiłosiernie. Finnegan zaczął pogwizdywać. Jake opuścił głowę, żeby się napić, a Lauren dech zaparło, bo Adam zaczął się ześlizgiwać z jego grzbietu; zdołał jednak na czas chwycić się mocniej. Przerazenie ustąpiło miejsca nadziei. Żył.

Finnegan zatrzymał się, zsunął się na ziemię i ruszył w stronę wałacha. Jake uniosł na to głowę i nastawił uszu, cofnął się trochę, chcąc się wymknąć, i obejrzał się na las, ale Mikę podchodził coraz bliżej z wyciągniętą do przodu ręką. To, co mówił, zagłuszało chłupotanie fal na jeziorze. Wreszcie Lauren zobaczyła, jak chwyta za wodze, potem staje przy boku Jake'a i unosi głowę Adama. Sekundy wlokły się jak godziny, zanim wskoczył karoszowi na grzbiet, przyciągnął bezwładne ciało inspektora do siebie i popędził konia, który ruszył rozkołysanym biegiem.

Tuż przy ganku Jake zatrzymał się jak gdyby nigdy nic. Lauren zobaczyła, że jasne włosy Adama splamione są krwią, z trudem przemogła się i postąpiła krok w jego stronę.

- Wnieście go do środka. - Sama była zdumiona, jak spokojnie to powiedziała. - Tutaj. - Pośpiesznie weszła do domu przed Finneganem, który na poły niósł, a na poły włókł Adama. Jednym szarpnięciem odchyliła kapę i kołdry. Mikę dźwignął jej męża na łóżko. Adam jęknął, kiedy głowa opadła mu na poduszkę.

- Przynajmniej żyje - powiedział półgłosem Finnegan.

- Czy przywieźliście ze sobą jakieś leki? - zapytała Lauren, ostrożnie ściągając z męża kurtkę, czerwienią teraz od krwi niż od regulaminowego szkarłatu. Po włosach Adama spływała krew, ściekała po szyi i plamiła koszulę na ramionach. Lauren zacięła zęby, walcząc z lękiem, od którego przewracało jej się w żołądku. Tyle tej krwi. Ale gdzie jest rana? Zdejmowała z męża kolejne warstwy ubrań, aż nagle palec zapadł jej się w ziejącą otworem ranę na ramieniu. Świat zawirował i pociemniało jej w oczach, kiedy lepkie, ciepłe ciało zamknęło się wokół kciuka.

- Proszę przynieść mi trochę wody - poprosiła McDougalla, który z pobladłą twarzą stał w nogach łóżka. Uniósł na nią wystraszone oczy i zaraz biegiem ruszył spełnić jej prośbę.

- Coś mi się zdaje, że śmiertelnie przestraszyłam tego posterunkowego - wyszeptała Lauren do nieprzytomnego Adama, rozrywając na nim podkoszulek. - Przypuszczam, że oboje jesteśmy prawie tak samo bladzi. - Położyła mężowi dłoń na czole, chcąc przyglądać posklejane, splątane włosy, i pod palcami poczuła lekkość następnej rany. Nad skronią kula wyorała głęboką aż do kości bruzdę.

W polu widzenia pojawił się McDougall, niosąc w rozdygotanej ręce garnuszek z wodą.

- Gdzie Finnegan? - spytała Lauren.

- Tutaj. - Finnegan stanął u jej boku. - Czy chce pani, żebyśmy się tym zajął?

- Nie - powiedziała, usiłując skupić się na bieżącej robocie. Rozdarła podkoszulek w następnym miejscu; bielizna rozchyliła się, odkrywając pierś Adama. - To mój obowiązek.

Zanurzyła ostatni kawałek nowej halki w wodzie i zmyła zaschłą wokół rany na ramieniu krew; z otworu wciąż się sączyło.

- Proszę go nakryć tą kołdrą. - Pokazała na przykrycie, zwinęte schludnie w nogach łóżka.

- McDougall, może byś poszedł zająć się końmi - odezwał się Finnegan, okrywając Adama po pierś. Młody posterunkowy nie ociągał się, tylko pośpiesznie opuścił pokój.

- Gdzieżeś ty się tak urządził? - szeptała Lauren; zmywana krew plamiła halkę szerokimi, jaskrawo czerwonymi smugami. - Od jak dawna jesteś ranny?

Finnegan położył jej dłoń na ramieniu.

- Lauren.

Pani McPhail urwała i odwróciła się.

- Naprawdę z radością panią zastąpię. - Jego pełne współczucia oczy pociemniały z zatroskania.

- Wiem, co pan myśli - uśmiechnęła się Lauren. - Adam też uważał, że sobie nie poradzę, i jeżeli chce pan usłyszeć prawdę, to sama nie jestem pewna, jak to będzie, ale muszę spróbować, Mikę. To jest mój mąż. Zajmowanie się nim należy do moich obowiązków. Widzi pan, ja też jestem na służbie.

Finnegan uśmiechnął się i poklepał ją po ramieniu.

- McDougall.

- Sir? - dobiegła odpowiedź zza drzwi.

- Rozpal ogień, a ja ugotuję nam porządny irlandzki gulasz. - Wyszedł za zasłonę i zostawił McPhailów samych.

Lauren, która przez chwilę wstrzymywała oddech, zaczerpnęła powietrza. Nie mogła opanować drżenia rąk. Upuściła szmatkę do miski i zacisnęła złożone dłonie. Na powiekach Adama rysowały się delikatne błękitne żyłki, pod oczami pojawiły się szare cienie. Odgarnęła sztywne od krwi pasemko włosów i zdusiła łkanie.

- Od jak dawna jesteś już w tym stanie? - szeptała do niego. - Ile dni, ile nocy? - Spod powieki wymknęła jej się łza. Otarła ją pośpiesznie. - Żadnych szlochów teraz - powiedziała sobie. - Zawsze się później będę mogła wypłakać. - Potem zaczerpnęła głęboko powietrza, wzięła szmatkę i skończyła obmywać okolice rany.

Kiedy usunęła zaschniętą krew, świeża zaczęła znowu broczyć z rany. Sączyła się i ciekła jej po palcach, aż Lauren całą suknię miała z przodu poplamioną. Delikatnie obmacała ramię męża. Adam wzdrygnął się przy tym raz i cicho zajęczał.

- Mikę!

Finnegan pojawił się u jej boku.

- Proszę sprawdzić, czy, pana zdaniem, kula tkwi w ranie. Cofnęła się, a Finnegan zajął jej miejsce. Sękatymi paluchami obmacał ciało, potem uniósł ramię Adama i zajrzał pod spód.

- Nie. Przeszyła go na wylot.

Lauren pochyliła się i zobaczyła poszarpaną ranę wylotową.

- Proszę to tym poleć. - Finnegan podał jej butelkę whiskey. Lauren przechyliła ją i po obu stronach zalała ranę bursztynową cieczą; krwawienie znowu się nasiliło.

- Będziemy musieli ranę zeszyć. - Finnegan podniósł wzrok na Duncana, który stanął za nim.

- Przyniosę igłę i nici. - Lauren wyminęła tkwiącego tuż za zasłoną McDougalla. Otworzyła pudełko z szyciem, wybrała igłę i nitkę i pośpiesznie wróciła do Adama.

- Czy jest pani pewna, że nie chce pani, żebym ja to zrobił? - Finnegan przeszedł na drugą stronę łóżka.

Lauren przymrużyła oko i wetknęła nitkę w uszko igły. Palce jej zaczęły poruszać się bardziej opieszale. Jak łatwo byłoby pozwolić, żeby to Mikę dokończył robotę. Przecież Duncan i William ledwie się trzymają na nogach, przydałoby się dać im coś do zjedzenia. Popatrzyła na Finnegana, potem przeniosła wzrok na nieruchomą twarz Adama. To o niego przede wszystkim powinna się troszczyć.

- Nie, zrobię to sama.

Dreszcz ją przeszedł, a na ramiona wystąpiła gęsia skórka, kiedy przebijała igłą skórę męża. Zakładała kiedyś szwy jednemu z psów ojca, który podczas polowania rozdarł sobie skórę o ciernie. Teraz próbowała wyobrazić sobie, że Adam to pies.

- Proszę coś do mnie mówić, Mikę.

- O czym? - zapytał Finnegan.

- Wszystko jedno. O czymkolwiek.

- No cóż, zastanówmy się. Kiedy wyjeżdżaliśmy, po forcie krążyło trochę plotek. Wygląda na to, że...

Lauren nie starała się rozumieć, co mówi Finnegan. Sam głos Mike'a, który intonacją podkreślał swoje słowa, działał

na nią kojąco. Małą cząstką umysłu przysłuchiwała się temu, co mówił, reszta skupiła się na Adamie. Zeszyć, związać. Zeszyć, związać. Pilnować, by szwy były równe i mocne; starannie zamknęła ranę z przodu.

- A teraz proszę go unieść. - Otarła pokrwawione dłońie o poplamiony fartuch i znowu nawlokła igłę. Starła się nie słyszeć bolesnych jęków Adama, kiedy Duncan i Finnegan unosili jego ramiona. Szybko zabezpieczyła poszarpane brzegi rany wylotowej i głęboko, z ulgą odetchnęła, kiedy mężczyźni opuścili znowu jej męża na materac.

- Teraz szybko. Proszę go zabandażować - powiedział Finnegan, rękawem koszuli ocierając cienką warstewkę potu z czoła.

Lauren owinęła Adamowi czyste paski materiału wokół ramienia i pod pachą i porządnie związała końce.

Finnegan obmacał okolice rany, potem położył dłoń na czole inspektora.

- Zakażenie już się wdało.

Lauren spojrzała na twarz męża, taką spokojną we śnie.

- Co powinniśmy zrobić?

Mikę podciągnął kołdrę i przykrył ramię Adama.

- Nic nie możemy zrobić, dziewczyno, tylko czekać, co będzie.

Trzaskanie i powarkiwanie beczułkowatego pieca stanowiło odpowiedni akompaniament do rozlegającego się ze wszystkich stron chrapania. Lauren otuliła się mocniej szalem. W słabym, pomarańczowym świetle skromny pokój robił wrażenie świata zawieszzonego w czasie. Realne wydawały się tylko rechotliwe odgłosy, dochodzące z wnętrza aresztu. Odepchnęła się lekko stopą i bujany fotel rozkołysał się na poskrzypujących cicho deskach. Jedyną oznaką tego, że Adam nie przekroczył granicy między życiem a śmiercią, było wznoszenie się i opadanie jej ulubionej kołdry. Życie trzymała mocno w pazurach zabójcza infekcja, rozpalona skóra była dowodem toczącej się w organizmie walki.

Lauren oparła głowę i przymknęła powieki. Powinna była powiedzieć Adamowi o dziecku, zanim tamtego dnia wyjechał na patrol. Na cichy jęk męża otworzyła oczy. Czy utrzyma się przy życiu na tyle długo, by zobaczyć swoje dziecko? Czy kiedykolwiek przytuli istotkę, która rośnie w jej brzuchu?

Adam przykrył ręką oczy i zabełkotał coś niezrozumiale. Lauren pochyliła się i dotknęła jego policzka.

- Może chciałyby pani, żeby ją na jakiś czas zastąpić w czuwaniu? - dobiegł z ciemności cichy, charakterystyczny głos Duncan. McLeod wstał ze swego posłania na podłodze; w ciemnościach wyraźnie widoczny był jego biały podkoszulek.

- Nie. Zostanę tutaj.

Duncan podszedł bliżej, okrywając po drodze wystającą spod kołdry stopę Adama.

- Nie ma sensu, by pani wyczerpała siły do cna. Słońce niedługo wstanie.

Lauren przyglądała się, jak Duncan starannie otula stopy jej męża. Adam raz czy dwa wspominał o tym spokojnym Szkocie i mówił o nim nieodmiennie z podziwem i szacunkiem. Jak zrozumiała, McLeod był starszy od pozostałych i wielu młodym posterunkowym zastępował ojca. Poprawił przykrycie po raz ostatni i wycofał się w stronę prowizorycznego posłania.

- Wiem. - Skrzyżowała ręce i usadowiła się z powrotem na fotelu. - I tak nie mogłabym zasnąć.

- Jest mocny. Nie podda się i upora się z tym. - Usłyszała, jak Duncan grzebie w swoich jukach; pojawił się znowu w polu widzenia z fajką i kapciuchem w ręku. - Nie będzie pani przeszkadzać? - zapytał, pokazując na rzeźbioną główkę z wrzośca.

- Nie, oczywiście, że nie - odpowiedziała, potrząsając głową. Jej ojciec też palił fajkę. Gdyby przymknęła oczy, poczułaby może znowu słodki zapach, którym przesiąknięte były jego ubrania i cały on.

Duncan nabił fajkę i uchylił drzwiczki do pieca, które cicho zapiszczały. Wetknął do środka szczapkę drewna, potem roz-

zarzonym końcem zapalił fajkę. Jego głowę spowił dym. McLeod cofnął się i przysiadł ostrożnie na skraju łóżka Adama.

- Jak pan myśli, od jak dawna on jest w takim stanie?

Duncan obejrzał się na Adama.

- Nie wiadomo. Dzień, może dwa.

Lauren zaczęła się bujać. Pocieszała się w ten sposób i uśmierzała napływający lęk i ból.

- Cierpiał i był głodny. - Głos jej się załamał, zacisnęła mocno wargi. Przysięgała, że będzie mocna, że dowiedzie, iż nadaje się na żonę Konnego. Do czego to byłoby podobne, gdyby się teraz poddała.

- Nie wolno pani myśleć o takich sprawach, dziewczyno. Będzie to panią dręczyć. Adam to wspaniały chłopak i dobry oficer. Znalazł tu miejsce dla siebie i robi to, co kocha.

- Duncan urwał i pyknął znowu z fajki. - Jakiś czas temu mnie też postrzelili. Wczołgałem się w jakąś wypróchniałą kłodę, żeby się schować przed deszczem. Oczywiście - tu przerwał, żeby ubić tytoń - po kilku godzinach uświadomiłem sobie, że schowałem się również przed każdym, kto mógłby mnie szukać. - Ściskana w zębach fajka zadrżała, potarł sobie kolano. - Ale on mnie znalazł. - Pokazał głową na Adama i głęboko zaciągnął się dymem.

Lauren otworzyła usta, chcąc to jakoś skomentować, ale gardło miała tak ściśnięte, że słowa nie mogła wykrztusić.

- Szukał mnie całą noc, tak powiedział mi Griesbach. W życiu nie widziałem takiego oberwania chmury. Lało jak z cebra. Gdzieś nad ranem usłyszałem, że ktoś się przedziera przez poszycie. Potem zobaczyłem jego twarz. „Może już starczy tego wylegiwania się?” - zapytał, spokojny jak nie wiem co.

Duncan wyjął fajkę z ust i wydmuchiwał w górę kółka z dymu.

- Wyczołgałem się na zewnątrz. On był bardziej mokry i brudny niż ja. Gdybym go nie znał, przysięgłbym, że to jakiś handlarz whiskey. Z trzydniowym zarostem. - Pogładził się po brodzie. - Kurtka cała podarta i poszarpana. Podniósł mnie jak worek kartofli i przerzucił przez grzbiet swojego

konia. - Zaciśnął znowu fajkę między zębami. - O ile dobrze pamiętam, cholernie mi się niewygodnie jechało do domu.

Lauren popatrzyła na Adama, wyobrażała sobie, jak pochyla się, zagląda do wypróchniałej kłody, a kąciki ust drgają mu z rozbawienia. Łzy napłynęły jej do oczu i wszystko się rozmazało. Zamrugała gwałtownie i zdusiła łkanie.

- Rzadko się spotyka takiego mężczyznę - dodał Duncan, a głos mu się dziwnie załamał. - Wyjdzie z tego. Zobaczysz pani.

Lauren w milczeniu pokiwała głową i poczuła, że Duncan ściska ją za ramię. Uświadomiła sobie, że stanął przy niej.

- Jestem w policji od piętnastu lat, dużo w tym czasie ludzi widziałem. Jedni przychodzili, inni odchodzili. Niektórzy przychodzili, bo pociągała ich ta praca, innych pociągała przygoda, ale Adam... on się do tego urodził. I może być pani pewna, że wolałby leżeć tu z raną postrzałową, niż żyć takim życiem, jakie zaplanował dla niego jego tato.

Lauren zaskoczona podniosła wzrok.

Duncan uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- Dni i noce na patrolu potrafią się dłużyć i wychodzą wtedy na jaw historie z przeszłości. Ale jedno mogę pani powiedzieć. - Wyjął fajkę z ust i pokazał cybuchem na Adama. - Jego ojciec widział tylko to, co chciał z tego chłopaka zrobić, zamiast zrozumieć, jaki on jest naprawdę. Jeżeli więc ma pani jakieś wątpliwości...

- Nie mam - ucięła ostro Lauren, potem uśmiechnęła się ze skruchą. - Nie mam. Zawsze w niego wierzyłam.

- Coś mi się zdaje, że ożenił się z odpowiednią kobietą. - Duncan puścił do niej oko i oddalił się, znikając w ciemnościach i w chmurze słodko pachnącego fajkowego dymu.

Świt grał długimi, różowymi palcami na szorstkich ścianach z bali. Lauren drzemała, całe ciało bolało ją z wyczerpania. William i Duncan wstali już ze swoich twardych posłań i wyszli. Kiedy pierwsze promienie zaświeciły w okno, Adam poruszył się i otworzył oczy.

Patrzył przez moment na Lauren pustym wzrokiem, potem się blado uśmiechnął.

- Gdzie mnie znalazłaś? - zapytał sennie.

- Nigdzie cię nie znalazłam. Jake przyniósł cię z powrotem do domu. - W oczach znowu zapiekło ją od lez, kiedy wyobrażała sobie, jaki jej mąż był samotny, zmarznięty, cierpiący.

Adam bacznie przyjrzał się jej twarzy.

- Wyglądasz zmęczona. Od kiedy tu jestem?

- Od wczoraj po południu.

McPhail jęknął i poruszył ramieniem.

- Niewiele pamiętam z tego, co działo się od chwili, kiedy kula strąciła mnie z konia.

- Jakoś musiałeś się z powrotem na niego wdrapać.

Adam usiłował usiąść, ale nagle dech mu zaparło i opadł na poduszkę.

- Finnegan mówi, że wdało się zakażenie krwi. - Lauren położyła mężowi dłoń na czole. - Kula przeszła na wylot, ale wciąż masz gorączkę.

Na twarzy Adama zamigotał niepokój, spojrzął żonie w oczy.

- Musiałaś być śmiertelnie przerażona.

Lauren odwróciła wzrok.

- Jakoś sobie poradziłam.

Palce męża zamknęły się wokół jej dłoni, uścisk był mocny i serdeczny.

- Kocham cię.

Lauren popatrzyła na ich ręce. Sztywne od krwi włoski pokrywały grzbiet dłoni Adama, zmarszczki wokół odcisków na palcach zabarwione były czerwinią.

- I ja ciebie kocham.

Wstała, a Adam niechętnie ją puścił. Wyglądała na wyczerpaną, jej jasne oczy poszarzały.

- Przyniosę ci trochę rosołu - rzuciła przez ramię, wychodząc za zasłonę. Adam słuchał, jak ociężałe przechodzi przez kuchnię i grzechocze czymś przy piecu. Potem usłyszał pociąganie nosem: płakała. Czekał, wpatrując się w nagie belki

nad głową, nie mając żadnej możliwości, by ją pocieszyć, rozumiał, że Lauren nie chce, by wiedział o jej łzach.

Kiedy znowu wyszła zza zasłony, oczy miała już suche, tylko zaczerwienione.

- Kiedy ostatni raz coś jadłeś? - zapytała dzielnym głosem, siadając przy nim na fotelu.

- Och, sam nie wiem. Wczoraj, może przedwczoraj. - Chociaż pewnie było to raczej kilka dni, podczas których wypijał tylko sporadycznie po łyku wody.

Lauren uniosła łyżkę pełną zupy i przysunęła mu ją do ust. Unikała jego spojrzenia, kiedy go karmiła.

- Dobrze. Co to jest?

- Trochę królika. Trochę wiewiórki.

- Finnegan je załatwił?

Podawała mu następną łyżkę.

- Nie, ja.

Adam przełknął.

- Ty? Jak?

Usta Lauren uniosły się w wesołym uśmiechu.

- Zastawiłam pułapkę.

Adam prychnął śmiechem i zaraz potem stęknął, bo najdrobniejszy nawet ruch wywoływał ból.

- Opowiedz mi o tym.

- Och, to długa historia. Może jak się lepiej poczujesz. - I kiedy otworzył usta, by zaprotestować, wetknęła mu do nich następną pełną łyżkę.

Po troszku Adam zjadł całą miskę cienkiej zupy. Za każdym łykiem przypatrywał się dłoniom Lauren, która delikatnie trzymała zgiętą i porysowaną łyżkę, zręcznie podnosiła mu ją do ust, uważając przy tym, by nie rozlać gorącego płynu. Uśmiechała się, ilekroć przełknął kolejny łyk, potem starannie wytarła mu usta jakąś szmatką. Chociaż bolało go ramię, nie przypominał sobie, by kiedykolwiek w życiu czuł się bardziej szczęśliwy albo kochany, a przynajmniej nie od dzieciństwa. Z ogromną radością dowiedziałby się, że ich związek wywołuje w jego żonie podobne poczucie pewności, ale podejrzewał, że tak nie jest.

- Lauren. - Chwycił ją za rękę, kiedy wstawała z fotela.

- Tak? - Przystanęła, balansując miską na dłoni.

W umyśle Adama zakłębiło się od pytań, starannie prze-myślane wypowiedzi ulotniły się.

- Przykro mi, że tak długo byłaś sama. - Słowa zabrzmia-ły nieadekwatnie do sytuacji.

- W porządku. Poradziłam sobie. - Wzruszyła ramionami i, cicho szeleszcząc spódnicą, odeszła.

Adam odwrócił głowę i zapatrzył się na wzór z muszli na wiszącej przy łóżku zasłonie. Z drugiego pokoju dochodzi-ły ciche odgłosy: Lauren myła miskę; Lauren podkładała do pieca; Lauren opadła na krzesło z prostym oparciem. Nigdy jej jeszcze nie kochał tak mocno jak w tej chwili. Ale sam przyznawał z westchnieniem, że miłość mogła im nie wy-starczyć.

- Cieszę się, że widzę cię wśród żywych.

Adama wyrwał ze snu głos z mocnym irlandzkim akcen-tem. Finnegan stał w nogach łóżka i szeroko się uśmiechał.

- Gdyby nie ty, przyjacielu, mógłbym nie przeżyć - stęk-nęła Adam i podsunął się wyżej na poduszkach.

- E, tam. Jake znalazłby drogę do domu. Kiedyś.

- Tak czy owak cieszę się, że byłeś tu przy Lauren.

Finnegan obszedł łóżko i przysiadł na jego skraju.

- Miałem pewne wątpliwości, kiedyś tu do nas sprowadzał tę swoją młodą żonkę, ale to wspaniała dziewczyna i mocna kobieta. Sama cię zabandażowała i pocerowała, naprawdę. Nie pozwoliła, żebym jej chociaż krztynę pomógł.

- Gdzie ona jest?

- Wygoniłem ją do Ansgarów. Trochę kiepsko wyglądała i pomyślałem sobie, że może jedno popołudnie z dala od cie-bie okaże się potrzebnym jej lekarstwem.

- Jak ona przyjęła to, co się stało, ale szczerze? - Adam obserwował twarz Mike'a, starając się ze wszystkich sił prze-niknąć za maskę, którą przyjaciel tak umiejętnie przywdzie-wał, kiedy nie chciał, by rozmówca poznał jego emocje.

- Jak każda kobieta, która widzi, że jej chłopca ktoś przetrzeźlił na wylot.

Adam poruszył ramieniem i skrzywił się.

- Angus jest tutaj, Mikę, w całej swej chwale. Prowadzi operację na taką skałę, że może wyjść poza to terytorium.

- Widziałeś go?

- Nie wiem. Wiązałem właśnie jednego z jego ludzi, a tu nagle bach!... w ustach pełno błota i świat mi się stracił. Kiedy się ocknąłem, leżałem w zaroślach sam. Wcześniej miałem ze sobą przewodnika Kri, ale on również zniknął.

- Czy sądzisz, że powinienem pojechać do Fortu Saskatchewan po więcej ludzi? - zapytał Finnegan, marszcząc brwi.

- Nie. Najpierw sam chcę się jeszcze trochę porozglądać. Finnegan spuścił wzrok na dłonie.

- No dobra, Mikę. Wykrztuś to wreszcie.

Jego przyjaciel westchnął.

- Wiesz, to nie moja sprawa.

- Gadaj.

- Coś mi się zdaje, że z nią nie wszystko jest w porządku.

- 2 Lauren? Dlaczego?

Finnegan potrząsnął głową.

- Słowa nie powiedziała, ale wygląda... - Zająknął się, szukając odpowiedniego określenia.

Głowa Adama opadła ponownie na poduszkę. Bez wątpienia spędzone w samotności tygodnie musiały być dla Lauren trudne. Zbudziły się w nim znowu dawne obawy.

- Przeważnie to ja gotowałem poza domem dla siebie i chłopaków, ale ona obstaje przy tym, żeby się nami opiekować.

McPhail przymknął oczy i wyobraził sobie Lauren, samotną i wystraszoną. Wyobrażał ją sobie tak już wcześniej tysiące razy.

- Jak tylko zdołam się z tego łóżka podnieść, zbuduję porządną kuchnię, żeby gotowanie nie było takie uciążliwe.

Finnegan odwrócił się i utkwiał w nim bursztynowy wzrok.

- Twoja żona potrzebuje trochę czasu, żeby się przystosować, chłopcze, i wszystko będzie dobrze. Powiadam ci, że

mocniejsza jest, niż myślisz. Tyle że u kobiet dłużej to trwa niż u nas, zanim się do takiego życia przekonają. - Tu wstał, podszedł do maleńkiego okienka i wyrzął na jezioro.

Adam roześmiał się na tę ocenę sytuacji i zaraz się skrzywił z wywołanego poruszeniem bólu.

- Jak myślisz, długo jej nie będzie?

Finnegan wpatrywał się w samotną postać na skraju jeziora.

- Coś mi się zdaje, że niedługo wróci.

14

Podniósł się chłodny wiatr i Lauren objęła się ramionami. Wiosna malowała okolicę pastelowymi barwami, od obfitości delikatnych kolorów aż się w głowie kręciło Lauren. Przystanąła, popatrzyła na powierzchnię jeziora, w której odbijało się lazurowe niebo. Jakież to śliczne miejsce na wychowywanie dziecka. Palce jej osunęły się na brzuch, w którym rozwijało się życie. Będzie musiała wieczorem powiedzieć Adamowi, ale chwilowo zachowa jeszcze tajemnicę dla siebie.

Obejrzała się przez ramię i zobaczyła, że z chaty wychodzi Finnegan, a za nim Duncan i William. Musi już iść. Adam będzie jej potrzebował. Rzuciła ostatnie spojrzenie na narznięte na drzewach pąki i zawróciła. Ziemia pod jej stopami była wilgotna i żyzna. Finnegan, mijając ją, uśmiechnął się i skinął głową; na swego konia założył ryszstunek do wleczenia kłód. Stawiał właśnie przybudówkę do ich domu, w której miały znaleźć się koszary.

- Jak się czujesz? - zapytała Adama, odwijając z głowy szal i wieszając go na gwoździu.

Adam siedział wyprostowany na łóżku, od pasa w górę był nagi, jeśli nie liczyć spowijającego go bandaża. Ale nawet nad opatrunkiem ciało było wciąż czerwone i zaognione.

- Czuję, że mam ochotę na moją żonę. - Uśmiechnął się, spod wąsów błysnęły białe zęby.

Lauren podeszła do łóżka, myśli kłębiły jej się w głowie. Mają dla siebie tylko krótką chwilę, tamci przecież niedługo wrócą. Musi mężowi powiedzieć teraz, ale jak? Jakimi słowami to wyrazić? Czy zobaczy w jego oczach lęk, grozę czy może radość?

Adam chwycił ją za ręce i posadził sobie na kolanach. Przycisnął wargi do ust żony i kłującymi wąsami połaskotał ją w nos.

Lauren zapomniała o wszystkim, tak działały na nią jego pocałunki, i przeniosła się w bezpieczny świat, w którym nic się żadnemu z nich stać nie mogło.

- Chcę ciebie, Lauren - wyszeptał. - Już tak dawno nie...
Rozdygotane słowa męża zapadły jej głęboko w serce.

- A co z twoją ręką?

Adam uśmiechnął się uwodzicielsko.

- Nie ręka będzie mi potrzebna, kiedy się będziemy kochali.

Policzki Lauren zaczerwieniły się na te szczere słowa, a ciało natychmiast odwzajemniło namiętność męża.

- A co z Finneganem? - protestowała nieszczerze, kiedy jedną ręką niezdarne zaczął rozpinać jej guziki. Odsunęła jego dłoń i rzuciła z siebie suknię, zostając w samej koszuli.

- Nie będzie go niemal przez cały dzień. Dopilnowałem tego.

- Jesteś pewien, że starczy ci sił? - Lauren zaparła się obojma dłońmi o nagą pierś męża, by go powstrzymać, ale on przygarpnął ją już do siebie i narzucił na nich kołdrę.

Adam popatrzył na żonę.

- Niewiele pamiętam po tym, jak mnie postrzelili, ale jedno wiem na pewno: chciałem wrócić do domu, do ciebie. Myślę, że dlatego udało mi się znaleźć Jake'a, a Jake znalazł drogę do domu. - Przyciągnął żonę bliżej. Jego pierś unosiła się i opadała w łagodnym rytmie. Rozgrzewał Lauren własnym ciepłem, łagodnym i swojskim.

- Cieszę się, że mnie nie posłuchałaś i nie wsiadłaś wtedy do pociągu - dodał, gładząc jej ciało.

Lauren przeciągnęła się jak rozleniwiona kotka, kiedy zaborczo nakrył dłonią jedną pierś. Pocałował ją we włosy, w czubek nosa. Potem, chwilami postępując, przygarpnął żonę i próbował wturlać ją pod siebie. I nagle zamarł w bezruchu, a twarz mu pobladła. Opadł z jękiem na materac.

- Mówiłam, że to za wcześnie. Czy nic ci się nie stało? - Lauren uniosła się na kolana i dotknęła czoła męża, a potem przesunęła mu grzbietem dłoni po policzku.

- Przestań mnie dotykać, kobieto - stęknął Adam, jego słowa tłumiła poduszka. Powoli przewrócił się na plecy, zimny pot zrosił mu czoło.

Lauren pośpiesznie narzuciła na siebie suknię, potem pochyliła się nad mężem, żeby sprawdzić bandażę.

- Och, Adam. Znowu krwawisz. Uparty jesteś jak osioł. - Rozgniewała się i przestraszyła, że mógł pogorszyć stan gojącej się już rany. - Nie dość powiedzieć, że jesteś uparty; jesteś po prostu niepoprawny. - Uśmiechnęła się, spoglądając na niego. - Ładny przykład będziesz dawał jako ojciec.

Trwało to kilka sekund, zanim Adamowi zaświtało, co żona ma na myśli. Potem popatrzył jej w oczy. I w tym momencie Lauren wydało się, że zajrzała mu w głąb duszy. Powoli uśmiechnął się i objął dłonią jej twarz.

- Dziecko? - wyszeptał. - Kiedy, jak...?

- Gdzieś na Boże Narodzenie, tak myślę. A co do tego, jak... Adam szeroko się uśmiechnął.

- Chyba jakoś to sobie wyobrażę. - Przeniósł wzrok z twarzy Lauren na brzuch. Jego dłoń, drżąca i pełna wahania, zawisła na moment w powietrzu jak dłoń krnąbrnego dziecka. Potem przesunął niepewnie czubkami palców po brzuchu żony, nakrył go rozpostaną, szeroką dłonią i w końcu objął ją za nogi i przyciągnął bliżej, przytulając policzek do ich śpiącego dziecka. Ramiona zaczęły mu drżeć, gorące łyzy przesiąkły przez cienki materiał koszuli. Lauren wplotła Adamowi palce we włosy i tuliła go do siebie, a kiedy płakał, pod jego policzkiem poczuła pierwsze delikatne drgnienie nowego życia.

- Auć. Szlag by to. - Adam opadł z powrotem na łóżko; kurtkę zaciskał w zębach, założył tylko jeden but. Prawe ramię wisało mu w temblaku na piersi.

- Czyżbyś próbował się sam ubierać? - W dobiegającym zza zasłony głosie Lauren słychać było śmiech.

- Do czego to, cholera jasna, doszło, żeby mężczyzna nie mógł nawet sam nałożyć sobie ubrania - wymamrotał jej mąż przez pełne materiału usta. Wetknął lewą rękę do rękawa i potrząsał nim w nadziei, że w ten sposób podciągnie kurtkę na tyle wysoko, by móc ją sobie narzucić na drugie ramię.

- Powiedziałam, że za chwilę ci pomogę. - Lauren odsunęła zasłonę i weszła do sypialni.

- A ja pomyślałem, że może uda mi się przynajmniej samemu ubrać. - Adam opuścił rękę, która zdążyła już mu zdrętwieć, tak długo ją trzymał nad głową. - Dobre nieba, niewiele miałem ostatnio samodzielnych osiągnięć.

Lauren skrzyżowała ręce na piersi.

- Jesteś najbardziej upartym ze wszystkich znanych mi ludzi. To jeszcze nie trwa tak długo. Dopiero tydzień. Poza tym jestem twoją żoną.

Adam podniósł wzrok i oczy ich się spotkały. Najwyraźniej ciąży jej służyła. Przez te kilka krótkich dni rozkwitła jak letnia róża, zniknęła gdzieś kobieta o wyczerpanej, ściągniętej twarzy, którą zastał w domu po powrocie. Co działo się wewnątrz kobiecego ciała, jeśli na zewnątrz zmiany następowały tak szybko?

- Jak się dziś czujesz?

- Świetnie. - Pochyliła się i nałożyła mu but. - Rano mnie trochę mdliło, ale to nic wielkiego.

Nie rozmawiali obszerniej o dziecku od chwili, kiedy Lauren mu o nim powiedziała. Adam jeszcze przez kilka dni gorączkował i był rozdrażniony. Dopiero od wczoraj zaczął wracać do siebie.

- Lauren. - Chwycił ją za ramię zdrową ręką. Lauren przestała mu sznurować but i podniosła oczy. - Jestem szczęśliwy, że będziemy mieli dziecko. Nie przypominam sobie, że bym ci to powiedział.

Lauren się uśmiechnęła.

- Powiedziałeś. - Potem zmarszczyła brwi. - Żadnych wątpliwości?

- Żadnych.

Jej twarz rozpromieniła się, a oczy posotnie zabłysły.

- Mam tylko nadzieję, że nie będzie z nim tyle kłopotów i zmartwień co z jego ojcem.

Adam poczuł, że się czerwieni. Lauren parsknęła śmiechem.

- Adamie McPhail, chyba nie istnieje bardziej nieustępliwy i dumny mężczyzna niż ty. - Wstała i wzięła się pod boki. - Słowo daję, ktoś mógłby pomyśleć, że próbuję opiekować się zaskorupiałym w starokawalerstwie nauczycielem. Ja już robiłam takie rzeczy wcześniej, przecież wiesz. Kiedy zajmowałam się ojcem.

- To nie to samo. - Policzki Adama płonęły z zażenowania.

- Jak to?

- No... Po prostu nie to samo. Ja jestem twoim mężem.

- A cóż to za różnica?

- Nie wiem. Ale mam rację. To ja powinienem się tobą opiekować. - Adam szamotał się, bo ręka utknęła mu w rękawie. Wiedział, że po prostu poczułby się lepiej, gdyby udało mu się kurtkę nałożyć samemu.

- A gdybym to ja była ranna, nie zajmowałbyś się mną?

- Och, oczywiście, że bym się zajmował. No. Już. - Podniósł się chwiejnie na nogi, sięgnął przez pierś i szarpnąwszy za kurtkę, naciągnął ją sobie na drugie ramię.

- No więc na czym polega różnica?

Lauren stała tuż przed nim, głowę odchyliła do tyłu. Jej wargi, różowe i wilgotne, aż prosiły się o pocałunek. A chociaż Adam bardzo chciał ją pocałować, bardzo jej pragnął, wiedział, że ciało go nie posłucha.

- Nie wiem. Po prostu mi się to wydaje niewłaściwe, żeby się mną ktoś opiekował. Czuję się przez to nieswojo, jakiś taki... beużyteczny, chyba to jest słowo, którego szukałem.

Lauren oplótła go w pasie ramionami i przyciągnęła do siebie.

- Lubię się tobą opiekować. Robisz się przez to mniej... stoicki. Ty zawsze wiesz, co zrobić. Zawsze jesteś taki pewny, a ja nie. Jak cię mam tutaj na swojej łasce i niełasce, trochę to wyrównuje rachunek.

McPhail roześmiał się i objął żonę zdrową ręką za ramiona.

- Jeżeli już muszę być na czyjejs łasce czy niełasce, to niech ona będzie twoja.

Lauren też się roześmiała i odsunęła się od niego.

- Uważaj, żebyś nie zrobił sobie krzywdy, albo skończysz w łóżku i będę z tobą mogła robić, co zechcę - rzuciła przez ramię, wychodząc do sąsiedniego pokoju.

Przez oddzielającą ich od siebie zasłonę dobiegały swoje odgłosy, Adam przymknął oczy i westchnął. Na myśl, że Lauren będzie miała dziecko, czuł się przerażony do szpiku kości, ale nie mógł dopuścić, by to zobaczyła. Musi wierzyć, że jej mąż ma wszystko pod kontrolą i że uporał się ze swoimi lękami.

- Mam nadzieję, że nie wybierasz się dziś na patrol - odezwała się karcąco z kuchni, niewidoczna za zasłoną.

- Pomyślałem, że sprawdzę, jak Finnegan radzi sobie z korralem. Pomóż mi z tym, dobrze? - Wyszedł do ich salonu i podał żonie sznur i pas z futerałem.

- Nie rozumiem, po co chcesz je zakładać. Nie zdołasz posłużyć się prawą ręką.

- Bez broni czuję się nagi. Poza tym - pochylił się i wtulił jej nos we włosy, kiedy zakładała mu sznur na szyję i przeciągała go pod prawym ramieniem - mogę się przy tym z tobą trochę pomigdać. - Przygarnął ją i mocno pocałował.

Lauren przywarła do niego lekko wypukłym brzuchem i Adama zalała fala tak zaborczej miłości, że poczuł się wstrząśnięty. Jego żona westchnęła cicho, kiedy ją tulił. McPhail poczuł pożądanie aż bolesne w swojej intensywności.

- A gdybyś był nagi i miał tylko broń? - zamruczała jak kotka.

- Dość tego. - Niechętnie odsunął ją od siebie. - Dręczysz rannego.

Lauren prychnęła śmiechem i powoli podeszła do pieca.

- Kiedy wrócisz?

Krzątała się po domu to tu, to tam, a Adam przyglądał się jej rozkołysanym biodrom. Wyprostował się.

- Jak najszybciej, możesz mi wierzyć.

Rzuciła mu pełne wyrzutu spojrzenie i wróciła do pracy.

Na zewnątrz uderzyła go w uszy czerwcową orkiestra w pełnym składzie. W koronach drzew świergotały ptaki, skacząc po gałązkach, które ledwo je mogły utrzymać, na skraju jeziora brzęczały owady. Ciepły wiatr owiewał Adama pieszczotliwie. Odetchnął głęboko i skrzywił się, kiedy rozciągnęły się dawno nieużywane mięśnie.

Jego uwagę zwróciło dobiegające zza rogu domu miarowe stukanie młota. Skierował się na skraj lasu, gdzie Finnegan, William i Duncan kolejno wbijali słupy w nieustępliwą ziemię. Za ich plecami nieukończony szkielet korralu skręcał się jak wąż.

- Adam. - Duncan wyprostował się, kładąc sobie rękę na krzyżu, potem oparł się na młocie. - Jak tam dziś z twoim ramieniem?

- Lepiej. - McPhail postawił stopę na najnowszej części ogrodzenia i położył lewą rękę na najwyższej żerdzi. - Czy gotów jesteś na króciutki wypad w zarośla?

Brwi Duncana chmurnie się ściągnęły,

- Chyba nie myślisz wybierać się na patrol?

- Przez to wylegiwanie się w łóżku dałem Angusowi fory.

- Wiesz, że chętnie bym...

Adam podniósł dłoń, by go uciszyć.

- Wiem, że chętnie byś, Duncanie, ale to moja robota.

- Tak czy owak w tej chwili nie możesz stawać w szranki z Agnusem i jemu podobnymi typami.

- Chcę się tylko rozejrzeć.

- Tym właśnie zajmowałeś się, kiedy cię postrzelili. - Duncan otarł pot grzbietem dłoni i łupnął główką młota w ziemię.

- Teraz będę bardziej uważał.

Przyjaciel przyglądał mu się pilnie przez dłuższą chwilę.

- Kiedy się zamierzałeś wybrać?

- Zaraz z rana.

Palce Duncana z chrzęstem przesunęły się po najeżonej zarostem brodzie.

- Lauren się taki plan nie spodoba.

Adam westchnął i spuścił wzrok na stopy.

- Wiem, że nie, ale należy to do moich obowiązków, a z nimi będzie się musiała pogodzić.

- Kobieta może pogodzić się z sytuacją, ale potrafi przy tym niezłe uprzykrzyć życie mężczyźnie.

- Lauren jest dobrą żoną Konnego. Zrozumie.

- Co takiego zamierzasz zrobić? - Lauren wzięła się pod boki; przerzuciła sobie przez ramię ścierkę do naczyń i patrzyła na męża poprzez zastawiony słoikami z fasolą stół.

Adam poczerwieniał i zerknął na Duncana, który stał w drzwiach i, trzymając w zębach fajkę, szeroko się uśmiechał.

- Już wystarczająco długo zaniedbywałem pracę.

- Wciąż jeszcze musisz rękę nosić na temblaku. - Pokazała na temblak długą, drewnianą łyżką.

- Zamierzamy się tylko rozejrzeć po okolicy i dowiedzieć się, czy ktoś słyszał coś o Angusie.

Lauren zerknęła na Duncana.

- Czy pan się z nim wybiera?

- Tak, proszę pani - odpowiedział.

Przygryzła kącik ust i przymrużyła jedno oko.

- Będziesz ostrożny?

Adam poczerwieniał jeszcze bardziej.

- Duncan. Czy mógłbyś dać nam minutkę sam na sam? - Tonem głosu dał żonie do zrozumienia, że posunęła się za daleko.

Drzwi zamknęły się cicho za rozchichotanym Duncanem. Zostali sami.

- Prosiłbym, żebyś nie kwestionowała moich decyzji w obecności moich ludzi. - Adam podszedł do okna sztywno wyprostowany w ramionach, co było pewną oznaką tego, że jest zły.

Trudno, było jej już wszystko jedno. Jeżeli sam nie miał ochoty o siebie zadbać, ona to zrobi za niego.

- Martwię się tylko, że zbyt szybko porwiesz się na zbyt wiele.

- Wiem. - Te słowa brzmiały jak westchnienie. Adam zdjął kapelusz i przegarnał włosy palcami. - Zdaję sobie sprawę, że zrobiłaś to dla mojego dobra, ale nie mogę pozwolić, żebyś podkopywała mój autorytet.

- To nie ja podkopuję twój autorytet - zakpiła i wyjęła następny słoik z rondla z gotującą się wodą. - Sam to robisz, zachowując się niemądrze.

Adam przyglądał się, jak żona się odwraca i stawia słoik na stole; nie uniosła przy tym spojrzenia ani nie popatrzyła mu w oczy.

- Wrócę niedługo - powtórzył.

- Uważaj na siebie. - Nadal nie chciała spojrzeć mu w oczy.

Inspektor osadził sobie stetsona na głowie i skierował się do drzwi. Podmuch świeżego powietrza wydał mu się wyjątkowo miły. Sam nie rozumiał, dlaczego nie potrafi znaleźć właściwych słów. Powinien był powiedzieć coś, co podniosłoby Lauren na duchu. Duncan i pozostali dwaj czekali na niego przy koniach, wszyscy wpatrywali się w ziemię pod nogami, bo czuli się nieswojo.

- Udamy się na północ, aż do zakola rzeki, o, tutaj. - Adam szkicował patykiem na ziemi koryto rzeki Saskatchewan. - Potem skręcimy na wschód i pojedziemy w tamtym kierunku jakieś, powiedzmy, dziesięć mil. - Dźgnął patykiem w ziemię. - Angus jest tu.

- Myślisz, że jak się dowiedział, że jesteś na jego tropie, to ściągnął więcej ludzi? - zapytał Finnegan.

- Wcale bym się nie zdziwił. Podejrzewam, że Johnson przyjechał z Saskatchewan - tu przesunął znowu patykiem po ziemi - a tamten żabojad znad granicy, żeby się do niego przyłączyć. - Rzucił patyk i podniósł się z kucek. - Zajrzemy tu i tam i zobaczymy, czego się nam uda dowiedzieć. Żeby go aresztować, będzie nam trzeba więcej ludzi, ale nie mogę po nich posyłać, dopóki nie będę wiedział, na czym stoimy.

Finnegan, trzymając wodze w rękach, przestępował z nogi na nogę.

- Chłopak i ja pojedziemy Z radością. - Tu pokazał przez

ramię głową na dom; Lauren przyglądała im się, stojąc w drzwiach.

- Nie.

- Ona się martwi o ciebie, chłopcze. - Finnegan zniżył głos i podszedł o krok bliżej. - To nic złego, wszyscy ją rozumiemy.

Adam zerknął w stronę żony.

- Wiem.

Dosiedli koni i wyjechali z podwórka.

- Bądźcie ostrożni - ostrzegł McPhail. - Angus wie, że tu jestem i że prędzej czy później ruszę za nim w pościg.

Wjechali do lasu. Adam obejrzał się po raz ostatni. Lauren siedziała na ganku i kołysała się w fotelu na biegunach. Potem gałęzie drzew opadły i zasłoniły ją. - Wie i da z siebie wszystko, żeby się dobrze przygotować - wymamrotał pod nosem.

Lauren przyglądała się im, dopóki nie zmaleli do rozmiarów maleńkich kropek na tle czarnego świerkowego lasu. Potem wstała z fotela. Już kładła dłoń na klamce, kiedy ktoś ją zawołał po imieniu.

- Lisica - powiedziała zaskoczona, zobaczywszy na swoim podwórku kobietę Kri. Lisica stała milcząca i poważna, włosy miała splecione, z jej ramion zwisały futra. Ubrała się w długą, luźną suknię, przez co wyglądała na wyższą niż poprzednio. Zamiast arogancji na jej twarzy malowała się troska. - Czego pani chce? - Lauren wróciła myślami do ich wcześniejszego spotkania.

Lisica milczała przez chwilę, najwyraźniej szukając słów, które niełatwo przychodziło jej znaleźć.

- Mam wieść - odezwała się łamaną angielszczyzną.

- Jaką wieść?

- Mam sen. - Tu Lisica znowu urwała. - O tobie.

Lauren dreszcz przebiegł po plecach.

- Proszę wejść do środka - zaprosiła Indiankę i otworzyła drzwi.

Cieniste wnętrze domu przynosiło ulgę po panującym na zewnątrz w południe upale; komary brzęczały nieustannie.

Lauren położyła kapelusz z opadającym rondem na nowym stole kuchennym, który William i Duncan skończyli, kiedy Adam był chory.

- Czy chciałyby pani napić się czegoś chłodnego?

Lisica nie odpowiedziała, tylko opadła na jedno z krzeseł.

- Mam sen. Zły sen.

Lauren nalała sobie kubek chłodnej wody, odwracając się przy tym plecami do Lisicy i starając się opanować emocje. Indianka wyprowadzała ją z równowagi. Lauren sama nie wiedziała, czy dlatego, że potrafiła tak bezszelestnie pojawić się i zniknąć tak niespodziewanie, czy też dlatego, że zdawała się wiedzieć rzeczy, których Zgodnie z logiką wiedzieć nie powinna.

- Proszę mi o nim opowiedzieć - poprosiła, odwróciła się i podeszła do stołu.

Palce Lisicy skubały skraj okrycia.

- Widzę śnieżycę, straszną śnieżycę. Wiatr, lód, głęboki śnieg. Bardzo ciemno. Śnieżycy przychodzi, żeby wszystko zmieść. - Objęła cały pokój gestem dłoni.

Żona Adama przełknęła z trudem, bo gardło jej ścisnęła groza. To wariatka, powtarzała sobie. Nie słuchaj jej.

- Śnieżycy zabierze też twoje dziecko.

Lauren ciężko opadła na krzesło, dłoń jej natychmiast powędrowała do łagodnej wypukłości pod suknią.

- Jesteś w śnieżycy sama. - Lisica pochyliła się do przodu, przenikliwie się w nią wpatrując. - Całkiem sama, tylko z twoim mężczyzną. Bez kobiety.

Lauren znowu napiła się wody, usiłując pozbierać myśli. Słyszała pocieszający, kojący głos Adama, chociaż był o całe mile od niej. Przymknęła oczy i wyobraziła sobie, że ma przed sobą jego twarz. *Muszę zachować spokój. To nie jest dobre dla dziecka.*

Uniosła powieki.

- Dopóki jestem z Adamem, nie boję się.

- Mąż policjant nic nie wie o rodzeniu. - Lisica z energią potrząsnęła głową.

- Adam odbierał już wcześniej porody - odparła Lauren,

starając się mówić z wielką pewnością, chociaż równocześnie przypomnially jej się urywki rozmów o martwo urodzonym dziecku, które odebrał przed jej przyjazdem. - Dlaczego tu przychodzisz i starasz się mnie wystraszyć?

Lisica zmarszczyła brwi, na jej twarzy odmalowało się zdziwienie.

- Nie próbuję cię straszyć, pani McPhailowa. Przychodzę cię ostrzegać. Ja jestem widząca. - Delikatne palce naszkicowały w powietrzu jakiś znak, zrozumiały tylko dla Lisicy.

- Ale straszysz mnie, a musisz wiedzieć, że to nie jest dobre dla dziecka.

Twarz Lisicy złagodniała. Indianka posmutniała, spojrzawszy na brzuch Lauren.

- Niepisane małemu dziecku Konnego się urodzić. Drugie dziecko. Druga zima.

- Myślę, że powinnaś już iść. - Lauren podniosła się nagle, przechylając przy tym kubek z wodą, która przemoczyła jej suknię z przodu.

Lisica powoli wstała.

- Może ty i ja spotkamy się jeszcze... - I już bez słowa okręciła się majestatycznie, aż zawirowały jej futra, i wyszła równie cicho, jak się pojawiła. Rozdygotana Lauren przeszła do sypialni, żeby się przebrać. Zdjęła bluzkę i spódnicę i stanęła w samej koszuli i reformach przed pękniętym lustrem, które Adam powiesił na gwoździu. Wygładziła materiał, odwróciła się bokiem i przyjrzała własnemu brzuchowi. Wypukłość była maleńka, ledwie dostrzegalna pod ubraniem, ale kiedy się rozebrała, widziała dowody, że nosi w sobie życie. Poczwała przypływ opiekuńczości. Objęła brzuch oboma dłońmi i wyszeptwała:

- Nie pozwolę, maleństwo, żeby ci się coś złego stało. Nie pozwolę.

15

- Co się stało? - Adam zmarszczył brwi i bacznie przyjrzał się poblądłej, uniesionej ku niemu twarzy Lauren. Przerzucił nogę przez grzbiet Jake'a i jęknął. Jechali całą noc, „króciutki wypad” zajął im dłużej, niż inspektor przewidywał, a droga powrotna była koszmarem, bo wiedział, jak żona musi się martwić.

- Nic. - Lauren potrząsnęła głową i usiłowała się uśmiechnąć, ale głos jej; załamał się w łkaniu.

- McDougall, odprowadźcie konie do korralu. - Podając wodze posterunkowemu, nie spuszczał wzroku z oczu żony. - Co się stało?

- Adam. Pomyśleliśmy sobie z chłopakami, że przez jakiś czas pośpimy może w stodole u Ansgarów - odezwał się Mike z drugiego końca podwórza.

McPhail zareagował na jego znaczące spojrzenie lekkim skinieniem głowy.

- Lauren - zawołał, bo jego żona określiła się i pośpiesznie weszła w drzwi.

Zastał ją nad miską do zmywania, obie ręce oparła na blacie stołu.

- Wczoraj przyszła się ze mną zobaczyć Lisica. - Odwróciła się twarzą do niego, splatając palce. - Przepraszam. Nie chciałam cię tym martwić.

Adam chwycił ją za ramiona, był coraz bardziej przerażony.

- O co chodzi?

- Och, to głupie. - Lauren potrząsnęła głową. - Przyszła powiedzieć, że miała sen, zły sen o mnie i... - Tu głos jej się załamał i przygryzła wargę. - Śniło jej się, że dziecko umarło.

Jej mąż cicho, z ulgą odetchnął. Zdażył przez te kilka chwil wyobrazić sobie niejedną makabrę.

- Wiesz, nawet Kri uważają, że Lisica to wariatka. Nie możesz wierzyć we wszystko, co ci powie.

- Ja też tak sądzę, tylko że... sama nie wiem. Ona wydawała się taka... pewna.

Adam podszedł bliżej i przyciągnął żonę do piersi.

- Nie powinnaś pozwalać na to, by majaczenia szalonej kobiety tak cię wyprowadzały z równowagi.

- Wiem. Głupia jestem. - Cofnęła się i otarła policzki dłońmi. - Czy znalazłeś Angusa?

McPhail odsunął się i zdjął kurtkę. Powiesił ją na oparciu krzesła i sięgnął po wiszący przy wiadrze czerpak.

- Śladu po nim nie ma. Obozowisko czyste jest jak kryształ, jednej pustej butelki w nim nie znajdziesz.

- Może wyniósł się z tego terytorium. - W głosie Lauren wyraźnie zadźwięczała nadzieja.

Adam już miał powiedzieć, że wątpi, ale postanowił tego nie mówić: niech Lauren myśli, że przynajmniej jakaś część niebezpieczeństwa zniknęła.

- Może i tak. Co mamy na kolację? - zapytał, podnosząc czerpak z wodą do ust i usilnie starając się ukryć drżenie rąk. To prawda, że mieszkańcy wioski powszechnie uważali Lisicę za wariatkę, ale mimo to twierdzili, że częściej ma w swoich przepowiedniach rację, niż się myli.

Lauren przez chwilę nie odpowiadała, nie ruszyła się też na krok od stołu.

- Chciałam zrobić świeżą fasolkę. Trochę jej już dojrzało w ogrodzie. - Wypowiedziała te zupełnie normalne słowa nieobecny tonem, jakby była czymś pochłonięta. Adam zawiesił czerpak z powrotem przy wiadrze.

- Lauren? - Podszedł do żony, a ona podniosła na niego oczy. - Będę się tobą opiekował. - Odsunął skręcone pasemko włosów, które opadło jej na czoło. - Obiecałem, że będę, prawda?

Przytaknęła.

- No więc widzisz. - Odsunął się i usiadł na krześle, stojącym przy drewnianym biurczku, które niedawno sobie zrobił. Zaszleściły papiery; potem ciszę wypełniło skrobanie pióra.

Raporty. Bez końca te raporty, pomyślała, chwytając za kosz i z trzaskiem zamykając drzwi. No i co z tego, że zachowuje się niemądrze? Przynajmniej ten jeden raz w życiu, w tej chwili, powinna móc sobie pozwolić na to, by się troszkę niemądrze pozachowywać.

Kiedy przechodziła nad grzędami jarzyn, podeszwy butów zapadały jej się w śliskie błoto. Niebo było jaskrawoniebieskie, płynęły po nim leniwie plamki białych chmur. Pochyliła się, by nazbierać fasolki, i otoczył ją ostry zapach tej jarzyny. Miarowe ruchy rąk uspokajały, uczucie strachu odpływało. Dzień był cudowny, pogoda ciepła i piękna. Opustoszałe miejsca po lękach wypełniło poczucie szczęścia i Lauren cicho zachichotała. Adam musiał pomyśleć, że straszny z niej głuptas. Zerknęła w stronę okna, pod którym stało jego biurko, i poczuła wyrzuty sumienia. Nie powinna martwić męża swoimi obawami. Miał już dość na głowie.

Od strony lasu dobiegł odgłos strzału, a po nim okrzyk radości. Na wieczór będą mieli świeżego królika do uduszenia, pomyślała, albo może wapiti, albo jelenia. Któryś z mężczyzn najwyraźniej nie mógł spać. Wyprostowała się, odepchnęła na tył głowy kapelusz z opadającym rondem i osłaniając oczy, wpatrzyła się w skraj lasu. Spodziewała się, że zobaczy, jak między gałęziami błyska szkarłat na kurtkach wracających do domu myśliwych. Ale zobaczyła tylko jakiegoś samotnego jeźdźca, który bez ruchu siedział na ciemnym koniu. Przymrużyła oczy. Kto to może być? Od jak dawna tam stoi? Zjeżyły jej się króciutkie włoski na karku. Zerknęła ponownie w stronę chaty. Ani śladu Adama. A jeździec wciąż siedział przygarbiony, obojgiem dłoni oplatając kulę siodła. Kapelusz o szerokim rondzie osłaniał rysy jego twarzy przed wzrokiem Lauren.

Upuściła koszyk na ziemię i ruszyła w stronę domu, skubiąc się na tym, by nie stracić opanowania i niczego po so-

bie nie pokazać. Nadal nie ośmielała się wołać Adama, by nie uprzedzić tamtego mężczyzny. Kiedy przechodziła przez kolejne rzędy warzyw, czuła, że nieznajomy przesywa ją wzrokiem. Lepkie błoto spowalniało ruchy.

Obejrzała się raz na niego, przelotnie. Obcy wyprostował się w siodle, wodze zebrał w dłonie. Jeszcze jeden krok. I jeszcze jeden. Wreszcie dotarła na twardy grunt. Zacięła zęby, by uśmierzyć strach, i szła powoli w stronę domu, wlepiając wzrok w okno nad biurkiem Adama. Kątem oka zobaczyła, że mężczyzna spiął konia i ruszył za nią, zamiast okrążyć dom i podjechać od frontu. W Lauren zaczęła narastać panika, od której szaleńczo przyśpieszyło bicie serca. Miała ochotę zakasać spódnicę i ruszyć pędem, ale wiedziała, że zanim dotrze do ganku, obcy ją dogoni.

- Pani - zawołał nagle ochrypłym głosem; znalazł się już o kilka stóp za jej plecami.

- Tak? - Lauren zatrzymała się i odwróciła.

Mężczyzna chwiał się w siodle.

- Czy mógłbym zamienić słówko z inspektorem?

Widoczna pod rondem kapelusza twarz była blada i upstrzona czerwonymi wrzodziankami. Lauren cofnęła się przed nim.

- Proszę tu zaczekać - poleciła i pośpiesznie weszła na ganek. Adam rozciągnął się jak długi na łożku i spał. - Adam. - Potrząsnęła go za ramię.

- Sscco? - Odwrócił sennie głowę w jej stronę.

- Ktoś się przyjechał z tobą zobaczyć.

- Kto?

- Nie wiem, ale coś jest z nim nie w porządku.

Jej mąż pośpiesznie podniósł się i wyjrzał przez okno.

- Cholera jasna - zaklął i wyrwał broń z futerału. - Idź do sypialni i siedź tam. Zrozumiano?

- Co się stało?

- Po prostu się stamtąd nie ruszaj. - W samej koszuli i spodniach, na bosaka, cicho niczym kot podszedł do drzwi.

Lauren usiadła na łożku i mocno wparła palce nóg w nos-

ki butów, żeby nie pójść za mężem. Zza okna dobiegała najpierw cicha wymiana zdań, potem podniesione głosy. Podniosła się i stanęła za firanką, by coś zobaczyć, ale zobaczyła tylko pusty ogród. Zapanowała niesamowita cisza. Ciekawość wzięła górę. Lauren ostrożnie wyszła z pokoju i zaczęła nasłuchiwać; potem na paluszkach podeszła do okna przy drzwiach. Na podwórku nie było nikogo, ani śladu Adama. Przeszła do okna nad jego biurkiem. W miejscu, gdzie rozmawiał z nieznajomym, też nikogo nie było. Nastawiła uszu, ale niczego nie usłyszała. Uchyliła odrobinę drzwi wejściowe i zobaczyła Adama, który opierał się o poręcz na ganku. Rewolwer zwisał mu w dłoni. Na plecach podkoszulka rysowała się półkolistą plama potu.

- Adam?

- Zdaje się, że zabroniłem ci wychodzić. - Odwrócił się do niej gwałtownie z palcem na spuście i jakimś niesamowitym wyrazem w oczach.

Lauren niepewnie cofała się, dopóki ściana z szorstkich desek nie podrapała jej przez suknię w plecy.

- Kto to był?

Jej mąż powoli opuścił broń, nie był w stanie opanować drżenia rąk. Potem odwrócił się od żony i zapatrzył na wody jeziora.

- Adamie? Kto to był?

Milczał dalej, nie udzielając odpowiedzi.

Lauren podeszła bliżej i dech jej zapało. Znała Adama McPhaila od tyłu już lat, ale nigdy jeszcze nie widziała na jego twarzy takiego lęku.

- Ospa - wyszeptał.

- Dobry Boże. Gdzie?

- W rezerwacie.

Lauren przełknęła, przypominając sobie epidemię z czasów własnego dzieciństwa. Papa zostawił ją z ciotką Matyldą, a sam razem ze swoimi ludźmi przechodził kwarantannę w koszarach. Chociaż tak się starał, Lauren zaraziła się ospą. Z okresu choroby pamiętała tylko pochyloną nad so-

ba, ściągniętą ze zmartwienia twarz ciotki Matyldy oraz to, że ciotka okładała zimnymi ręcznikami jej nagie, leżące na chłodnym prześcieradle ciało. Lauren wyzdrowiała, podobnie jak inspektor Butler, ale zmarło wielu jego podwładnych.

- Na ile poważna jest sytuacja?

Adam przeciągnął ręką po twarzy.

- Bardzo.

- Gdzie się podział ten obcy?

Adam pokazał palcem w kierunku ogródka.

- Nie żyje.

Lauren wyrzała za róg domu. Mężczyzna leżał na ziemi z rozrzuconymi rękami i nogami.

- Zastrzeliłeś go? - zapytała w gwałtownym przypływie paniki.

- Nie, oczywiście, że nie. - Jej mąż schował broń do futerału. - Nie można już było mu pomóc i on o tym wiedział. Przyjechał tu po pomoc dla swoich ludzi. Przenieś się do Erika i Gretchen. I zostań tam, dopóki po ciebie nie poślę.

- A ty?

Adam ruszył do drzwi.

- Pojadę do rezerwatu, zobaczę, czy uda mi się w czymś pomóc. - Przystanął z ręką na klamce. - Już tylu ludzi zachorowało; nie ma się kto nimi opiekować.

- Pozwól mi też pojechać. - Lauren zatrzymała męża, kładąc mu dłoń na rękę.

- Zwariowałaś? - warknął. - W twoim stanie?

- Ja już mam to za sobą.

- Co?

- Przechodziłam ospę jako dziecko. - Palce Lauren zacisnęły się mocniej. - A ty?

Spojrzenia ich spotkały się i Adam potrzęsnał głową. Lauren serce zaczęło tłuc się w piersi.

- Nie możesz jechać, Adamie. Pozwól mi.

- Nie.

- Adam, proszę. Być może jestem tu w okolicy jedyną osobą, która ma ospę za sobą.

- A jaką mamy gwarancję, że nie złapiesz jej po raz drugi?
- Ludzie twierdzą, że przeważnie...
- Chcesz ryzykować życie swojego dziecka, opierając się na tym, co ludzie przeważnie twierdzą?

Na takie dictum Lauren zabrakło argumentów. Miał oczywiście rację, ale jeżeli odjedzie, może go już nigdy nie zobaczyć. Adam może zarazić się i umrzeć, a nikt nie zdaży jej o tym nawet zawiadomić.

- A co z twoimi ludźmi?

- Pojadą ze mną. - Puścił klamkę i odwrócił się do żony. - Będę na siebie uważał. - Przeniósł ręce z rąk Lauren na jej ramiona. - Obiecuję. - Tulił ją przez chwilę, potem puścił i wyszedł na zewnątrz. Drzwi zamknęły się z głuchym odgłosem.

Świt wstawał ociężały i szary od gryzącego dymu, który przesłaniał słońce i przyćmiewał jego blask. Lauren przewiesiła chodnik przez poręcz ganku, wytrzepała go i zerknęła w stronę lasów, w których Adam zniknął przed trzema dniami. W dali widziała wznoszącą się leniwie kolumnę dymu; otrząsnęła się ze wstrętem, wiedząc, że to Adam pali zaraźliwe ciała, by powstrzymać rozszerzanie się epidemii. Uparcie odpychając od siebie przejmujące grozą myśli, po raz ostatni zawzięcie potrząsnęła chodnikiem.

Rzuciła go na podłogę w izbie i poprawiała właśnie nogą, kiedy z ganku dobiegło stęknienie, a potem coś ciężko zważyło się na drzwi. Lauren zamarła w bezruchu; szpileczki strachu kłuły ją u nasady włosów. Cichutko podkradła się i przyłożyła ucho do futryny. Dochodził zza niej mozolny, świszczący oddech. Wyrzała. Na ganku rozciągnął się jak długi twarzą w dół jakiś mężczyzna, stopy zwisały mu ze stopni, głowa opierała się o ścianę.

- Dobry Boże - podbiegła, by leżącego odwrócić. Zrzuciła mu przy tym kapelusz z głowy. Pokazała się obsypana przez pękające krosty ospy twarz. Lauren gwałtownie puściła obcego. Potem dotknęła jego piersi i przekonała się, że serce jeszcze bije, więc nie umarł, ale skórę ma rozpaloną od

gorączki. Ogarnęła ją absurdalna chęć do śmiechu, kiedy uświadomiła sobie ironię sytuacji. Los rzucił jej na próg dokładnie to, przed czym pragnął uchronić ją Adam.

Huśtając się w przód i w tył na piętach, przygryzła kącik ust i próbowała rozstrzygnąć, co teraz zrobić. Jak ma go, na miłość boską, wciągnąć do domu? Zerknęła w kierunku faktorii Erika i zaraz przypomniała sobie, że tego ranka Ansgarowie wyprawili się do Edmonton po zaopatrzenie i wrócić nie wcześniej niż za miesiąc.

Podniosła rękę chorego i pociągnęła ją na próbę. Mężczyzna przejechał kawałek po gładkich deskach ganku, więc Lauren zaparła się piętami i pociągnęła mocniej. Tym razem udało jej się chorego przesunąć trochę dalej. Przemieszczała go stopniowo, a kiedy wreszcie leżał w izbie na środku podłogi, puściła jego rękę. I w tym samym momencie uświadomiła sobie, że za żadne skarby świata nie zdoła położyć go do łóżka.

- Będziesz po prostu musiał zostać na podłodze - powiedziała bardziej do siebie niż do niego. Delikatnie podłożyła mu pod głowę poduszkę i ściągnęła z ramion grube futro. Nieznajomy okazał się młodym mężczyzną o jasnobrązowych włosach i potarganej brodzie. Zmarszczki na jego twarzy pociemniały od brudu. Lauren bacznie mu się przyjrzała, zastanawiając się, czy go zna.

- Pewnie jakiś traper - mruknęła pod nosem i nalała ze stojącego przy drzwiach wiadra wody do kociołka. Dorzuciła jeszcze jedno polano do pieca, rozpałała ogień, zatrzasnęła drzwiczki i otarła sadzę z rąk o fartuch.

Wróciwszy do chorego, uklękła przy nim i próbowała zdjąć okrywające go, obrzydliwie brudne, oślizgłe ubrania, ale materiał za bardzo się poskręcał. Wzięła więc ze stołu nóż Adama i zaczęła rozcinać koszulę. Buchnął gryzący w oczy smród i Lauren zakryła dłonią usta, by powstrzymać mdłości. Kiedy materiał rozchylił się, zobaczyła, że chorego pokrywają popękane i ciekące krosty, z których część głęboko już wżarła się w ciało.

Im dalej cięła, tym smród robił się gorszy. Lauren prze-

rwała i zakryła sobie na moment nos ramieniem, przełykając gwałtownie ślinę, by opanować wymioty.

Odcinała koszulę po kawałku, odkrywając szeroką, mocną pierś nieznanego. Potem rozcięła z przodu brudne spodnie, najpierw nogawki, a potem wyżej aż do pasa. Spodnie opadły. Mężczyzna był pod spodem nagi. Odwracając oczy, Lauren przykryła intymne części jego ciała kwadratowym kawałkiem płótna i skupiła uwagę na tym, by chorego umyć.

Skórę miał rozpaloną, gorącą i suchą. Zaczęła obmywać ją wodą, by nieznanego oczyścić i ochłodzić. Pod dłonią Lauren krosty pękały, a ona modliła się, by nie zarazić się tą chorobą, dopóki jest tutaj sama.

Czystego już pacjenta przykryła świeżo pranym prześcierałem, położyła mu na głowę zimny okład i opadła na fotel na biegunach. Za oknem słońce zanurzało się w szkarłatne o zachodzie chmur}'. Lauren pomyślała o Adamie, zastanowiła się, jak mu się wiedzie. Siedziała i wpatrywała się zafascynowana w kolorowe wstęgi na niebie, dopóki nie zaczęło się ściemniać. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że minął cały dzień, a ona tego nawet nie zauważyła. Wstała, zapaliła lampy, które napełniły chatę złocistą poświatą. Głowa ją bolała, w gardle zaschło. Zagrzała sobie na piecu trochę rosołu, potem usiłowała włożyć łyżkę zupy mężczyźnie do gardła, ale przy wydechu zupa wykipiała choremu z ust i wsiąkła w poduszkę pod głową.

Noc zapadła szybko, depcząc zmrokowi po piętach, a razem z nią po całodziennym upale rozkosznie się ochłodziło. Zbudziły się nocne owady, wiatr wzdychał łagodnie **nad** chlupoczącą wodą i poruszał firankami w oknach. Lauren nie potrafiła sobie przypomnieć, by kiedykolwiek czuła się już tak samotna. Podrzemywała na bujanym fotelu i śniła, że Adam jest z nią, że wyciąga do niej rękę, że dotyka jej czubkami palców...

Coś ją wyrwało ze snu. Wewnętrzny zegar podszeptował, że jest późno, że już minęła północ. Odgłosy nocy już umilkły, ich miejsce zajęło spokojne oczekiwanie na świt. Lauren wstała z fotela, uklękła i położyła mężczyźnie dłoń na czo-

le. Skórę miał wciąż rozpaloną i suchą. Mamrotał coś i rzucał się, wołając kogoś o imieniu „Molly”. Przyniosła więcej wody z wiadra, zwilżyła znowu okłady i położyła mu je na rozgorączkowanym czole i nagiej piersi, by obniżyć temperaturę. Kim była kobieta, którą wołał? Jego żoną? Matką? Kochanką?

Upewniwszy się, że chwilowo nic więcej nie może zrobić, podeszła do okna i oparła się czołem o framugę. Z szyby wyjrzało na nią odbicie wychudłej twarzy, mającej za tło nieprzeniknioną noc. Czuła się bardzo samotna i zagubiona w bezkresnej, rozciągającej się za oknem przestrzeni, której nie rozjaśniał jeszcze przyjazny świt. Gdzie był w tej chwili Adam? Czy spał bezpiecznie w jakiejś chacie? Palce jej zamknęły się na okiennej ramie i pobielały, tak silny był chwyt. Kiedy wróci do domu? Kiedy?

Noc poszarzała i zmieniła się w świt, a świt rozjaśnił się w dzień. Lauren obudziła wesoła ptasia piosenka. Pokręciła głową, potarła kark, który zesztyniał po spędzonej na fotelu nocy. Pochyliła się i położyła swemu pacjentowi dłoń na czole. Wydało jej się nieco chłodniejsze. Otworzyła drzwi, wzięła wiadro i wyszła na wilgotny o poranku świat. Głęboko wciągnęła w płuca rześkie powietrze, dopiero teraz uświadamiając sobie, jak duszno było w chacie pomimo otwartych okien.

Wracając znad jeziora, zerknęła znowu na drzewa na skraju lasu w nadziei, że zobaczy, jak wynurza się spomiędzy nich Adam ze swoim patrolem, ale nie zobaczyła niczego poza ciemną zielenią świerków. Weszła na ganek i do chaty.

Posłanie na podłodze było puste.

Zaniepokojona postawiła wiadro przy drzwiach i rozejrzała się po pokoju. Przeszła do sypialni i jednym szarpnięciem odsunęła zasłonę, ale nikogo tam nie zastała. Więzienie również świeciło pustką.

- Przepraszam, jeżeli panią wystraszyłem. - Ochrypły głos dobiegał z za jej pleców. Lauren podskoczyła, serce jej podeszło do gardła. Mężczyzna czepiał się drzwi, okrył się w pasie strzępami ubrań.

- Nie powinien pan wstawać - zbesztła go mimo lęku Lauren. Podeszła i wzięła chorego pod rękę.

- Niektóre sprawy mężczyzna musi załatwić sam - odpowiedział głosem drżącym i słabym.

Wymijając posłanie na podłodze, Lauren pomogła choremu przejść do własnego łóżka i odchyliła przykrycie. Mężczyzna z jękiem położył się, głowa opadła mu na miękką poduszkę.

- Nie wahałem czystej pościeli, od kiedy żem wyjechał z domu. - Odwrócił na bok głowę i głęboko odetchnął. - Gdzie mnie pani znalazła?

- Leżał pan na moim ganku, panie...?

- Bolen. Richard Bolen. - Przesunął rozdygotaną dłońią po twarzy. - Sam musiałem tu jakoś dojechać, ale nic sobie nie mogę przypomnieć.

- Czy wie pan, że ma pan ospę, panie Bolen?

- Taa. Złapałem ją, tak sędzę, od tej bandy handlarzy whiskey, co to trafiłem na nich w Edmonton. - Oczy mu się rozszerzyły. - Nie ma pani przy sobie żadnych maluchów, co?

- Nie, nie ma tu dzieci. - Lauren potrząsnęła głową.

- Cholerna ospa. Przed paru laty zaatakowała nas tam, gdzie mieszkamy. Molly i ja straciliśmy wtedy malucha.

- Skąd pan jest? - zapytała, otulając go kołdrą, a potem odebrała od niego łachmany, które ściągnął z siebie pod przykryciem.

- Z Montany.

- Ma pan tam rodzinę?

- Tak, pani. - Spojrzał jej w oczy. - Żonę i dwie malutkie dziewczynki.

- No to co pan, u licha, robi tutaj? - Nie przestając rozmawiać, Lauren przyniosła z drugiego pokoju miskę z wodą.

- Przed wszystkim to polowałem. Mnóstwo macie tu futer. - Przymrużył oczy, kiedy ocierała mu twarz wilgotną ściereką. - Pani jest żoną Konnego, prawda?

- Jestem pani Adamowa McPhail.

- Jeden traper w okolicach Saskatchewan powiedział mi,

że jest tu postereunek Konnych. - Rozejrzał się po pokoju. - I pewnie właśnie w to miejsce trafiłem.

- Jeśli będzie pan chciał stawiać potrzebki w tych stronach, musi pan porozmawiać z moim mężem, panie Bolen. - Lauren wrzuciła szmatkę z powrotem do miski. - Ale wracając do pana, może udałoby się panu wypić troszkę rosołu?

Bolen słabiutko kiwnął głową.

- A czy pana żona nie martwi się, kiedy jest pan tak daleko od domu? - zapytała, nalewając trochę zupy do blaszanego kubka.

- O tak, pani, martwi się. Molly cały czas opowiada, że marzy o tym, żebym się ustatkował i znalazł sobie jakąś taką robotę, co by mnie nie trzymała nocami poza domem. Nienawidzi być nocą sama. - Poprawił się na łóżku i odebrał kubek od Lauren.

- Od jak dawna pan choruje? - zapytała, krzyżując ręce na piersiach i przyglądając się, jak Bolen próbuje przełknąć pierwszy łyk.

- Na ile pamiętam, to od kilku dni. Przez jakiś czas leżałem w chacie, co to w niej więcej było dziur niż ścian, i miałem nadzieję, że ktoś się pojawi, ale nie przyszedł nikt. Potem przypomniałem sobie, że jakiś człowiek mówił, że tu w okolicy mieszka Konny, no i jestem.

Lauren usiadła na krześle na przeciw niego. Jeśli pominąć fakt, że był brudny i rozczochrany, wydawał się dość atrakcyjny. Serdecznie współczuła kobiecie, która na niego czekała, zastanawiając się, czy mąż żyje, czy umarł, czy jest chory, czy zdrow. Jeżeli Adam zachoruje, to może nim również zaopiekuje się jakaś Indianka Kri.

- Jest pan bardzo chory. Powinien pan się tu na kilka dni zatrzymać. - Wzięła od niego kubek.

Mężczyzna potrząsnął głową.

- Nie mogę tracić więcej czasu. Jeżeli mam mieć jakiś pożytek z tych futer, to muszę szybko dojechać dalej na północ. Molly i dzieciaki będą potrzebowały pieniędzy przed wiosną.

Lauren wczuła się w sytuację żony Bolena i oczy jej napełniły się gorącymi łzami. Narzekała, jeżeli Adam oddał się na kilka dni. A ta kobieta będzie musiała czekać całymi miesiącami, by dowiedzieć się, czy jej mąż kiedykolwiek wróci.

- Jeżeli pojedzie pan tam chory, niczego pan nie zyska, panie Bolen, poza tym, że pańska Molly zostanie wdową. - Okręciła się na pięcie, wymaszerowała za zasłonkę, podeszła do stołu i głośno stuknęła kubkiem o blat.

- Nie ma co, podobna jest pani do niej; to jest, do mojej Molly.

Lauren oparła się dłońmi o stół i zapatrzyła na puste łasy. Przynajmniej jednego dopilnuje: ten człowiek opuści jej dom zdrowy i odkarmiony. Tyle może dla Molly zrobić.

Adam wyprostował się i przeciągnął. Śmierć niczym ciężki opar wisiała w powietrzu, nos miał pełen fetoru palących się ciał. Światło było mdłe, drobinki kurzu tańczyły w wąskim paśmie, które wlewało się przez szparę między deskami.

- Paskapisis? Słyszysz mnie pan? - Pochylił się nad dziobatą twarzą i wstrzymał oddech, broniąc się przed falą smrodu, który podniósł mu się na spotkanie. - Paskapisis?

Starzec otworzył oczy i przymrużył je w przyćmionym świetle.

- Inspektor?

- Jak się pan czuje? - pytał Adam.

Paskapisis przełknął i przesunął spuchniętym językiem po splekanych wargach.

- Gorączka mi przeszła?

- Tak. Należy pan do szczęśliwców.

Indianin bacznie przyjrzał się twarzy Adama.

- Jak pan wróci do domu, żona nie powie już o panu „przy stojniak”. - W oczach starca skrzyły się iskierki humoru.

Inspektor przesunął brudną dłońią po włosach i skrzywił się, zaczepiwszy palcami o kołtuny.

- Pewnie nie pozwoli mi w tym stanie nawet wejść do domu.

- Ilu ludzi umarło? - Oczy Paskapisisa przygasty.

- Zbyt wielu, by ich zliczyć - odpowiedział Adam.

Paskapisis odwrócił wzrok i starał się ukryć łzy, które pojawiły się w kąciakach oczu.

- Ilu zostało?

- Kilku ludzi przeżyło, przeważnie młodych mężczyzn.

- A kobiety?

Adam z ciężkim sercem potrząsnął głową.

- Wiem o jednej; druga może przeżyje, jeżeli przetrzyma noc.

Starzec zacisnął powieki, jego chudym ciałem wstrząsało łkanie.

- Skąd się to u nas wzięło, inspektorze? Co zrobiliśmy, by tak rozgniewać Ojca Wszeczhreczy, że sprowadził na nas tę straszliwą chorobę?

- To nie Bóg sprowadził ją na was, Paskapisisie, tylko handlarze whiskey. Woda ognista osłabiła twoich ludzi. - Adam otworzył drzwi chaty, a Paskapisis gwałtownym ruchem zasłonił oczy przed jasnym światłem. - Musimy wpuścić tu trochę powietrza. - Ale napływające powietrze wcale nie było świeże, tylko gęste od smrodu. - Wychodzę na chwilę na zewnątrz. Może zrobić coś dla pana, zanim wyjdę?

Paskapisis potrząsnął głową. Inspektor pochylił się i wyszedł z chałupy. Poczerniałe szkielety domów sterczały nad ziemią jak martwe palce. Wszystko pokrywała cieniutka warstewka popiołu, poszarzały od niej nawet zielone liście na drzewach. Wychudłe psy czaiły się po kątach, warcząc i walcząc ze sobą o skrawki jedzenia, wyrzucone przez dawno zmarłych panów. Adam przetarł rękawem czoło i zauważył, że bieliznę ma już nie białą, tylko jakąś taką szarawą, jak wszystko, co widział wokół siebie.

Ktoś położył mu rękę na ramieniu. McPhail się wzdrygnął. Odbiło się na nim to, że przez tyle dni i nocy siedział w kucki obok posłań chorych, ściskając w rękach ich obrzydliwe od ropy i krost dłonie.

- Jak się ma Paskapisis? - zapytał stojący za jego plecami Duncan.

Adam odwrócił się i w oczach Duncana zobaczył to samo zmęczenie, które jego przeżarło do szpiku kości.

- Myślę, że przeżyje. A co z Mike'iem i Williamem? Nic im nie jest?

- Żaden nie złapał ospy. Obydwaj mówią, że gdzieś na wschodzie dostali coś, co się nazywa „szczepienie”.

- Czytałem w jakiejś gazecie, że lekarze potrafią teraz coś takiego robić.

- Co za wstyd i szkoda, że nie mogli przyjechać tutaj. - Duncan rozejrzał się po otaczającej ich ruinie.

- Muszę wrócić do domu i sprawdzić, co z Lauren. Możecie tu we trzech skończyć tę robotę?

- A pewnie. Jedź do domu, do swojej żony.

Adam pochylił się, wszedł na moment do chaty Paskapisisa i zaraz z niej wychynął, zarzucając na ramiona szkarłatną kurtkę. Nie miał pojęcia, jak to się stało, że ani on, ani Duncan się nie zarazili. Musieli zetknąć się kiedyś z ospą na tyle blisko, że się na nią uodpornili. W ciągu minionych lat wielokrotnie przejeżdżali przez wioski, w których grasowała ta choroba, i często zdarzało im się pielęgnować różnych przybłądów, którzy prawdopodobnie mieli ospę.

Dosiadł Jake'a i skierował go poza obręb wioski; z radością zostawił za sobą ostatnie popioły i ogniska i wjechał w zielony las. Odetchnął głęboko świeżym powietrzem i natychmiast poczuł się lepiej.

Kiedy wreszcie wychynął z lasu i dojrzał unoszące się z komina jego domu pasemko dymu, zalało go tak intensywne poczucie wdzięczności, że gdyby był na piechotę, chyba by się nogi pod nim ugięły. Wbił Jake'owi pięty w boki i przynaglił wałacha do kłusa na otwartej przestrzeni, która dzieliła go od ganku, a tam szybko zeskoczył z konia i zarzucił wodze na słupek. Kiedy otwierał drzwi, z wnętrza nie dochodził żaden dźwięk. Dom stał milczący i cichy, schludnie posprzątany i czysty, ale Lauren w środku nie było.

- Pewnie poszła do Gretchen - wymamrotał Adam i wyszedł na zewnątrz.

Trawa aż pokładała się pod silnymi podmuchami wiatru. Lauren, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, stała nad wodą, spódnica trzepotała się wokół jej nóg. Patrzyła na drugi brzeg i przyglądała się niewyraźnej postaci jeźdźca, który okrążał jezioro.

Ramiona Adama wyciągnęły się i objęły Lauren jakby z własnej woli, a ona, nie odwracając głowy, oparła się o męża.

- Nic ci nie jest? - zapytała, wtulając mu głowę pod brodę.

- Nic. Ale jestem zmęczony i brudny. - Oparł podbródek na jej włosach i wciągnął znajomy zapach żony w nozdrza.

Odwróciła się w jego ramionach i czujnie przyjrzała twarzy. Wpatrując się w jej oczy, zrozumiał, że w końcu wrócił do domu.

- Chodź ze mną, przygotuję ci kąpiel i coś do zjedzenia. - Ruszyli przez porośnięty niskimi krzakami teren, Adam obejmował żonę w pasie.

- Kto to był? - zapytał, pokazując głową na jezioro.

- Jakiś traper z Montany. Znalazłam go pewnego ranka na ganku.

McPhail przystanął i chwycił ją za ramiona.

- Czy był chory?

Lauren z powagą przytaknęła, nadal patrząc mu w oczy. Serce Adama na moment zamarło. Pośpiesznie przyjrzał się, czy nie zobaczy krost na twarzy żony.

- Ospa?

I znowu Lauren przytaknęła.

- Nie jesteś chora?

Uśmiechnęła się, twarz jej promieniała miłością.

- Nie, nie jestem chora. - Potem pogładziła męża po policzku, a on poczuł, jak pod jej palcami osypują się popielne grudki. - Mówiłam ci, że nic mi nie będzie.

Chwycił ją w objęcia, pokonała go intensywność uczuć.

- Co się stało? - zapytała z twarzą wtuloną w brudną kurtkę, która tłumiła jej słowa.

- Nic - powiedział i usłyszał, że głos mu się załamuje. -

Tyle przez te ostatnie dni widziałem cierpienia. Martwiłem się... - Urwał, a Lauren poczuła, jak chodzą mu szczęki.

- Mówiłam ci, że nic mi nie będzie. - Stali przytuleni na wietrze. - Nazywał się Richard Bolen. To traper z Montany, zostawił w domu żonę i dwie córeczki, czekają na niego. Przy-szedł po pomoc, bo słyszał, że stacjonuje tu oddział Konnych. - Odchyliła się i z powagą zjrzała mężowi w twarz. - Czy nie tego właśnie chciałeś? Żeby ludzie wiedzieli, że jeżeli potrzebna będzie im pomoc, to znajdą ją u ciebie?

- Znowu przekręcasz moje słowa - mruknął Adam.

Lauren ukradkiem się uśmiechnęła.

- Chodźmy do domu. - Splotła palce z jego palcami i ruszyła, pociągając go za sobą.

16

- A niech to wszyscy diabli, chłopcze. Czyś ty zidiociał do reszty? - Finnegan zeskoczył z konia i ruszył w stronę zmartwionego posterunkowego McDougalla.

Lauren, mająca na nich świetny widok z bujanego fotela na ganku, roześmiała się. Mężczyźni przybijali ostatnie deski do ściany łączących się z domem koszar. Wrzesień dobiegał końca, w rzeźkości poranków i chłodzie nocy wyraźnie dawało się już wyczuć zimę. Jeszcze trochę, a lato razem z muzykalnymi owadami i delikatnymi podmuchami wiatru minie, a zima znowu pochwyci ich w swe lodowate pazury.

- Czy ty nie rozumiesz, chłopaku, że jak mówię „przesuń na lewo”, chodzi mi o to, żebyś przesunął w lewo, a nie w prawo? - Finnegan wyrwał młodemu człowiekowi z ręki linę do naprowadzania belek, sam ustawił belkę i opuścił delikatnie prosto w dłoń Duncana, który ją przybił tam, gdzie trzeba.

- Podać ci coś? - Spoczone, pokryte trocinami dłonie objęły Lauren za ramiona.

Odwróciła się w fotelu. Za jej plecami stał Adam, ściągnięte z nagich ramion szelki zwiślały luźno po bokach niebieskich spodni.

- Chyba jesteś zmęczony. - Mokre od potu włosy lepiły mu się do głowy, spodnie w pasie były całe przesiąknięte.

- Trochę. Chcę skończyć tę robotę, żebyśmy przed pierwszym śniegiem zdążyli postawić stodołę.

- Chyba nie myślisz, że śnieg pojawi się już niedługo? - Wystarczyła wzmianka o śnieżnej burzy, a już przypomniały jej się słowa Lisicy.

Adam zachmurzył się zatroskany.

- Może się pojawić lada chwila.

Lauren popatrzyła na jezioro, na którym roiło się od ptactwa. Nadziwić się nie mogła, że za kilka tygodni cała ta obfitość może się skończyć.

- Pani McPhail? - Młody McDougall przechylił się przez poręcz ganku, pot strużkami spływał mu po twarzy. - Czy mógłbym poprosić panią o kubek wody?

- Oczywiście, Williamie. - Już się miała podnieść, ale Adam przytrzymał ją za ramiona.

- Siedź. Ja mu przyniosę. - I ciężkim krokiem poszedł do domu.

McDougall zaczerwienił się.

- Przepraszam. Mogłem sam sobie wziąć, ale martwiłem się, że zadepczę pani podłogę. - Uniósł oblepiony błotem but.

- Nic się nie stało. Adam za bardzo się przejmuje. - Lauren wstała, a raczej wyturlała się z fotela, bo brzuch miała coraz większy. - Nie mogę tu siedzieć przez cały dzień.

- Możesz, jeżeli dzięki temu dziecko będzie zdrowe. - Jej mąż wychynął z domu i postawił wiadro z wodą na górnym stopniu.

McDougall ponownie się zarumienił i nabrał wody do kubka. Lauren zerknęła na Adama i zachmurzyła się. Od kiedy powiedziała mu, że jest w ciąży, zrobił się nadopiekuńczy aż do przesady. Skracał nawet patrole, żeby na noc wracać do domu, albo przynajmniej pilnował, by któryś z jego ludzi był w pobliżu.

- Adam, mogę z tobą chwilę porozmawiać? - Ruszyła do drzwi. Kątem oka zauważyła jeszcze, że Finnegan z uniesioną brwią zerka na swego przełożonego, potem mąż przyłączył się do niej.

- Musisz przestać tak się trząść nade mną - prychnęła, kiedy już znaleźli się w środku. - Biedaczysko William przez ciebie poczuł się zażenowany. Bardzo dużo pomagał mi tego lata i mogłam mu przynajmniej kubek wody podać.

- Żebyś się tylko nie przemęczała, to wszystko. - Adam grzbietem dłoni otarł pot z czoła. - Ta pogoda naprawdę jest

dziwna. Jeszcze nie widziałem, by we wrześnie było tak gorąco. Zwykle o tej porze mamy już śnieg.

- No, osobiście wdzięczna jestem za parę dodatkowych ciepłych dni. - Lauren przeszła do części kuchennej i zaparzyła się na piec. - Rozpalimy w nim na noc?

- Nie. - Adam zniknął w sypialni i po chwili wyszedł, wciągając przez głowę podkoszulek. - Chyba byśmy nie wytrzymali w domu, gdyby nocą zrobiło się w środku jeszcze cieplej. Chociaż wcale nie przeszkadza mi gorąco, który wytwarzamy sami. - Mówiąc to, objął od tyłu żonę w talii i przytulił policzek do jej głowy.

Lauren swawolnie go od siebie odepchnęła.

- Zaraz wrócę. - Adam chwycił kurtkę z oparcia krzesła i, trzasnąwszy drzwiami, wypadł na zewnątrz.

Jego żona podeszła do okna i przyglądała się, jak pan inspektor maszeruje za róg domu. Nagle poczuła przeszywający ból w brzuchu. Zwinęła się w pół i jęknęła. Ból ustąpił równie szybko, jak się pojawił. Wyprostowała się i głęboko odetchnęła.

- Czy to ty mnie kopnąłeś, malutki? - odezwała się do wypukłości, od której wydymała się z przodu spódnica. - Ciekawe, czy to powinno aż tak boleć? - dodała półgłosem. Stała pod oknem, skupiając się na swoim wnętrzu, przysłuchując się bacznie każdemu oddechowi, czekając, czy nie zakłuje ją znowu. Ale ból się więcej nie pojawił. - Pewnie w ten sposób chciałeś powiedzieć mi „hej”. - Podeszła do wytartego kawałka papieru, przybitego gwoździem do ściany. - Wrzesień, październik, listopad, grudzień. Może pojawisz się już na Boże Narodzenie. Jako prezent dla twojego tatusia. Wtedy nie będę musiała kończyć szala, który mu robię na drutach.

- Och, sam nie wiem. Spodobał mi się pomysł, że będę miał długi na sześć stóp szalik.

- Adam! Podglądałeś.

Adam wszedł do środka, zapinając ostatni guzik przy kurtce.

- Nie, szukałem pod łóżkiem buta i szalik sam na mnie

wyskoczył. - Podniósł pas z futerałem. - Już myślałem, że to jakiś wąż, ale zauważyłem białe i czerwone paski. Pomóż mi z tym. - Zapiął klamrę pasa z przodu i przerzucił rzemień przez ramię.

- Jeżeli nie będziesz grzeczny, to nic nie dostaniesz na Boże Narodzenie. - Z rozmysłem szarpnęła mocno za rzemień i Adam stęknął, po czym błyskawicznie odwrócił się i zamknął ją w ramionach.

- Nie chcę na Boże Narodzenie niczego oprócz zdrowego dziecka.

- A ja już dopilnuję, żebyś ten prezent dostał, mężu. - Odchyliła głowę, by mu spojrzeć w oczy.

- Hmm, hmm. - Finnegan szurał nogami i drapał w drzwi, starając się narobić jak najwięcej hałasu. - Bardzo państwa przepraszam. Chłopaki i ja już ruszamy.

- Mikę. - Adam wyszedł z kręgu ramion żony i ruszył do drzwi. - Uważajcie na siebie. Wydaje mi się, że pogoda lada chwila się zmieni.

Mężczyźni stali oddaleni o parę cali i Lauren uderzyło, jak osobliwa jest ich przyjaźń. To, czy przeżyją, zależało od wzajemnego zaufania i niczego więcej. Od bezgranicznego zaufania.

- Nie omieszka, chłopcze. - Mikę puścił oko, odwrócił się i z tupotem wyszedł.

- Nie jedziesz z nimi?

- Nie. Zajrzę do rezerwatu. Epidemia ospy chyba trochę ukróciła handel whiskey. Myślę, że pogadam sobie z Paskapisem. Spróbuję podkopać trochę jego zaufanie do Angusa. - Adam wyciągnął rewolwer Enfield, sprawdził komorę i schował broń do futerału.

Lauren przymrużyła jedno oko.

- A czy przypadkiem nie zostajesz przeze mnie? Bo ja czuję się świetnie.

- Nie. Zostałem, bo mam robotę, a chociaż tak bardzo lubię Mike'a i moich ludzi, chcę, żeby jak najszybciej wynieśli się od nas i przenieśli do siebie. - Adam wypełniał sobą otwór drzwiowy, ramionami niemal dotykał futryny po obu stronach.

- A ja chyba przejdę się nad jeziorem i spróbuję nacieszyć się ciepłem. - Lauren zdjęła kapelusz z gwoździa przy drzwiach i założyła go na głowę.

- Bądź ostrożna - przestrzegał Adam. - Trzymaj się otwartego terenu i nie wchodź w zarośla, żebyśmy cię z Erikiem mieli na oku, gdyby coś się stało.

Powiedz mi o tym bólu, Lauren zdusiła cichy, ostrzegawczy głosik. Przecież jest idealnie zdrowa. Przecież nie ma żadnych problemów. Nawet mdłości po kilku tygodniach się skończyły. Adam tylko by się martwił. Może później pójdzie do Gretchen i napomknie, że coś ją zabiło. Z pewnością Gretchen coś na to poradzi.

Schodząc z ganku, poczuła, że powietrze zrobiło się ciężkie od nadciągającej zmiany pogody, że jest nieruchome, niesamowite i pełne oczekiwania. Oddychała głęboko, brak jej było rozśpiewanych jeszcze kilka tygodni temu ptaków. Podczas spaceru poczucie zaniepokojenia się nasilało, przygniało ją, wyzimało resztki dobrego samopoczucia. Wcale nie cieszyły jej już cicho chlupoczące falki ani kudłate przemykające nad głową chmury. W końcu zawróciła i skierowała się do domu. Ale kiedy była blisko, poczucie grozy nasiliło się jeszcze bardziej.

Otworzyła drzwi i weszła do chłodnego wnętrza. W oczekiwaniu, aż oczy przyzwyczają się do półmroku, zdjęła kapelusz. Potem odwróciła się i dech jej zaparło. Na środku stołu leżało związane kawałkiem postrzępionej szmatki zawiniątko. Rozejrzała się szybko. Ktoś musiał wejść do domu.

Podeszła do zawiniątka i podniosła je. Prawie nic nie ważyło, jakby było puste. Powąchała, ale nie poczuła żadnego zapachu. Węzeł dał się łatwo rozplatać. W środku znajdował się mały pakiecik miążkiego, brązowego proszku oraz liścik, napisany nieznanym jej pismem.

„Wypij to i pozbądź się smutku, co przychodzi. Lisica”.

Lauren upuściła paczuszkę na stół, proszek rozsypał się po całym blacie. Otarła ręce o przód spódnicy, cofnęła się, zrozumienie przeczytanych słów napełniło ją grozą. Miała-

by pozbyć się dziecka Adama? Nie mieściło jej się to w głowie. Przywarła płasko plecami do ściany, czując, jak w brzuchu porusza się dziecko.

Na ganku zaszurały buty. Lauren wcisnęła pakiecik do kieszeni i jednym machnięciem ręki zmiotła na podłogę rozsypaną zawartość.

- Co się stało? - Adam zamarł, trzymając rękę z kapeluszem tuż nad gwoździem.

- Nic - skłamała Lauren, podchodząc do pieca i otwierając drzwiczki do paleniska. - Wydawało mi się, że miałeś pojechać do rezerwatu.

- I pojechałem - odpowiedział jej mąż pełnym podejrzliwości głosem. - Co jest?

- Nic. Nie zdawałam sobie sprawy, że minęło już tyle czasu. - Nie mogła się w tej chwili odwracać twarzą do niego. Zauważyłby w jej oczach lęk, a nie chciała go martwić. Wzięła polano i udawała, że dokłada do pieca.

- Zostaw to - wyszeptał jej do ucha i przyciągnął mocno do siebie. Przesuwał palcami w dół po rękę żony, aż dotarł do dłoni i wyjął z niej polano. Upuścił je, potem okręcił Lauren twarzą do siebie. - Ludzie pojechali na polowanie. Wykorzystajmy dobrze ten czas.

Wziął żonę na rękę i w sypialni położył ją na miękkim materacu. Rozluźnił sznur i pas z futerałem. Stuknęły o podłogę, kiedy zrzucił je razem z kurtką. I już leżał z Lauren w łóżku, koszulę miał z przodu otwartą.

- Lauren - wyszeptał z wargami tuż przy policzku żony, rozpinając jeden za drugim guziki bluzki. Odchylił materiał i wsunął pod spód dłoni, obejmując pierś.

- Adam - Lauren poczuła taki ból, że dech jej zaparło, a serce zaczęło mocno bić ze strachu. Może niepotrzebnie wczoraj jeździła konno.

- Co? - Przerwał na chwilę pieszczoty.

- Może nie powinniśmy. To znaczy... twoi ludzie mogą la-da chwila wrócić i...

- Co się dzieje? - Adam zachmurzył się i usiadł.

- Nic. To pewnie nic takiego.

- Lauren. - Jej mąż zsunął się na skraj łóżka i pochylił, opierając się rękami po obu jej stronach.

- Zaczęły mi się jakieś bóle. Takie leciutkie. - Zamknęła oczy, by nie widzieć jego twarzy.

Adam w milczeniu wstał i przeszedł na bosaka do okna.

- Może powinienem pojechać po lekarza.

- Och, Adam, to niemądre. - Ściągając z przodu poły bluzki, Lauren wyturlała się z łóżka i podeszła do niego. - Kobiety z kółka szwaczek twierdziły, że lekkie bóle są czymś całkiem normalnym. Mówiłam ci, to pewnie nic ważnego, ale pomyślałam, że może lepiej nie...

- Nie. To nie byłby dobry pomysł. - Pogładził ją po włosach, przesuwając palcami po rozluźnionych splotach. - Musimy dopilnować, by nasze dziecko bezpiecznie przyszło na świat.

Lauren przytuliła policzek do jego porośniętej miękkim włosom piersi; słuchała, jak bije serce męża, czuła, jaki jest ciepły. Powiedziała sobie, że dopóki będzie ją trzymał w objęciach, nic złego się nie wydarzy. Adam usiadł na bujanym fotelu i wziął ją na kolana. Huścili się w milczeniu, a myśli ich splatały się razem.

Na deskach ganku zastukały kroki, czyjś głęboki głos donośnie odchrząknął.

Adam pocałował Lauren w czubek głowy, wstał i narzucił koszulę. Lauren szybko pobięła do sypialni i pośpiesznie się ubrała.

- Chłopcze, zabierz konie do korralu. - Kiedy Adam wychodził na ganek, Duncan oddawał właśnie wodze Williamowi. - Nie wróciliśmy chyba za szybko, co? - zapytał, uśmiechając się półgębkiem.

- O, nie. I dzięki, że daliście nam trochę czasu.

Duncan odwrócił wzrok i uśmiechnął się smutno. McPhail znał Duncana McLeoda od trzech lat, ale wciąż mało o nim wiedział. Tylko tyle, że zostawił w Szkocji żonę i dzieci. Chodziły plotki, że żona wyrzuciła go z domu z powodu innego mężczyzny. Zostawił więc ukochanych w Szko-

cji i przyjechał do Kanady. Niewiele więcej było o nim wiadomo.

- No cóż, wyniki polowania skromniutkie. - Rzucił na podłogę kuropatwę i dwa króliki. - Ale głębiej w lesie widzieliśmy ślady jeleni. Może warto będzie się tam wybrać w tym tygodniu.

- Tak. - Adam pochylił się nad poręczą i oparł na przedramionach.

Duncan przyjrzał się bacznie jego twarzy i spochmurniał.

- Chciałbyś o czymś pogadać, chłopcze?

- Przejdźmy się kawałek. - Adam strzelił szelkami o ramiona. - Coś mi się zdaje, że powinienem pojechać po lekarza dla Lauren.

Duncan przystanął.

- Nie ma chyba problemów?

- Nie wiem. Coś ją boli. - Adam wzruszył ramionami. - Nie wiem, co robić.

Duncan zerknął na mknące szybko po niebie chmury.

- Zbiera się na zmianę pogody. W lesie było nadzwyczaj cicho, nie widzieliśmy prawie żadnej zwierzyny. Bardziej przydasz się żonie tutaj.

- Gdybym wyjechał dziś i nie odpoczywał po drodze, może udałoby mi się wrócić za dwa tygodnie.

- A na dodatek może udałoby ci się siebie wykończyć. Czy myślisz, że właśnie na tym jej zależy?

- Nie mogę tak po prostu siedzieć i czekać. - Adam kopnął kawałek opałowego drewna; poleciało w bok.

- Chłopcze, twoje miejsce jest przy Lauren. Jeżeli już ktoś ma jechać, niech to będą ja.

- Nie mogę cię o to prosić.

- Nie musisz mnie prosić.

Adam chwycił Duncana za rękę.

- Co ja bym bez ciebie przez te wszystkie lata zrobił?

- Fatalnie by ci się wiodło, tak sobie wyobrażam. - Niebieskie oczy Duncana roztańczyły się i zabłyśły, potem szybko spoważniały. - Ale jest coś jeszcze, o czym powinienś

wiedzieć. Chłopaki i ja widzieliśmy wszędzie na skraju lasu odciski kopyt końskich, a nie zrobił ich twój Jake.

- Co przez to rozumiesz?

- Powiedziałbym, że Angus bawi się z tobą w kotka i myszkę.

Adam uniósł oczy na las.

- Myślisz, że Angus tu podjeżdżał?

- Wyglądają na ślady tego samego konia, na którym przyjechał tu tamtego dnia.

- Jak myślisz, czego może chcieć?

- Zaniepokoić cię na tyle, byś popełnił jakiś błąd.

- Wiesz, że tamtego dnia próbował mnie przekupić. Oferował mi ładną sumkę, żebym przymknął oko na jego działalność.

- I nie przymknąłeś?

Adam zerknął w stronę domu.

- Powiedział, że uderzy, kiedy się tego będę najmniej spodziewał. - Zapatrzył się na daleką linię drzew po drugiej stronie jeziora. - Wypowiedział Policji Konnej wojnę.

Lauren zapięła ostatni guzik przy bluzce i zapatrzyła się na mknące po niebie chmury. Z drzew wokół jeziora poznikały ptaki, wiatr pędził po ziemi opadłe liście razem z kłębkami kurzu i świerkowymi igłami. Upał był tego ranka przygnębiający, groźny, jakby pogoda zbierała siły przed zmianą. Ciemne chmury wiły się jak węże po horyzoncie, gotując się do ataku.

- Lepiej przyniosę trochę drewna na ganek - powiedział Adam, zdrapując błoto z butów o skraj desek.

Lauren kiwnęła głową. Spojrzeli sobie w oczy, oboje wiedzieli o jej lęku. Śnieżyca. Przepowiednia Lisicy.

- Gdzie Duncan i posterunkowi?

- Duncan jedzie nad jezioro Frog, a Finnegan i William na patrol.

- Dlaczego nad jezioro Frog? - Lauren wzięła miotłę i zmiotła wyschłe błoto z ganku.

- Sprawy służbowe - odpowiedział lapidarnie Adam.

- Czego ty mi nie mówisz, Adamie McPhail? - Lauren oparła się o miotłę.

- Że chcę mieć cię tylko i wyłącznie dla siebie. - Roześmiał się, podniósł ją i odstawił sobie z drogi.

- Ale Adamie, oni dopiero co wrócili z polowania.

McPhail puścił żonę, odsunął się o krok i podszedł do wiadra z wodą, gorączkowo zastanawiając się nad właściwą odpowiedzią. Nie chciał jej martwić, a na pewno by się zmartwiła na wieść, że posterunkowi McDougall i Finnegan przeczesują teren w poszukiwaniu Angusa, a Duncan co koń wyskoczy jedzie nad jezioro Frog po dobrze znaną akuszerkę, która obsługiwała żony tamtejszych osadników.

- Wróca, zanim pogoda się na dobre załamie, a jeżeli nie, to Duncan już tam wcześniej bywał.

- Adam, to niepodobne do ciebie. Dlaczego tak postanowiłeś?

Czerpak z pluśnięciem wpadł do wiadra.

- Daj spokój, Lauren.

Milczała tak wymownie, że poczuł się, jakby go uderzyła.

- Przepraszam - powiedział i odwrócił się.

Stała za jego plecami, ręce skrzyżowała na piersiach.

- To ma coś wspólnego z Angusem, nieprawdaż?

McPhail przyjrzał się bacznie twarzy żony; jego własna twarz powoli rozjaśniła się w uśmiechu. Znała go lepiej, niż sobie wyobrażał.

- Tak, ale nie zadawaj już więcej pytań.

- Dobrze - odpowiedziała i odwróciła się w chwili, kiedy pierwsze płatki śniegu uderzyły w okna. Zaraz potem o szybko ostro zadzwoniły drobinki lodu.

- Przyniosę to drewno. - Adam chwycił kapelusz i kurtkę z gwoźdźmi przy drzwiach i wyskoczył na zewnątrz.

Kuleczki lodu kłuły Lauren w dłonie, kiedy zatrzaśkiwała ostatnie okno. W kilka minut frontowe podwórze zmieniło się w płachtę roztańczonych gradzinek absurdalnie i kontrastowo wymieszanych z rzadkimi, leniwymi płatkami śniegu.

- Pogoda musiała się długo do takiego występu przygoto-

wywać. - Adam otupał buty przy drzwiach. Strzepnął stetosona i kulki lodu rozprysnęły się po podłodze.

Lauren wzięła gałąź, którą jej podawał, i odwróciła się, by włożyć ją do pieca. A kiedy się wyprostowała, poczuła taki ból, że zakreśliło jej się w głowie. Jęknęła i chwyciła się za brzuch.

- Lauren! - Adam jednym skokiem znalazł się przy niej.

- O Boże. Boli - wykrztusiła, z trudem chwytając oddech. - Nigdy tak nie bolało. Zanieś mnie do łóżka.

McPhail porwał żonę na ręce i delikatnie położył na miękkim materacu. Kiedy wysunął rękę, którą podtrzymywał jej nogi, zobaczył, że rękaw kurtki poplamiony jest krwią. Spojrzeli na siebie, oczy Adama rozszerzyły się z trwogi.

- Idę po Gretchen. - W trzech krokach znalazł się przy drzwiach, ale kiedy je otworzył, wiatr wdarł się do wnętrza i zerwał zasłonę z koca. Kilka godzin temu ostatnie minuty lata dogorywały na dworze spokojnie i leniwie, a teraz ściana bieli oddzielała ich od reszty świata.

- Nie, Adam.

Odwrócił się, wciąż przytrzymując otwarte drzwi.

- Nie zostawiaj mnie - błagała, leżąc na łóżku, Lauren. Twarz jej wyglądała jak blada plamka wprawiona w wachlarz z rozsypanych kasztanowych włosów.

- Muszę iść po pomoc.

- Nie zdołasz, bardziej jesteś mi tu potrzebny.

McPhail zerknął na gęstniejący śnieg, na litą biel za oknem. Jakaś jego cząstka chciała zostać przy boku Lauren, ale inna pragnęła przyprowadzić Gretchen i czekać w drugim pokoju na wieści, które z pewnością dobre nie będą.

- Adam, proszę. - Ten błagalny głos przejmował go dreszczem. Stał mu znowu przed oczami spędzający sen z powiek, rozpaczliwy obraz tamtego martwo narodzonego dziecka. Inspektor zamknął drzwi. Skrzypiące deski podłogi krzyczały i szydziły z niego, kiedy szedł do Lauren. Podniósł jej rękę z kołdry, palce miał zimne i lepkie.

- Wiem, co myślisz. - Lęk rozszerzył niebieskie oczy Lauren, ale nie odwróciła wzroku. - Nie winię ciebie za to.

Adam zaciął zęby, żałując, że nie może zawrócić czasu do ich pierwszego dnia w Edmonton. Powinien był wtedy odebrać ją do domu. Popatrzył na delikatną rękę Lauren z wążkiutką, złotą obrączką, symbolizującą przysięgę, jaką sobie złożyli. Palce żony zacisnęły się pieśczośliwie na jego dłoni. Pocieszała go, a przecież to on powinien ją pocieszać.

- Dołożę do pieca. - Wyplątał dłoń z jej palców, wstał i zawiesił znowu zasłonę. Może wszystko się dobrze ułoży, mówił sobie, zahaczając skraj koca o gwoździe. Może to krwawienie ustanie. Ale w głębi serca jakiś natarczywy głos powtarzał, że nie powinien się łudzić.

Wrzucając polana do pieca i przegrzebując pomarańczowy żar, przeliczył miesiące. Było dużo za wcześnie na narodziny. Ich dziecko nie przeżyje. Powoli zamknął drzwiczki.

Lauren znowu zajęczała. Adamowi kłębiły się w myślach wspomnienia innego porodu, tamtego martwego dziecka, tamtej rozgorączkowanej matki. Aż mu się w głowie zakręciło, kiedy zrzucił z siebie kurtkę. Został w samej płóciennej koszuli, wślizgując się przez szpary podmuchy wiatru przejęły go chłodem. Chlusnął wodą z wiadra do miednicy i postawił ją na piecu, by się zagrzała.

Kiedy odwrócił się do Lauren, leżała całkiem bez ruchu, z zamkniętymi oczami.

- Lauren? - W Adamie serce szarpnęło się z przerażenia.

- Nic mi nie jest. - Rozchyliła powieki i uśmiechnęła się. - Dziecko się wciąż rusza, może z nim wszystko w porządku.

- Muszę cię rozebrać. - Podwinął rękawy i odchylił kołdrę. Lauren leżała w kałuży własnej krwi. Krew przesiąkła przez ubranie, pościel i materac. Jeżeli nie powstrzyma jej upływu, Lauren umrze. I znowu pomyślał, żeby pójść po Gretchen. Może ona albo Erik wiedzieliby, jak temu zaradzić. Obejrzał się przez ramię na okno i zobaczył, że na świecie nie widać nic prócz śnieżnej bieli. Jeżeli wyjdzie i się zgubi, Lauren zostanie tutaj sama. Szarpany złymi przecuciami, zdejmował z żony spódnicę i bluzkę. Popatrzył na jej zniszczoną bieliznę i wyjął zza pasa nóż.

- Co ty robisz? - zapytała Lauren, szeroko otwierając oczy.

Ona nie wie.

- Krwawisz. Bielizna całkiem ci się zniszczyła.

- Nie rozcinaj. Wypiorę ją później.

Może już nie być żadnego później.

- Kupię ci nową.

Ostrze z cichym szelestem rozdarło cieniutki batyst.

- Adam. - Lauren położyła mu rękę na dłoni, a on zapatrzył się na jej palce. - Kocham cię.

17

Adamowi niespodzianie łzy zaczęły napływać do oczu. Zaciął mocno zęby.

- Ja też cię kocham. - Szybko nakrył żonę znowu kołdrą i wyskoczył za zasłonę do sąsiedniego pokoju.

Chociaż piecyk wesoło trzaskał i postękiwał, Adamowi wydało się, że w pokoju jest zimno. Walcząc z narastającą paniką, opłukał zimną wodą z wiadra twarz i przeciągnął po niej ręką, po czym zajrzał w popękane lustro. Chciał sprawdzić, czy widać po nim tę samą grozę i strach, jakie malowały się kiedyś tak wyraźnie na obliczu Pierre'a.

- Adam. Oooch, Adam.

McPhail chwycił miednicę z wodą i pośpiesznie wrócił do sypialni. Lauren leżała na plecach, mocno zaciskając prześcieradło w obu dłoniach, cała zeszywniała.

- Tak okropnie boli - wychrypiała.

- Spróbuję ci pomóc. - Delikatnie obmył ją z krwi, ale odniósł przy tym wrażenie, że im więcej tej krwi zbiera, tym więcej pojawia się świeżej. Wykręcił szmatkę, zanurzył w gorącej wodzie i położył Lauren na brzuchu. - Czy to przynosi ulgę?

Lauren oczy miała zaciśnięte z bólu, ale kiwnęła głową. Adam wyciągnął spod łóżka następne prześcieradło i wsunął je pod żonę. Prześcieradło szybko przesiąkło krwią na wyłot. O Boże. Usiadł na krześle przy łóżku i gładził Lauren po włosach. Niewiele więcej mógł już teraz zrobić, pozostawało mu tylko czekać na śmierć Lauren, narodziny dziecka albo i jedno, i drugie.

Porywisty wiatr potrząsał i grzechotał domem i brzękliwe miótł drobinkami lodu. Pod jego nieustępliwymi podmu-

chami gonty głośno stukały. Gdzie podziewa się Duncan i pozostali? Czy próbują jakoś dotrzeć do domu? Na ile znał Duncana, najpewniej zaszył się on gdzieś w lesie, żeby przeczekać śnieżycę. Miał nadzieję, że William i Finnegan zrobili to samo. W środku panowała cisza, przerywana tylko potrzaskiwaniem pieca i sporadycznym pojękiwaniem Lauren.

Zapadał zmierzch. Adam wstał, by zapalić lampę. Wnętrze domu oblała mdła, żółtawa poświata, przy której twarz Lauren zrobiła się woskowo blada. Zanim zapadła noc, straciła przytomność, tylko lekkie unoszenie się i opadanie piersi wskazywało, że żyje. Adam rozdygotaną dłońią obmacał nabrzmiały brzuch żony, szukając najlżejszego choćby ruchu, jakiejś oznaki, że jego dziecko żyje. Pod palcami poczuł drgnienie, takie strasznie lekkie, takie słabiutki.

Twarz Lauren z zamkniętymi oczami była pusta i blada, tylko wtedy, kiedy przychodził skurcz, wykrzywiała się z bólu. Adam wyciągnął zegarek z kieszeni spodni i sprawdził, która godzina. Minuty powoli mijały. Resztki światła przybladły, aż wreszcie w kręgu jasności pozostał tylko on i łóżko, wszystko inne pograżyło się w mroku. Odchylił zasłonę, bo zamknięty w tej ciasnej przestrzeni poczuł się nagle jak w pułapce. Piecyk żarzył się na pomarańczowo, na podłogę padały cienie.

Lauren poruszyła się i zmarszczyła brwi. Adam zerknął na zegarek. Co piętnaście minut. Schował zegarek do kieszeni, znowu pomacał brzuch Lauren i poczuł leciutki ruch. Gorące łzy rzuciły mu się do oczu. Ich dziecko miało niedługo zostać wypchnięte na świat z bezpiecznego i ciepłego gniazdzka, zanim będzie na to przygotowane. Szanse na przeżycie miało niewielkie. Rozłożył szeroko palce i masował brzuch żony, starając się zapamiętać wyczuwany pod dłońią kształt i to, jak powoli się poruszał i obracał.

- Rozdziera mnie na dwoje! - krzyknęła nagle przeraźliwie Lauren, podciągając prześcieradło aż pod twarz.

- Jestem tu, Lauren. - Pochylił się nad nią, ale nie otworzyła oczu.

- Już idzie!

Adam odrzucił kołdrę, którą była przykryta, i ugiął jej nogi w kolanach. Starając się zatamować krwotok, zastanawiał się, jak to możliwe, by ktoś stracił tyle krwi i wciąż żył. Błada twarz Lauren poczerwieniała z wysiłku. Zrozumiał, że dziecko zaraz się urodzi. Najpierw pojawiła się maleńka główka, potem wyslizgnęło się na świat doskonałe, ale maleńkie ciało. Chłopak. Łzy przesłaniały Adamowi wzrok, kiedy przecinał pępowinę i tulił dziecko w dłoniach. Taki maleńki. Taki chudziutki. Otarł syna do czysta i obrócił go do góry nogami. Buzia maluszka opróżniła się z płynów. Zamiauczał jak kocię. Adam do końca życia miał pamiętać ten dźwięk.

Ale teraz musiał zatroszczyć się o Lauren. Owinął dziecko w jej bieliznę i położył w koszyku przy piecu. Potem podarł na kawałki halkę żony i czekał. Pojawiło się łożysko i krwawienie zaczęło ustawać* Otarł wilgotną szmatką twarz Lauren i przykrył żonę. Nic więcej nie mógł zrobić. Jej życie było w ręku Boga.

Nigdy jeszcze nie czuł się tak bezradny i samotny... i tak wściekły, jak w tej chwili. Zaciskając pięści, podszedł znowu do pieca i szarpnął za drzwiczki. Następne polano grzmotnęło w tylną ściankę paleniska. Dlaczego ją tu sprowadził? Dlaczego nie słuchał tego cichego głosu, który ostrzegał go przed grożącą katastrofą? Zatrzasnął drzwiczki. Dlaczego poszedł za głosem serca?

Wyjął dziecko z koszyka i usiadł na bujanym fotelu Lauren. Odchylił powijaki i przyjrzał się maleńkiej twarzyczce. Na przejrzystej skórze rysowały się niebieskie żyłki. Rączka, która zacisnęła się na jego palcu, była tak drobna, że z trudem go objęła. *Ciekawe, jakiego koloru będzie miał oczy?* Potrząsnął głową. Nawet przez grube warstwy spowijających niemowlę okryć czuł, jak ciepło z niego ucieka. W piecu buzował ogień, ale w przewiewnym domu było wciąż jeszcze zimno.

Rozpiął koszulę, odwinął dziecko i przytulił do siebie jego maleńkie ciało. Potem przykrył się razem z nim kurtką i przysunął się bliżej do ognia. Głowa opadła mu na poduszkę, którą Lauren starannie skroiła i uszyła tak, by pasowała

do fotela. Oto koniec wszystkich ich nadziei i marzeń o przyszłości. Zamknął oczy, przysłuchując się odgłosom śnieżycy. Skulone pod koszulą dziecko znowu miauknęło i poruszyło się. Delikatne serduszko trzepotało się tuż przy piersi Adama. Miał ochotę rozchylić koszulę, pogłaskać delikatne ciało, ale wiedział, że synek potrzebuje ciepła, więc skupił myśli i zmąszył na maleńkim życiu, które tulił do siebie.

Rozbolały go szczęki, tak mocno je zaciskał, ale wiedział, że jeżeli pozwoli sobie na łzy, serce mu pęknie. Mijały godziny, ogień w piecu dogasał. Adam kilkakrotnie sprawdzał, co z Lauren. Krwawienie ustało, spała teraz spokojnie, nieświadoma, że jej syn umiera.

Wściekłość zawiei wyczerpała się, padał już tylko gęsty śnieg. Dziecko poruszyło się, głęboko westchnęło i zakończyło swe króciutkie życie. Adam wiedział, w którym momencie jego synek odszedł, a przecież nie przestał się kołysać. Czas upływał, noc mijała, a on siedział i kiwał się to w przód, to w tył, to w przód, to w tył.

Świt wstał czerwony i rozjątrzony, wyglądające zza piętrzących się, śniegowych chmur słońce przypominało przekrwione oko. W chacie zaczęło robić się jasno. Adam wzdrygnął się i wrócił do terażniejszości. *Lauren*. Już się zaczynał podnosić, kiedy przypomniał sobie o dziecku, które przez cały czas mocno tulił do piersi. Ściągnął kurtkę i rozchylił koszulę. Maleńkie zawiniątko było cał zimne poza miejscami, które wchłonęły ciepło jego ciała. Rozchylił powijaki i wpatrywał się w martwą twarzączkę, spokojną jak we śnie. Zbierało mu się na płacz, czuł się tak, jakby serce miało mu pęknąć, ale przełknął, położył dziecko z powrotem do koszyka i podszedł do Lauren. Leżała nieruchomo i przez jedną pełną paniki chwilę Adamowi wydawało się, że żona chyba nie oddycha, że przykrycie nie podnosi się i nie opada. Położył jej dłoń na ramieniu i poczuł, że jest ciepła, że żyje.

- Adam? - wyszeptwała, jej twarz majaczyła blado w ciemnościach.

- Jestem tutaj. - Usiadł obok niej na materacu.

- Dziecko?

Adama coś tak ścisnęło w piersiach, że nie mógł złapać oddechu.

- Był taki maleńki...

- Chłopiec?

- Tak.

- Nie żyje?

Przesunął dłonią po twarzy i przygarbił się w rozpacz.

- Mieliśmy syna. Maleńkiego, wspaniałego syna, ale on...

- Boże, nie - łkała Lauren. - Chcę go zobaczyć.

- Chyba nie...

- Chcę go zobaczyć.

Adam podniósł się, przyniósł z koszyka drobniutkie ciążko i położył tuż koło żony. Lauren popatrzyła na maleństwo. Rozchyliła powijaki i dotknęła zimnej już teraz skóry.

- Jest wspaniały - powiedziała półgłosem. - Ma wszystkie paluszki u rąk i nóg. I chyba ma twoje usta. - Podniosła oczy i uśmiechnęła się.

- Powinienem go już zabrać.

- Nie. - Lauren odsunęła od niego dziecko, twarz jej płonęła gniewem, oczy miała bardzo błyszczące. - Nie pozwolę ci go ode mnie zabrać.

Adam przesunął dłonią po włosach, zaczynał być naprawdę przerażony. Opuścił się na łóżko.

- Lauren, on już odszedł. Był za maleńki, za wcześniej się urodził. Żył tylko przez kilka godzin.

Zona wpatrywała się w niego, nie był pewien, czy słyszy jego słowa, bo tylko raz mrugnęła powiekami.

- Wiem. Ja tylko... - Oddała mu zawiniątko i ukryła twarz w dłoniach.

Rozpacz Adama była tak głęboka, że nie był w stanie wykrztusić jednego pocieszającego słowa. Odwrócił się i w tym momencie z gardła Lauren wyrwał się pierwotny jęk, który echem odbił się od grubych ścian chaty, potem przycichł i rozpląnął się w łkaniu. Rozdygotany Adam przycisnął czo-

ło do chłodnej szyby okna i starał się zaczerpnąć tchu. Jego żona odeszła w miejsce jemu niedostępne. Wyrósł między nimi mur z żalu i rozpacz. Ale przecież Lauren nadal potrzebuje opieki.

Przemógł się i zrobił to, co powinien: położył maleńkie ciało w koszyku i wrócił za zasłonę do Lauren. Leżała spokojnie, głowę odwróciła tak, by wpatrywać się w ścianę. Sprawdził, czy nie krwawi, i przekonał się, że krwawienie ustało. Mechanicznie umył ją, ubrał i półprzytomny zmienił pościel. Oczy miała otwarte i puste, pozwalała mu się sobą zajmować, ale niczym nie okazała, że świadoma jest jego opieki.

Kiedy wreszcie skończył, poczuł się wyczerpany, zmęczony i stary. Przysiadł na skraju łóżka i przetarł sobie wilgotną szmatką twarz.

- Lauren.

Na spopielałej twarzy żony nie zobaczył żadnej emocji, żadnych oznak życia. Dotknął jej czoła i poczuł, że jest gorące.

- Dobry Boże - wyszeptał. Gorączka. Straciła tyle krwi, że nie będzie miała siły zwalczyć gorączki, zabraknie jej też woli ku temu.

Zawołał ją znowu po imieniu i Lauren otworzyła oczy. Za oknami śnieg padał leniwie tak wielkimi płatkami, że przesłaniały słońce, pograżając chatę w szarości. Wiatr przestał huczeć i w domu narastała donośna, wręcz ogłuszająca cisza.

Otwierał już usta, żeby coś powiedzieć, ale powstrzymał się, bo w oczach Lauren wezbrały łzy i przelały się na policzki.

- Czy możemy mu nadać imię? - wyszeptała.

- Oczywiście, że możemy.

- Derek Butler McPhail, po moim ojcu.

- Dobrze. - Adam odsunął pasemko włosów z jej czoła i zauważył, że gorączka rośnie.

- Żałuję, że nie możemy pochować go w Reginie.

Adam przełknął.

- Możemy pochować go tutaj, gdzie się urodził.

Lauren odwróciła od niego wzrok i zapatrzyła się w okno.

- Żałuję, że ja też nie umarłam.

- Óóó. Nie mów tak. Jeszcze nam się urodzą dzieci. - Jego słowa zabrzmiały bezdusznie i twardo, ale w żaden inny, łagodniejszy sposób nie potrafił dać wyrazu nadziei. Wola Boża. Maleńkiemu Derkowi Butlerowi McPhail nie było pisane żyć na tym świecie.

Lauren przeniosła wzrok na męża. Spojrzenie miała twarde i nieustępliwe.

- Nie chcę tu rodzić więcej dzieci. Gretchen straciła troje. Nie mogę... nie zgodzę się przeżywać jeszcze raz czegoś takiego.

- To, że Gretchen straciła troje, nie znaczy, że u nas też tak musi być.

- Ale będzie. Jesteśmy przeklęci.

Adam zauważył, że Lauren zaczyna mówić bełkotliwie, twarz mu się ściągnęła.

- Nie chcę być pochowana w tym okropnym miejscu, kiedy umrę. Obiecuj, że mnie odeślesz do Reginy. - Chwyliła go za rękę tak mocno, że aż boleśnie.

- Nie umrzesz. - Słowa Lauren wystraszyły go.

- A właśnie że umrę. Proszę, nie chowaj mnie tutaj. Obiecuj mi to, Adamie.

Nie potrafił wyobrazić sobie życia bez Lauren. Ale była taka słaba, taka wyczerpana.

- Jeżeli umrę, będę się mogła zobaczyć z dzieckiem - dodała z uśmiechem, potem zmarszczyła brwi. - Czy myślisz, że pójdę do nieba, Adamie?

- Nie mów tak, Lauren. Nie umrzesz. - Przeciagnał ręką po włosach, walcząc z przerażeniem.

- Naprawdę tak sądzisz?

Adam gorączkowo usiłował znaleźć jakieś słowa, którymi zdołałby ją pocieszyć, których mogłaby się ucześcić, które dałyby jej nadzieję. Spojrzenie jego padło na porzuconą na podłodze kurtkę. Na kołnierzu połyskiwały insygnia policji: złote korony. Szybko wstał i wyjął zapinki. Trzymał je przez moment, przypominając sobie dzień, kiedy Griesbach mu je przypiął. Zacisnął garść i stanowczym krokiem podszedł do

łóżka. Wziął Lauren za dłoń, rozchylił ją i położył na niej insygnia, a potem stulił na nich palce żony.

- Daję ci to jako rękojmię mojej obietnicy - wyszeptał.

Lauren drgnęła i rozchyliła powieki.

- Postaraj się przeżyć, a zabiorę cię stąd. Zabiorę cię z powrotem do domu, do Reginy.

Żona niczym nie okazała, że go słyszy czy rozumie. Opuścił jej rękę na łóżko i wsunął pod kołdrę.

Potem wrócił do dziecka. Wyjął zawiniątko z koszyka, rozchylił przykrycie. Chciał zapamiętać w szczegółach ciało swego syna - rozwichrzoną jasną czuprynkę, maleńkie rączki i nóżki. Gdyby sądzić z pozorów, dziecko mogło spokojnie spać.

Rozszłochał się, z trudem chwytając powietrze, łkanie mało nie rozsadziło mu piersi. Kropelki padały na ciało dziecka i przez moment Adam rozpaczliwie wierzył, że może łzami przywróci je do życia.

Poranek minął, zrobiło się popołudnie, McPhail tego nawet nie zauważył. Bujanie się fotela przeniosło go w inny świat: istniał tam tylko on i ta maleńka istotka, którą do siebie tulił. Po podłodze sunęły cienie, niebo się rozjaśniło.

Ktoś zaczął walić w drzwi. Adam oderwał spojrzenie od dziecka. Znowu to stukanie. Wstał, przemógł się i przeszedł te kilka kroków do drzwi. Kiedy je otworzył, do środka sypnęło śniegiem. Oblepiona śniegiem postać wpatrywała się w niego spod ciężkich od lodu rzęs.

- Duncan?

- Słodka Matko Jezusowa. - Duncan strząsnął śnieg ze stetsona i otrzepał go o nogę. - Co za śnieżycyca. Nie dotarłem nad jezioro Frog. Po północnej stronie jeziora zaspasy są głębsze niż tutaj...

Adam próbował zmusić swój mózg do pracy, usiłował przypomnieć sobie, dlaczego Duncana nie było, i zrozumieć, dlaczego nagle teraz zamilkł.

- Co się stało? - Jego przyjaciel zmarszczył brwi. - Gdzie Lauren? - Ogarnął wzrokiem wnętrze domu, potem skupił

spojrzenie na rękach Adama. - Czy mogę wejść, chłopcze? - zapytał łagodnie. Ruszył do przodu, a Adam cofnął się, wpuszczając go do środka.

Ogień w piecu niemalże wygasł, w środku było zimno i wilgotno.

- Przyda się dołożyć trochę drewna do ognia. - Zostawiając mokre ślady na podłodze, Duncan podszedł do pieca i dorzucił dwa polana. - No. Tak lepiej. - Odwrócił się i zatarł okryte rękawicami dłonie; makabryczny nastrój powoli do niego docierał. Spojrzał przenikliwie w oczy McPhaila i już wiedział. - Co tam masz? - Pokazał na zawiniątko, które Adam tulił do piersi.

- Mojego syna.

Duncana przeszedł dreszcz.

- Gdzie jest Lauren?

Jego przyjaciel pokazał głową na zasłoniętą sypialnię.

Duncanowi zrobiło się zimno.

- Co z nią? - Krew zaczynała mu krzepnąć w żyłach ze zgrozy.

- W porządku... - Adamowi głos się załamał. Odchrząknął.

Drewno zajęło się i w pokoju zrobiło się jaśniej. Duncan zobaczył twarz Adama, szarą i ściągniętą, jego przekrwione oczy, zmierzwił jasne włosy. Koszulę z przodu plamiły krwawe odciski dłoni.

- Może pozwolisz mi potrzymać malutkiego i zajmiesz się żoną?

Adam wahał się przez moment. Lauren. Musi zająć się Lauren. Podał Duncanowi dziecko, a potem skierował się do sypialni. Każdy krok wymagał wielkiego wysiłku. Ale kiedy już wreszcie ruszył, rozproszyła się ogłupiająca go mgła. Śnieżyca się skończyła. Musi sprowadzić Gretchen. Lauren będzie jej potrzebowała. Potem pochowa dziecko. Może na tym pagórku za domem.

Lauren leżała na plecach, wpatrując się pustymi oczami w sufit.

- Podać ci coś? - zapytał.

Spojrzała na męża tak, że zrobiło mu się zimno.

- Nie.

- Idę po Gretchen.

Lauren nie odpowiedziała, tylko znowu przeniosła spojrzenie na belki nad głową. Jej mąż poczuł się, jakby go spoliczkowała.

Odwrócił się i zobaczył pełne łez oczy Duncana.

- Tak mi przykro, chłopcze.

Adam zacisnął zęby.

- Nie było nam pisane, to wszystko.

- Jak ona się ma? - McLeod pokazał głową na pokój za zasłoną.

McPhail przesunął dłonią po szczeciniastym zaroście na brodzie.

- Nie wiem.

- Adam. Chcę znowu zobaczyć dziecko - zawołała Lauren. Spojrzenia Adama i Duncana się spotkały.

- Radziłbym nie.

Adam odebrał mu maleństwo i włożył je w ramiona Lauren. Kiedy rozchyliła powicie, świeże łzy zmyły ślady po wcześniejszych łzach.

- Chłopiec. On był chłopcem. - Głos jej się załamał, ramiona trzęsły się w łkaniu. - To właśnie przepowiedziała Lissica. Jesteśmy przekłęci, Adamie, przekłęci.

- Cśś. - Usiadł przy żonie i przyglądał jej splątane, rozmierzwione włosy.

Lauren z rozdrażnieniem odtrąciła dłoń męża.

- Nie dotykaj mnie.

- Jest rozstrojona, chłopcze - szepnął tuż za jego plecami Duncan. - Daj jej trochę czasu.

Lauren odwróciła od nich twarz i puściła dziecko; jedną dłoń nadal mocno zaciskała. Adam wziął synka i położył go znowu w koszyku.

- Idę po Gretchen. Zostań z nią. Potem zbiję trumienkę.

Zarzucił obdarty bawoli płaszcz na ramiona i zniknął za drzwiami. Duncan podszedł do okna i przyglądał się, jak

McPhail brnie przez głęboki śnieg, kierując się w stronę domu Erika. Zdecydował się iść na piechotę, a nie jechać, chociaż koń stał wciąż przywiązany do słupka przy ganku.

McLeod zdjął z siebie ociekający wodą płaszcz i kurtkę, potem ściągnął buty i przemoczone onuce. Rozwiesił mokre ubrania przy ogniu, a resztę dobytku ustawił przy drzwiach. Zrobiwszy to, zajrzał za zasłonę; Lauren nadal wpatrywała się w sufit.

Nalał wody z wiadra do garnka, zamoczył w nim miękką szmatkę, potem usiadł przy łóżku.

- Masz gorączkę, dziewczyno. - Wykręcił szmatkę i przyłożył jej do czoła.

- Czy masz dzieci, Duncanie? - zapytała nagle Lauren.

- Tak. Dwie córki.

- Gdzie one są? Czy żona czeka na ciebie gdzieś na wschodzie?

Duncan wpatrzył się w jej rozgorączkowane oczy. Wymykała się im w mroczne miejsce, w którym zwykł chronić się umysł człowieka, kiedy nie potrafi objąć tego, co go spotkało. Duncan dobrze znał to miejsce.

- Nie, zostały w domu, na Isle of Skye.

Lauren lekko zmarszczyła brwi, powieki jej sennie opadały.

- Czy pojedziesz jakoś niedługo do domu, żeby je odwiedzić?

- Może jakoś niedługo - skłamał, klepiąc ją po ręce. Przy stole żony Duncana McLeoda nie było miejsca dla męża. Inny mężczyzna siedział w jego fotelu, podrzucał na kolanie jego dzieci, pocałunkami koił zadrapania i troski.

- Powinam była słuchać, Duncanie. Powinam była. Adam miał rację. Lisica miała rację. Nawet Gretchen miała rację. To nie jest miejsce dla kobiety i dzieci. - Lauren zebrała prześcieradło w dłoń. - Niech diabli porwą ten piekielny dziki kraj. Niech go diabli wezmą, że odebrał mi dziecko.

- Słuchaj, Lauren...

- Żebyś mi się nie ośmielił pleść jakichś bzdur o honorze i obowiązku, Duncanie McLeod. - Uniosła się na łokciach. - Nie chcę słyszeć już ani słowa o Policji Konnej.

- Ode mnie nic na ten temat nie usłyszysz. A teraz połóż

się, Lauren, bo znowu zaczniesz krwawić. A tego byś nie chciała, prawda?

- Nie - jej głos przypominał ledwie dosłyszalne miauknięcie.

- Nie napiłabyś się trochę herbaty?

- Nie chcę żadnej cholерnej herbaty! - wrzasnęła niespodziewanie Lauren. - Chcę raz na zawsze zostawić już za sobą ten cholerny dziki kraj! - Zamachnęła się słabiutko i złote oznaki inspektora zagrzechotały o ścianę.

„Pozwólcie dziećcom przyjść do mnie”. Przejmujący arktyczny wiatr porywał Duncanowi słowa z ust, niemal zanim ten zdążył je wypowiedzieć. McLeod wrzucił garść ziemi i śniegu w niewielki dół, potem podniósł oczy na otaczającą go grupkę. Adam stał wyprostowany i sztywny, oddalony o kilka cali od Lauren; nie dotykał jej. Lauren pustym wzrokiem patrzyła gdzieś w dal. Duncana przeszedł dreszcz, chociaż miał na sobie obszarpany płaszcz; zrobiło mu się zimno od wewnątrz. Adam i Lauren pograżyli się w takiej rozpacz, że nie byli w stanie otworzyć się przed sobą ani się pocieszyć. Do późna w noc oskarżali się nawzajem, szorstko i z goryczą.

McDougall otarł łzy z oczu, potem wziął łopatę.

- Może lepiej zaprowadzimy cię do domu, nie stój na tym zimnie - odezwał się Adam do Lauren, lekko ujmując ją za łokieć.

- Nie. Chcę zostać i patrzeć do końca. - Wyszarpnęła rękę z jego uścisku.

Szczęki Adama się zacisnęły.

- To chyba nie jest mądre, dziewczyno - powiedział Duncan. - Chłopaki i ja poradzimy sobie.

- Nie! - Zacisnęła pięści przy bokach. - Nie jestem dzieckiem. Potrafię doskonale sama zdecydować, co jest dla mnie dobre, i chcę patrzeć, jak grzebiecie mojego synka.

Adam już unosił ręce, by wziąć żonę za ramię, ale się powstrzymał i je opuścił.

- Skończmy szybko tę robotę, chłopaki - rzucił półgłosem Duncan.

McDougall sygnął do dołu pierwszą porcję zamrożonej ziemi, a potem skrzywił się, kiedy łopata zagłębiła się w twardej gruntu. Przez całą noc palili w tym miejscu ognisko, żeby na tyle rozmrozić ziemię, by dało się wykopać grób; dłonie ich pokrywała cała masa pęcherzy.

Następna porcja ziemi głucho zagrzechotała o skromną, drewnianą skrzynkę, którą zbił Adam. Dziura po trochu się wypełniała. Lauren ani na chwilę nie odrywała od niej spojrzenia. Na koniec Finnegan ułożył na grobie stos kamieni, by drapieżniki trzymały się z daleka.

Lauren bez słowa okręciła się na pięcie i ruszyła z powrotem do domu, krokiem chwiejnym i nierównym. Od porodu minął tydzień. Przez cały ten czas kłócili się zażarcie z Adamem, czy wolno jej już wstać z łóżka, czy nie. W końcu Adam ustąpił i pozwolił, by robiła, co chce. Duncan przyglądał się, jak McPhailowie odchodzą, i ogarniało go przygnębienie. Lauren niepewnie trzymała się na nogach. Inspektor szedł tuż przy żonie, podtrzymując ją za łokieć. Upierał się przy tym, by jej pomagać nawet wtedy, kiedy odsuwała się od niego. Robili takie wrażenie, jakby ich miłość wyparowała niczym śnieg w powiewie chinooka.

- Jak pan myśli, co się teraz stanie? - McDougall pokazał na nich głową, napychając śniegiem rękawice, by uśmierzyć palący ból dłoni.

- Jeden Bóg to wie. Wracajmy do ognia. - Finnegan wziął łopaty i brnąc przez zaspy ruszył z powrotem do maleńkiej, pływającej po morzu bieli chaty.

Lauren powiesiła płaszcz na gwoździu przy drzwiach i usiadła w swoim fotelu na biegunach, niepomna na cały świat. Spojrzenie wbiła w podłogę. Już wiele dni temu Adamowi zabrakło słów, a kiedy próbował wziąć żonę w ramiona, bez żadnego wyjaśnienia odpychała go tylko od siebie.

Z westchnieniem powiesił swój płaszcz obok płaszcza żony i podszedł do niej. Opadł na kolana, ujął ją za rękę i trzymał mocno, chociaż próbowała dłoń wyrwać.

- Lauren. Musimy o tym porozmawiać. Spokojnie i rozsądnie.

- Wcale nie chcę z tobą rozmawiać. - Uniosła oczy; zobaczył w nich tylko ból i nienawiść. - Chcę wracać do domu.

Wyciągnął rękę, by ją pogłodzić po włosach, ale odsunęła się od niego i rzuciła mu pełne jadu spojrzenie.

- Z wiosną, jeżeli nie zmienisz zdania, zabiorę cię do domu.

Wpatrywała się wprost przed siebie, nie pokazując po sobie, czy usłyszała jego propozycję. Wiedział, że go kocha; atakowała go, by nie atakować samej siebie. Gdyby wyjechał na jakiś czas, a ona nie musiała na niego codziennie patrzeć, może wtedy jej ból zacząłby ustępować.

- Ruszam na poszukiwanie Angusa. Nie będzie mnie przez kilka tygodni.

Żadnej odpowiedzi.

- Zostawiam tu Duncana, żeby obsadził posterunek i żebyś nie była sama.

Wciąż żadnej reakcji.

Adam uściśnął mocniej trzymaną w ręce bezwładną dłoń.

- Kocham cię, Lauren. - Z nadmiaru uczuć gardło mu się ścisnęło. Podniósł do ust czubki palców żony. - Zawsze cię będę kochał, niezależnie od tego, co czujesz.

Lauren powoli wysunęła dłoń z jego ręki.

Od kiedy Duncan wszedł w drzwi koszar, z kwatery McPhailów dobiegała tylko cisza. Uwagę McLeoda zwrócił jakiś ruch za oknem. Adam stał na ganku ze zwieszoną głową, opierając się oboma rękami o poręcz, zimny wiatr szarpał jego rozpiętą kurtkę.

- Ruszam w pogoń za Angusem - powiedział, kiedy przyjaciel do niego podszedł.

- Czy sądzisz, że to dobra pora? - Duncan pogrzebał w kieszeni, szukając kapciucha, w którym trzymał fajkę i tytoń.

McPhail wyprostował się, twarz miał szarą, oczy podkrążone.

- Muszę jechać, Duncanie. Z każdym spędzonym przeze

mnie w domu dniem wpływu Angusa sięgają coraz dalej. Poza tym w żaden sposób nie potrafię jej pocieszyć. - Pokazał głową na zamknięte drzwi do chaty. - Mój widok przypomina jej tylko, co straciła i dlaczego. Całkiem wyraźnie dała mi to do zrozumienia.

- Bardzo cierpi, chłopcze. Zostaw jej trochę czasu, by ją mógł uleczyć. - Duncan wsunął główkę fajki do kapciucha.

- Powiada, że już mnie nie chce nigdy widzieć. Obwinia mnie o śmierć dziecka i może ma rację. - Adam wzruszył ramionami i zapatrzył się na zamarzniete jezioro. - Od samego początku wiedziałem, że nie powinienem jej tu sprowadzać.

- To nie ciebie obwinia, tylko siebie. Obwinia siebie za to, że cię pokochała i że chciała za tobą tu jechać.

McPhail potrząsnął głową i zaczął zapinać guziki.

- Żałuję, że nie potrafię uwierzyć w twoje słowa, ale wiem, że to nieprawda.

Rozbłysła na moment zapałka. Nieustępliwy wiatr zaraz zdusił płomyk.

- Kiedy wrócisz? - wymamrotał Duncan przez zęby, zacisnięte na cybuchu fajki.

- Pewnie za kilka tygodni. - Twarz Adama złagodniała, położył przyjacielowi rękę na ramieniu. - Gretchen mówi, że chętnie z nią trochę pomieszka, ale ciebie chcę prosić o coś, o co nikogo innego na świecie nie poprosiłbym.

Duncan wpatrywał się w chłopięcą, postarzałą po przejściach twarz przyjaciela.

- Wiesz, że ci nie odmówię, chłopcze.

- Zabieram ze sobą McDougalla i Finnegana. Chciałbym, żebyś tutaj przejął moje obowiązki, ale najbardziej chcę prosić, byś zadbał o Lauren.

- Wiesz, że o to nie musiałeś prosić.

- Ale proszę.

- No to znasz odpowiedź.

Adam uśmiechnął się i zszedł z ganku.

- Może zastanowiłbyś się jeszcze raz, zanim odjedziesz? - zapytał Duncan.

- Nie jesteś głuchy, Duncanie. Słyszałeś, co do siebie mówiliśmy. Padły między nami słowa, na które nie powinno być miejsca w żadnym małżeństwie. Może ona pogodzi się ze stratą, jeżeli mnie tu nie będzie.

- Potrzebuje twojej bliskości.

- Nie, nie potrzebuje mnie. - Adam powoli potrząsnął głową. - I może już nigdy nie będzie mnie potrzebowała.

Lauren przycisnęła mocno policzek do szyby, rozkoszując się przenikliwym zimnem, od którego cierpła jej skóra. Za oknem w powietrzu roiło się od płatków śniegu, które miękko, bezszelestnie opadały na ziemię. Wcześniej siedziała na ganku. Było tak cicho, że próbowała wysłuchać, gdzie spadnie kolejny płatek.

Ciekawam, czy taka właśnie cisza panuje w grobie?

Gdyby przeszła na koniec ganku, wychyliła się i przymrużyła oczy, dostrzegłaby na śnieżnej okrywie brązowoburą plamkę: maleńki, samotny krzyż.

Zerknęła na trzymany w ręce papier. Na pożółkłej kartce, poplamionej i wymiętej, wciąż jeszcze czytelne było zamaszyste, eleganckie pismo Edmunda.

Proszę, byś raz jeszcze się zastanowiła, zanim zdecydujesz się na to małżeństwo.

Jakże prorocze wydały jej się teraz te słowa. *Proszę, byś raz jeszcze się zastanowiła.* Powinna była tak zrobić.

Gdybym Ci kiedyś był potrzebny, wystarczy, że przyslesz telegram.

Może napisać do niego? Po raz tysięczny w ciągu ostatnich kilku tygodni pogładziła kciukiem szorstki papier. Adam odjechał, skinąwszy jej tylko krótko głową na pożegnanie, i od tamtej chwili nikt nie miał od niego żadnych wieści. W pamięci Lauren kołatały się straszliwe słowa, w ustach

czuła gorzki smak wyrzutów sumienia. Na papier spadła łąza, jeszcze bardziej rozmazując pismo Edmunda. To nie Adam winien, że stracili dziecko. Gretchen powiedziała, że nie było im pisane. A mimo to coś kazało Lauren pomstować na Adama, przeklinać go za upór i oddanie dla tej straszliwej, dzikiej krainy. Tylko raz stracił opanowanie i odpowiedział na jej zjadliwość ciosem za cios. Po tym zdarzeniu stał się dziwnie milczący i tak było do dnia, kiedy wyjechał.

Zasługujesz na coś lepszego, a ja mógłbym Ci zapewnić to, i jeszcze więcej, jeżeli zostałabyś moją żoną. Rozpocznę w Twoim imieniu proces rozwodowy i bez chwili wahania do Ciebie przyjadę.

Twój

Edmund

Lauren starannie złożyła kartkę i wsunęła ją do kieszeni. *Bez chwili wahania przyjadę.*

- Wybieram się do Erika. Nie potrzebujesz czegoś? - Stłumiony głos Duncana dochodził zza rozdzielającej pomieszczenia zasłony.

- Wejdz, Duncanie. - Lauren odepchnęła się od okna i owinęła mocniej szydełkowym szalem wokół ramion. Policzek wciąż palił ją od chłodu. - Może zrobić ci trochę kawy?

- Nie. - McLeod odsunął zasłonę i wszedł do środka, kurtkę miał już zapiętą pod szyją. - Postawiłem u siebie na piecu garnek kawy, żeby się grzała.

- Czy mogę pójść z tobą?

Duncan ściągnął brwi.

- Jesteś pewna, że wystarczająco dobrze się czujesz? Zrobiło się zimno.

- Muszę wyjść z tego domu, żeby nie zwariować. Proszę. - Złożyła ręce. Wydawało jej się, że jeżeli na jedno popołudnie oderwie się od tej nudnej chaty i pamiątek po wszystkim, co się stało, to poczuje się jak w raj.

- W porządku. - Lauren rzuciła mu się na szyję i uściśnie-

la tak mocno, że zachwiał się i cofnął. - Ale otul się porządnie i załóż tę starą bawolą opończę. Będzie ci w niej ciepło w nogi. Jeżeli Adam po powrocie do domu dowie się, że znowu zachorowałaś, to mnie żywcem ze skóry obedrze.

Ręce Lauren opadły.

- Adam już nie wróci i dobrze o tym wiesz.

- Wróci, dziewczyno. Nie powinnaś nawet myśleć, że nie wróci.

- Mów, co chcesz, Duncanie, a ja nie uwierzę, by miał jeszcze kiedyś wrócić. Och, pojawi się, żeby zabrać swoje rzeczy i odwiedzić mnie do Edmonton. Nie było nam po prostu pisane wspólne życie. Teraz to wiem.

- Pozwól, że ci coś powiem. Adam McPhail nigdy nikogo ani niczego nie porzucił i nie będzie teraz zaczynał. - Duncan podniósł opończę z bawolej skóry i okrył nią ramiona Lauren.

- Nie? A co z jego rodziną w Anglii i szkołą w Stanbridge?

- To co innego.

Lauren wzruszyła ramionami.

- Wcale nie. Kiedy zaczęły się trudności, uciekł do Kanady. Skąd mam wiedzieć, czy teraz nie wrócił do Anglii i nie zostawił cię na lodzie razem ze mną?

- Wiesz dobrze, że opowiadasz bzdury. - Duncan przymrużył oczy. - I skończ z takim gadaniem, zanim w nie sama uwierzysz. - Chwycił ją za ręce i lekko potrząsnął.

- Przepraszam. - Lauren przesunęła dłonią po czole. Skąd biorą jej się takie myśli i dlaczego opowiada o nich Duncanowi? - Muszę się po prostu wydostać na chwilę z tego domu.

- No to zakładaj buty, zanim zejdziesz z gorąca pod tymi futrami.

Zimne powietrze zakłuło Lauren w płucach, kiedy schodziła z ganku na głęboki niemal po kostki śnieg. Słońce flirtowało z szybko płynącymi chmurami, od czasu do czasu płatek śniegu lądował na ciemnej wełnie rękawiczek Lauren. Powietrze było takie świeże, pachniało oszałamiająco świer-

kami. Na gałęziach okrytego obfitą okiścią świerka ćwierkały i kłóciły się ptaki, a od ich zabawnych podskoków śnieg osypywał się na ziemię.

- Wdzięczna ci jestem, że mnie zabrałeś, Duncanie.

Duncan szedł w milczeniu u jej boku, ze wzrokiem wbitym w ziemię.

- Na pewno jest ci dość ciepło? Mógłbym wrócić po konie.

- Nie, miło jest rozprostować nogi. - Kiedy przechodzili przez podwórko, Lauren skupiła się na tym, by nie spojrzeć w kierunku grobu, nie sprawdzać, czy drewniany krzyż stoi prosto, jak to robiła po każdej zamieci. Dzisiaj nie będzie patrzyła. Dzisiaj pozwoli, by choć przez chwilę sprawy biegly swoim torem. - Jak myślisz, zastaniemy kogoś u Erika?

- Wątpię, po tej ostatniej śnieżycy. Zima nadciąga szybko, większość ludzi albo się na tę porę roku wyniosła, albo gdzieś zaszyła.

Do końca listopada pozostawał jeszcze tydzień, a śnieg już gromadził się pod ich drzwiami. Może Adama nie będzie przez całą zimę? A jeżeli nigdy nie wróci?

- Kupiłabym sobie coś. Mam trochę pieniędzy.

- To dobry pomysł. Coś, co sprawi ci radość.

- Może coś, co nadawałoby się na gwiazdkowe prezenty. - Ledwie te słowa ucichły, a już oczy Lauren napełniły się łzami. Dla nich gwiazdkowym prezentem miało być dziecko. W głębi jej serca zaczęło wzbierać łkanie, ale stłumiła je. Nie dziś. Dzisiaj nie będzie płakała.

Na ganku factorii Erika pełno było futer. Kilku Indian z rezerwatu Kri podziwiała błamy, obmacując gęsty włos. Wokół ramion owinęli sobie pasiaste koce w kolorach zachodzącego słońca. Stalowe potrzaski podzwaniały na wietrze. Kri przerwali rozmowę i odwrócili się, kiedy Duncan wchodził na ganek, po czym rozstąpili się w milczeniu, by pozwolić im przejść. Lauren czuła na plecach ich spojrzenia. Lisica miała rację. Wieści się już rozeszły, a przecież nie widziała na oczy tej tajemniczej kobiety.

- Ach, Lauren. - Ciepłe ręce Erika zamknęły się wokół jej

dłoni, miękki szwedzki akcent pieścił uszy. - Gretchen jest w domu. Może by pani do niej poszła?

- Pójdę. Chciałam się najpierw rozejrzeć, jeżeli pan pozwoli.

- Pewno, niech się pani rozgląda - wycedził. Machnął ręką w kierunku blatów, na których piętrzyły się stosy towarów i rzeczy, przysłanych ze wschodu. Uwagę Lauren zwróciła półka z książkami. Ile to już minęło czasu, od kiedy czytała książkę? Przeszła między stołami i na chybił trafił wybrała z nieheblowanej półki jakiś tom. „Romeo i Julia”, sztuka pana Williama Szekspira, taki widniał napis na grzbiecie. Lauren wsunęła palec między kartki i otworzyła książkę. Kiedy teraz czytała dobrze znane słowa, historia urodzonych pod nie szczęśliwą gwiazdą kochanków nabierała nowego znaczenia. Była tam tragedia młodej miłości, ale także tragedia matki. Dwóch matek. Zatrzasnęła książkę i przeszukała półkę jeszcze raz. „Moby Dick”. To nie powinno niczym grozić. Wetknęła sobie książkę pod pachę i, przemykając między stołami, kierowała się w stronę lady, kiedy uwagę jej przykuł jakiś obcy głos.

- Niech pan to porządnie spakuje, Ansgar. Do Reginy droga daleka. - Regina. Dom. Lauren przystanęła za stosem koców i przymknęła oczy. Ulice pokrywa pewnie teraz śnieg, wszyscy jeżdżą saniami. Dzwonki na uprząży podzwaniają, płozy z sykiem przecinają powietrze. Później ludzie grupkami odwiedzają się w domach i częstują herbatką i ciasteczkami.

- Jadę do Edmonton i chcę złapać powrotny pociąg, za nim wszystkie przełęcze zostaną zamknięte.

Lauren wyjrzała zza koców. Przy ladzie stał jakiś wysoki mężczyzna. Od stóp do głów spowity był w bogate jasnobrązowe futra. Jego paka wprost pękała w szwach, po boku miała poprzywiązywane garnki i patelnie.

- Nie wybiera się pan na Jukon, żeby tam zrobić majątek? - Głosowi Erika towarzyszyło poskrzypywanie skórzanego popręgu, którym zabezpieczał worek.

- Trzeba by głupka, żeby o tej porze roku wybierać się na Jukon. W ostatniej gazecie, jaką czytałem, napisano, że wię-

cej ludzi umiera przy przejściu przez przełęcz, niż przedostaje się na drugą stronę.

- Mądrze pan robi, decydując się teraz na wyjazd. Proszę zaczekać, przyniosę panu mąkę. - Erik obszedł ladę i skierował się do składziku na tyłach. List Edmunda zaszeleścił w kieszeni Lauren, zupełnie jakby ją przynaglał.

- Przepraszam pana. - Lauren zbliżyła się do mężczyzny, który drgnął zaskoczony. Duncan przeszedł na tyły factorii i pytał właśnie Erika, czy może mu w czymś pomóc. - Jeżeli dobrze zrozumiałam, jedzie pan do Reginy?

- No tak. - Obrzucił ją spojrzeniem i oczy mu pojaśniały.

- Czy mogłabym prosić, by zabrał pan list ode mnie?

Mężczyzna bacznie jej się przez chwilę przyglądał.

- Pewnie tak.

Lauren pochyliła się nad ladą i chwyciła kawałek papieru.

- Nie widziałam mojej siostry od prawie roku, a takie byłyśmy sobie bliskie. - Gorączkowo pisała do Edmunda, wyznając, że poniosła klęskę, i prosząc o pomoc. - Ona mieszka na Williams Street, a jej mąż nazywa się Edmund Higginbotham. *Edmundzie, proszę. Przyjedź po mnie. Popęłniłam straszliwy błąd.* - Jest lekarzem, ogromnie sympatycznym, z pewnością wynagrodzi panu poniesioną przy dostarczaniu listu stratę czasu. - Szybko złożyła kartkę i nakapała na papier wosku z palącej się na ladzie świecy.

Mężczyzna przez chwilę wpatrywał się w list, potem uśmiechnął się i wsunął go za koszulę.

- Dopilnuję, by został dostarczony.

- Och, i proszę nikomu o tym nie mówić. - Lauren zniżyła głos i zatrzepotała rzęsami. - Mój mąż, ten tam - tu pokazała na Duncana, który szedł właśnie w jej kierunku - zabronił mi do siostry pisać, bo robię się wtedy taka smutna. Ale ja czasami muszę z nią porozmawiać. Człowiek jest tu okropnie samotny.

- Tak, pani. Dobrze panią rozumiem. - Mężczyzna pochylił się, przejęty tym, co mówiła.

- Kochany pan jest. - Lauren przelotnie dotknęła dłonią

jego ręki i zaraz przeszła do drzwi. - Eriku, idę zobaczyć się z Gretchen.

- Dobra - stęknął; dźwigał na ramionach worek mąki.

Lauren wyszła na zewnątrz i zamknęła za sobą drzwi. Ogarnęło ją dziwne uczucie. Może to była ulga? A może mściwość? Nie potrafiła nazwać tej emocji. Co zrobiła przed chwilą? Podeszła do poręczy na skraju ganku i zapatrzyła się na jezioro. Miała wrażenie, że minęły już całe lata od chwili, kiedy tu przyjechali. Dwoje ludzi, którzy zaczynali życie od zera. A teraz czuła się jak stara kobieta, zaniedbana i zmęczona. Edmund pewnie i tak nigdy nie dostanie jej listu.

Zawróciła do drzwi Gretchen. Zastukała dwa razy i pchnęła ich skrzydło. Ze środka wypłynął na powitanie znajomy aromat cynamonu i jabłek.

- Coś smakowicie pachnie. - Wciągnęła powietrze i położyła książkę i płaszcz na ławie.

- To placek. Erik miał ochotę na placek, chociaż oszczędzam jabłka na Boże Narodzenie. - Trzepnęła zde gustowana dołem fartucha. - Jak się czujesz? - Mówiła odwrócona do Lauren plecami, mieszając w dużym kociołku, który bulgotał i syczał na piecu.

- Chyba lepiej. - Może powinna powiedzieć Gretchen, że właśnie zdradziła Adama?

Gretchen pośpiesznie podeszła i z obu stron objęła mocnymi dłońmi jej twarz.

-Wracają ci kolorki. - Przyjrzała się gościowi z jednej i drugiej strony. - Ale jak się czujesz w środku?

Lauren poczerwieniała. Gretchen spędziła razem z nią te pierwsze okropne dni po wyjeździe Adama. Starła się być pogodna i podnosić podopieczną na duchu, ale swoją obecnością przypominała tylko, jak ciężkie potrafi być tutaj życie, jakie bezwzględne. W końcu Lauren powiedziała otwarcie, że woli zostać sama, i Gretchen, okazawszy pełne zrozumienie, uprzejmie ją zostawiła.

A teraz szeroko się uśmiechnęła.

- Niedługo będziesz tam w środku miała następne dziecko. - Poklepała Lauren po brzuchu i roześmiała się.

To samo łkanie, które Lauren wcześniej udało się stłumić, próbowało znowu wyrwać się na wolność. Udało jej się jeszcze raz opanować. Przynajmniej jeden dzień przeżyje bez płaczu. Przynajmniej jeden.

- Nie wiem. Nie wiem, czy ośmielę się zaryzykować jeszcze raz.

- Ośmielisz się. Chodź tutaj. - Gretchen chwyciła ją za rękę i pociągnęła do południowego okna. Na parapecie, w skromnej glinianej doniczce, kwitł prześliczny różowy kwiat. - To taka zimowa azalia. Przywożę ją z domu w Szwecji, z ogrodu mojej matki. Najpierw na statku, zamknięta w skrzynce. Potem jadę tutaj, rozsypała się ziemia, a wciąż ona żyje. - Gretchen delikatnie dotknęła jednego z kwiatków. - Raz ją mróz zwarzył, zimno próbowało zabić, a ona wciąż wraca. - Uśmiechnęła się tak, jakby to rozumiało się samo przez się. - Teraz kwitnie ślicznie.

W tym momencie poczuły zapach przypalonych jabłek. Gretchen rzuciła się do kuchni i zdjęła czarny kociołek z fajerki.

- Garnek zawsze wykipi - narzekała, wycierając ścierką płytę kuchenną.

- Chyba nie zdobędę się na to, by jeszcze raz przeżywać taki ból. - Lauren chodziła po kuchni i dotykała ślicznych rzeczy, którymi otoczyła się Gretchen. Czy to one pomogły jej pozostać przy zdrowych zmysłach, kiedy dzieci umierały? A może była to czysta siła woli?

- Kto powiedział, że następne dziecko umrze? - zapytała Gretchen. - Może nie. Dzieci to sprawa naturalna. Masz mężczyznę i kobietę, a potem masz dziecko. - Złożyła dłońie, twarz jej rozjaśnił uśmiech. Po raz pierwszy Lauren usłyszała w głosie żony Erika jakiś odmienny ton, niemal radosny. Przyjrzała się bacznie jej okrągłej, pulchnej twarzy. Gretchen robiła wrażenie niemal... promiennej?

- Gretchen. Ty chyba nie...

Ansgarowa pomasaowała sobie brzuch i pokiwała głową.

- Och, Gretchen. Nie. - Lauren nie chciała powiedzieć te-

go aż tak smutno, ale Gretchen tylko się uśmiechnęła, chociaż w jej oczach zamigotało rozczarowanie.

- Gretchen, przepraszam cię. - Lauren podeszła bliżej. - Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało. To cudowna wiadomość. Ja po prostu nie spodziewałam się... to znaczy, nie myślałam, że ty się... - Przytłoczona zażenowaniem opuściła ręce.

- Czas minie; ból się ukoji. To samo będzie z tobą. - Wymachując łyżką, Gretchen podeszła do stołu i rzuciła spory kawał ciasta na posypaną mąką stolnicę. - Zobaczysz.

Nie, nie zobaczę, bo mnie tu nie będzie. Lauren przysiadła na kanapie, poczuła się tak zaskoczona, że nogi się pod nią ugięły. Jak mogłaby zostać tutaj sama, bez męża, obarczając opieką nad sobą biednego Duncana, a na dodatek patrzeć, jak Gretchen i Erik cieszą się swoją nową rodziną? Na tę egoistyczną myśl ogarnęły ją wyrzuty sumienia, a oczy wypełniły się łzami. Zmieniła się chyba w jakiegoś samolubnego potwora?

- Tak się cieszę, Gretchen - powiedziała, przekrzykując grzechotanie garnka.

- Erik, on się cieszy. Paraduje jak kogut.

Adam też tak paradował, kiedy mu powiedziałam.

- Pewnie większość mężczyzn tak się zachowuje. - Próbując powstrzymać się od łez, wplątała palce w delikatne włókienka serwetki. Zrobiło jej się strasznie się żal, ale przejęła to szkaradne uczucie na cztery wiatry.

- To będzie letnie dziecko. Urodzi się, kiedy powietrze będzie ciepłe i pogoda dobra. Tym razem przeżyje.

Ale mnie tu nie będzie, bym to mogła oglądać. W czerwcu będę już w Reginie. A Adam zostanie tutaj.

- Zrobię całkiem nowe firanki i rzeczy dla dziecka. Te stare przynoszą pecha. Ty mi pomożesz szyć. - Gretchen przestała na moment boksować ciasto na placek i zerknęła na Lauren znad oproszonych mąką policzków. Wyglądała jak istne wcielenie domowego szczęścia. *Boże, dlaczego mnie nie jest dana choć odrobina takiego szczęścia? Czy sobie na nie nie zapracowałam?*

- Muszę już iść. Duncan na mnie czeka. - Lauren podniosła się i wzięła opończę.

- Gdzie jest inspektor McPhail?

- Gdzieś na patrolu. - Odepchnęła od ust zmierzwione futro, układając ciężką skórę na ramionach.

- Czy wróci niedługo?

Lauren przystanęła, szczęki jej już zdrętwiały, tak mocno zaciskała je, by powstrzymać ciche łkanie. Zbierało jej się na płacz coraz częściej.

- Nie wiem.

Gretchen zmarszczyła brwi.

- Nie wiesz? Długo go nie będzie?

- Tak. Nie będzie go długo. - Przebierała palcami po poręczy kanapy, żałując, że umysł ma taki otępiąły i nie potrafi wymyślić żadnych beztruskich słów, którymi mogłaby pożegnać Gretchen.

- Miło nam będzie, jeżeli zostaniesz tu z Erikiem i ze mną. - Gretchen obeszła stół, ocierając dłonie w ścierkę.

Lauren zmusiła się do uśmiechu.

- Nie, nie chciałabym się wam narzucać. Poza tym moim domem jest teraz chata.

- Tak. Ale jesteś tu mile widziana.

- Wiem. - Lauren otworzyła drzwi, czuła się tak, jakby serce miało jej zaraz pęknąć. - Wrócę niedługo. - Potem z ulgą wyszła. Niewiele brakowało, a poddałaby się i rozszłochała, ale zimne powietrze pomogło jej opanować łkanie. Odechnęła raz jeszcze głęboko i zeszła z ganku na śnieg.

- Dostarczę pani list - dobiegł ją z oddali jakiś głos. Lauren osłoniła dłonią oczy, potem pomachała do mężczyzny, który brnął przez zasy wokół jeziora. Dokonała wyboru na przyszłość. Jeżeli Edmund dostanie list, jej małżeństwo jest skończone. Na tę myśl gwałtownie wróciła do rzeczywistości. *O Boże, co ja najlepszego zrobiłam?*

- Proszę zaczekać! - zawołała, ale obcy jej nie usłyszał. Postąpiła krok do przodu.

- Lauren? - odezwał się tuż za nią głos Duncana.

- Co? - Lauren aż podskoczyła.

- Czy możemy już wracać?

- Tak. Chyba zaczyna mi być zimno. - Owinęła się szczelniej opończą i pełna wątpliwości ruszyła w stronę chaty. Duncan ociągał się jeszcze przez chwilę. Kiedy Lauren odwróciła się, zobaczyła, że przygląda się, jak nieznajomy znika za jeziorem.

- Przynajmniej wiemy teraz, na czym stoimy. - Adam odjął lunetkę od oka i przymrużył powieki w oślepiającym, odbitym od śniegu blasku. On, McDougall i Finnegan przycupnęli na pagórku, a w dole pełzła cienka brązowa linia wozów i koni, torując sobie drogę przez zasy.

- Domyślam się, że to Angus dostarcza towar mimo nieporozumienia. - Adam przesunął dłonią po szorstkim zaroście na policzkach. - Kieruje się nad granicę i pewnie całą drogę będzie musiał tak się w'ec. - Wstał i schował lunetkę do juków. - Musi to być ważna dostawa, skoro Angus osobiście się nią zajął.

- Pojedziemy za nimi aż do samej granicy? - zapytał McDougall, poprawiając się w siodle.

Adam odwrócił się do swoich ludzi. Obydwaj już tygodniami jechali za nim bez skargi, chociaż zamęczał i ich, i siebie, przekraczając granice ludzkiej wytrzymałości. Słowa jednego nie powiedzieli, a przecież pewien był, że wiedzą, jakie motywy kierują ich dowódcą.

- Nie. Myślę, że czas wracać do domu.

Mężczyźni wymienili pełne ulgi spojrzenia.

- Możemy ściągnąć posiłki z Fortu Saskatchewan, skoro zyskaliśmy pewność, po jakich szlakach się Angus porusza, i oskubać go ze wszystkiego.

- Jak pan myśli, inspektorze, zdążymy do domu na Święta?

McPhail dosiadł Jake'a i poprawił się w siodle; czuł w kościach każdą przejechaną przez dwa ostatnie miesiące milę.

- Powinniśmy zdążyć, jeżeli nie przyjdzie następna zamieć taka, jak w zeszłym tygodniu. - Nagła zawierucha przeleciała z furją przez prerię, zacierając punkty orientacyjne i zasypując jaskinię, w której się schronili, śniegiem głębokim na dwie stopy. Przez trzy dni skuleni przywierali do sie-

bie i czekali. Potem chinook stopił śnieg i ułaskawił ich. I przez cały ten czas zawieszony między życiem a śmiercią Adam myślał tylko o Lauren. Zacierały mu się w pamięci gorzkie słowa, które padły między nimi. Żadne z nich nie było winne śmierci dziecka, chociaż ból Lauren nie miał granic. Atakowała go, bo był przedłużeniem jej samej. Obwiniała go dlatego, że obwiniała siebie. Pora już wracać do domu i wszystko naprawić.

- Pojedziemy rano. - Adam ściągnął wodze i zawrócił konia.

- Nie ruszaj się, McPhaił - zawarczał jakiś głos, któremu towarzyszyło charakterystyczne szczęknięcie kurka rewolweru. Za plecami Adama powietrze rozedrgało się od gardłowego śmiechu. - Ślamazarny się coś zrobiłeś przez tę kobietę, McPhaił. Rok temu nie udałoby mi się podjechać do ciebie bliżej niż na pół mili.

Angus zdjął palec ze spustu i inspektor usłyszał, jak broń wsuwa się gładko do futerału. Błyskawicznie odwrócił się i spojrzał prosto w szeroko uśmiechniętą twarz przemytnika.

- Dwa razy już dałeś mi się zaskoczyć, panie Konny. Dwa razy. - Podniósł w górę dwa brudne, grube paluchy.

Inspektor daremnie szukał słów. W głowie miał kompletną pustkę. W jaki sposób Angusowi udało się do nich podkraść? Zerknął na zmartwionych posterunkowych. Nie zdołałby się podkraść, gdyby wszyscy trzej nie byli przemęczeni aż do szpiku kości. Poganiał swoich ludzi, aż przekroczyli granice wytrzymałości, i tym samym wystawił na ryzyko ich życie.

- Jakby mi tak przyszła ochota cię zabić, panie Konny, to bym cię zabił. - Angus podkręcił koniuszki brody. - Ale mi nie przyszła. A w każdym razie jeszcze nie w tej chwili. - Powoli obchodził ich w koło, zatknąwszy ręce za pas spodni. - Najpierw chciałbym naszemu inspektorowi dać prezent. - Wetknął rękę do kieszeni i wyciągnął damską koszulę, która w jego łapie wydawała się delikatna jak mgiełka. Adam natychmiast rozpoznał koszulę Lauren.

- Ty sukinsynu... - Zeskoczył z konia, ale McDougall wy-

lądownął lekko u jego boku i przytrzymał za rękę, którą inspektor już sięgał po broń.

- Spokojnie, inspektorze. Wysłuchajmy najpierw, co ten człowiek ma do powiedzenia - wyszeptał.

Angus zawiesił sobie koszulę na kciukach i podniósł ją do góry.

- Wyobraźcie sobie tylko, ile miałem kłopotów, żeby ją zdobyć. - Uśmiechnął się szeroko.

McPhail przemógł się, opanował wyraz twarzy i zmusił serce, by przestało tłuc się w piersiach, a mózg, żeby zaczął myśleć.

- Gdybyś to zdjął z mojej żony, Angus, miałbyś na sobie niejedną szramę i bliznę.

McDougall zachichotał i Angus zerknął w jego stronę. Adam zauważył u olbrzyma pierwsze oznaki niepewności.

- O ile dobrze pamiętam, nie była w stanie protestować.

Inspektor kątem oka zobaczył, że Finnegan wyciąga rewolwer.

- Finnegan. Nie.

Finnegan rzucił okiem na Angusa, potem na Adama i schował broń do futerału.

Adam zmarszczył brwi.

- Czego chcesz?

Angus znowu się uśmiechnął.

- Nie chodzi tak bardzo o to, czego chcę. Raczej o to, czego nie chcę, a nie chcę, żebyś mi deptał po piętach. Przeszkadza mi to w interesach, rozumiesz, panie Konny. - Upuścił koszulę na ziemię. - Twoja pani jest bezpieczna, chwilowo, a przynajmniej była, kiedy widziałem ją ostatni raz, ale gwizdnąłem to z waszego domu tak, że nikt się nie zorientował, i mogę swój wyczyn powtórzyć.

- A więc chciałbyś, żebym cię zostawił w spokoju, kiedy całymimi skrzyniami będziesz wywoził whiskey z mojego terytorium.

- Mniej więcej do tego się wszystko sprowadza.

- A jak nie?

- A jak nie, to następnym razem, kiedy ci coś takiego przywiozę - tu Angus obcasem wbił koszulę w śnieg - w środku będzie twoja żona.

19

- Co się stało z moją koszulą? - mamrotała Lauren, wpatrując się w sznur z praniem. - Wczoraj własnoręcznie ją tu wieszałam. - Podeszła ostrożnie do rozciągniętego między domem a skarłowaciałym czarnym świerkiem sznura. Zniknęły nawet klamerki do bielizny. Rzuciła okiem dookoła, potem przykucnęła i przyjrzała się śladom kopyt, które wymieściły śnieg na brązowawą maź.

Z zaniepokojenia zjeżyły jej się drobne włoski na karku. Powoli się wyprostowała i przeszukała wzrokiem skraj lasu, przypominając sobie dzień, kiedy Czarny Angus pojawił się u nich poprzednim razem. Zaczęła wycofywać się w kierunku domu, nie przestając obserwować linii drzew i zastanawiając się, czy przemytnik nie siedzi w tej chwili na koniu, ukryty w bezlistnym lesie, nie przygląda się i nie czeka.

Poczuła pod palcami metalową klamkę, chwyciła ją, pchnęła drzwi i zatrasnęła je za sobą. Ogarnęła ją taka ulga, że głęboko odetchnęła.

- Duncan! - Z koszar nikt nie odpowiedział. - Duncan?
Nic.

Gdzie on mógł się podziać? Był w domu, kiedy wychodziła po pranie. W piecu coś trzaskało i stukało, a ona wzdrygała się za każdym takim odgłosem. Okna wydawały jej się nadmiernie szerokie, miała wrażenie, że ze wszystkich stron wpatrują się w nią czyjeś oczy. Przyłgnęła plecami do ściany i, wciąż obserwując boczne podwórko, przesuwiała się w stronę sypialni. Zapasowa strzelba Adama leżała pod łóżkiem, tam gdzie ją zostawił. Lauren dotarła do wiszącej zasłony. Jeżeli za nią wejdzie, nie będzie nic widziała, ale jeżeli tego nie zrobi, nie dostanie się do strzelby.

Rzuciła ostatnie spojrzenie na zewnątrz, dała nura pod zasłonę i chwyciła za broń. Niezręcznie gmerała przy pokrowcu z jeleniej skóry, aż wreszcie strzelba wysunęła się i z trzaskiem spadła na podłogę.

- Coś się stało? - Duncan wszedł cicho, bez pukania, szelki zwisały mu na spodniach.

- T... tak - wyjąkała Lauren. - Tam, na podwórku... Ktoś był przy sznurze do bielizny. - Pokazała na tyły domu. - W nocy albo dziś rano.

Duncan ściągnął brwi.

- Proszę się stąd nie ruszać i odłożyć tę broń. - Zniknął jej z oczu, potem pojawił się znowu z rewolwerem w dłoni. - Pójdę sprawdzić - oznajmił; podciągane szelki strzeliły o ramiona. - Tylko nie zabij mnie, proszę. - Wyjrzał za drzwi, potem się przez nie prześlizgnął. Lauren zatrzasnęła je za nim, zasunęła zasuwę i podeszła do okna. Duncana nigdzie nie było widać. Nasłuchiwała, czy dojdzie do niej chrzęst jego butów, ale słyszała tylko delikatne westchnienia wiatru, który pieścił naroża domu. Minuty wlokły się jak godziny, z każdą sekundą nerwy miała coraz bardziej napięte.

I nagle cisza się skończyła. Przez grube ściany chaty dotarł do niej ostry krzyk, potem pośpieszna wymiana słów. Podkradła się do innego okna i wyjrzała na zewnątrz. Tutaj śnieg był gładki, Lauren nie widziała na nim żadnych śladów. Ciche głosy słychać było raz lepiej, raz gorzej, nie potrafiła ich rozpoznać. Zebrała się na odwagę, pchnęła drzwi wejściowe i wyszła na ganek ze strzelbą zaciśniętą w garści.

Duncan stał na podwórku i spoglądał w górę na dosiadającego gniadosza mężczyznę. Po obu jego stronach stało jeszcze dwóch jeźdźców.

- Adam. - Lauren osłabła z ulgi.

Adam odwrócił się od Duncana, z którym rozmawiał. Oczy miał przekrwione i zamglone, twarz ocieniała mu postrzępiona broda. Jego nieskazitelna kiedyś kurtka była teraz podarta i poplamiona.

Lauren oparła strzelbę o ścianę; miała ochotę rzucić się

mężowi w ramiona, ale w jego oczach nie dostrzegła serdeczności. Nie pamiętała już dokładnie ich ostatniej rozmowy, słowa roztopiły się w bólu, który nie pozwalał jasno myśleć. W pamięci utrzymało jej się tylko jedno: pełne udręki oczy męża, który odwraca się od niej i odjeżdża.

- Jak tam z tobą? - Głos miał obojętny, bezdźwięczny, jakby mówił do przygodnego znajomego.

- Wszystko w porządku - skłamała, starając się mówić równie obojętnie jak on. Mąż wpatrywał się w nią przez chwilę, potem wrócił do rozmowy z Duncanem. Lauren nastawiała uszu, by usłyszeć, o czym mówią, ale nie chwyciła słów. Przeniósła spojrzenie na Jake'a, spienionego i wyczerpanego; z nozdrzy wałacha buchały wielkie kłęby pary. Adam musiał poganiać go, by tu dojechać. Zsiadł i oddał wodze Jake'a McDougallowi. Poruszał się ze znużeniem i, brnąc przez śnieg, powłóczył nogami. Lauren sądziła, że podejdzie do niej, tysiące myśli kłębiło jej się w głowie, przypominały się słowa, które przez ostatnie miesiące po tysiącokrotnie obracała w umyśle. Ale mąż skręcił i skierował się do wejścia do koszar.

Cała ta dzika kraina zaczęła teraz szydzić z Lauren. Młoda kobieta słyszała jej śmiech w poświście gałęzi, kłaniających się pod dyktando wiatru; słyszała go w cichym gdakaniu ukrytego w świerkowych gałęziach ptaka.

- Nie pokonasz mnie. Nie pokonasz - powiedziała do nieba. - Nie zabierzesz mi go znowu. Nie pozwolę.

- Zachowuje się tak już od kilku tygodni. - Duncan pokazał głową na widoczną za oknem Lauren; przy jej ustach widać było mgiełkę; musiała coś głośno mówić. - Gada do siebie, jest nerwowa i roztrzęsiona. A dziś rano - puścił uniesioną zasłonę z grubego płótna - znalazła pod sznurem do bielizny ślady.

- Ślady? - zapytał Adam, rozcierając dłonie przed beczukowatym piecem w koszarach.

- Ślady podkutego konia. Nie starsze niż jeden dzień.

McPhail rozpiął kurtkę i zdjął ją z siebie.

- Dlaczego akurat przy sznurze na bieliznę?

- To rzeczywiście jest dziwne. - Duncan zacisnął cybuch fajki w zębach i pomieszał bulgoczący w kociołku gulasz. - Powiedziała, że jej koszula zginęła - dodał niewyraźnie, bo w ustach wciąż trzymał fajkę.

Adam poczuł, że krew odpływa mu z twarzy.

- To coś dla ciebie znaczy? - zapytał McLeod.

Jego przyjaciel założył ręce na plecy, podszedł do okna i uniósł firankę. Lauren zniknęła z ganku, ciche odgłosy zza ściany zdradzały, że jest w ich chacie. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął koszulę Lauren, brudną i podartą.

- Dostałem to od Angusa - wyszeptał.

Oczy Duncana się rozszerzyły.

- Był tutaj?

- Albo on, albo któryś z jego ludzi.

- Święta Maryjo i Jezusie najśłodszy. A ty czegoś wdawał się z kimś takim w pogawędkę, zamiast związać go jak baleron?

- Zaskoczył mnie w niekorzystnej sytuacji. - Adam wsunął bieliznę z powrotem do kieszeni.

- Czego chciał ten łajdak?

- Pewnie sam możesz się z grubsza domyślić. Chce, żebym nie patrzył mu na ręce, a w zamian on będzie się trzymał z dala od Lauren.

- Czy ty, czy ja jedziemy do Fortu Saskatchewan po posiłki?

McPhail zapatrzył się na jezioro. Słońce odbijało się od lśniącej powierzchni srebrzystymi promieniami. Adam poczuł się nagle bardzo zmęczony i stary.

- Poślij Williama i Finnegana pojutrze. Napiszę roboczą wersję listu. A teraz czas już - Adam puścił firankę i wziął kurtkę - żebym wracał do domu.

Lauren otworzyła drzwiczki od pieca. Buchnęła z nich fala gorąca, aż zatrzepotały drobniutkie włoski wokół jej twarzy. Zapachniało rozgrzaną ścierką, kiedy wyciągała blachę z bułeczkami i stawiała ją na stole. Zerknęła przez ramię w stronę drzwi, zatrzasnęła piec i wyprostowała się. Adam wrócił już ponad godzinę temu i jeszcze nie zaszedł do do-

mu. Z poczuciem winy wróciła myślami do liściku, który wcisnęła nieznajomemu w rękę.

- Pewnie go w życiu nie dostarczy. Zgubi go gdzieś, zanim przejdzie pół drogi - wymamrotała, przyglądając włosy.

- Kto czego nie dostarczy? - Adam stanął w drzwiach, do środka dmuchnęło zimnym powietrzem. Wyglądał wspaniale. Pomimo tej postrzępionej brody. Pomimo obdartego ubrania.

- Nic. Mówiłam do siebie. - Lauren zrobiła krok w jego stronę, potem się zatrzymała. Próbowała zrozumieć, co widzi w oczach męża. Serdeczność? Przebaczenie? Tęsknotę?

McPhail powoli wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. Zsunął z rąk rękawice, zdjął zmaltretowanego stetsona i starannie odłożył jedno i drugie na miejsce. Przez cały ten czas Lauren zastanawiała się, co by tu powiedzieć, jakimi słowami dałoby się złagodzić to okropne skrępowanie. Zanim w końcu sformułowała pytanie, Adam zdążył już zdjąć z siebie kurtkę.

- Jak tam twoja podróż? - Aż się wzdrygnęła, słysząc, co powiedziała, bo zabrzmiało to jak echo spotkania sprzed niecałego roku, kiedy czuli się równie skrępowani.

Zbieżność ta nie umknęła również Adamowi.

- Wydaje mi się, że pamiętam, jak stwierdziłaś, że nie są to odpowiednie słowa po długiej rozłące. - Uśmiechnął się, a Lauren zobaczyła, że jej mąż twarz ma wokół oczu i ust pobrużdżoną ze zmęczenia i że cienie, które widziała, kiedy odjeżdżał, jeszcze pociemniały.

- Sama nie wiem, co ci powiedzieć. - Splotła palce, prze mogła się i spojrzała mu w oczy.

- Nie trzeba niczego mówić. - Zareagował energicznie i otwarcie, a równocześnie chłodno i uprzejmie.

- Zatarła mi się w pamięci większość z tego, co mówiłam, ale dobrze pamiętam, że cię zraniłam. Przepraszam cię. - Lauren wpatrywała się w twarz męża, usiłując odczytać, jak zareagował na jej słowa, ale dobrze nauczył się nie pokazywać po sobie uczuć.

Adam podszedł o krok bliżej. Lauren ciarki przeszły po ręk-

kach. Marzyła już o tym, żeby przytulić się do niego policzkiem i posłuchać pocieszającego rytmu serca. Ale mąż przeszedł obok i powiesił kurtkę na gwoździu. Potem zawrócił i stanął przed nią. Koszulę miał podartą i ubłoconą. Na ramieniu splamiła ją kropelka krwi. Chciała go zapytać, czy mu się coś nie stało, ale spojrzenie miał tak twarde, że się nie ośmieliła.

- Przykro mi, że padły między nami tak szorstkie słowa. - Mówił tonem spokojnym, wypranym z emocji.

- Mnie również.

Inspektor pełnym znużenia gestem wyszarpnął koszulę spod paska i zsunął szelki z ramion.

- Oboje nas to przeżycie dotknęło do żywego i wzajemne ataki wydawały się rzeczą naturalną.

Kiedy pomstowała na Adama, obwiniając go o śmierć dziecka, ziściły się wszystkie jego najgorsze obawy, o których tylekroć żonie mówił.

- Nie miałam racji, obwiniając cię. - Podeszła, pragnąc go objąć; ale wyczuła w nim jakąś obcość, która nie pozwalała jej bardziej się zbliżyć. - Nikt tu nie ponosi winy, poza może tą wieczyście dziką krainą.

Adam spuścił wzrok na buty. Włosy miał pozlepiane błotem, które spryskało mu również twarz.

- Może zagrzać ci wody, żebyś się mógł wykapać?

Jej mąż z jękiem opuścił się na krzesło i ściągnął but.

- To byłoby miłe z twojej strony. - Drugi but stuknął o podłogę.

Lauren odwróciła się do stojącego na blacie wiadra. Okazało się niemal puste. Podniosła je, ale Adam położył rękę na jej dłoni.

- Ja przyniosę - powiedział i stanowczo zbyt szybko zabrał rękę. Metodycznie naciągnął jeden but, potem drugi i ciężkim krokiem wyszedł na zewnątrz.

Lauren przyglądała się, jak jej mąż w samej koszuli brnie przez śnieg, jak pochyła się na skraju jeziora i napełnia wiadro. Kiedy wracał, poruszał się niepewnie i chwiejnie.

Nalał wody do garnka na piecu, potem usiadł. Lauren

zdjęła kurtkę z gwoźdźca, żeby ją wyszczotkować, i dopiero wtedy zauważyła brak złotych oznak. Uświadomiła sobie, że od tamtego dnia ich nie widziała. Czy Adam pozbiierał je z podłogi? A może zostały wymiecione razem ze śmieciami i błotem i zginęły?

Jej mąż podniósł się i zdjął z siebie koszulę i spodnie. Stał przed nią w brudnych jegierach i wyglądał, jakby poniósł porażkę.

- Zawołasz mnie, jak woda się zagrzeje? - Przez chwilę patrzył jej w oczy, potem zniknął za wiszącą zasłoną. Usłyszała, jak materac jęknął pod jego ciężarem. Potem z sypialni dobiegał już tylko miarowy i spokojny oddech Adama.

Lauren zdjęła szczotkę z gwoźdźca przy drzwiach i przesunęła nią po szkarłatnej serży, z trudem powstrzymując kichnięcie, bo w nosie zakręciło ją od chmury kurzu, która się podniosła z materiału. Szczotkując, zwróciła uwagę, że w miejscach, gdzie brakowało oznak, materiał był bardziej jaskrawy. Zastanowiło ją, od ilu lat Adam nosi tę samą kurtkę.

Muskała palcami wytarte fragmenty materiału. Tę dziurę zaczerowała po tym, jak go postrzelili. A tu rozdarł kurtkę, kiedy zeszej wiosny niósł ją na rękach przez tę okropną śnieżycę. Odwróciła kurtkę na lewą stronę i przyłożyła ją do nosa. Choć z zewnątrz była bardzo brudna, w środku pachniała Adamem, dymem drzewnym i igliwem, i czymś jeszcze, co było charakterystyczne tylko dla niego. Przymknęła oczy, przywołując wspomnienia: czuła ten zapach, kiedy się kochali.

Wspomnień było tak wiele. Pogładziła się satynową podszewką po policzku. Jak głęboka jest dzieląca ich przepaść? Czy kiedykolwiek będzie jeszcze wdychała ten zapach, tuląc się do łomoczącego serca męża?

Kurtka opadła na kolana Lauren. Obiecał, że z wiosną zabierze ją do domu. Czy powinna przypomnieć mu o tej obietnicy? Czy ma prawo rozdzielać tego mężczyznę i tę krainę?

Pokrywka na garnku brzęknęła i Lauren zerwała się z krzesła.

- Ja go wezmę - odezwał się za nią głos Adama. Mąż sięgnął jej przez ramię, chwycił przez ściereczkę garnek za ucho

i zdjął go z pieca. Potem na bosaka podszedł do drzwi, otworzył je i wciągnął do środka balię. Opróżnił do niej wiadro, do pustego nabrał pełno śniegu ze stopni przed domem i wsypał go do parującej wody.

- Poczeszycam te rozdarcia. - Lauren odwróciła się, kiedy zsuwał bieliznę. Poczwała się nagle onieśmiewona i zażenowana widokiem nagiego ciała męża. Usłyszała plusk wody, kiedy opuszczwał się do balii, potem nastąpiła cisza. Siedział z głową opartą o skraj balii, oczy miał przymknięte. Wokół niego podnosiły się smużki pary.

- Co za miłe uczucie - powiedział gardłowym, zmęczonym szeptem.

Lauren wyszła cichutko do sypialni i po omacku grzebała pod łóżkiem w poszukiwaniu koszyeczka z szyciem. Przysiadła na skraju materaca i dokładniej przyjrzała się kurtce. Przypomniały jej się inne, swawolne chwile i zatęskniła za nimi. Zdarzyło się, że nago gonił za nią po chacie, a ona krzyzczała, że przecież Finnegan albo któryś z posterunkowych może w każdej chwili wejść do środka. A teraz przez cały czas milczał, od czasu do czasu słyszczać było tylko plusk wody.

- Będzie ci potrzebny drugi komplet bielizny? - zawołała z za zasłony.

- Już sobie przyniosłem.

- O. - Usiadła na łóżku i nawlokła igłę ostatnim kawałeczkiem szkarłatnej nitki. Będzie musiała pamiętać, żeby sprawdzić, czy Erik ma jej więcej. - Może chciałbyś coś zjeść? - Nitka z cichym poświstem przechodziła przez materiał, schludnie zamykając najpierw jedno rozdarcie, potem drugie.

- Jadłem wcześniej.

Lauren odgryzła nitkę i podniosła kurtkę do góry. Kurtka była bardzo zniszczona i poplamiona, ale chwilowo musi mu wystarczyć. Opuściła ręce na podolek i czekała, aż Adam coś do niej powie, ale on milczał. Wyjrzała z za zasłony. Woda nie poruszała się, a jej mąż spał. Chociaż deski skrzypiały, Lauren na paluszkach obeszcza rozlane po podłodze kałuże i dołożyła do ognia. Potem zbliżyła się do balii

i zanurzyła palec w wodzie. Była wciąż ciepła, ale już stygła.

- Adam. - Położyła mężowi dłoń na ramieniu.

Adam wzdygnął się, zamrugał i potem skupił na niej mętne spojrzenie.

- Co jest?

- Woda ci stygnie.

- Och. - Spuścił wzrok, przez chwilę wydawał się zdezorientowany. - Wyjdę już.

Lauren sięgnęła po ręcznik, ale dłoń Adama zamknęła się na nim pierwsza.

- Przepraszam. - Cofnęła rękę.

Wstał bez skrępowania i zaczął się wycierać, a Lauren cał po calu oglądała jego szczupłe ciało. Zrobił się jeszcze chudszy, jeszcze bardziej żylasty. Na ramieniu, w miejscu gdzie na koszuli zauważyła krew, pojawiły się dwie nowe blizny. Podniosła wzrok. Ich oczy spotkały się, ale Adam odwrócił zaraz spojrzenie. Z cichym jękiem pochylił się, podniósł komplet czystej bielizny, który zostawił w domu, i nałożył go. Lauren przypomniała się pierwsza noc, jaką spędzili razem; gdyby tylko przytuliła się do jego piersi, znowu poczułaby, jak mięciutki jest ten materiał.

- Pocerowałam ci kurtkę. - Podniosła ją do góry. - Ale prawie mi się już nitka skończyła.

Adam wziął ręcznik i rzucił go na oparcie krzesła.

- Jeszcze trochę i nie będzie ci już brakowało żadnych nici.

Lauren podniosła oczy, słysząc obcy ton w głosie męża.

- Co przez to rozumiesz?

McPhail oparł się o ścianę i skrzyżował ręce na piersiach.

- Jak tylko zamknę Angusa, rezygnuję ze służby.

Na jego słowa poczuła wielką radość, ale jeszcze silniejszy był żal. Kurtka z serży zaciążyła jej nagle na kolanach.

- Czy jesteś pewien, że chcesz to zrobić?

Adam odepchnął się od ściany i na bosaka podszedł do żony. Jego surowa twarz złagodniała. Kiedy stanął tuż przed Lauren, odchyliła głowę do tyłu, by na niego popatrzeć.

- Złożyłem ci obietnicę.

Jakaś cząstka Lauren pragnęła go z obietnicy zwolnić, ale inna cząstka rozpaczliwie pragnęła opuścić tę krainę,

- Nie będę wymagała, byś dotrzymał przyrzeczenia. - Miała wrażenie, że słowa sypią się z jej ust niczym suchy piasek.

- Ale dotrzymam. - Objął twarz żony i przyciągnął tak blisko, że niemal dotykali się wargami. - Na całym świecie nie ma dla mnie niczego ważniejszego niż ty. Wcześniej miałem w sobie coś, czego nie potrafiłem przełamać. Teraz już potrafię.

Próbował rozproszyć wątpliwości żony, ale Lauren wiedziała, że jego najgłębsze uczucia dla tego kraju i tej pracy nie zmieniły się. Robił to dla niej, oddawał swoje życie za jej życie.

- Czy nie mógłbyś pracować w kwaterze głównej w Reginie?

- Północno-Zachodnie Terytoria rozszerzają się, Lauren. To tutaj potrzeba ludzi. Nie miałbym żadnej gwarancji, że zostanę w Reginie. Nie podejmę takiego ryzyka.

Lauren zajrzała głęboko w wyraziste oczy męża, usiłując z nich jakoś odczytać, czy mówi uczciwie, czy szczerze pragnie tak postąpić, ale jego spojrzenie było pełne rezerwy i nie zdradzało żadnych sekretów.

Adam przyglądał się, jak Lauren boryka się z jego wyznaniem, jak na jej twarzy ukazuje się najpierw radość, a zaraz potem zmieszanie i wątpliwość. Kiedy tak badawczo się w niego wpatrywała, poczuł, że porywa go potężna fala miłości i przenosi ponad murem szorstkich słów, które ich dzieliły. Pochylił się jeszcze trochę, dotknął warg żony, posmakował je. Od dawna już powściągana namiętność zalała go z taką mocą, że dreszcz mu przeszedł po plecach, Lauren uwodzicielsko splotła ramiona na jego karku i wplątała palce we włosy. Głęboko wciągnęła powietrze, potem wypuściła je powoli, leniwie. Adamowi aż w głowie się zakręciło, tak gwałtownie podniecił go jej ciepły oddech.

Zaniósł żonę do łóżka i razem z nią opadł na materac. Kiedy się na niej kładł, porozpinała mu wszystkie guziki. Jedwabiste palce gładziły go po ramionach i rękach, zsuwając koszulę aż do pasa.

Nagle coś huknęło. Ciszę przerwała strzelanina. Adam stoczył się z łóżka, wyrывая po drodze broń z wiszącego na krześle futerału.

- Padnij, Lauren! - Sam też rozpląszczył się na podłodze, podpełzł do drzwi i otworzył je gwałtownie. Kule odłupały kawałek drewna tuż przy jego głowie i unieruchomiły go tak, że nie mógł zobaczyć, kto strzela. Palba urwała się równie nagle, jak się zaczęła. McPhail przesunął się na skraj ganku i wyjrzał; zobaczył Finnegan. Mikę stał spokojnie na podwórku i mierzył w jeźdźca, który właśnie z łomotem i trzaskiem zniknął w gęstym lesie. Zza stosu drewna wychynęli McDougall i Duncan.

- Co się dzieje? - krzyknął McPhail.

- Jakiś koleś Angusa złożył nam wizytę. - Finnegan schował wciąż jeszcze dymiący rewolwer do futerału.

Adam podniósł się i wyszedł na podwórko.

- Czy coś się komuś stało?

- Nie. McDougall widział, jak ten sukinsyn bezczelnie i z całym tupetem podjeżdża i celuje w waszą chatę. Chłopak kapał się właśnie w cebrzyku, ale zdążył wyleźć. - Finnegan prychnął śmiechem, a McDougall się zaczerwienił. - Pierwszy strzał oddał nago, jak go Pan Bóg stworzył.

- Chce pan, żebyśmy za nim pojechali? - zapytał William.

Adam, przymrużywszy oczy, popatrzył na skraj lasu i potrząsnął głową.

- Nie, dawno ich już nie ma. Jeżeli planowali, by nas wyciągnąć z posterunku i rozdzielić, to nie pójdę im na rękę. Wracajmy do środka. Nie ma żadnej gwarancji, że Angus już z nami skończył.

- To prawda, ale wydaje mi się, że próbuje nam coś wyjaśnić.

- Na swój sposób przekazuje nam, żebyśmy się wynieśli?

- Coś w tym rodzaju.

- No cóż, ja się nie wyniosę. A przynajmniej nie wcześniej, niż go dostanę.

Finnegan, który właśnie przechodził przez podwórze, zwolnił i odwrócił się, by spojrzeć na Adama.

- Co powiadasz?

- Przynależem Lauren, że jak tylko zamknę Angusa, to przestanę pracować w policji.

Mikę zmarszczył brwi.

- Jesteś tego pewien?

Adam zapatrzył się na jezioro, potem przeniósł wzrok na szmaragdowe zimozielone lasy.

- Chociaż służba tak wiele dla mnie znaczy, podobnie jak ten kraj, ona jest ważniejsza, a życie tutaj jest dla niej za ciężkie.

- Co ze sobą zrobisz?

- Nie wiem. Jestem pewien, że coś się dla mnie w Reginie znajdzie.

- Może zaczniesz sprzedawać w sklepie. Czy potrafisz sobie wyobrazić, jak stoisz za ladą i obsługujesz niecierpliwą kobietę, kupującą towary łokciowe?

Jego przyjaciel się uśmiechnął.

- Nie, nie mogę powiedzieć, żebym to sobie potrafił wyobrazić, niemniej jednak obietnica to obietnica.

- A co mówi na ten temat Lauren?

Adam utkwiał wzrok w oknie chaty. Wiedział, że Lauren niespokojnie im się przygląda.

- Jeszcze nie wiem.

Lauren przyglądała się ruchom warg obu mężczyzn i starała się zrozumieć, co mówią. Ale nawet słowa odczytać nie mogła, bo obydwaj byli wąsaci. Splotła palce i siłą woli zmusiła dłonie, by przestały się trząść. Znowu przez ułamek sekundy myślała, że straciła Adama. Przyglądała się, jak bada wzrokiem brzeg jeziora i drzewa, i wiedziała, że chociaż sprawdza, czy coś im nie grozi, uroda okolicy nie uchodzi przy tym jego uwagi. Powiedział, że złoży rezygnację, ale kim się wtedy stanie? Co będzie robił? Ruszył w jej kierunku długimi krokami, wspiął się na ganek i już wszedł do domu.

- Co to było? - zapytała Lauren, kiedy chował broń do futerału.

- Angus przesyła pozdrowienia. - Podszedł i połaskotał ją wargami w kark. - Na czym to skończyliśmy?

Lauren położyła mężowi palce na ustach, by go powstrzymać.

- Musimy o tym porozmawiać.

- O czym? - Zdjął sobie ręką Lauren z ust i zaczął ją całować.

- O twojej rezygnacji z Policji Konnej.

Adam westchnął i puścił żonę.

- O czym tu rozmawiać.

- Adam. - Już miał się od niej odwrócić, ale chwyciła go za rękę. - Nie możesz tak po prostu wejść do domu i oznajmić, że składasz rezygnację.

Jej mąż poczłapał na bosaka do okna i zapatrzył się przed siebie. Na zewnątrz znowu zaczął padać śnieg.

- Kiedy cię tu przywoziłem, wiedziałem, że życie będzie ciężkie, a niekiedy wręcz niemożliwe. Zdawałem sobie sprawę, że nie jesteś do tego przygotowana, ale miałem nadzieję, że się zaadaptujesz - powiedział przez ramię. - Ale kiedy straciliśmy dziecko, zrozumiałem, że śmierci synka nie przebacysz nigdy ani mnie, ani tej dzikiej krainie. Nie mogę prosić, byś zniosła coś więcej.

We wnętrzu Lauren podniósł się krzyk protestu, ale zdusiła go, zaciskając zęby, by nie powiedzieć „nie”. Pojadą do domu, do domu do Reginy, do komfortu, jaki oferuje współczesne życie. Zostawiają za sobą smutki i problemy życia, w którym tylu rzeczy brakuje. Może on się zaadaptuje, przekonywał cichy głosik; może znajdzie sobie coś, co go będzie cieszyło. Na zawsze zostanie konnym policjantem, nigdy z niego nie zrobisz niczego innego, wtrącił inny głos. Lauren stłumiła ten drugi głosik, zatykając mu w wyobraźni usta dłonią.

- Co będziesz robił?

- Nie wiem. - Odwrócił się od okna. - Coś sobie znajdę. A teraz chodź tutaj. - Oczy mu pociemniały, wyciągnął do żony rękę. Przytulił ją, a ona przywarła policzkiem do jego piersi. Równomierne dudnienie mężowskiego serca zdawało się szydzić z Lauren, besztać za zdradliwe myśli. Adam wziął żonę na ręce i zaniósł za zasłonę, a kiedy opadła za nimi, wszystkie myśli o liście do Edmunda zbladły jak zostawiony zbyt długo na słońcu atrament.

Po błotnistym podwórku jak okiem sięgnąć kłębili się odziani w szkarłat mężczyźni. Podzwanianie upręży zagłuszało wszystkie inne odgłosy. Przed kilkoma tygodniami McPhail posłał McDougalla do Fortu Saskatchewan po posiłki, które wczoraj właśnie dotarły na miejsce. Zamierzał ruszyć w pościg za Angusem, angażując w to wszystkie dostępne mu siły. Lauren skrzyżowała ręce na piersiach i przyglądała się, jak z twarzą poważną i napiętą przechadza się między ludźmi.

Ciała ich zespoliły się, ale o duszach nie było można tego powiedzieć. Adam obstawał przy swojej obietnicy, że zabierze żonę do domu, a Lauren nie mogła pozwolić, by wszystko, czym jest, poświęcić dla niej.

- Na koń! - zagrzmiął na całe podwórko McPhail. Skórzane siodła zaskrzypiały unisono, kiedy policjanci dosiadali wierzchowców. Adam odwrócił się w stronę domu.

Wprowadził Lauren do środka i zamknął za nimi drzwi. Oddział czekał na zewnątrz, a on uśmiechał się do żony.

- Uważaj na siebie.

- Dobrze. I ty też.

Położył jej dłonie na ramionach.

- Wiedz, że cię kocham. Stało się bardzo wiele, ale moje uczucie się nie zmieniło.

- Wiem. - Lauren z trudem wykrztusiła to słowo, tak ją ścisnęło w gardle.

- William zostanie tutaj. Nie wahaj się prosić go o wszystko, co ci będzie potrzebne.

- Dobrze.

Czas się na moment zatrzymał, pulsując nagłośnią chwili.

Lauren przymknęła oczy. Mąż musnął jej wargi pocałunkiem.

- Do widzenia.

Kiedy uniosła ponownie powieki, był już w pół drogi do drzwi. Ludzie wyjeżdżali z podwórka i Adam dosiadał Jake'a w biegu. Kłusując na czoło oddziału, odwrócił się i pomachał.

- Czy trzeba coś jeszcze zrobić, pani McPhail? - zapytał William.

Lauren przełknęła.

- Nie, dziękuję.

- Powiniennem ponaprawiać uprząż, będę więc w koszarach, gdyby mnie pani potrzebowała. - Odszedł, a Lauren ogarnęło poczucie samotności. Odwróciła się i już miała wejść do domu, kiedy usłyszała, jak ktoś z daleka woła ją po imieniu. Przystanęła, myśląc, że to Adam zawrócił. Ale głos dochodził zza jeziora, a jej mąż oddalił się w przeciwnym kierunku. Uznała, że to pewnie wiatr, ale przystanęła w progu, kiedy do jej uszu znowu dobiegło to ciche, niemal zagłuszone poszumem wiatru wołanie.

Wyszła na skraj ganku i ocieniła oczy dłonią. Daleko, na drugim brzegu jeziora, zobaczyła maleńką postać na koniu; postać prowadziła objuczonego pakunkami luzaka.

- Hej - zawołał znowu ten sam głos.

- Edmund? - wymamrotała Lauren. - Edmund!

- Lauren! Hej!

- O mój Boże, to Edmund. - Zapomniała już o liście i udało jej się wmówić sobie, że traper na pewno gdzieś go zgubił. Wspomnienia tamtych koszmarnych dni zatarły się w pamięci, poczuła się teraz wstrząśnięta, że Edmund rzeczywiście przyjechał. Co ma mu powiedzieć? Jak zdoła wytłumaczyć swoją natarczywą prośbę?

Postać jeźdźca rosła Lauren w oczach, aż wreszcie widać już było, że ma na sobie pomięte, ale modnie skrojone ubranie. Czy samotnie przejechał taki szmat drogi? Weszła pośpiesznie do domu i przed pękniętym lustrem przygładziła włosy i poprawiła suknię pod szyją. W lustrze odbiła się zapasowa kurt-

ka Adama, powieszona prosto i porządnie na gwoździu, spodnie, które rzucił na łóżko, oraz zmięta po ostatniej nocy pościel: drobne, intymne pamiątki wspólnego życia.

Przygniotło ją takie poczucie winy, że z trudem wlokła nogi po podłodze. Uładziła w pokoju, pościeliła łóżko, potem usiadła na krześle, by pozbierać myśli. Głos wiatru zmienił się z wycia w skomlenie, które działało jej na nerwy, kiedy czekała, aż na podwórku rozlegnie się stukot kopyt.

Mijała minuta za minutą. Lauren miała ogromną ochotę podejść do okna i wyjrzeć na zewnątrz, ale walczyła ze sobą. Obracała w głowie różne wyjaśnienia. Jakim cudem zdołała się wytłumaczyć przed Edmundem z tak impulsywnego i samolubnego postępuku?

2 zamyślenia wyrwało ją stukanie. Zaczepnęła powietrza, podeszła do drzwi i otworzyła. Na ganku stał Edmund okryty bawolim płaszczem, twarz ocieniał mu kapelusz z opadającym rondem, policzki pociemniały od kilkudniowego zarostu.

- Lauren. - Chwycił ją za ręce i delikatnie pocałował w policzek. - Przyjechałem najszybciej, jak mogłem.

- Edmund. Dobrze cię widzieć. Wejdz. - Cofnęła się, zapraszając go do środka. Edmund zdjął kapelusz i przygładził rudawe, sfalowane włosy.

- Chatka rustykalna w stylu, ale malownicza. - Położył kapelusz na stole i zdjął płaszcz. - Kupiłem to śmierzące okrycie od jakiegoś trapera w Edmonton. Twierdził, że mi się przyda, i miał rację.

- Sam przyjechałeś? - Lauren zamknęła drzwi i skrzyżowała ręce na piersiach.

- Gdzieś do połowy drogi miałem przewodnika; potem pewnej nocy po prostu zniknął. Przez resztę drogi zadawałem pytania i posługiwałem się kompasem. - Uśmiechnął się miękko do Lauren, a ją poczucie winy przeszło niczym wólcznia. - Bardzo ci tu było okropnie?

Lauren spuściła wzrok. Zabrakło jej sił, by spojrzeć Edmundowi w oczy.

- Edmundzie, muszę ci coś wyjaśnić. - Rozłożyła ręce

w goście bezradności. - Życie tu nie jest proste i obawiam się, że mogłam wprowadzić cię w błąd.

- Czy tak? - Edmund uniósł brwi. - Mam wrażenie, że usłyszę coś, co mi się nie spodoba, może więc najpierw napiłobyśmy się herbaty. - Sięgnął za pazuchę i wyjął puszkę Earl Greya, herbaty, którą Lauren najbardziej lubiła.

Kiedy nastawiała wodę, gawędzili przyjaźnie o domu i wspólnych przyjaciółach, starannie unikając tematu listu. W końcu usiedli naprzeciw siebie przy stole, obejmując dłońmi kubki z herbatą.

- No, nasycony herbatą i rozgrzany gotów jestem wysłuchać twojej spowiedzi. - Edmund odchylił się do tyłu i leniwie uśmiechnął.

Policzki Lauren okrył pulsujący żarem rumieniec.

- Nadużyłam poważnie naszej przyjaźni.

- No cóż, po to się właśnie ma przyjaciół.

- W tym przypadku tak nie jest. Widzisz... - Poprawiła się na krześle, żałując, że nie potrafi w jakiś sposób złagodzić tego, co ma do powiedzenia. - Na jakiś czas odsunęliśmy się z Adamem od siebie. Czułam się samotna i zrozpaczona i akurat wtedy trafiłam na trapera, który wracał na wschód. Przeczytałam twój list i...

- I pomyślałaś sobie, że nawet życie z poczciwym, starym Edmundem lepsze będzie niż to. - Szorstkie słowa przyjaciela zabolowały Lauren.

- Nie, wcale tak nie pomyślałam. Rozpaczliwie tęskniłam za domem i...

- Pomogę ci, moja droga. - Edmund pochylił się do przodu i oplótł palcami jej dłoń. - Rozumiem. Prawdę mówiąc, przypuszczałem nawet, że może to być coś takiego. Ale tak czy owak wybierałem się w odwiedziny, chociażby po to, by zyskać pewność, że ci się dobrze wiedzie.

Lauren wpatrzyła się w jego łagodne, zielone oczy. Pojąć nie mogła, czemu jakaś młoda kobieta nie podbiła jeszcze serca Edmunda. Ale równocześnie odpowiedź na to pytanie bolesnym rytmem pulsowała w głębi jej umysłu.

- Nie zasługuję na twoją przyjaźń.

W oczach Higginbothama pojawiła się czułość, uścisnął mocniej dłonie Lauren.

- Kiedyś proponowałem ci coś więcej niż przyjaźń.

- Nie zdawałam sobie sprawy z twoich uczuć. Czemu nie powiedziałeś nic, zanim wyjechałam?

Edmund westchnął, puścił jej ręce i wstał, by podejść do okna.

- Masz rację. Nie zdeklarowałem się wyraźnie, ale też ubieranie w słowa tego, co czuliśmy do siebie, nie wydawało mi się konieczne. - Oparł się łokciem o parapet i przesunął dłonią po zarośniętej brodzie. - Myślałem, że zamiast mnie przemawiać będą wspólnie spędzone chwile.

- Byłeś mi przyjacielem, kiedy najbardziej kogoś takiego potrzebowałam, ale...

- Ale Adama masz we krwi.

- Tak. Myślę, że można tak powiedzieć.

Edmund odszedł od okna i stanął przed nią.

- Cieszę się na spotkanie z inspektorem McPhailem, chwilowo nieobecny, który potrafi tak podbić młode, kobiece serce.

- Adama nie ma. Wyjechał na patrol.

Brwi Edmunda podjechały do góry.

- I zostawił cię samą?

- Nie. Został ze mną posterunkowy McDougall.

- Jak długo potrwa nieobecność twojego męża?

- Nie wiem. Może kilka dni. Ma do patrolowania wielkie terytorium.

Nagle Edmund przykucnął przed Lauren, splótł palce z jej palcami i pochylił się blisko. Oboje otoczył zapach jego ulubionej wody kolońskiej.

- Czy naprawdę jesteś szczęśliwa, Lauren? Czy twój mąż spełnił wszystkie twoje oczekiwania, okazał się miłością twojego życia? Powiedz mi, że jesteś całkiem szczęśliwa, a z radością powrócę do Reginy.

Lauren odwróciła spojrzenie od badawczego wzroku Edmunda. Obudziły się dręczące ją wątpliwości.

- Twój list nie był jedynym powodem, dla którego tu przyjechałem.

Na to podniosła wzrok.

- Gazeta w Reginie pełna jest opowieści o naszej ekspansji terytorialnej, pełna niesamowitych opowieści o handlarzach whiskey i straszliwych trudach życia.

- Wiedziałam, na co się decyduję.

- Ale nie wiedziałaś, że będzie aż tak ciężko, prawda?

Łzy zapiekły Lauren w oczach na zdradliwe myśli, które napłynęły jej do głowy.

- Rozmawiałem w Forcie Saskatchewan z komendantem Griesbachem, Lauren. - Palce Edmunda zacisnęły się mocniej. - Wiem o dziecku.

Ich spojrzenia spotkały się, Lauren zadrżała w wypełnione bezkresnym współczuciem oczy Edmunda. Z jej piersi wyrwało się łkanie.

- Dla każdej kobiety taka strata jest bolesna, ale w tych warunkach musiała to być makabra.

Lauren zakryła dłonią twarz, starając się z całych sił odzyskać panowanie nad emocjami. Przez chwilę marzyła, by w pocieszających objęciach Edmunda zapomnieć o wszystkim i złożyć swoje brzemień na jego szerokie ramiona, jak to robiła po śmierci ojca.

- Nie możesz powiedzieć, że jesteś całkiem szczęśliwa, prawda?

Pozory dzielności zaczynały się rozsypywać w proch.

- Czy możesz?

- Nie - wyrwało jej się w końcu, bo nie potrafiła się już dłużej bronić. - Nie, nie mogę.

Edmund objął dłonią jej głowę i przyciągnął do swego ramienia. Całym ciałem Lauren wstrząsało łkanie, kiedy wypłakiwała wszystkie swoje żale. Jakże żałowała, że nie potrafili płakać razem z Adamem. Jak żałowała, że nie potrafili się do siebie przytulić i pozwolić, by razem ze łzami wypłynęło z nich całe rozczarowanie i smutek. Ale Adam nie należał do ludzi, którzy w taki sposób ulegają emocjom.

Ktoś głośno odkaszlnął.

Lauren gwałtownie uniosła głowę z ramienia Edmunda i zobaczyła, że w otwartych drzwiach stoi McDougall.

- Przepraszam panią, pani McPhail. - Posterunkowy obracał nerwowo stetsona w dłoniach. - Pukałem, ale nie słyszała pani. - Odchrząknął. - Wybieram się do faktorii i chciałem się dowiedzieć, czy pani czegoś nie potrzeba.

Lauren otarła płonące policzki.

- Nie, Williamie. Chyba nie.

McDougall zerknął na Edmunda i twarz mu się leciutko zachmurzyła.

- Och. Posterunkowy William McDougall, a to jest doktor Edmund Higginbotham, mój stary przyjaciel z Reginy.

William krótko skinął głową.

- Mam przekazać pozdrowienia od pani dla pani Ansgar?

Czy rzeczywiście w jego głosie dzwięczała nuta dezaprobaty, czy tylko, gryziona wyrzutami sumienia, tak sobie wyobraziła?

- Tak, proszę powiedzieć Gretchen, że niedługo do niej wpadnę.

William wsadził sobie kapelusz na głowę i okręcił się na pięcie. Drzwi cicho się za nim zamknęły, a Lauren przeniosła spojrzenie na twarz Edmunda.

- Czyżbym w twoich oczach widział poczucie winy? - Edmund wstał i puścił jej dłonie, które trzymał podczas całej rozmowy. - Czy wolno mi założyć, że obudziły się w tobie emocje, za które teraz czujesz się winna?

- Ludzie są bardzo oddani Adamowi.

- Spotkałem twojego męża tylko raz, ale nie przypominam sobie, by był wtedy wcieleniem cnót wszelkich. A nawet pamiętam chyba, że w dzień waszego ślubu bardzo cię unieszczęśliwił.

- Zrobił to, co uważał za słuszne.

Edmund odsunął się od niej, podszedł znowu do okna i zapatrzył się na niebo, pośpniejające przed następną śnieżycą.

- Nie będę się wtrącał do twojego życia, Lauren. Nie po

to tu przyjechałem. Najwyraźniej w pewnym stopniu żałujesz, że podążyłaś za Adamem w tę dziką okolicę. Jestem tu tylko po to, byś miała wybór. Decyzja należy do ciebie.

Lauren przesunęła palcami po skraju koronkowej serwetki, leżącej na kanapie Gretchen. Po jej obwodzie wiły się skomplikowane pikotki i supełki, tworząc delikatny wzór. Jakże podobna do człowieczego losu była ta robótka, w której piękne ściegi oplatały się wokół wątej nici życia.

- Coś jest niedobrze? - zapytała Gretchen; w jej palcach migotały druty, na których dziergała sweter.

- Nie. - Lauren potrząsnęła głową i wróciła myślami do terażniejszości.

- Przyszłaś porozmawiać i nie odzywasz się wcale.

W głowie Lauren aż kipiało od słów. Z ogromną chęcią zwierzyłaby się Gretchen. Ale coś ją powstrzymywało i nie pozwalało opowiedzieć, jak czuje się stropiona. Jeżeli ubierze swoje wątpliwości w słowa, staną się one bardziej rzeczywiste, groźniejsze.

- Pan Higginbotham też się w tobie kocha.

Lauren gwałtownie uniosła głowę.

- Co powiedziałaś?

Gretchen odłożyła robótkę.

- Przyszłaś porozmawiać o swoim gościu, nie?

- Tak, to prawda.

Gretchen zachmurzyła się i wstała z krzesła. Lauren odwróciła oczy od wypukłości, która zaczynała rysować się pod fartuchem gospodyni, i poczuła przelotne ukłucie bólu. Milczała, kiedy Gretchen przygotowywała dwa kubki herbaty, a potem jej jeden podała.

- Ty jesteś zakochana w panu Higginbotham?

Lauren wzięła kubek z herbatą.

- Nie. On i ja przyjaźniliśmy się w Reginie.

- Ale on się kocha w tobie?

- Tak. - No, wreszcie to powiedziała.

Gretchen małymi łydkami popijała herbatę.

- Prosił cię, żebyś zostawiła inspektora McPhail.

Lauren zaczęły się trząść ręce i odstawiła kubek.

- Och, Gretchen. Zrobiłam coś strasznego. - Zakryła twarz dłońmi, a Izy zamgliły jej wzrok. - Po tym, jak dziecko umarło, byłam taka samotna. Adam pojechał na patrol. Posłałam po Edmunda.

- Czy go kochasz?

Lauren wstała i podeszła do okna.

- Mam wrażenie, że pod nieobecność Adama zawsze stał przy mnie, kiedy kogoś najbardziej potrzebowałam. Przejechał dla mnie taki kawał świata.

- Po dobrym przyjacielu możesz tego wszystkiego oczekiwać. Czy go kochasz? - Odstawiła delikatny, porcelanowy kubek i podeszła za Lauren do okna. - Czy on działa tak, że jesteś jego łakoma?

Lauren poczuła się zaskoczona napięciem w słowach Gretchen. Przyjaciółka zaczęła jej się ukazywać w nowym świetle.

- Nie.

Gretchen chwyciła ją za rękę.

- A tego właśnie potrzeba, żeby tutaj zostać, Lauren. Nie można być dwojgiem ludzi, których połączyły słowa. Trzeba być jednym. - Złożyła mocno dłonie.

- Kocham Adama. Ale ten kraj... Ta kraina stoi pomiędzy nami. Jest taka wielka, taka potężna, nie potrafię już z nią walczyć.

- Więc wybierasz łatwą drogę i wracasz do domu z Edmudem?

Lauren odwróciła się i zapatrzyła w łagodne oczy Gretchen, mądre od okupionego wieloma cierpieniami doświadczenia.

- Może Adam lepiej wyszedłby na tym, gdyby mnie tutaj nie było. Powinnam go była posłuchać na początku. Próbował mnie uprzedzić.

- Inspektor McPhail powiedział te słowa dla ciebie, nie dla siebie. On tu czasami przychodził i opowiadał mi o tobie, jak za tobą tęskni.

- Naprawdę?

- Poślubiasz mężczyznę z Terytoriów, to poślubiasz też Terytoria.

Lauren potrząsnęła głową.

- To o jednego za dużo.

Gretchen zawahała się, potem przymrużyła oczy.

- Od kiedy cię znam, podziwiałś mój dom.

Zaintrygowana obrotem rozmowy Lauren zmarszczyła brwi.

- Tak.

- Myślisz, że ja to wszystko robię, bo lubię szyć?

- Zawsze tak przypuszczałam.

Gretchen potrząsnęła głową.

- Nie. Wszystko, co tu widzisz, to jest zamiast Erika.

- Nie rozumiem.

- Kiedy był młodym człowiekiem, jego ojciec zaproponował mu pracę w przedsiębiorstwie rybnym w Szwecji. To byłoby dobre życie. Mogliśmy zostać w domu, tam gdzie jest nasza rodzina. Ale nie. Erik usłyszał o Kanadzie, o tej dzikiej krainie. Więc tu przyjechaliśmy, tylko on i ja. Musiałam dokonać tego samego wyboru co ty. Czy odrzucę wszystko i pojedę za Erikiem do tego dzikiego miejsca, czy zostanę tam, gdzie wiem, że jest bezpiecznie?

- Najwyraźniej pojechałaś za nim.

- I zapłaciłam za to. - Gretchen pogładziła się ręką po brzuchu. - Poświęciłam troje malutkich, ale wiem, że nie potrafię żyć bez Erika.

- Czy chcesz powiedzieć, że ja nie mam wyboru, że ty nie miałaś wyboru?

Gretchen uśmiechnęła się i zamknęła Lauren w ramionach.

- Chcę powiedzieć, że twoje serce już dawno temu dokonało wyboru, nie pytając rozumu o zdanie.

- Święta Maryjo i Józefie Święty - mruzczał cicho Finnegan. - Ilu ludzi potrzebnych jest do produkcji whiskey?

- Wiedział, że się do niego wybieramy. - Adam stęknął i odsunął się od kamienia, który gniótł go w pierś.

- Widzę sześciu, nie, siedmiu na straży. - Finnegan obejrzał się na mały oddziałek, który ze sobą przyprowadzili. Leżeli wszyscy na płask na ziemi tuż za granią wzniesienia. - Będzie nam trzeba więcej ludzi.

Adam potrząsnął głową.

- Angus traktuje to jak zabawę. Jeżeli ściągnę tu więcej ludzi, on zrobi to samo. Nie, tym razem go dopadniemy.

- Oni są młodzi, Adamie. - Mikę pokazał głową na policjantów. - Te chłopaki nigdy nie były pod ogniem.

- Należą do Policji Konnej, czy nie?

- Należą.

- Jeżeli składali tę samą przysięgę co ja, wiedzą, czym ryzykują.

McPhail zsunął się z pagórka i wepchnął lunetkę z powrotem do kieszeni. Wstał i strzepnął z munduru pierwsze płatki śniegu.

- Nie będzie to takie łatwe, jak się spodziewałem, chłopcy. - Rzucił okiem na dziesięć młodych, pełnych wyczekiwania twarzy. Najstarszy Z chłopców nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia lat. A każdy z dumą nosił nowy szkarłat. Inspektor przykucnął i wziął patyk. Odgarnął na bok śnieg i naszkicował kryjówkę Angusa. - Będziemy musieli wziąć Angusa siłą. Postawił przy każdym wejściu uzbrojonych strażników. - Dziabnął patykiem w stanowiska straży. - Duncan, weźmiesz trzech ludzi, okrążysz kryjówkę i ustawisz się na południu. - Patyk drapał po ziemi. - Mikę, weź trzech i ustaw się na północy. Stewart - zerknął na starszego mężczyznę, którego znał od czasu, kiedy sam się zaciągnął - wybierz sobie jednego. Idź na wchód i odetnij Angusowi możliwość wycofania się między pagórki. Uważajcie na tamte skałki. - Rysował kwadraty na ziemi. - Może się z paroma ludźmi tutaj czaić. Ja wezmę resztę i wejdziemy do środka. - Rzucił patyk, oparł na płask dłoń na udach i dźwignął się. - Jakies pytania?

Młodzi ludzie spojrzeli po sobie nerwowo. Adam rozumiał ich lęk. Przez cały ranek usiłował pozbyć się z myśli twarzy Lauren. Gdyby zginął, zostawała tylko nadzieja, że

McDougall dopilnuje, by wróciła do Edmonton, a stamtąd do domu. Głęboko wciągnął w płuca przejmująco zimne powietrze i spojrzał na posępne chmury.

- Mikę, dam ci trzydzieści minut. Po tym czasie powinieś już znaleźć się na pozycji.

- Tak jest. - Mikę wskoczył na siodło. Adam podszedł do niego i położył mu dłoń na nodze.

- Gdyby coś się nie udało, to w pudełku pod łożkiem zostawiłem list. Dopilnujesz, żeby go Lauren dostała?

Mikę się uśmiechnął.

- Chyba nie zamierzasz przepowiadać jakichś tragicznych wydarzeń, co? Bo jeżeli tak, to psujesz nam całą zabawę.

Adam prychnął śmiechem.

- Nie jestem wróżem i nie będę ci psuł przyjemności.

Mężczyźni rozproszyli się na trzy strony świata; na miejscu został tylko McPhail i dwóch nowych, z którymi miał udać się do obozowiska. Inspektor dosiadł Jake'a, postawił kołnierz i przygotował się na czekanie. Obok niego przepłynął jeden płatek śniegu, potem drugi.

Czas włókł się niemiłosiernie. Adam wyjął zegarek. Minęło pół godziny. Wszyscy powinni już być na miejscach.

- W porządku, chłopcy - powiedział, zatrzasnąjąc kopertę zegarka. - Wchodzimy do środka z wyciągniętą bronią. - Wbił pięty w boki Jake'a i przypuścili atak przez wzgórze, które ich wcześniej osłaniało.

Pierwszy strażnik, tuląc strzelbę w ramionach, stał w gęstych zaroślach między skałkami. Na łomot końskich kopyt popatrzył w górę i dostał po głowie rewolwerem. Pozostali strażnicy podnieśli krzyk i w obozowisku się zakłębiło. Z białych płóciennych namiotów wybiegali na wpół ubrani mężczyźni, niektórzy mieli broń gotową do strzału, niektórzy dopiero jej szukali. McPhail zobaczył, że Mikę atakuje z przeciwnej strony. I nagle ziemia aż zatrzęsła się od huku, przypominającego letnie grzmoty. Jednego z ludzi jadących za Finneganem coś podniosło z konia i rzucało o ziemię. Adam szarpnął wodze, zatrzymał rozdygotanego Jake'a i wzrokiem gorączkowo przeszukiwał kotłowanąinę. I na-

gle zobaczył to, czego szukał. Na drugim końcu obozu stał Angus, przytykając zapalone cygaro do lontu niewielkiej armatki.

Popołudniową ciszę przerwała kanonada. Lauren krzyknęła, kiedy kula odłupała następny kawałek drewna tuż nad jej głową. Drzazgi posypały się do kubka z herbatą. Edmund chwycił młodą kobietę za ramiona i wepchnął pod stół. Grad kul z wizgiem przeleciał obok nich.

Drzwi do chaty otworzyły się; Lauren patrzyła, jak po podłodze w kierunku sypialni kroczą buty mundurowe Konnego. Kiedy wyczołgała się spod stołu, Adam zrzucił właśnie z ramienia na łóżko jakieś nieruchome ciało.

- Adam. - Już miała do niego podejść, ale się zatrzymała. Jej mąż był blady, czoło okrył mu kroplisty pot. Jeden z rękawów kurtki oderwał się niemal całkowicie, bok przesiąknięty był krwią, która kapała na podłogę. Zerknęła na łóżko. Na twarzy młodego posterunkowego widniała głęboka bruzda od kuli.

Mąż wpatrywał się w nią tępo, potem się zachwiał na nogach.

Lauren podsunęła mu krzesło i pomogła usiąść, naciskając dłońią na ramię.

- Zajmij się nim - wyszeptał, po czym jego oczy zrobiły się puste, a głowa opadła do tyłu.

Szyby rozprysnęły się, na podłodze zabrzęczało szkło. Kule łomotały w solidne ściany, gryzący zapach prochu strzelniczego przeniknął do wnętrza.

Lauren pochyliła się, chwyciła mokrą ścierkę i otarła młodemu człowiekowi krew z twarzy. Przyłożyła mu dłoń do szyi, szukając pulsu, i wyczuła go: był bardzo szybki, ale równomierny. Stojący za jej plecami Edmund zdarł kurtkę z Adama i odsłonił szeroko rozchyloną ranę w jego boku.

- O, dobry Boże. - Lauren zakryła usta dłońią. - Edmund, musimy coś zrobić.

- Jest bardzo źle - powiedział, starając się kawałkiem materiału zatamować krew. - Bardzo źle.

Lauren opadła na kolana przy mężu i odsunęła mu jasne włosy z twarzy. Gładka skóra pocętkowana była zarostem,

sińce pod oczami świadczyły, jak trudne dni ma za sobą.

- Stracił mnóstwo krwi. - Edmund rzucił przesiąkniętą szmatkę i chwycił następną. - Podaj mi moją torbę. - Pokazał głową na czarną lekarską torbę, stojącą w kącie razem z resztą jego dobytku.

Lauren podniosła wzrok i spojrzała przyjacielowi w oczy.

- Przeżyje?

Edmund posępnie potrząsnął głową.

- Jeżeli mam być uczciwy, to nie potrafię powiedzieć. Zdejm tę kołdrę, Lauren. Połóżmy go na podłodze.

Lauren poczuła się tak, jakby świat się kończył. Na chatę posypał się znowu grad kul; ze stukotem odskakiwały od ścian, rozbijały okna, a nawet roztrzaskiwały naczynia w kuchni. Potem w charakterystyczny sposób zaszczeakały rewolwery Enfield. Na podwórku zagrzmiały kopyta i palba skończyła się równie nagle, jak się zaczęła.

- Czy Adam tu jest? - warknął Duncan, wpadając przez drzwi. - Słodka Matko Boga Jedyneho. - Zagapił się na Adama, potem przeniósł spojrzenie na Lauren.

- Mógłbyś się zająć tamtym? - zapytała, pokazując na sypialnię.

Duncan przeszedł do sypialni i odsunął zasłonę.

- Biedaczysko. Pojawił się tu jeszcze któryś z chłopaków?

- Nie. Co się stało?

McLeod przygarbił się w ramionach, na jego twarzy mallowało się zmęczenie.

- Angus czekał na nas z armatą.

- Z armatą? - Lauren spojrzała na poharatany bok Adama, który Edmund gorączkowo usiłował oczyścić z krwi.

- Nie potrafię sobie wyobrazić, jakim cudem ściągnął ją na Terytoria i nikt się o tym nie dowiedział. - Duncan potrząsnął głową.

Na ganku zaszurały buty, do domu weszli następni Konni. Stali przygarbieni, niemal onieśmieleni, tłocząc się przy drzwiach. Niektórzy mieli bandaże na rękach i nogach, niektórzy na głowach.

Lauren przywołała całą swoją odwagę i, starając się nie patrzeć na leżącego w kałuży własnej krwi Adama, metodycznie zajęła się jego ludźmi, bo wiedziała, że sam przede wszystkim o nich by się troszczył.

Edmund zaczął rozcinać McPhailowi ubranie, a wtedy ten poruszył się.

- Duncan? - wymamrotał.

- Tu jestem, chłopcze.

Inspektor z trudem poruszał wargami. McLeod pochylił się nad nim niżej, potem kiwnął głową i powiedział coś tak cicho, że Lauren nie zrozumiała. Podeszła do nich, z duszy serca pragnąc porozmawiać z mężem, ale kiedy Duncan odszedł, głowa Adama bezwładnie opadła na bok.

21

Godziny mijały ukradkiem, zmieniając ranek w szare popołudnie. Lauren parzyła jeden dzbanek kawy po drugim, czyściła najrozmaitsze rany i przez cały ten czas siliła się, by nie myśleć o Adamie. Młody Matthew Turner, ranny posterunkowy, odzyskał przytomność i został przeniesiony do koszar. Adama położyli na jego własnym łóżku. Edmund oczyścił mu ranę i zeszył ją, potem orzekł, że reszta jest w ręku Boga.

Zaczęło się już zmierzchać i Lauren znowu zasiadła w bujanym fotelu, by czuwać przy mężu.

- Powiedz mi uczciwie, co myślisz, Edmundzie? - poprosiła, przyglądając się swemu kołyszacemu się tam i z powrotem na ścianie cieniowi.

Edmund zdrzemnął się, położywszy głowę na stole. Na jej słowa drgnął i podniósł zaspaną twarz.

- Zadajesz mi to pytanie co godzina, Lauren, a ja za każdym razem udzielam ci tej samej odpowiedzi.

- Wiem. - Rozkołysała się trochę mocniej. - Przepraszam.

Higginbotham przesunął dłonią po twarzy i wstał, by napić się wody.

- Wybacz, że na ciebie warknąłem. - Podał jej blaszany kubek.

Lauren nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo chce jej się pić, dopóki nie zwilżyła warg słodką wodą. Blaszany kubek brzęknął, kiedy odstawiła go na podłogę; podciągnęła Adamowi kołdrę pod brodę i dotknęła jego czoła. Było ciepłe i suche, co wskazywało, że gorączka właśnie się zaczyna.

- Idź się połóż. - Edmund chwycił ją za rękę i obrócił twarzą do siebie. - Pościeliłem ci na pryczy w areszcie. - Wzruszył ramionami. - Lepiej tam niż na podłodze.

Lauren kiwnęła głową. Jeden krok, drugi... nie była w stanie sięgnąć myślą dalej. Kiedy się kładła, podniósł się wokół niej słaby zapach niedomytych ciał, ale czuła się zbyt zmęczona, by zwracać na to uwagę.

Obudziwszy się, zobaczyła, że chata zalana jest światłem. Edmund pochylał się nad Adamem. Skierował na nią zmęczone, przygnębione spojrzenie.

- Obawiam się, że jest z nim gorzej.

Podeszła do łóżka. Ciemna szczecina zarostu kontrastowała ostro z bladą cerą. Podniosła rękę męża i zaczęła obracać w dłoni jego szczupłe palce.

- Obawiasz się, że nie przeżyje, prawda? - zapytała Edmunda.

Higginbotham wahał się przez chwilę, zanim się odezwał. To wahanie wystarczyło za odpowiedź.

- Moim zdaniem jako lekarza... szanse ma mizerne.

Oczy Lauren zaćmiły się łzami, żółte światło lampy roz-mazało się w aureolę. Zamrugwała i uniosła oczy ku oknu. Śnieg przestał padać, dzień wstawał jasny i czysty. Na zachodzie, na głębokim błękitcie nieba rysowały się pięknie rzeźbione, ośnieżone szczyty Gór Skalistych. Jeżeli Adam umrze, to umrze szczęśliwy, że stanie się częścią krainy, którą pokochał.

- Przepraszam, że wypowiedziałem się tak otwarcie. - Edmund pogładził Lauren po ramieniu. - Sądzę, że powinnaś znać prawdę, chociażby była bardzo okrutna.

- Dziękuję ci. Przekonałam się, że tutaj prawda jest zawsze okrutna.

Za jej plecami Adam jęknął. Lauren pośpiesznie odwróciła się do niego. McPhail wpatrywał się pustym wzrokiem w sufit, potem przeniósł go na Lauren, a następnie na Edmunda.

- Ma bardzo wysoką gorączkę. Może cię nie poznać.

Adam spojrzął znowu na Lauren.

- Co z ludźmi? - wychrypiał przez wyschłe wargi.

Jego żonie wyrwało się z ust westchnienie ulgi.

- Większość z nich ma się całkiem dobrze. Matthew Turner był najciężej ranny, ale zajęliśmy się nim i leży teraz wy-

godnie w swoim własnym łóżku; pielęgnuje go Finnegan.

- Angus?

Lauren potrząsnęła głową.

- Nie wiem. Tyle było zamieszania.

McPhail westchnął, powieki mu opadły. Lauren, z duszą na ramieniu, położyła lekko dwa palce u podstawy szyi męża, starając się wyczuć drganie pulsu.

- Nie umarłem. - McPhail otworzył znowu oczy. - Nie mógłbym się tak fatalnie czuć, gdybym nie żył.

Lauren pochyliła się i musnęła wargami jego usta. Kiedy się wyprostowała, Adam już spał.

- Chodź ze mną. - Edmund dotknął jej ręki. - Chwilowo nic więcej tu nie możesz zrobić. Chcę, żebyś usiadła na chwilę, a ja przygotuję ci coś do jedzenia.

- Byłeś na nogach przez całą noc - zaprotestowała Lauren, opadając na twarde krzesło.

- Jestem do tego przyzwyczajony. Prawdę mówiąc, w szkole medycznej wytrzymałość była moją mocną stroną. Osiągnąłem niezłe wyniki w przeżywaniu dłuższego czasu tylko na drzemkach. - Otworzył drzwiczki pieca i dorzucił do środka jeszcze dwa polana.

Ależ on jest kochany, pomyślała Lauren, przyglądając się, jak przyjaciel krząta się po prymitywnej kuchni. Zaciążyło jej poczucie winy. Powinien ubiegać się o którąś z tych młodych, zadurzonych w nim kobiet, zamiast bez wzajemności obdarzać uczuciem ją. Od jak dawna bez jej wiedzy się w niej kochał? I czy naprawdę nic o tym nie wiedziała? iV/e, odpowiedziało jej wewnętrzne ja. *Wiedziałaś. Ate czułaś się taka samotna i tak rozpaczliwie potrzebowałaś towarzystwa, że nie chciałaś widzieć tego, co miałaś tuż przed nosem.*

- Gretchen przyniosła te jajka wczoraj - odezwał się Edmund. Wbił pierwsze na patelnię jedną ręką i prychnął śmiechem. - Zabawnie wyglądała, brnąc przez śnieg z fartuchem pełnym jaj.

Lauren pociągnęła łyżeczek kawy z kubka, który przed nią postawił.

- Cała Gretchen. Jeżeli postanowi coś zrobić, nic jej nie powstrzyma.

- To chyba właściwe nastawienie u kogoś, kto zdecydował się tu żyć.

- Czasami człowiekowi nie zostaje nic poza determinacją. Edmund wbił na patelnię następne jajko; zaskwierczało.

- I miłością.

Lauren uniosła wzrok, ale Higginbotham wydawał się skupiać całą uwagę na żółtej masie, którą mieszał.

- Przekonałem się, że miłość może człowieka podtrzymać w najtrudniejszych nawet chwilach. - Odwrócił jajka. - Marzę tylko o jednym, bym kiedyś zdołał taką właśnie miłość znaleźć.

Lauren odstawiła kubek.

- Edmund...

- Nie. Nie będziemy dzisiaj o tym rozmawiali. Przepraszam, że poruszyłem ten temat. - Wyłożył doskonale usmażone jajka na talerz. Dołożył grubą pajdę chleba i postawił przed Lauren posiłek.

- Zbyt dobry jesteś dla mnie, Edmundzie. - Pod powiekami piekły ją łzy, paliły w nosie.

Na ganku rozległ się hałas. Podnieśli oboje wzrok w chwili, kiedy ktoś gwałtownie otworzył drzwi. Do środka, potykając się, wszedł Duncan. Włókł za sobą jakiegoś potężnie zbudowanego mężczyznę, trzymając go za rękę i kołnierz brudnej, obdartej kurtki.

- Przepraszam, Lauren, ale muszę go zamknąć w areszcie. Lauren odsunęła krzesło od stołu i wstała.

- Czy to jest...?

- We własnej osobie - stęknął Duncan, wpychając olbrzyma za kratki i zatrzasnął drzwi. - Adam powiedział mi, gdzie zostawił go, przywiązanego do drzewa. - Potrząsnął głową. - Nie mam pojęcia, skąd ten chłopak wziął siły, by pokonać Angusa. Dym był tak gęsty, że w ogóle nie zauważyłem, kiedy się to stało.

Mężczyzna pozbierał się z czworaków i odwrócił.

- Ach. Znowu się spotykamy. - Usta rozchyliły mu się w leniwym uśmiechu, oczy płonęły.

Lauren cofnęła się o krok i wpadła na Edmunda.

- Czy to ten narobił wam tyle kłopotów? - zapytał Higginbotham.

- Tak. - Lauren spojrzała Angusowi prosto w oczy. - To jest Czarny Angus.

- Jak tylko chłopaki dojdą do siebie, przewieziemy go do Fortu Saskatchewan. - Duncan skrzyżował ręce na piersiach i skrzywił się, kiedy mięśnie w zranionym przedramieniu się napięły. - Związałbym go w koszarach, ale mu nie ufam, łąj-dak mógłby uciec i wszystko byłoby na nic.

- Już raz uciekłem z waszego więzienia, panie Konny - szyderczo odezwał się Angus do Duncana.

- Tylko dlatego, że ktoś ci pomógł - odpalił Duncan.

Lauren odwróciła się gwałtownie.

- W jaki sposób on się wtedy wydostał?

- Lisica. To jego kobieta. - McLeod odsunął krzesło i usiadł.

-Jak...?

- Zakradła się tu nocą i wzięła klucze. Wypuściła go, a potem oboje uciekli, nie budząc nikogo.

Lauren przeszedł dreszcz. A więc przyglądało im się dwoje ludzi, kiedy spali.

- Niech tu siedzi. Chcę, żeby Adam zobaczył go, kiedy się obudzi. I mogę zagwarantować, że tym razem Lisica nie dostanie się do środka.

Angus tylko na moment zapomniał języka w gębie.

- Pod warunkiem, że się inspektor w ogóle obudzi. - Uśmiechnął się szeroko. - Moja armata wyrwała mu w boku porządną dziurę, nie?

- Obudzi się i przyjedzie na twój proces.

Przez pięć dni Adam wahał się między życiem a śmiercią. Paliła go taka gorączka, że Lauren nie zdziwiłaby się, gdyby mu skóra zaczęła schodzić z udręczonego ciała. Bełkotał

i rzucał się, zagubiony w jakimś prywatnym czyścicu. Żona siedziała przy nim w dzień, obmywając mu ciało chłodną wodą, a wieczorem przekazywała dyżur Edmundowi albo Finneganowi. Sama zwijała się wtedy w kłębuszek na posłaniu z kołder na podłodze w sypialni i, długo jeszcze nie mogąc zasnąć, przysłuchiwała się, jak Adam mamrocze i przeklina. Co za demony dręczyły jego umysł? Jakim lękiem musiał w wyobraźni stawiać czoło? W gorączce wołał swego ojca i ją. Za każdym razem wstawała, gładziła męża po czole i choć przemawiała do niego z nadzieją, że jakoś ją usłyszy.

- Lauren?

Pozbierała się pośpiesznie z posłania. Adam wpatrywał się w sufit, czoło miał zmarszczone, jakby czegoś nie rozumiał.

Lauren, ze łzami spływającymi po policzkach, chwyciła go za rękę.

- Jak się czujesz?

- Okropnie. Gdzie jestem?

- W domu. Ze mną. Bogu dzięki, że był tutaj Edmund.

Adam badawczo spojrzął jej w twarz, do sząłu doprowadzało go to, że myśli tak powoli. W jaki sposób dostał się do domu? Kto zabandażował mu dziurę w boku? Jeżeli wszystko dobrze pamiętał, powinien już nie żyć. Uczepił się ostatnich słów Lauren. *Edmund?* Za plecami żony zamajaczyła czyjaś twarz i McPhail zamrugał powiekami. Czyżby wciąż jeszcze miał halucynacje?

- Adam. Miło widzieć, że się pan obudził.

Edmund. Jak to on miał na nazwisko? Lekarz ojca Lauren. Higginbotham. No właśnie. Autor listu tak starannie przechowywanego w torebce Lauren.

- Co pan tu robi? - zapytał Adam. Czy ten człowiek przemierzył aż taki kawał świata, by przywieźć Lauren jakieś wieści z Reginy?

- Niewykluczone, że powinienem powiedzieć, iż miał pan szczęście, że byłem na miejscu. Mogę pana nawet o tym zapewnić. Teraz szybko już dojdzie pan do siebie. - Edmund położył rękę na ramieniu Lauren, jakby chciał skłonić ją, by

wstała z krzesła, a potem sam usiadł na jej miejscu i obmacał opatrunek. - Opuchlizna częściowo już skłęśla.

Adam spojrział na Lauren. Spoglądała na ręce Edmunda, na łóżko, na stół, wszędzie, tylko nie mężowi w oczy. Co się tu dzieje?

- Moim zdaniem wyszedł pan już na prostą, stary. - Higginbotham podciągnął przykrycie i wstał. - Czy miałby pan może ochotę na kubek herbaty?

- Tak, z przyjemnością.

Edmund wyszedł z pokoju, zostawiając małżonków samych. Lauren otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale wargi zaczęły jej drżeć. Zaciśnęła zęby. Adam ujął w dłoń palce żony i pogładził je.

- Znowu przeze mnie przeszłaś piekło, prawda?

Lauren spuściła wzrok i odwróciła spojrzenie od twarzy męża.

- Skąd on się tu wziął? - zapytał.

- Poprosiłam, żeby przyjechał. - Na jej rzęsach zabłyśły łzy. Drzwi do chary zamknęły się z cichutkim stuknięciem.

- Wyjedziesz razem z nim, prawda?

Lauren podniosła oczy.

- Już kilka miesięcy temu znalazłem jego list.

Łzy przelały się na policzki Lauren i kapały mu na rękę.

- Byłam sama, przygnębiona i wystraszona. Posłałam mu list przez jakiegoś trapera, spotkanego u Erika. Nigdy nie sądziłam, że naprawdę przyjedzie.

- Ale teraz, kiedy przyjechał, ty odjedziesz.

- Chyba już dłużej nie poradzę sobie z tym życiem.

- Obiecałem ci, że pojedziemy do domu do Reginy.

- W Reginie nie będziesz u siebie. U siebie jesteś tutaj.

Adam przełknął, starając się zapanować nad cierpieniem. Gorzka prawda zraniła go boleśniej, niż zdołały to kiedykolwiek zrobić Angus. Lauren miała rację. W Reginie byłby nie na miejscu. A ona była nie na miejscu tutaj. Złożyli sobie przysięgę na czasy dobre i złe, ale nikt nie wspominał o czasach niemożliwych do wytrzymania. Przymknął oczy

i skupił się na tym, co słyszał i czuł. Dotyk jej dłoni. Cichy odgłos z trudem chwytanego oddechu. Łomot własnego serca. A kiedy zapisywał sobie to wszystko w pamięci, jedwabiste więzy przysięgi opadły z nich w milczeniu.

- Wyglądasz dużo lepiej, moja droga.

Było ciepłe, majowe popołudnie. Lauren przestała przyglądać się rozkołysanym na wietrze kwiatom i odwróciła się do ciotki.

- Dziękuję cioci.

- Przez jakiś czas obawiałam się, że nie uda nam się doprowadzić do tego, by ci się znowu zaróżowiły policzki.

Powiew wiatru przyniósł cichy, melodyjny motyw Beethovenowskiej „Anise”.

- Wracaj do nas i przyłącz się do gości. Edmund na ciebie czeka. Siostry Worthington przyszły właśnie razem ze swoimi nowymi kawalerami. - Ciocia pochyliła się bliżej, zakołysała się ciasno zwinięte loczki. - To bliźniaki - wyszeptła, jakby fakt ten mógł obdarzyć młodych ludzi jakąś szczególną mocą.

Stojąca na przeszklonej werandzie Lauren odwróciła się znowu do okna. Towarzyskie ploteczki nie pociągały jej w najmniejszym stopniu. Lekki zefirek przyginał trawę w ogrodzie cioci, delikatne źdźbła układały się w spiralne wzory. Nad jeziorem Onion drzewa okryły się już pewnie liśćmi. Maleńkie strzyżyki podskakują wśród gałęzi, zalecają się do siebie i czują. Wiosenny wietrzyk cętkuje powierzchnię jeziora.

Spuściła wzrok na swoją nagą lewą dłoń. Obrączkę zostawiła na poplamionej krwią kołdrze Adama. Tak wiele zostawiła w zimnej, okrutnej Albercie. Syna. Męża. Obrączkę. Serce.

- Lauren? - Ciotka dotknęła rękawa bratanicy, z zatroskania jej siwe brwi się ściągnęły. - Czy z tobą wszystko w porządku, moja droga?

Lauren zamrugała powiekami, by powstrzymać łzy.

- Tak, oczywiście. Mówi ciocia, że Edmund na mnie czeka? Ciotka przymrużyła oczy.

- Może wolałabyś, żebym cię usprawiedliwiła przed gośćmi? Wszyscy rozumieją.

- Nie, nie mogę spędzać reszty moich dni, biadoląc nad przeszłością. - Poprawiła na sobie bluzkę i przyjrzała się uważnie własnemu odbiciu w szybie. Podróż z Alberty do Reginy była trudna, Lauren przepłakała niemal całą drogę. Biedny Edmund pocieszał ją, jak mógł, usiłując nie stawać po żadnej ze stron nawet wtedy, kiedy z jednej skrajności popadała w drugą i od pomstowania na Adama przechodziła do pomstowania na siebie. Zasługiwał na to, by przynajmniej od czasu do czasu pokazała mu się niezapłakana.

- Potrzeba ci czasu, by rany się zagoiły, Lauren. Może to przyjęcie było złym pomysłem. Może nie jesteś jeszcze gotowa, żeby przyjmować.

- Nonsens, ciociu. Przyjechałam do domu trzy miesiące temu. Nie, czas już pożegnać się z przeszłością i żyć dalej. Tak postąpiłaby każda dobra żona... - Urwała, słowa zamarzyły jej na ustach. - Każda dobra córka konnego policjanta - dokończyła słabym głosem.

- Rób, jak uważasz. Zresztą zawsze tak postępowałaś - wymamrotała pod nosem ciocia i odeszła, szeleszcząc kremową taftową suknią. Lauren zerknęła po raz ostatni w okno i skierowała się do saloniku ciotki, po drodze uzbrajając się w hart ducha, który pozwoli jej uśmiechać się, przytakiwać i prowadzić miłe pogawędki.

Edmund stał po drugiej stronie pokoju, pochłonięty rozmową z siostrami Worthington i ich bliźniaczymi ukochanymi. Widział się z Lauren już wcześniej i teraz ryłko lekko skinął jej głową. Natomiast pani Morris podeszła natychmiast i, biorąc młodą kobietę pod rękę, poprowadziła ją w stronę ogrodu. Ciocia musiała pouczyć wszystkich w Reginie, jakich pytań nie wolno zadawać, bo podczas każdej rozmowy temat ostatniego roku był tak starannie omijany, że jego miejsce ziało wręcz pustką.

- Moja droga, to wprost rozkoszne, jak Edmund jest bez reszty zakochany w tobie. A to taki zacny człowiek.

- Edmund i ja jesteśmy tylko przyjaciółmi.

Pani Morris przewróciła oczami.

- Na nikogo nie patrzy tak jak na ciebie.

Edmund naprawdę był jej przyjacielem. Może najlepszym przyjacielem. Ale niczym więcej. Wiedział o niej... i o Adamie... takie rzeczy, których prawdopodobnie wiedzieć nie powinien, wysłuchał jej wyznań, kiedy, łkając, zwierzała mu się w rozhuśtanym wagonie gdzieś na samym środku beznadziejnie ponurej prerii. Do końca życia nie zdoła odpłacić mu za wszystko, co dla niej zrobił. I do końca życia nie przestanie kochać Adama.

Popełniła potworny błąd, opuszczając go. Złamała mu serce, zraniła dumę, zhańbiła w oczach ludzi. Nie miała powrotu. Musi po prostu zostawić za sobą przeszłość i jakoś żyć dalej. Pustym życiem. Pełnym wygód i bezpieczeństwa. Pozbawionym miłości.

- A któż to może być? - zapytała pani Morris, starając się zobaczyć coś nad kwitnącymi piwoniami, które zasłaniały widok na podjazd. Trzasnęły drzwiczki, powóz odjechał, usłyszały chrzęst kół, kiedy je mijał. - Wszyscy zaproszeni pojawili się już wcześniej.

- Pójdę zobaczyć. - Lauren pośpieszyła do domu. Jeżeli przyjechali jacyś niespodziewani goście, będzie miała idealną okazję, by się wymknąć na górę i tam, w samotności, uporać się jakoś z coraz silniejszą rozpaczą, która uparczywie nie chciała jej opuścić.

Weszła przez francuskie okno, ale nikogo nowego nie zobaczyła. Głosy podnosiły się w rozmowie i opadały tak samo jak wcześniej. Już miała się odwrócić, kiedy zauważyła stojącą w holu i skręcającą koronkową chusteczkę w dłoniach ciotkę. Starsza pani, najwyraźniej skonsternowana, zerkała na gości.

- Ciociu, co się stało? - zapytała Lauren, przechodząc po wypolerowanym parkiecie.

Oczy ciotki rozszerzyły się, rzuciła przelotne spojrzenie na niewielką alkowę, przeznaczoną do przechowywania pe-leryn i płaszczy.

- Kto przyszedł? - Lauren czuła coraz silniejszy niepokój.

- Hej, Lauren. - Z alkowy wyszedł Adam. Miał na sobie nowy mundur. Podbita szkarłatem, ciemnoniebieska peleryna oficera zamiatała czubki lśniących, czarnych butów. W dłoniach obracał nowego stetsona.

- Adam. - Udało jej się wypowiedzieć jego imię i nie załać się łzami. - Co robisz w Reginie? - Nie śmiała mieć nadziei, że przyjechał do niej.

McPhail lekko wzruszył ramionami.

- Sprawy policji. Nowi ludzie. Nowe zaopatrzenie. Czy moglibyśmy przez minutkę porozmawiać, ciociu Matyldo? - zapytał miękkim barytonem.

- O Boże. - Ciotka rozdygotana zerknęła w kierunku gości. Rozmowy cichły, głowy odwracały się w ich kierunku.

- To nic złego. Przecież jesteśmy jeszcze małżeństwem - dodał Adam z ironicznym uśmiechem.

Ciocia pośpiesznie odeszła, wygłaszane przez nią wesołe komentarze były odrobinę za bardzo wesołe, entuzjastyczne uwagi wypowiadała piskliwym, podenerwowanym tonem.

- Czy moglibyśmy przejść się po ogrodzie? - zapytał Adam, zdejmując z kołka szal Lauren i okrywając nim jej ramiona.

Wyszli przez drzwi frontowe, bo nie chcieli przedzierać się przez tłum zaciekawionych gości, i przez małą białą furtkę wkroczyli do wypielęgnowanego ogrodu. Adam zręcznie poprowadził Lauren w głąb ogrodu. Tam, za niesfornymi krzewami, byli niewidoczni z domu.

- Otrzymałem papiery rozwodowe. Podpiszę je, to oczywiste. - Ciemne oczy wpatrywały się w nią przenikliwie. - Jeżeli wciąż jeszcze tego chcesz.

Czy chciała? Policzki Lauren zapłonęły, pożądanie zaczęło rozkręcać się w niej niczym sprężyna. Żadne dokumenty i żadna ilość atramentu nie zgasi namiętności, którą czuła do stojącego przed nią mężczyzny o połyskujących w słońcu włosach. Było to niemożliwe, skoro kiedyś już z nim leżała, pieściła miłośnie jego ciało i przyjmowała takie same piesz-

czoty z jego rąk i ust. Było to niemożliwe, skoro począł w niej dziecko i pogrzebał swoją nieśmiertelność w zimnej, ciemnej ziemi. Łączących ich więzów nie zerwą żadne, choćby najstaranniej sformułowane zdania.

- A czy ty tego chcesz?

Usta Adama wykrzywiły się w gorzkim uśmiechu.

- Myślę, że znasz moją odpowiedź na to pytanie. Chcę tylko, żebyś była szczęśliwa, Lauren. A jeżeli to Edmund ma cię uszczęśliwić...

- Nie. Edmund i ja jesteśmy tylko przyjaciółmi. I kropka. - Uśmiechnęła się. - Nic więcej nas nie łączy.

- A - mruknął Adam i pokiwał głową.

Lauren najchętniej zarzuciłaby mu ramiona na szyję i, wymijając przejętych zgrozą ciocinych gości, powlokłaby go na górę do swojej sypialni. Rzuciłaby go na panieńską kapę, zdarła z niego ten szkarłatny mundur i przypomniała sobie to wszystko, od czego krew jej szybciej krążyła w żyłach, a serce tłukło się w piersi. Zmusiłaby go, by przypomniał jej, dlaczego podążyła za nim w tę dziką krainę.

- No cóż - powiedział, odsuwając się po trochu. - Powiniennem już iść. Przepraszam, że zjawiłem się w trakcie przyjęcia. Jutro każę przekazać ci dokumenty. - Dotknął kołnierza i Lauren uświadomiła sobie, że nadal brak na nim złotychnych oznak.

Odstąpił jeszcze o krok dalej.

- Gdzie twoje korony? - Podniosła dłoń do szyi. Oczy Adama pociemniały. Lauren serce tłukło się w piersiach.

- Mam je w kieszeni.

- Dlaczego ich nie nosisz?

Uśmiechnął się miękko.

- Kiedyś je oddałem.

- Zastanawiałam się, co się z nimi stało. Tak bardzo mi przykro.

Na te słowa Adam spuścił oczy, szczęki mu konwulsyjnie chodziły.

- Miałem nadzieję - urwał, podniósł wzrok i popatrzył jej

w oczy - że któregoś dnia znowu ty mi je przypniesz. - Potrząsając głową, roześmiał się cicho. - Wpadłem na taki śmieszny pomysł, że wtedy wszystko się jakoś między nami naprawi.

Lauren przełknęła i podeszła bliżej. Ciągnęło ją do Adama tak mocno, jakby trzymał ją na niewidzialnej, przywiązanej do serca linie. Przystanąła, zjrzała mu z bliska twarz, z tak bliska, że widziała nawet kropki zarostu na gładko ogolonej brodzie.

- Wysyłają mnie w nowe miejsce - powiedział cicho.

- Tutaj? Do Reginy?

- Nie. Na Jukon. Duncana i Finnegana też. Mamy nadzorować gorączkę złota.

Odjeżdżał coraz dalej. To całkiem prawdopodobne, że nigdy go już nie zobaczy. Oczy jej wezbrały łzami, a sylwetka Adama się rozmyła. Czy zdoła przeżyć do końca swoich dni, jeżeli już nigdy nie zobaczy jego twarzy? Nie doświadczy jego pieśczoć? Nie poczuje, jak jego ciało dygoce w jej wnętrzu podczas spełnienia, nie będzie zastanawiała się, czy zasiał w niej dziecko?

Wyciągnęła dłoń, odwróciwszy ją grzbietem do dołu. Oczy Adama złagodniały, sięgnął za pazuchę i rzucił Lauren na rękę dwie złote korony.

- Dawson City to niecywilizowane miejsce - szepnął cicho; od tonu, jakim to powiedział, dreszcz jej przeszedł po plecach. - Będą tam tacy, co przywłaszczają sobie cudze działki, będą prostytutki i nielegalna whiskey.

Lauren wsunęła mu dłoń pod kołnierz, a kiedy przy tym musnęła kostkami rąk skórę męża, kolana się pod nią zaczęły uginać.

- Czy będziesz się ze mną kochał?

- Tak często, jak tylko czas pozwoli - zapewnił, kiedy zaskakiwał zatrząsk pierwszej oznaki.

- I wybudujesz nam chatę z aresztem w kącie i bez kuchni.

- Co tylko będziesz chciała.

Lauren zacisnęła drugi zatrząsk i poprawiła mężowi koł-

nierz, w pełni korzystając przy tym z okazji, by go pogłodzić po nagiej szyi.

- Chcę ciebie.

Adam sięgnął pod kurtkę i wyjął obrączkę Lauren. Trzymając ją w dwóch palcach, powiedział:

- Tym razem niczego nie będę ci obiecywał poza tym, że moje serce zawsze należeć będzie do ciebie. - Wsunął chłodne metalowe kółko na palec Lauren, potem objął żonę ramieniem przez plecy, wciskając jej twardą krawędź stetsona w kręgosłup. Wargi miał ciepłe i miękkie, smakowały tak samo, jak w jej wspomnieniach. Musi go mieć tu i teraz, pośród tych prymulek, inaczej eksploduje.

- Znajdzie się gdzieś w tym domu sypialnia z materacem wypchanym sianem? - wyszeptał, dotykając jej warg.

- Nie. A puchowy materac się nie nada? - odszepnęła.

- Nie, nie. Koniecznie muszę mieć szelest siana. Przez ostatnie parę miesięcy często spać nie mogłem, przypominając sobie, jak szeleściło. - Ich pierwszy pocałunek był delikatny i grzeczny. Całując Lauren ponownie, Adam zapomniał o grzeczności, przyciągnął ją bliżej, dał do zrozumienia, jak bardzo jej pragnie. Lauren od zmysłów zaczynała odchodzić z rozkoszy, ale usłyszała jeszcze, jak jego ukochany stetson Z cichym łupnięciem ląduje na ziemi.

Epilog

Potężny, nieustępliwy ból chwycił Lauren w swe szpony z taką siłą, że aż się skręciła. Zaciśnęła palce na prześcieradle i zbierała płótno w garście, aż powyrywała mocne podszycie, przytrzymujące je na bokach materaca. Z determinacją usiłowała skupić wzrok na pochylającej się nad nią twarzy, ale cierpienie wyparło z umysłu wszystko poza sobą.

Duncan objął jej palce.

- Ściśnij mnie za rękę, dziewczyno - powiedział.

I Lauren ścisnęła z całych sił - aż myślała, że mu tę rękę złamie. Ale McLeod nawet się nie skrzywił i cierpliwie czekał, dopóki ból nie ustąpił. Przynajmniej na jakiś czas.

Adam już od kilku dni był na patrolu. Wyjeżdżał niechętnie, bo nadciągała śnieżycy, a on czuł się rozdarty pomiędzy służbowe poczucie obowiązku a odpowiedzialność za żonę. Lauren, z przyklepionym do twarzy uśmiechem, kazała mu jechać i zająć się swoją robotą. Robotą, którą kochał. A sama została w domu, by zrobić to, co należało do niej.

Bóle zaczęły się o świcie od leciutkich skurczów, które mogły oznaczać wszystko. Ale zanim popołudnie pociemniało i zrobił się wieczór, Lauren wiedziała już, że to zaczyna się poród. Dała sobie spokój z zapalaniem lampy, położyła się i czekała, obserwując przesuwający się po niebie księżyc. I tak zastał ją Duncan, kiedy nad ranem wrócił z przedłużającego się własnego patrolu. Lauren usłyszała stukot kopyt i, myśląc że to Adam, zawołała męża po imieniu. McLeod wszedł do pokoju, zapalił lampę i przesiedział z nią resztę nocy, zabawiając opowiastkami i serdecznymi, pocieszającymi słowami.

- Gdzie jest Adam? Kiedy wróci?

- Spokojnie, dziewczyno. Jeszcze tylko trochę. Powinien już lada chwila wrócić z patrolu.

Lauren chwycił następny, przejmujący ból, który tym razem z większą natarczywością atakował jej ciało. Złapała Duncana za przedramię.

- Nie pozwól mojemu dziecku umrzeć, Duncanie. Obiecuj, że nie pozwolisz.

Drobna cząstka jej świadomości wiedziała, że to, o co prosi, jest niemożliwe, ale inna, dużo większa cząstka pragnęła tylko jednego: by ktoś dał jej jakąś gwarancję.

- Cśś, dziewczyno. - Duncan koił jej lęki głosem i chłodną, przykładaną do czoła szmatką. - Wszystko będzie wspaniale. Zobaczysz. Musisz pod nieobecność Adama powić mu ślicznego syna. Takie mamy teraz zadanie, ty i ja.

Lauren zapatrzyła się za okno. Świt ukradkiem już się wycofywał, z posępnego nieba spadł jeden wielki, ospały płatek śniegu i przyklepił się do szyby. Okrutnym zrzędzeniem losu dzień miał być taki sam jak wtedy, kiedy rodziła poprzednim razem i straciła syna. Wytraćilo ją to z równowagi, przymknęła oczy i skoncentrowała się na maleńkiej istotce, która usiłowała wydostać się z jej wnętrza. Z pewnością ta wścicka bestia, która ją szarpała, nie dawała też spokoju dziecku. Maleństwo na pewno również wyczuwa skurcze i parcie, które niemal rozrywało jego matkę na kawałki.

Zacisnęła mocniej powieki. Następny skurcz zaczął się od czegoś w rodzaju swędzenia, a teraz rozlewał się po całym ciele. Pokój rozmazał jej się przed oczami, podobnie jak zatroskana twarz Duncana, potem zniknął w białej mgłę bólu. Jakby z bardzo daleka doszedł odgłos otwieranych drzwi i świeży, ostry zapach śniegu. Ktoś mówił coś w pobliżu stłumionym głosem. Zamiast ciepłej ręki Duncana poczuła na dłoni czyjeś zimne palce.

Kiedy ból ustąpił, odetchnęła i otworzyła oczy. Pochylał się nad nią Adam, policzek miał umazany błotem, kurtkę z przodu całą pochłapaną. Uśmiechnął się tym pełnym uroku, ciepłym uśmiechem, którym ją kiedyś uwiódł i zwabił do siebie,

i ostatecznie wpędził w tę opresję. Pomyślała, że zrobiłaby to wszystko jeszcze raz, i odpowiedziała mu uśmiechem.

- Chodź, chłopcze, niech ci dam kubek kawy. Nic jej to nie pomoże, jak będziesz nad nią dzwonił zębami i mroził ją lodowatym dotykiem.

- Jechałem całą noc, żeby zdążyć - powiedział Adam, nie odrywając oczu od twarzy Lauren. Pod jej palcami ręka mu się powoli rozgrzewała.

Ból zaczął się znowu, przesunął się w dół i zaklinował między biodrami niczym twarda, domagająca się uwolnienia kula.

- Dziecko chyba już wychodzi - stęknęła.

Adam wstał, zrzucił z siebie kurtkę i podwinął rękawy.

- Tak, kochana. Już niedługo będziesz je mogła przytulić.

- Chcesz, żebym tu został? - usłyszała pytanie Duncana.

- Nie. Poradzimy sobie - odrzekł Adam.

Drzwi zamknęły się, Lauren poczuła, że Adam odrzuca kołdrę i podobnie jak wtedy ustawia jej stopy. Bardzo wiele było podobnie jak wtedy. Bardzo wiele.

- Adam? - odezwała się, unosząc głowę.

Adam mył właśnie ręce w miednicy. Odwrócił się do niej.

- Dziecko się wczoraj ruszało. - Urwała, nie wiedząc, w jaki sposób mu to delikatnie przekazać, i zdecydowała się mówić prosto z mostu. - Wtedy na pewno żyło.

I w tym momencie chwycił ją taki ból, że ciało jej wygięło się w łuk, a wszystkie mięśnie i ścięgna się napięły. Świadomość rozplynęła się, został tylko głos Adama.

- Przyj, Lauren - mówił. - Przyj.

Posłuchała, zacinając zęby. Minuty wydawały się rozciągać w godziny. Ból był nieustępliwy, powracał raz za razem, dręczył ją, nie dając chwili wytchnienia czy odpoczynku.

- Widzę już główkę, Lauren. Pchnij jeszcze raz. Jeszcze tylko raz.

Lauren próbowała się wygodniej ułożyć, potem wstrzymała oddech i napięła się tak, że z wysiłku mięśnie zaczęły dygotać. Dziecko wyslizgnęło się z jej ciała prosto w nadstawione dłonie Adama.

- Mam go. Mamy syna, Lauren, wszystko z nim w porządku. Wszystko z nim... - Głos nagle się urwał.

Jej mąż stał w nogach łóżka, smugi krwi plamiły z przodu jego białą koszulę. Odwrócił noworodka do góry nogami i delikatnie klepnął go po pupie. Małeńkie nóżki i rączki zamachały w proteście. Rozległo się cichutkie miauknięcie, a potem puste kąty domu wypełniły się donośnym, pełnym wigoru krzykiem. Adam załkał i przytulił nagie dziecko do ramienia.

Z cieni wychynął Duncan z jednym z haftowanych przez Lauren niemowlęcych kocyków w dłoniach.

- Daj no mi go, chłopcze - powiedział cicho. - I zajmij się żoną.

Adam niechętnie oddał syna i wrócił, by odebrać łożysko. Lauren wiodła oczami za małym zawiniątkiem, które Duncan oczyścił, osuszył i zaraz złożył w jej ramionach. Potem gdzieś znowu zniknął, zostawiając ich samych. Dziecko przymrużyło oczy i przyglądało się matce, mrugając w przyćmionym świetle.

- Nic mu nie brakuje - powiedział Adam, odchylając kocyk. - Doskonały i zdrowiuteńki. - Usiadł na krześle, z trudem powstrzymując się, by nie jęknąć.

Główka kapelusza odcisnęła mu się na włosach, bryzgi błota i kropelki krwi plamiły twarz. Zmęczenie czaiło się w cieniach pod oczami i rysach twarzy. *Ależ my oboje musimy wyglądać*, pomyślała Lauren. W gardle zaczynała ją łaskotać ze śmiechu. Dziewięć miesięcy temu wmawiała sobie, że życie w Północno-Zachodnich Terytoriach jest zbyt surowe, zbyt prymitywne, zbyt bliskie rzeczywistości. A teraz nie potrafiła sobie wyobrazić, co warte byłoby życie spędzane na podawaniu herbatki i organizowaniu pikników.

Zachichotała cichutko i strzepnęła Adamowi z policzka grudkę błota. Jakoś jej to pasowało, że poczęli swojego syna w altanie cici Matyldy w ten wieczór, kiedy się ponownie zesłi, że jest on ukoronowaniem pełnego namiętności, gorączkowego zespolenia wśród pełnych chłodnej dezaprobaty prymulek.

Adam pochylił się i złożył na wargach żony delikatny, długi pocałunek.

- Dziękuję ci - wyszeptał.

Już miał się odsunąć, kiedy Lauren objęła go wolną ręką za tył głowy.

- Chcę jeszcze jednego - wyszeptała. - I to szybko.

Adam prychnął cichym śmiechem, nie odrywając warg od jej ust; spowijał ich oboje zapach śniegu, konia i wełny.

- Nie jestem całkiem pewien, czy stać mnie będzie na następną podróż do altany cioci Matyldy.

- Nie musimy tam jechać. Wiem, gdzie kwitną na łące orliki. A one wydają mi się dużo mniej pruderyjne niż prymulki.